

ALEXANDRA DUNCAN

OCCALONA



Alexandra Duncan

OCALONA

Przełożył Janusz Maćczak



Tytuł oryginału: *Salvage*

Copyright © 2014 by Alexandra Duncan

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Janusz Maćczak,
MMXVI

Wydanie I

Warszawa MMXVI

Spis treści

Część I Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5
Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11
Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział
17 Rozdział 18

Część II Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22
Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział
28 Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33
Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział 38

Część I

Tego ranka, zanim nasz statek „Parastrata” zawinął do portu kosmicznego, obudziłam się wcześniej. Przeszłam przez moje najmłodsze siostry – Lifil i pozostałe małe dziewczynki, skulone koło siebie w naszej koi jak szczenięta. Na zewnątrz wspólnej sali reszta kobiet i dziewcząt spała w ciemnej i wilgotnej sztucznej nocy. Gdy splatałam włosy i wiązałam je szmatką, zobaczyłam, że koja Modrie Reller jest pusta. Widocznie macocha spędziła noc w kwaterze mojego ojca, chociaż od kilku miesięcy znowu jest w ciąży.

Zapięłam na ramionach sprzączki halki, włożyłam najpierw cienkie spódnice, potem pikowane i przewiązałam je wszystkie w pasie, tak że zwisały ciężko wokół moich bioder. Pochyliłam się do przodu, żeby sprawdzić ich długość. Spod rąbka wystawał tylko koniuszek palca stopy.

„W porządku”. Uśmiechnęłam się do siebie w ciemności. Zapowiadał się dobry dzień. Wszystko zrównoważone, solidnie utkane.

Wsadziłam do kieszeni składany wachlarz i ruszyłam do włazu. Nan, Llell i kilka innych dorosłych dziewczyn poruszyło się na materacach rozłożonych ciasno na podłodze, gdy wstukiwiałam kod, żeby otworzyć drzwi: koło, pręt, pręt, krzywul. Znamy go tylko Modrie Reller i ja. Ja, ponieważ jestem najdziewczyną naszego statku, a ona, bo jest pierwszą kapitana „Parastraty”, przynajmniej odkąd dziesięć obrotów temu gorączka zabrała moją matkę do Próżni. Pewnego razu Nan próbowała mnie namówić do wyjawienia jej kodu, żeby mogła wymykać się do swoich kotów w hangarze dla żywego inwentarza, ale odmówiłam. Mój ojciec może zaufać mnie i Modrie Reller, ale gdyby wszystkie kobiety i dziewczyny znały kod, nie byłibyśmy bezpieczni.

Z całej siły pociągnęłam drzwi, a gdy przesunęły się na rolkach i otwały, wyslizgnęłam się na korytarz. Ściany omiatało słabe światło z bioluminescencyjnego klosza, przypominające niebieską poświatę księżyca. Pomyślałam, żeby wrócić i zerwać wcześniej pozostałe, by nie przyłapano mnie samej na korytarzach, ale ostatecznie przecież jestem najdziewczyną i najstarszą córką mojego ojca. Nikt nie ośmieliłby się zwrócić mi uwagi. A perspektywa kilku minut w samotności była zbyt

kuszająca, bym miała z niej zrezygnować, bo przecież niemal nieustannie przebywam pośród ludzi. Zasunęłam za sobą drzwi, ale nie do końca.

Odetchnęłam głęboko. Powietrze tutaj, bez gorąca ciał i oddechów tak wielu kobiet stłoczonych razem, było mniej duszne, niemal chłodne. Jeden z naszych kanarków zaczął do mnie pytać ze swojej klatki umieszczonej we wnęce w ścianie. Nachyliłam się blisko niego i wcisnęłam koniuszek palca między pręty. Kanarek obrócił ku mnie główkę, jego oczka wyglądały w półmroku jak małe plamki atramentu.

– Ava – syknęła za moimi plecami Llell. Wychyliła się z włazu, zawiązując wierzchnią spódnicę. – Zaczekaj na nas, co?

Wyjęłam palec z klatki, wyprostowałam się i z udawanym zniecierpliwieniem skrzyżowałam ramiona na piersi. Llell łypnęła na mnie niepewnie.

– Więc się pośpieszcie – powiedziałam.

Czasami zapominam, że Llell nie rozumie mojej mowy ciała. Muszę do niej mówić, jeśli chcę, żeby zrobiła to, co trzeba. Kiepsko widzi, tak jak jej matka, bracia i siostry.

Kiwnęła głową i dała nura z powrotem do kwatery sypialnej.

W stacjach przystankowych są lekarze, którzy potrafią naprawiać wzrok, ale Priorytet każe, żeby zajmowali się tylko pilotami oraz reperami. Nie opłaca się leczyć oczu osób pracujących w kuchniach i żłobkach, a tym bardziej tych przydzielonych do sprzątania i farbowania. Może pewnego dnia Llell i jej matka dostaną na spółkę jedną parę okularów, jakie ma Hannah, wdowa po moim pradziadku.

Po drugiej stronie korytarza był iluminator z widokiem na mroczną Próżnię usianą jasno świecącymi gwiazdami. Wyglądał jak olbrzymie czarne jajko. Wisiał w nim odległy srebrzystoszary księżyc, a dalej w pole widzenia wchodziła błękitna planeta cętkowana zamgloną bielą, brązem i zielenią, otoczona jaskrawą aureolą. „Ziemia, siedlisko naszych niedoli”.

Podeszłam do szklanej szyby. Gdzieś ponad Błękitną Planetę unosił się port kosmiczny, wciąż trochę za daleko, by móc go dostrzec gołym okiem. Ale nadszedł ostatni dzień, więc przycumujemy tam i dołączymy do innych załóg, by wspólnie wziąć udział w spotkaniu na koniecrejsów, naszym pierwszym od pięciu obrotów. Przeniknął mnie

nerwowy elektryczny dreszcz na widok tego księżycy i jego planety, tak niewiarygodnie bliskiej, a zarazem tak dalekiej. Czasami zapominam o nieskończoności Próżni i koję się myślą, że nasz statek jest całym istniejącym wszechświatem. Ale potem mijamy jakiś błyszczący księżyc albo planetę, wiszące samotnie w mroku, i uświadamiam sobie prawdziwy rozmiar otaczającej nas pustki. Dotknęłam zimnej żłobkowanej tafla iluminatora i powiodłam palcem po krzywiźnie Ziemi.

„Nie”. Odepchnęłam tę myśl, wetknęłam dłonie pod pachy i odwróciłam wzrok, tak że widziałam tylko wnętrze naszego statku. Gdybym zaczęła gapić się przez iluminatory jak jakieś głupie, urzeczone Ziemią dziewczę, musiałabym naprawdę potrzebować ślubu, jak kpi Jerej, syn Modrie Reller. Wszystkie stardedziewczyny mówią, że nas, młodsze, pociąga Ziemia, chociaż jej dotknięcie oznacza dla nas katastrofę. Mówią, że nawet Saeleas, żona naszego pierwszego patriarchy, szłochała, gdy nasi ludzie odlatywali z Ziemi przed kilkoma tysiącami obrotów, a ona oglądała na własne oczy jej spustoszenie. Mówią, że odtąd nasze kobiety skrycie tęsknią za Ziemią i to uczucie jest jak rozmiękle, przegniłe miejsce w ich duszach.

To nasi mężczyźni ryzykują zejście na jej powierzchnię, gdy nadchodzi potrzeba. Nasi mężczyźni, którzy przygotowują się do tego i chronią nas przed jej wpływem, którzy muszą oczyszczać się olejem i wodą po tym, jak doświadczą boleśnie jej ciężaru. My mamy tylko pamiętać, że nasz statek jest życiem, prawdziwym, czystym światem. Wyszpeptałam urywek ze *Słowa Niebios*, żeby zachować w sobie równy ścieg:

– Oczyszczyć z pyłu nasze stopy,
Nasze włosy i ubrania.
Daj nam olej i wodę,
A my w niebiosach
Stworzymy świat na nowo.

– Przepraszam, przepraszam. – Nan wreszcie wyłoniła się z kwatery sypialnej, a za nią Llell.

Cofnęłam się i zlusterkowałam je wzrokiem. Obwiązały rude włosy szmatkami, jak ja, a ich zielone spódnice dotykały podłogi. To znaczy spódnica Llell. Nan powinna opuścić rąbek swojej. Znowu urosła

i wystają gołe grzbiety jej stóp. Gdyby nie przyglądać się nam zbyt uważnie, można by nas wziąć za siostry – podobnie ubrane, z tym że ja mam ziemistą, ciemną skórę, a ich jest perłowa i przejrzysta. Dawniej, zanim zostałam najdziewczyną, Llell i wszyscy chłopcy kpili z mojej cery. Teraz już tego nie robią. Teraz wszystko się zmieniło.

Z aprobatą kiwnęłam głową i skręciłam w stronę hangaru dla żywego inwentarza, a obie dziewczyny w milczeniu podążyły za mną.

– Pośpieszcie się – rzuciłam przez ramię. – Chcemy przecież skończyć pracę i nie zawadzać podczas cumowania, tak jest?

– Tak jest – wymamrotała Llell.

– Tak jest – zaszczębiotała beztrosko Nan niby jej echo.

Na statku utrzymywano jeszcze sztuczną noc, więc zasilane energią słoneczną lampy się nie paliły. Fosforyzujące paski umieszczone w podłodze oblewały nasze bose stopy mdłą błękitną poświatą, a dzięki biolumenicznym kłoszom zwisającym z sufitu na każdym zakręcie korytarza nie tonęliśmy w kompletnej ciemności. Gdy dotarliśmy do zakrętu przed schodnią, zapłonęło dzienne światło. Zza rogu wypadł Turrut, jeden z chłopców, mniej więcej w naszym wieku, przyciskając do piersi naręcze metalowych pojemników z dwutlenkiem dla warsztatów. Przywarliśmy do ściany i pochyliłyśmy głowy, czekając, aż nas minie. Czasami Turrut drażni się z nami, próbuje wyciągnąć z nas parę słów, by móc później wypominać je nam złośliwie czy nawet zmusić nas, żebyśmy wypełniały za niego uciążliwe obowiązki. Dziś jednak był zbyt zajęty i w milczeniu przemknął obok nas. Kiedy zniknął za załomem korytarza, Llell podeszła szybko i zrównała się ze mną. Nadal pochylała szyję, tak że nasze głowy były na tym samym poziomie, i odezwała się ze wzrokiem wbitym w ziemię:

– Dobrze wiesz, że nie powinnaś wychodzić bez nas.

Nie odpowiedziałam. Wprawdzie ojciec Llell to szef robót farbiarskich, ale jej matka jest tylko czwartąoną i na poły ślepą farbiarką, nikiem.

– Co by było, gdybyś wpadła na jakiś kłopot? – mówiła dalej, nie podnosząc na mnie wzroku. – Gdyby Turrut albo... kapitan przyłapał cię na korytarzu samą?

Przystanęłam tak gwałtownie, że Nan niemal na nas wpadła.

– Llell – powiedziałam, starając się przybrać surowy ton głosu Modrie Reller. – Nie potrzebuję twoich pouczeń na temat tego, co jest właściwe. Zapomniałaś o mojej pozycji?

Llell umilkła i poskrobała dużym palcem u nogi podeszwę drugiej stopy.

– Gdybyście ty, Nan i reszta wstały razem ze mną, nie musiałabym wyjść sama, prawda? – dorzuciłam.

Llell się wykrzywiła, ale nic nie odpowiedziała.

– Jak mamy bronić nawzajem naszej czci, jeśli wciąż śpisz? – spytałam z wyrzutem.

Llell wpatrywała się w podłogę.

– Tak jest – rzekła cicho.

Poczułam ukłucie wyrzutów sumienia. Chciałam wyciągnąć rękę i uścisnąć jej dłoń, jak robiłyśmy, kiedy byłyśmy młodsze i żadna z nas nie pojmowała znaczenia różnicy naszych pozycji. Ale jestem przecież najdziewczyną. Zadarłam wysoko głowę i ruszyłam dalej korytarzem.

Gdy uruchomiłam drzwi hangaru dla żywego inwentarza, uderzył w nas ciepły, ciężki odór obornika, syntetycznej słomy i zwierząt. Zostawiłam Llell oporządzenie kurczaków. Są złośliwe i lubią szczypać, ale ona toleruje je lepiej niż reszta z nas. Pozwoliłam Nan odejść i poszukać kotów, chociaż Llell i ja wiedziałyśmy, że ma kieszenie pełne resztek ciasta fasolowego ze wszystkich kuchni i nakarmi nim koty, tak że nie będą chciały łowić myszy. Zaczęłam od kóz.

Zdjęłam mechaniczną dojkarkę z haka w przegrodzie boksu i wyprowadziłam pierwszą kozę na zewnętrzny wybieg, żeby ją wydoić. Llell uruchomiła pneumatyczną windę i pomieszczenie wypełnił okropny zgrzytliwy dźwięk, gdy wjeżdżała nią do kojca kurczaków. Kiedy winda się zatrzymała, Llell zaczęła przywoływać je łagodnie:

– Cip, cip, cip.

Przycapiłam paskami mechaniczną dojkarkę do pierwszej kozy, ustawiłam tarczę na środkową, żółtą pozycję i wróciłam do boksu po następną kozę, żeby wydoić ją ręcznie, podczas gdy mechaniczna dojkarka będzie pracowała automatycznie. Druga koza była złośliwa. Gdy wyciskałam mleko z jej wymion, usiłowała nadepnąć mi na stopy i kopnąć wiadro, ale zajmuję się dojeniem codziennie, odkąd byłam

małodziewczynką w wieku niespełna pięciu obrotów. Znam wszystkie kozie sztuczki. Postronkiem unieruchomiłam jej lewą tylną nogę.

Obok mnie mechaniczna dojarka zawarczała zgrzytliwie i pierwsza koza zameczała ze strachu. Próbowwała uciec, ale przeszkadzało jej to ciężkie urządzenie. Stanęła dęba. Zerwałam się na nogi i odsunęłam wiadro z mlekiem, zanim druga koza mogłaby w panice je przewrócić. W powietrzu unosiła się woń rozgrzanego metalu.

– Cicho, cicho – powiedziałam, kładąc uspokajająco dłoń na szyi pierwszej kozy, i odcapiałam od niej mechaniczną dojarke.

Tymczasem druga koza uwolniła się z pęt. Pognała na drugą stronę wybiegu, strzygąc uszami i tupiąc gniewnie. Puknęłam w tarczę regulacyjną z boku mechanicznej dojarke. Była zablokowana w najniższej pozycji, więc urządzenie usiłowało to nadrobić zwiększeniem obrotów. Zerknęłam kolejno przez jedno i drugie ramię, żeby się przekonać, czy nie czają się za mną Llell albo Nan. Nie zobaczyłam żadnej z nich. Byłam sama.

Zdjęłam tarczę. Dojarka była stara, o kilka obrotów starsza ode mnie, i czasami jej paski się ześlizgiwały. Kiedy ostatnim razem tak się stało, musiałyśmy oddać ją do Napraw i minął decyobrot, zanim dostałyśmy ją z powrotem zreperowaną, gdyż mechaniczna dojarka nie jest Priorytetem. Ale teraz nikt mnie nie obserwował, więc mogłam spróbować jednego ze sposobów napraw, których nauczyłam się od mojej przyjaciółki Soli podczas spotkania na koniecrejsów, jakieś pięć obrotów temu. Odłożyłam tarczę na bok. Tryby we wnętrznościach urządzenia były zdezelowane, miały całkiem zdarte zęby.

– Nie. Och, nie – jęknęłam cicho.

Umiałabym to zreperować, ale potrzebowałam części. A jeśli pójdę do szefa działu zamówień i powiem mu, czego potrzebuję, na pewno zapyta, skąd znam się na naprawach. I wtedy wyjdzie na jawę, że ktoś mnie tego nauczył. Nawet najdziewczynie to nie przystoi.

Przybiegła Nan, strząchując z dłoni okruszki ciasta. Wcisnęłam tarczę z powrotem w boczną ściankę dojarke i szybko położyłam sobie urządzenie na kolanach.

– Znowu się zepsuła? – spytała Nan.

Przytaknęłam kiwnięciem głowy.

– Kiedy skończymy, zaniosę ją do Napraw – powiedziałam.
Nie miałam wyboru.

– Ile jeszcze zostało do wydojenia? – zapytała.

– Trzynaście – odpowiedziałam, wskazując na zagrodę z czekającymi kozami.

Nan wyprowadziła następną, łaciatą, i obie zaczęłyśmy doić z pochylonymi głowami. W tej czynności było coś kojącego: chlupot mleka wpadającego do wiadra, ciepła słoma pod moimi kolanami, świadomość, że Nan jest obok mnie, a nasz statek rozpościera ramiona baterii słonecznych ku słońcu, by naładować je energią i zbudzić wszystkich do ostatniego dnia naszego rejsu. Może uda mi się wybebeszyć kilka spośród zepsutych urządzeń w kontenerze z rupieciami i znajdę potrzebne części. A wtedy obejdę się bez pomocy Napraw i sama zreperuję naszą dojarkę...

– Ava – szepnęła Nan.

Podniosłam na nią wzrok i zobaczyłam, że spojrzenie ma utkwione gdzieś poza mną. Obejrzałam się przez ramię. Modrie Reller zeszła już schodnią i teraz zmierzała ku nam, groźnie jak statek myśliwski. Długie siwe włosy o miedzianym połysku miała związane w warkocze przy podstawie czaszki, a na sznurku obwiązany wokół nadgarstka wisiał wachlarz. Poruszała się szybko i sprawnie pomimo widocznej ciąży, niczym karawela przywykła żeglować obciążona ładunkiem. Za nią podążała nieodłączna jak cień Iri, najmłodsza wdowa po moim pradziadku. Zerwałam się na nogi i strzepnęłam słomę ze spódnicy.

Nad nami zadudniła pneumatyczna winda. Zjeżdżała nią Llell trzymająca w objęciach skrzynkę świeżych brązowych jajek. Łoskot windy uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę, lecz na twarzy Llell malowało się pytanie: „Co się dzieje?”.

– Avo – powiedziała Modrie Reller. Jej głos zabrzmiał wyraźnie mimo zgrzytu trybów windy. – Chodź z nami.

Obejrzałam się na Llell i Nan. Jawnie gapiły się na mnie. Ich sukienki całe pokryte były łajnem i żdźbłami słomy. Otrzeptałam się ostatni raz, wyszłam z zagrody, a za mną zatrzasnęła się zasuwka bramki.

Modrie Reller w milczeniu szła przodem przez korytarze. Iri i ja

podążałyśmy za nią ze skromnie spuszczoneymi głowami, żeby przypadkiem nie spojrzeć w twarz żadnemu mężczyźnie. Mijałyśmy łukowe otwory drzwiowe głównego korytarza, kilku kuchni, ogrodów hydroponicznych, sal, w których mężczyźni mieszaali papkę z przecieru, łąjna i resztek tkanin do produkcji papieru, oraz inne pomieszczenia, gdzie młode farbiarki podgrzewały w kadziach urynę z wodą, a starsze kobiety pochylały się nad tkaniem. Przez całą drogę mijałyśmy też kanarki w klatkach pilnujące, czy w powietrzu nie ma złej materii. Przeszłyśmy obok męskiej sali treningowej wyposażonej w ruchome chodniki oraz komorę ciśnieniową umożliwiającą mężczyznom zachowanie kondycji fizycznej wystarczającej do tego, by mogli znieść ciężar przyciągania ziemskiego. Przemierzyłyśmy kwatery sypialne, teraz niemal puste.

Wreszcie Modrie Reller odsunęła ciężki tkany gobelin przedstawiający Saeleas w aureoli gwiazd o miedzianych promieniach. Wślizgnęłyśmy się do znajdującej się za nim sali oczyszczeń, w której siedziała Kamak i wcierała olej w napiętą skórę brzucha. Była w trzeciej ciąży. Modrie Reller pozdrowiła ją cierpkim uśmiechem i skinieniem głowy, gdy mijałyśmy ją szybko. Przemierzyłyśmy wąskie korytarze towarowe i weszłyśmy do małego pokoju, w którym stał zlew na nóżkach z odpływem zwapnowanym ze starości. Iri zatrzasnęła za nami drzwi.

Teraz wiedziałam już, dlaczego się tu znalazłyśmy. One ufarbują mi włosy.

Kiedy się urodziłam, miałam kasztanowe, jak moja matka, dość podobne do rdzawobursztynowych włosów innych członków załogi. Ale ciemniały, gdy dorastałam, aż wreszcie stały się czarne jak oczy kanarków i steredziewczyny zaczęły gadać. Mówiły, że to klątwa, że zła materia osiadła w nas, kiedy moja babka poślubiła mężczyznę z Ziemi, najdoktora, który przybył na pokład naszego statku z wizytą i pojął ją jako swoją drugą żonę. Członkowie załóg co kilka dekad zawierają takie małżeństwa, traktując je jak zastrzyk wzmacniający, który wprowadza nową krew w żyły naszego rodu. Staredziewczyny twierdziły, że ten najdoktor był dobrym człowiekiem, troszczył się o moją babkę i o córkę, która przyszła na świat z ich związku, czyli moją matkę.

Ale po śmierci najdoktora jego córka z pierwszejżony zaczęła się wtrącać. Wysyłała wiadomości i w końcu nawet przyleciała z Ziemi do portu kosmicznego, żeby nas odszukać. Byłam wtedy tylko małądziewczynką, ale został mi w pamięci obraz tego, jak szła energicznie schodnią u boku naszego starego kapitana Harraha, mojego pradziadka, z głową owiniętą czarną szmatką i zakrytymi ramionami. Pamiętam jej twarz, ciemnobrązową jak papier, gdy nas wypatrywała. Pamiętam, że była równie wysoka jak mój pradziadek i zaglądała każdemu w oczy – nawet mężczyznom – jakby kogoś szukała. Szła takim pewnym, miarowym krokiem, jak gdyby wcale nie brukała naszego statku piętnem Ziemi.

Hah i Turrut wślizgnęli się do jej pokoju w kwaterze pasażerskiej, kiedy odpoczywała, i powiedzieli, że widzieli jej głowę niezakrytą. Mówili, że ma czarne włosy, jak moje, i dokuczali mi, że jest złym duchem, który przybył po mnie z Ziemi. „Może chce cię porwać”.

Rozplakałam się wtedy i pobiegłam odszukać Iri, która zaprowadziła mnie do Modrie Reller. Tamtego dnia zaczęły farbować mi włosy.

Teraz Modrie Reller włożyła rękawice ochronne, jakich używamy podczas farbowania tkanin.

– Tak wcześniej? – zapytałam.

Poprzednio ufarbowały mi włosy zaledwie przed trzema tygodniami. Czarne jak Próznia odrosty przy skórze głowy były minimalne, właściwie niedostrzegalne, jeśli się im nie przyjrzało. Odwróciłam się do Iri. Wprawdzie to wdowa po moim pradziadku, ale ma mniej obrotów nawet od Modrie Reller, gdyż złączono ją z nim, gdy była młodsza niż ja teraz, zaledwie na obrót czy dwa przed jego śmiercią. Jest dla mnie trochę jak starsza siostra, tłumaczy mi szeptem różne sprawy, kiedy Modrie Reller na nas nie patrzy. Iri rzuciła mi spojrzenie, ale się nie odezwała. Wskazała tylko wzrokiem Modrie Reller. „Nie teraz, w obecności twojej macochy”.

– Uklęknij – poleciła Modrie Reller.

Uśluchałam. Dopiero wtedy mi odpowiedziała:

– To polecenie twojego ojca.

Z jednej z przepastnych kieszeni wyjęła tubkę farby owiniętą

impregnowaną tkaniną. Zdjęła nakrętkę i dodała:

– Zarządził, że podczas spotkania na koniecrejsów zostaniesz żoną.

– Żoną? – powtórzyłam, starając się nie okazać zaniepokojenia.

– Tak jest – potwierdziła Modrie Reller. Wskazała znacząco na moje włosy. – Nie chcemy, żeby członkowie innych załóg pomyśleli, że z najdziewczyną z „Parastraty” jest coś nie w porządku.

Iri posłała mi łagodny uśmiech.

– Albo dali za naszą Avę tylko kilka chorowitych kóz czy starą popękaną plastelinę.

Roześmiałam się, ale nerwowo. Żona. Widywałam wcześniej dziewczyny wydawane za mąż, więc wiedziałam, że powinnam zareagować na tę wiadomość wesołym szczebiotem albo może zarumienić się i nieporadnie zamaskować radość skromnym uśmiechem. Zamiast tego poczułam tylko zawrót głowy, jakby wysiadła sztuczna grawitacja. Wiedziałam zawsze, że zostanę żoną, i to już wkrótce, w wieku szesnastu obrotów. Ostatecznie przecież taka jest wola Miłosiernych. Ale kiedy byłam młodsza, nigdy nie bawiłam się w ślub jak inne dziewczęta, na przykład Nan, ani nocami nie myślałam bez końca o małżeństwie, wpatrując się w koję nade mną. Nagle przypomniałam sobie z ciężkim sercem docinki Jereja. Czy on przez cały ten czas już wiedział?

– Kto... – Głos ugrzązł mi w gardle. Podniosłam wzrok na Iri i zobaczyłam, że przygląda mi się uważnie. – Kto to będzie?

Modrie Reller potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia. Najprawdopodobniej ktoś z załogi „Æther”. Twój ojciec mówił, że pora ponownie przypieczętować umowę handlową z nimi. Ale nie myśl o tym. Twój ojciec i mój Jerej to splotą.

Ktoś z załogi „Æther”. Serce zabiło mi trochę szybciej. Moja przyjaciółka Soli, jedyna, jaką mam poza wnętrzem statku „Parastrata”, i jej biologiczny brat Luck należą do załogi „Æther”. Soli i ja poznałyśmy się przed pięcioma obrotami, kiedy Æther Fortune przybył na nasz pokład na rozmowy handlowe i przywiózł ze sobą wszystkie swoje żony i ich maleństwa.

W dniu ich przyjazdu Modrie Reller wyciągnęła mnie z kuchni i zmusiła, żebym z ręcznym krosnem w dłoniach siedziała w lepkim

upale kobiecej kwatery, w której ona i wdowy po moim pradziadku miały zabawiać kobiety ze świty Æthera. Spoczone przycupnęłyśmy wszystkie w milczeniu na pikowanych poduszkach na podłodze, trzepocząc wachlarzami, żeby poruszyć gęste powietrze. Zza ścian dobiegały hałaśliwe śpiewy mężczyzn.

Modrie Reller posadziła mnie wtedy obok ciemnowłosej córki Æthera, która miała odstające uszy i przezroczystą, połyskliwą skórę z błękitnymi żyłkami, taką samą jak wszyscy członkowie załóg przemierzających przestrzeń kosmiczną i od wielu pokoleń ukrytych przed światłem słońca – oczywiście wszyscy oprócz mnie. Zerkiałam na nią ponad moim krosnem, przepychając ciasno nieczółenką. Wyglądała tak, jak ja mogłabym wyglądać, gdyby moje włosy wyrosły w naturalnym odcieniu, gdybym była wyższa i gdyby odbarwiono moją śniadą skórę. Jej ubranie sprawiało wrażenie uszytego na maszynie, wszystkie szwy były drobne i równe. Obserwowałam, jak czerwoną jedwabną nitką haftowała na tkaninie swojego stroju godło załogi „Æther”.

Pochwyciła moje spojrzenie i zmarszczyła brwi.

– Na co tak patrzysz?

Spuściłam głowę i pochyliłam się nad moją gruzłową robótką.

– Na nic – odparłam. – Po prostu to mocno ładne.

– Och – rzekła, jakby to było całkiem oczywiste. – Tak jest.

Przełknęłam nerwowo i dokończyłam kolejny ścieg. Potem znowu zerknęłam na nią.

– Jak masz na imię?

– Solidarność z Gwiazdami.

Zamrugnęłam zdziwiona.

– Jak to?

– Solidarność z Gwiazdami – powtórzyła z lekką urazą w głosie.

– Nie nosisz imienia przynoszącego szczęście? – zapytałam.

Na „Parastracie” wszyscy rodzice nadają dzieciom imiona, które nawracają, czyli dają się odczytać także wstak. Mówią, że po to, abyśmy mogli odnaleźć drogę, jeśli się zgubimy.

– Moje imię przynosi szczęście – oświadczyła.

– Nie.

– Tak – rzekła, podnosząc głos. – Nie znasz *Słowa Niebios*? Jest tam powiedziane: „Pamiętajcie zawsze o tym, czego pragnęli nasi przodkowie. Nigdy tego nie zapomnijcie”. Właśnie stąd wzięło się moje imię.

– Ach, tak. – Skubnęłam gruby wełniany supeł. – Jest mocno przydługie, co?

– Nie – odparła Solidarność z Gwiazdami. – A przynajmniej niezbyt długie. Wszystkim nam nadaje się imiona w ten sposób. Mój brat nazywa się Szczęście Niech Będzie z Wami w Tej Podróży, ale wołamy na niego w skrócie Szczęście, czyli Luck.

Znowu umilkłyśmy. Nasze czółenka stukały o brzegi krosien. W końcu Solidarność z Gwiazdami przerwała ciszę:

– Możesz nazywać mnie Soli, jeśli chcesz. Tak mówi do mnie brat.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się, dzięki czemu poczułam się prawie jej wzrostu. Odpowiedziałam uśmiechem.

– Więc jakie jest twoje? – zapytała.

– Moje co?

– Twoje szczęśliwe imię – wyjaśniła, przechyliła głowę na bok i wybałuszyła oczy, by dać mi do zrozumienia, że uważa mnie za mało pojętną.

– Ava – powiedziałam.

– Pracujesz w Naprawach? – spytała. – Ja tak.

– Nie – odrzekłam.

Na „Parastracie” my, kobiety, trzymamy się tego, na czym się znamy: gotowania, tkania, farbowania, cerowania i wychowywania dzieci. Wszystko by się popruło, gdybyśmy zaczęły naprawiać statek. „Od naprawiania do pilotowania tylko jeden krok – mawia mój ojciec. – I co by się wtedy z nami stało? Nie można opiekować się niemowlęciem i jednocześnie obsługiwać programu nawigacyjnego”.

Uznałam, że ona kłamie. Spróbowałam przybrać wyniosłą minę i rozpoczęłam następny drobny ścieg.

– Więc jakie są twoje obowiązki? – zapytała Soli, trącając mnie łokciem.

– Pracuję w kuchni – odpowiedziałam i zaraz pożałowałam, że nie pomyślałam, by skłamać. – Przy żywym inwentarzu i czasami też przy

farbowaniu.

Raz na decyobrót Modrie Reller zmusza mnie do pracy przy kadziach farbiarskich, żebym nie zapomniała, jak wygląda prawdziwa ciężka harówka i gdzie mogę trafić, jeśli nie będę się przykładała do moich innych obowiązków.

– Mój brat Luck pracuje w Dziale Żywego Inwentarza – oznajmiła Soli. – Mówi, że to lubi.

Wykrzywiła się, wystawiła język i wydała dźwięk naśladujący wymiotowanie.

Zachichotałam, chociaż właściwie nie mam nic przeciwko pracy przy zwierzętach. Ja i Llell podczas zbierania jajek i czyszczenia boksów z odchodów naszeptujemy o chłopcach. Ona buja się w Jereju i żadna z nas nie zdawała sobie jeszcze sprawy z tego, jak mało prawdopodobny jest ich związek.

Matka Soli spojrzała na nas ostro znad swojej robótki.

– Sza – syknęła.

Soli i ja przygryzłyśmy usta i zabrałyśmy się z powrotem do tkania. Kiedy odwróciła od nas wzrok, wymieniliśmy uśmiechy nad naszymi krosienkami.

Od tego momentu aż do końca wizyty handlowej członków załogi „Æther” trzymałyśmy się razem. Soli spróbowała nakłonić Modrie Reller, żeby skierowała ją do pracy w Naprawach na czas pobytu delegacji, ale moja macocha rzuciła jej kwaśny uśmiech i odparła, że nie sądzi, by dało się to załatwić. Zamiast tego Soli trafiła więc do pracy ze mną i Llell przy żywym inwentarzu.

I byłam z tego rada, gdyż inaczej nigdy nie poznałabym Lucka.

Soli, Llell i ja skręciłyśmy korytarzem do hangaru dla zwierząt, niosąc wiadra na mleko objające się nam o kolana. I wtedy zobaczyłam go przykucniętego przy jednej z naszych kóz.

– Ætherze Lucku, co ty tu robisz? – warknęła Soli i ruszyła ku niemu ciężkim krokiem. – Może jednak lepiej, żeby każde z nas dwojga zajęło się swoimi obowiązkami!

Llell i ja wymieniliśmy zdumione spojrzenia – „Czy Soli właśnie zrugowała swojego brata?” – i pośpieszyłyśmy za nią.

Luck poderwał się na nogi. Do nogawek spodni przywierały mu

zdźbła słomy. Wstał. Był o pół głowy wyższy od siostry, ale zaczerwienił się pod wpływem jej ostrego tonu. Spuścił głowę i czarna grzywka spadła mu na oczy. Obok kozy, którą doił, stało wiadro napełnione w jednej czwartej mlekiem. Wytrzeszczyłam oczy ze zdziwienia. To była Chinny, nasza najbardziej niesforna, wierzgająca koza. Kiedyś nastąpiła Llell na dłoń i złamała jej palec. I zawsze znajdowała sposób, by przewrócić wiadro, po prostu na złość temu, kto ją doił.

Luck podniósł wzrok i nasze spojrzenia się spotkały. Miał tęczówki niebieskie jak płomień spawarki, a źrenice ciemniejsze, niczym skrawki ziemskiego oceanu, które można dostrzec z niskiej orbity. Oczy zupełnie niepodobne do brązowych lub brunatnozielonych, jakie mamy wszyscy na „Parastracie”. Wiedziałam, że nie powinnam tak mu się przyglądać. I nigdy bym się w ten sposób nie zachowała, gdyby nie udzieliło mi się nieco śmiałości Soli.

Chinny wybrała właśnie ten moment, by przewrócić wiadro. Mleko chlusnęło i rozlało się wokół butów Lucka po słomie.

– Aa! – krzyknął i odskoczył do tyłu.

Spodziewałam się, że szarpnie postronek Chinny i wykręci jej długie kłapciate ucho, jak robiłam, kiedy kozy stawały się nieznośne. On jednak zamiast tego westchnął i potarł czoło, strosząc włosy.

– Nie macie mechanicznej dojarki? – zapytał.

Oderwałam wzrok od jego oczu i spuściłam w dół, na siano.

– Mamy – odrzekłam. – Ale stale się psuje i mówią, że to przez nas.

– Soli ją zreperuje – powiedział Luck. – Prawda, siostrze?

– Rzucę na nią okiem – zgodziła się.

– Ale przecież ty jesteś... – zaczęłam, lecz powstrzymały mnie dziwne spojrzenia ich obojga.

Nieemożliwe, żeby Soli rzeczywiście umiała naprawiać!

Zaczerwieniłam się.

– Chodzi mi o to, że jesteś tutaj gościem – dokończyłam.

Wcześniej właściwie nie uwierzyłam Soli, kiedy powiedziała, że pracuje w Naprawach, ale skoro jej brat też tak mówi, być może to prawda.

– Poza tym jesteś dziewczyną – wtrąciła się Llell. – Dziewczyny nie potrafią naprawiać.

– Potrafią – odparła Soli. Skrzyżowała ramiona na piersi i odwróciła się do mnie. – Pokaż mi to urządzenie.

Zaprowadziłam ich na tyły zagród, klaszcząc w dłonie, by odpędzić z drogi kozy. Llell i ja starałyśmy się trzymać w stosownej odległości od Lucka, ale szedł tak blisko, że jego ramię niemal muskało moje. Podniosłam pokrywę kontenera z rupieciami. Pochyliłam się, pogrzechotałam w nim i wyjęłam dojarkę. Z wyłożonej pianką obejmy na wymię sterczały kruche plastikowe rurki na mleko. Podałam urządzenie Luckowi, a on Soli.

– Regulator kompletnie się zepsuł – wyjaśniłam.

Rzuciłam Llell nerwowe spojrzenie. To się działo naprawdę! A jeśli ktoś wejdzie i przyłapie nas z Luckiem, w dodatku dokonujących naprawy? Przełknęłam z wysiłkiem i znowu spojrzałam na Soli.

– Urządzenie albo doi po kropli i trwa to wieczność, albo zbyt szybko i wtedy się przegrzewa – dodałam.

– Masz moje narzędzia? – zapytała brata Soli.

Wyszarpnął zza paska plastikową torebkę i rzucił jej.

– Szkoda, że nie możesz ich sobie zatrzymać. Tutejszy szef reperów wciąż mi powtarza, jaki to jestem mało bystry.

– Wytrwaj tylko do zakończenia wizyty. Potem będziesz mógł wrócić do swoich ukochanych owiec – powiedziała.

Otworzyła paczuszkę i rozwinęła ją na wieku kontenera na rupiecie. Dziesiątki błyszczących srebrzystych mierników i przyrządów zalśniło w swoich przegródkach. Soli wybrała jeden z wtyczką do prądu i amperomierzem i podłączyła go do gniazdka mechanicznej dojaraki.

– To może chwilę potrwać, zależnie od rodzaju uszkodzenia – powiedziała. Wskoczyła na pojemnik obok narzędzi i spojrzała na mnie.

– Jeśli chcesz, mogę ci pokazać, na czym polega naprawa.

– Nie – przerwała jej Llell. Rzuciła mi ostre spojrzenie i rzekła wysokim, napiętym głosem: – Avo, chyba nie powinnyśmy tu być.

Zawahałam się. Wszyscy patrzyli na mnie – Soli, Llell i Luck. Słowa ugrzęzły mi w gardle i zdołałam wydusić jedynie nerwowe:

– Hm...

Llell odwróciła się na pięcie.

– Pośpiesz się, Avo. Wychodzimy.

Soli prychnęła i przewróciła oczami.

– Czego się boicie?

W milczeniu spoglądałam to na moją starą przyjaciółkę, to na nową.

Llell odwróciła się z powrotem do mnie.

– Avo – powiedziała ostro.

Było to tylko jedno słowo, ale zabrzmiało mocno wymownie. Znaczyło: „Chodź tutaj”, „Usłuchaj” i „Wybieraj”. Nie byłam jeszcze wtedy najdziewczyną, a z powodu dziwnego koloru mojej skóry sytuacja wyglądała tak, że to Llell zniżala się do przyjaźni ze mną.

Potrząsnęłam głową.

– Zostanę – odrzekłam cicho.

Llell wytrzeszczyła oczy.

– Jak to?

– Zostanę – powtórzyłam.

Skrzywiła się, a potem na jej twarzy pojawił się twardy, zimny wyraz.

– Świetnie – burknęła.

Rzuciła mi ostatnie spojrzenie i wymknęła się z pomieszczenia. Spoglądałam za nią, przygryzając usta.

– Na pewno nie chcesz się tego nauczyć? – spytała mnie Soli, unosząc brew.

Cofnęłam się o krok.

– Nie, nie.

Wzruszyła ramionami i zabrała się do podważania obudowy regulatora.

– Powinnam posprzątać bałagan, który zrobiła Chinny – oświadczyłam.

– Pomogę ci – zaproponował Luck.

– Uhm – przytaknęła Soli, już pochłonięta naprawą.

– Nie – odparłam. Przypadkiem znów spojrzałam na Lucka i spuściłam wzrok. To zaszło już o wiele za daleko. – To nie jest zajęcie dla mężczyzn.

Przez twarz Lucka przemknął cień zakłopotania. Chłopiec zmarszczył brwi.

– Na „Æther” tak. Poza tym to moja wina. Nie powinienem był bez pytania zabierać się do twoich obowiązków.

– Proszę. – Podniosłam głos. – Pozwól mi to zrobić.

Chwyciłam widły i miotłę do gnoju i przepchnęłam się między kozami. Chinny stała samotnie w pobliżu bramki i powoli przeżuwała siano.

– Ależ z ciebie zła materia – rzekłam do niej i bez przekonania wymierzyłam jej kopniaka. – Sio.

Umyślnie ignorując Lucka, zaczęłam wrzucać wilgotną słomę do dużego sześciennego przetrawiacza metanu stojącego z boku wybiegu. Modrie Reller mówi, że stara słoma i wszystko inne, co do niego wrzucimy, wędruje do zbiornika we wnętrznościach statku, gdzie ulega rozkładowi. Następnie powstały z tego gnicia metan zamienia się w paliwo służące do oświetlania, napędzania pneumatycznych wind i wszystkiego, czego potrzebuje statek.

Usłyszałam za sobą szuranie kroków na słomie i zamarłam.

– Daj – powiedział Luck i ostrożnie wyjął mi spod pachy miotłę. – Przynajmniej pozwól mi ją potrzymać, podczas gdy sprzątasz.

Kiwnęłam głową, czując gorący rumieniec na twarzy i ramionach, i podjęłam pracę.

– Ee... – Luck z roztargnieniem klepnął się miotłą w nogę i spojrzał w górę na krokwie, gdzie uplotła sobie gniazdo para wróbli. – Więc od jak dawna dojarka jest zepsuta?

Wrzuciłam widłami następną porcję słomy do gardzieli przetrawiacza.

– Od połowy obrotu – mruknęłam.

– I w waszych Naprawach jeszcze jej nie zreperowano?

– To nie wina Działu Napraw – odrzekłam. Przestałam wrzucać siano i spojrzałam na niego gniewnie. – Po prostu ta sprawa nie jest Priorytetem.

– Nie miałem niczego złego na myśli – powiedział pojednawczo. Przykucnął obok mnie i przesunął miotłą po podłodze wilgotnej od mleka. – Soli ją naprawi. Nie martw się.

– Przestań sprzątać! – wyrwał mi się ostry okrzyk i natychmiast zakryłam usta dłonią.

Luck spojrział na mnie, jakbym go ugryzła. Spuściłam głowę i obniżyłam głos:

– Przepraszam. Chciałam powiedzieć, że proszę cię, naj, żebyś nie zawracał sobie głowy tym sprzątaniem.

Luck się roześmiał.

– Nazwałaś mnie naj?

Przytaknęłam i zerknęłam na niego.

– Dziwna z ciebie dziewczyna – powiedział. – Jesteś w tym samym wieku co Soli, prawda?

Wzruszyłam ramionami i znowu kiwnęłam głową.

– A zatem jestem od ciebie starszy tylko o dwa obroty – rzekł. – Dlaczego nazywasz mnie naj?

Potrząsnęłam głową. Zapragnęłam, aby w kadłubie statku pode mną rozpękła się szczelina i wyssało mnie w Próżnię.

– Nie zamierzałam cię urazić – wymamrotałam.

Luck znowu zabrał się do zmiatania.

– Cała wasza załoga jest dziwna.

Odważyłam się spojrzeć na niego. Grzywka spadała mu na oczy, gdy szorował miotłą podłogę. Przy każdym ruchu mięśnie jego ramion pod ubraniem napinały się i pęczniały. Poczułam dziwne lekkie łaskotanie w żołądku i zaszumiało mi w uszach, jakbym podeszła zbyt blisko do elektromagnesu silnika.

– Czy na twoim statku nie jest tak samo? – zapytałam.

Luck parsknął.

– Nie. – Podniósł wzrok na mnie i zobaczył, że mu się przyglądam.

– No, właściwie mocno podobnie. Z wyjątkiem tego, że możemy sami sprzątać bałagan, jakiego narobimy, a Soli może pracować w Dziale Napraw.

Usiadłam ze skrzyżowanymi nogami na słomie i wygładziłam spódnice na kolanach. Popatrzyłam na Soli, która ze skupionym wzrokiem siedziała na wierzchu kontenera na rupiecie.

– Ja nigdy bym nie potrafiła tego co ona.

– Potrafiłabyś – powiedział Luck. – Pracujesz w Dziale Żywego

Inwentarza, tak jest?

Przytaknęłam.

Znowu zaczął sprzątać.

– W Naprawach jest mocno podobnie jak przy oporządzaniu zwierząt, tyle tylko, że mniej tam sprzątania gnoju, a więcej rachowania. Potrafisz rachować, prawda?

Pewnie, umiałam liczyć, a nawet trochę dodawać i odejmować. Ale Modrie Reller mówiła mi zawsze, żebym nie była z tego dumna i nie popisywała się tym, zwłaszcza przed mężczyznami. Zaczęłam już przecząco potrząsać głową, lecz znowu pochwyciłam spojrzenie Lucka. Coś w sposobie, w jaki ze mną rozmawiał i jak patrzył na mnie, a nie obok mnie, sprawiło, że zapragnęłam pozwolić sobie na lekkomyślność. Zmieniłam przeczące potrząśnięcie głową w powolne potakujące kiwnięcie.

Luck pokiwał głową razem ze mną.

– Więc mogłabyś pracować w Naprawach.

– Ale tam trzeba też czytać, tak jest?

Zmarszczył brwi.

– Nie umiesz czytać?

Zawahałam się.

– Jasne, że umiem – skłamałam, gdyż wydało mi się, że właśnie to chciał usłyszeć.

Uśmiechnął się.

– Po obrocie czy dwóch byłabyś równie dobra jak Soli.

Położyłam dłoń na sianie między nami, pochyliłam się do przodu i otworzyłam usta, żeby zadać pytanie. Policzki Lucka nabiegły krwią i zrobiły się tak jaskrawoczerwone jak nić w wyhaftowanym godle „Æther”. Nasze spojrzenia znów się spotkały.

– Gotowe! – krzyknęła Soli. Szła ku nam, lawirując między kozami i trzymając dojarkę wysoko w górze, żeby jej rurki nie wlokły się po ziemi. – Kto chce ją wypróbować?

Oboje wstaliśmy. Luck przytrzymał Chinny, a ja założyłam jej dojarkę i wsunęłam rurki do wylotu dzbana.

– Tylko spróbuj go przewrócić! – rzekłam do kozy, a ona odpowiedziała mi wściekłym spojrzeniem.

Nastawiłam tarczę na pozycję zieloną i pstryknęłam przełącznik regulatora. Mechaniczna dojarka ożyła z warkotem. Chinny zameczkała do mnie smutno, lecz nie wrzasnęła z bólu ani nie rzuciła mi zadowolonego spojrzenia, które jak wiedziałam, oznaczałoby, że urządzenie nie funkcjonuje. Mleko wypełniło rurki i pociekło do dzbana.

Klasnęłam w dłoń.

– Działa! – wykrzyknęłam. Chwyciłam Soli i zatańczyłam z nią z radości po wybiegu. – Udało ci się!

– Mówiłem, że ona to naprawi – powiedział Luck i uśmiechnął się do siostry.

Nachylił się i klepnął ją w plecy. Dotychczas widywałam tylko mężczyzn poklepujących się tak nawzajem. Potem podniósł na mnie wzrok i znowu się zaczerwienił.

Oboje zostali u nas jeszcze tylko przez kilka dni, do czasu gdy ich ojciec zakończył negocjacje handlowe z moim pradziadkiem Harrahem i przypieczętkowano umowę zawarciem dwóch małżeństw – dwie nasze dziewczyny poślubiły dwóch ich mężczyzn. Zgodziłam się, żeby Soli zademonstrowała mi potajemnie jeszcze kilka sposobów napraw, zwłaszcza mechanicznej dojarki i windy do kojców kurczaków, podczas gdy Llell zachowywała chłodny dystans.

Prawie nie widywałam Lucka, jedynie na drugim końcu sali podczas posiłków, kiedy kobiety stały przy ścianie i czekały, aż mężczyźni skończą jeść. Ale czasami spoglądał na mnie – dwa razy podczas ceremonii ślubnych, a raz uśmiechnął się do mnie, gdy ze swoim ojcem przechodził przez hangar dla żywego inwentarza, aby obejrzeć nasze bele miedzi. Właśnie wtedy zaczęłam marzyć w wolnych chwilach, kiedy czekałam, aż chleby wyłonią się z maszyny piekarniczej, albo gdy podnosiłam i potrząsałam kawałkami wełny w kąpieli farbiarskiej. Marzyłam o tym, jak by to było zostać siostrą Soli, nauczyć się napraw i prawdziwego rachowania, rozmawiać z Luckiem o różnych sprawach i codziennie nosić ładnie uszyte ubranie.

Powietrze wypełniła chemiczna woń farby. Modrie Reller wbiła palce w moją czaszkę. Pomyślałam, że Luck wkrótce osiągnie wiek dziewiętnastu obrotów, właściwy, żeby wziąć sobie pierwszążonę, a ja będę w odpowiednim wieku, by zostać poślubiona. „Komuś z załogi

»Æther«, jak powiedziała Modrie Reller. Może komuś z rodziny kapitana, jeżeli mój ojciec w zwyczajowy sposób dopasuje nasze pozycje.

– Czy będę pierwszążoną? – zapytałam Modrie Reller.

Serce biło mi tak mocno, że niemal czułam je w ustach. „Niech to będzie Luck. Proszę, niech to będzie Luck”.

– Twój ojciec to splecie – powtórzyła i znowu popchnęła mi głowę w dół nad zlew.

Farba piekła mnie w skórę czaszki. Zaciśnięłam powieki i kurczowo chwyciłam się bocznych ścianek zlewu. Aby zapanować nad bólem, myślałam o tym, jak to będzie zostać żoną. O tym, jak kobiety umyją mnie w prawdziwej chłodnej wodzie, wplotą mi we włosy miedziane motki, wsuną na przeguby bransolety, włożą na szyję wisiołek prawa pierworództwa i przylutują metalowe monety do ślubnego stroika. Zwiążą w nadgarstkach moją rękę z ręką męża, a potem... w tym miejscu moja wyobraźnia się zablokowała. Potem przekażą mnie załodze męża i odtąd będę widywała mój statek i rodzinną załogę tylko podczas spotkań końcarejsów. To zbyt trudne do wyobrażenia, równie trudne jak świadome wyjście ze służby powietrznej w zimną nicość Próżni. Moje na wpół uformione fantazje o Lucku i Soli rozwiały się jak para wodna. Nogi mi się trzęsły, po części na myśl o porzuceniu mojej załogi, a po części wskutek napięcia mięśni przy tak długim klęczeniu nad zlewem.

– Już – oznajmiła Modrie Reller.

Narzuciła mi na głowę i szyję chłodzącą szmatkę, a Iri pomogła mi wstać i związać ją w turban. Kazały mi usiąść i czekać, aż szmatka spełni swoją funkcję powstrzymania pieczenia farby i wzmocnienia włosów. Potem Iri rozwiązała turban i włosy spłynęły mi do pasa rdzawoczerwonymi falami. Przynajmniej jeszcze przez chwilę należałam do mojej załogi.

Modrie Reller odesłała mnie, żebym nadzorowała małodziewczynki pracujące w kuchni. W tym wąskim pomieszczeniu stały rozgrzane patelnie, a dziewczynki krzątały się z misami rzadkiej masy na ciasto jajeczne, które miałyśmy przynieść na spotkanie. Gdy ciasta wyjmowano z pieców, rozdzielałam je na półmiski. Kuchenne obowiązki są moimi ulubionymi. Wymagają rachowania, w czym jestem najlepsza ze wszystkich kobiet, lepsza nawet niż Modrie Reller, choć mam dość rozsądku, by tego nie mówić.

– Ostrożnie! – zawołałam do Eme, dziewczynki w wieku mniej więcej siedmiu obrotów, córki czwartejżony mojego ojca.

Niezgrabnie rozbiła jajko o brzeg miski, ochlapując lepkiem białkiem cały stół i obsypując ciasto skorupkami.

– Patrz – powiedziałam, hamując irytację. Siedem obrotów to aż nazbyt dużo czasu, by nauczyć się rozbijania jajek. Wzięłam jedno, uderzyłam nim energicznie o ladę kuchenną, potrzymałam je nad miską i ukończyłam zadanie, używając paznokcia kciuka. – W porządku?

Eme kiwnęła głową. Przyglądałam się, jak wzięła jajko, rozbiła je delikatniej i ostrożnie wlała do miski.

– Ilu jajek użyłaś? – zapytałam.

– Sześciu, jak zawsze – odpowiedziała.

– Ale dziś potrajamy ilość wszystkiego w przepisie – powiedziałam. – A zatem potrzebujemy...

– Szesnastu? – zgadywała.

– Nie – odparłam. – Spróbuj jeszcze raz.

Policzyła w myśli.

– Osiemnastu?

– Tak jest – potwierdziłam.

W drzwiach stanęła Modrie Reller.

– Avo! – zawołała, przekrzykując brzęk patelni i skwierczenie oleju. Popatrzyła na mnie ostro i pojęłam, że widziała, jak pokazywałam Eme rachowanie, co jest rzeczą niebezpiecznie bliską popisaniu się. – Gdzie te ciasta?

– Już prawie gotowe! – odkrzyknęłam. – Dziesięć się studzi, dwa

się pieką, a dwa zaraz zaczną.

– Dokończ i ogarnij się. – Modrie Reller gwałtownie rozłożyła swój wachlarz i odmachala od twarzy zaparowane powietrze. – Twój ojciec chce, żebyś wzięła udział w wyjściowym przyjęciu.

Patelnia z ciastem jajecznym zadygotała mi w rękach. „Ja na wyjściowym przyjęciu?”. Rzadko się u nas zdarza, żeby niezamężna dziewczyna wyściubiła nos poza statek. Sądziłam dotąd, że ludzie z „Æther” – czy jakiegoś innego statku, który wybrali moi ojciec i brat, ale proszę, niech to będzie „Æther”! – zjawią się u nas po mnie, kiedy nadejdzie pora, tak jak postąpili wobec tamtych dziewczyn na spotkaniu przed pięcioma obrotami.

Mocniej chwyciłam patelnię, żeby ciasto nie zsunęło się na podłogę.

– Zrobię, jak mówisz, Modrie.

Eme i pozostałe małodziewczynki gapily się na mnie szeroko otwartymi oczami. Modrie Reller odwróciła się i wyszła, a ja klasnęłam na nie, żeby nie spostrzegły mojego zdenerwowania.

– No, dość tego. Pośpieszcie się.

Gdy skończyłyśmy, skóra swędziała mnie od potu i byłam cała obsypana mąką. Po drodze do kobiecej sali oczyszczeń zabrałam moją beczułkę z olejem i skrobaczkę. Kiedy wyciągałam rękę, by odsunąć gobelin z wizerunkiem Saeleas zasłaniający wejście do sali, w całym statku rozbrzmiały sygnały alarmowe. Serce zatrzepotało mi w piersi. Wybiegłam z powrotem na korytarz. Grupa reperów na czele z moim bratem Jerejem gnała z tupotem przez hol w kierunku sterowni, a kilka kobiet z szeroko otwartymi oczami przywarło do ścian, żeby ustąpić im z drogi.

Zebrałam w rękę spódnice i pośpieszyłam za nimi, uważając, żeby trzymać się na tyle z tyłu, by mnie nie zauważyli. Wiedziałam, że powinnam pozostawić im naprawienie uszkodzenia, do którego doszło. Powinnam wypełniać swoje obowiązki i co najwyżej martwić się po cichu wraz z innymi. Jednak nie potrafiłam się powstrzymać. Ten statek to także mój dom i gdzieś w głębi duszy miałam nadzieję, że reperzy, jeśli będą wystarczająco zdesperowani, pozwolą, abym im pomogła. „Och, Avo – powiedzą – gdybyśmy tylko wiedzieli wcześniej, jaki masz

dryg do napraw...”.

Dzwonki alarmowe ucichły w momencie, gdy Jerej i pozostali wpadli do sterowni. Zatrzymałam się przed drzwiami i nasłuchiwałam.

– ...mówiłeś, że to naprawiliście – dobiegł mnie najpierw głos szefa reperów Balaba.

– Bo naprawiliśmy – odrzekł mój brat.

Balab parsknął.

– Nie dość dobrze.

– Powiedziałem ci, potrzebujemy nowej uszczelki ciśnieniowej do tłoka. – W głos Jereja wkradła się irytacja, wskutek czego mój brat wydawał się młodszy niż piętnaście obrotów. – Mogę ją łątać, czym zechcesz, ale ten bom nigdy nie będzie prawidłowo działał, dopóki nie dostanie nowej uszczelki.

Westchnęłam z ulgą. To tylko znowu bom, jeden z wysięgników, który rozpościera i zwija nasze żagle słoneczne. Widocznie zepsuł się, kiedy mężczyźni wciągali go, przygotowując się do cumowania.

– Ty jesteś następcą Cerreca – powiedział Balab. – Spróbuj go przekonać, że ta uszczelka jest Priorytetem. Zobaczymy, czy ci się uda.

– Może się uda – odburknął Jerej.

– Więc to zrób – rzekł Balab. – Ale na razie zejź tam i załataj ją, żeby cały bom się nie złamał, kiedy będziemy cumować. Reszta niech wraca do swoich zajęć.

Odskokczyłam od drzwi i wcisnęłam się w jedną z nisz dla kanarków. W samą porę, gdyż po chwili Jerej przemaszerował obok mnie.

Wymknęłam się z wnęki i ukradkiem podążyłam za nim korytarzem do schodów prowadzących do wnętrza „Parastraty”. Minęliśmy silniki atomowe buczące za ołowianymi przegrodami i przeszliśmy przez trap zawieszony nad ciemnym basenem odsalającym. Ilekroć wypełniałam obowiązki kuchenne, zgłaszałam się do zanoszenia uszkodzonych rzeczy do Działu Napraw w tej części statku. Dawniej miałam nadzieję, że uda mi się zobaczyć reaktor, ale potem usłyszałam, jak jeden z mężczyzn mówił, że może stopić ci skórę, jeśli zanadto się do niego zbliżysz.

Jerej zszedł po ostatnim ciągu schodów i zniknął w mrocznej

komorze żagli. Przystanął i wpatrzył się w na wpół złożony bom.

– Wiem, że tu jesteś. – Jego głos rozbrzmiał echem w pustym pomieszczeniu.

Zamarłam z walącym sercem.

Spojrzał gniewnie przez ramię na mnie znieruchomiałą w połowie schodów.

– Dlaczego się tutaj czaisz, Avo?

– Wcale się nie czaję – odparłam.

Przewrócił oczami.

– A więc się skradasz. Czego tu chcesz?

– Ja... ee... – Skubnęłam wachlarz w kieszeni spódnicy. –

Pomyślałam, że mogłabym pomóc.

– Pomóc? – Roześmiał się, a potem spojrzał w dół na złamany bom i podłogę zalaną płynem hydraulicznym. – W porządku, możesz pomóc.

Uśmiechnęłam się szeroko i zeszłam ostatnią kondygnacją schodów, ale kiedy dotarłam na dół, Jerej mnie zatrzymał. Wskazał wiadro pełne szmat stojące pod schodami.

– Możesz wytrzeć podłogę, żebym się nie poślizgnął.

Oczywiście. Nigdy nie pozwoliłby mi pomóc przy samej naprawie. Dlaczego miałby to zrobić? Ale mimo to kiwnęłam głową i wzięłam szmaty. Przynajmniej będę mogła przyjrzeć się pracującemu Jerejowi i może uda mi się podpatrzeć coś nowego. A kiedy potem będę z Soli i Luckiem, ludzie z „Æther” zobaczą, jaka jestem w tym dobra, i dopuszczą mnie do pracy w Naprawach.

Sprzątając podłogę, kątem oka obserwowałam Jereja. Wyjął sworznie obudowy bomu i zdjął ją, odsłaniając wewnętrzny mechanizm wysięgnika. Ten mechanizm trochę przypominał obdartą ze skóry nogę kozy, tyle że zamiast kości i więzadeł były tam metalowe pręty i elastyczne przewody, a tłok zamiast stawu kolanowego. Widziałam, jak to powinno działać: układ hydrauliczny wysuwa bom wzdłuż jego koleiny. Ale przy braku ciśnienia cały mechanizm jest unieruchomiony.

Jerej wyjął tłok z osady. Na jednym końcu znajdowała się skręcona uszczelka, rozerwana przez siłę ciśnienia.

Jerej burknął z niezadowoleniem.

– Avo, podaj mi tamten klej, dobrze?

Zerknęłam na półki za mną. Wypełniały je puszki i tuby wszelkich rozmiarów z etykietkami, których nie umiałam odczytać. Nie potrafiłabym wybrać rzeczy, której Jerej potrzebował, tak samo jak nie potrafiłabym pilotować statku.

Podniósł na mnie wzrok i z irytacją przewrócił oczami.

– Czerwona pushka. Na najwyższej półce po prawej.

Podalam mu ją, a potem cofnęłam się i patrzyłam.

Jerej pokrył uszczelkę lepkiem sprayem, umieścił ją z powrotem w tłoku i wybrał przyrząd z szerokim wylotem spośród narzędzi wiszących mu u paska. Przyrząd brzęczał cicho, gdy Jerej przesunął wylotem wokół brzegów uszczelki.

– Co to jest? – spytałam.

Rzucił mi na poły rozbawione spojrzenie.

– Spawarka na zimno. Coś jeszcze?

– Co ona robi? – zapytałam, chociaż domyślałam się, że ma jakoś pomóc lepiej przymocować uszczelkę.

Jerej uniósł brwi.

– Nie przeszkadzaj mi, kiedy pracuję – odrzekł.

– Przepraszam – bąknęłam.

Wrzuciłam mokrą szmatę do wiadra i wzięłam suchą. Dobrze i miło jest uczyć się naprawiania, ale Jerej ma rację. Jego praca to Priorytet. Nie powinnam rozpraszać go pytaniami.

– Gotowe. Powinno wytrzymać przynajmniej, aż przycumujemy. – Jerej wytarł ręce o spodnie i zadzwonił do sterowni z ręczniaka zwisającego mu u paska. – Naj Balab, jesteś tam?

– Tak jest – rozbrzmiał w odpowiedzi głos starszego mężczyzny.

– Zreperowałem to – oznajmił Jerej. – Włącz.

Powietrze wypełniło elektryczne brzęczenie. Bom zadrgał, poruszył się i zaczął się dalej gładko składać jak teleskop.

Jerej schował do kieszeni ręczniak i uśmiechnął się szeroko.

– Powiedziałem temu staremuchłopcowi, że to zrobię – rzekł i przez moment ujrzałam w nim małego chłopca, jakim był, kiedy byliśmy młodszy, tego, który bawił się ze mną w berka w hangarze, zanim dorośliśmy na tyle, by skierowano nas do odmiennych obowiązków.

Za jego plecami metalowe ramię zablokowało się i powietrzem

wstrząsnął ogłuszający huk. Bom zatrzęsł się i zgiął wpół ze zgrzytem, który poczułam w zębach.

– Auć! – krzyknął Jerej.

Uskoczył przed upadającym wysięgnikiem i wystawił rękę, by mnie osłonić. W oddali znowu rozległy się sygnały alarmowe.

Jego ręczniak zatrzeszczał. To Balab przeklinał mojego brata i oznajmiał, co zrobi z jego nędzną skórą.

– Słyszę cię! – krzyknął Jerej do mikrofonu ręczniaka. – Pracuję nad tym.

Dzwonki alarmowe ucichły.

– Auć – jęknął znowu Jerej. Przeczesał palcami włosy i kopnął bom. – Co za rupieć. Jak mam porządnie go naprawić, mając szmelc zamiast uszczelki?

Przygryzłam wargę.

– Może... – zaczęłam.

Sporunił mnie wzrokiem.

– Co?

– A gdybyś zrobił coś, żeby to nie pchało tak mocno?

– Masz na myśli zmniejszenie ciśnienia? – Przecząco potrząsnął głową. – Ta uszczelka jest tak kiepska, że nawet Lifil mogłaby ją rozerwać.

Sięgnęłam obok niego i dotknęłam palcem postrzępionego brzegu uszczelki. Nie jej środek był słaby, tylko zewnętrzna krawędź. To jakby próbować zakręcić szczelnie wieczko słoika z przetworami bez gumowej podkładki.

– Gdybyś miał coś... – Urwałam i podeszłam szybko do półek z akcesoriami. Szperałam na nich, aż znalazłam to, czego potrzebowałam – owalny gumowy pasek, na tyle elastyczny, by dało się go wpasować w cylinder tłoka.

Jerej się wykrzywił.

– Na co to?

– Żeby utrzymać uszczelkę na miejscu – wyjaśniłam. – Obniżysz ciśnienie, rozumiesz? Potem włożysz z powrotem uszczelkę, a na niej wokół brzegów umieścisz ten pasek.

– No, nie wiem. – Wziął ode mnie pasek. – Chyba... mogłoby

zadziałać. Ale wtedy nie dałoby się założyć z powrotem osłony.

Na moment ogarnęły mnie wątpliwości.

– Ale to nie zaszkodzi, prawda?

Jerej w zamyśleniu zmarszczył czoło.

– Na krótką metę nie. Przypuszczam, że lepiej mieć bom bez osłony niż nie mieć w ogóle.

Stałam niepewnie przy schodach, a Jerej wypróbował mój sposób naprawy. Kiedy skończył, zadzwonił znowu do Balaba.

– Lepiej, żeby tym razem już nie nawaliło – burknął główny reper.

Znowu rozległo się elektryczne brzęczenie. Bom powoli zaczął się ponownie składać, cicho szczękając, gdy każdy odcinek wchodził na swoje miejsce. Wstrzymałam dech. Tym razem, przy zmniejszonym ciśnieniu, szło to wolniej, ale uszczelka się trzymała. Ostatni fragment wysięgnika złożył się ze szczęką i mechanizm się wyłączył, wydając odgłos przypominający westchnienie.

– Zadziałało! – wykrzyknął Jerej, chwycił mnie za ramię i parsknął krótkim śmiechem.

Zaśmiałam się razem z nim i przez mgnienie byliśmy znowu tamtymi dziećmi uganiającymi się bez troski po hangarze.

Potem twarz Jereja zmroził wyraz podejrzliwości. Brat odsunął się ode mnie i przyjrzał mi się przenikająco.

– Skąd... skąd wiedziałaś, co zrobić?

– Nie wiedziałam – odparłam. Z napięcia zaschło mi w ustach. – To po prostu szczęśliwy traf.

Spoglądaliśmy na siebie w krępującej ciszy. Inni reperzy nigdy nie przestali by się z niego natrzęsać, gdyby się dowiedzieli, że naprawy dokonała dziewczyna.

– Chciałam tylko pomóc – odezwałam się. – Nikomu nie powiem.

Zacisnął usta w wąską linię.

– Nie. Nie powiesz.

Wstrzymałam oddech, urażona. Jasne, Jerej miał rację, kpiono by z niego. Ale oboje wiedzieliśmy, że ja bardziej bym ucierpiała, gdyby wyszło na jawę, kto zreperował bom. Mimo to zabolalo mnie, że to powiedział.

– Powinnaś już iść – rzekł. – Do swoich obowiązków.

– Tak jest – zgodziłam się i umknęłam po schodach na górę, nie oglądając się na niego.

Dziewczyny w moim wieku jeszcze nie ukończyły swoich obowiązków, więc większość obmywających się kobiet stanowiły żony, niektóre tylko o kilka obrotów starsze ode mnie, z brzuchami wielkimi od ciąży. Uśmiechały się do mnie i poszeptywały ze sobą, gdy uklęknęłam obok nich na kafelkach sali oczyszczeń. Widocznie rozeszła się już wieść, że mam zostać żoną.

Posmarowałam olejem dłonie i ramiona, starając się nie zważać na uczucie ołowianego ciężaru w żołądku.

Przypomniałam sobie słowa Modrie Reller: „Nigdy nie ujawniaj swojej niepewności. Najdziewczyna jest światłem przewodnim dla swojego ludu. Jest naszą matką Saeleas odrodzoną w chwale dziewictwa”.

Dumnie uniosłam głowę i skupiłam się na usuwaniu tępym zakrzywionym ostrzem skrobaczki mąki i brudu, które osiadły w ciągu dnia na moim ciele. Niech sobie gadają. Ta pogłoska to nic złego. O wiele lepsza, niż gdyby plotkowano o moim nienaturalnym zainteresowaniu naprawami. Może lepiej być zapamiętaną w ten sposób, jako posłuszna córka, niż jako ktoś niezwykły. Stanę się taka jak Saeleas. Moje towarzyszyki z załogi będą o mnie opowiadały swoim maleństwom – o tym, jak wysoko może zostać wyniesiona kobieta dzięki swej cnocie i posłuszeństwu.

Później zastałam w kobiecej kwaterze Modrie Reller czekającą na mój powrót. Była z nią Llell. Znieruchomiałam. Llell trzymała naręcze miedzianych bransolet i pikowanych ubiorów, wzrok miała wbity w podłogę. Wedle wszelkich zasad to ona powinna być teraz obmywana i przygotowywana do zrękowin, gdyż jest ode mnie starsza o niemal pełny obrót – i obie to wiedziałyśmy. Modrie Reller też o tym wiedziała. To z jej strony czyste okrucieństwo zmuszać Llell, żeby mi asystowała. Rzuciłam macosze ostre spojrzenie, lecz to nie zmąciło pogodnego wyrazu jej twarzy.

– Opuścisz nas jako żona – zwróciła się do mnie Modrie Reller. Nieznacznym gestem poleciła Llell wystąpić naprzód. – Musimy mieć pewność, że zjawisz się na spotkaniu, wyglądając na żonę.

Llell i ja unikałyśmy nawzajem swoich spojrzeń, gdy pomagała mi włożyć świeże spódnice, moje najlepsze, ciemnozielone z maleńkimi lustreczkami w otoczeniu gwiazdzistych aureol. Dlaczego Modrie Reller jej to robiła? Llell z pewnością nie chciała odgrywać roli mojej służącej. Zaciągnęła zbyt mocno tasiemki moich spódnic. Sznurki wpiły mi się w skórę, ale przygryzłam wargi i nic nie powiedziałam.

Skończyła ze spódnicami i ubrała mnie w pikowaną bluzkę bez rękawów ozdobioną miedzianymi krążkami. Później trzymała wysoko lustro, gdy Modrie Reller starannie czesała mi włosy i splatała w warkocze. Po ufarbowaniu lśniły, ale nadal były mocno łamliwe, nawet mimo użycia chłodzącej szmatki.

– Wyciągnij ręce – powiedziała Modrie Reller, gdy byłam już uczesana i miałam zaplecione warkocze.

Uśluchałam. Poleciała Llell, żeby uklękła i okręciła mi miedzianym drutem kostki nóg oraz przedramiona. Staralam się nie poruszyć, gdy owijała mnie z wypraktykowaną wprawą, ale poznawałam po rumieńcach na jej dłoniach i na zapadniętych policzkach, że w środku płonie ze wstydu. Tymczasem miedź mi zaciążyła, tak że moje ruchy stały się pełne gracji, lecz boleśnie powolne.

Llell zmrużyła oczy, by lepiej widzieć, gdy złożyła podwójnie koniec drutu, zwinęła go w niewielką pętlę i zamocowała.

– Wielkie nieba, Llell – rzekła z irytacją Modrie Reller. – Nie zezuj tak. Nikt nie zechce mieć zezowatej żony.

– Modrie – wymamrotałam.

– Żadna Modrie – powiedziała i zbyła mój protest machnięciem ręki. Wycelowała w Llell koniuszek wachlarza. – A teraz lustro.

Usiłowałam pochwycić wzrok Llell, ale znowu uniosła w górę ciężkie lustro, kryjąc twarz za odbiciem mojej. Modrie Reller ujęła mnie pod brodę i pokryła moje policzki jasnym błyszczkiem.

– No, już – rzekła, skończywszy. – Teraz przynajmniej nie wyglądasz, jakbyś pochodziła z Ziemi.

Nie widziałam w lustrze siebie, tylko jakąś inną dziewczynę. Oblubienicę w grubych zielonych spódnicach i ciężkich miedzianych bransoletach, z połyskującą blado twarzą i ciemnorudymi warkoczami. Czy to ja? Czulałam się, jakbym była w tym ciele tylko pasażerką.

– Wystarczy, Llell – powiedziała moja macocha. Rozłożyła wachlarz i zatrzepotała nim, chłodząc sobie szyję. – Czy twoja matka przyniosła na rampę załadunkową te gobeliny na prezent panny młodej?

Llell wymknęła się chyłkiem z pokoju. Miałam nadzieję, że może zdołam ją odszukać przed udaniem się na wyjściowe przyjęcie i wyjaśnić jej, że wcale nie prosiłam Modrie Reller, żeby oderwała ją od jej obowiązków i zmusiła do odgrywania roli mojej służącej.

Ale w tym momencie macocha ujęła moją twarz w dłonie i wycisnęła mi pocałunek na czole. Byłam tym tak zszokowana, że zapomniałam o wszystkim innym. Dotychczas tylko raz widziałam, by tak zrobiła – kiedy pocałowała w głowę moją zmarłą matkę, podczas gdy inne kobiety ubierały ją do pogrzebu w jej dawny odświętny ślubny strój.

– Nie idziesz z nami na to wyjściowe przyjęcie? – zapytałam ją.

Wedle obyczaju matka i modries narzeczonej przygotowują ją dla męża w dniu zawarcia przez nią związku małżeńskiego.

Modrie Reller przecząco potrząsnęła głową.

– Nie, skoro już wkrótce ma przyjść na świat moje maleństwo.

– Ale wrócę tu jeszcze przed ślubem, prawda? Wtedy się z tobą zobaczę.

Ponownie potrząsnęła głową.

– Zastąpi mnie Iri. – Odgarnęła mi z czoła kosmyk włosów i wetknęła za ucho. – Dokończy cię przygotowywać.

Pochyliłam głowę.

– Tak jest.

– Jeszcze jedno – powiedziała Modrie Reller. Wyjęła z kieszeni skórzany rzemyk. Dyndał na nim wisiołek identyfikacyjny, cienki jak papier, wielkości czubka mojego kciuka. Pośrodku niego znajdował się zespół obwodów elektrycznych w kształcie spirali, przypominający wzór odcisku palca. Westchnęłam cicho. Każda dziewczyna otrzymuje przed ślubem taki wisiołek. Zawiera on zapis informacji o jej przodkach, aż do czasów Candora i Saeleas. Dziewczyna nosi go odtąd stale, nawet po śmierci.

– Kiedy teraz opuścisz pokład „Parastraty”, poczujesz przyciąganie Ziemi, rozumiesz? – Wisiołek zaśnił w słabym świetle, gdy Modrie Reller wiązała mi go na szyi. – Staniesz się ciężka i trudno ci będzie

oddychać, ale nie bój się. Twój ojciec, Jerej i wszyscy mężczyźni
zadbają o twoje bezpieczeństwo, aż dotrzesz do tamtego statku.

Miarkujesz, o czym mówię?

– Tak jest – odrzekłam.

Dotknęłam wisiorka. Czułam na obojczyku jego chłód.

Modrie Reller uśmiechnęła się powściągliwie.

– A zatem jesteś już gotowa.

Zrobiłam krok do przodu, żeby ją objąć, ale powstrzymała mnie
wyciągnięciem ręki. Potrząsnęła głową i przez łukowy otwór drzwiowy
wycofała się do kwatery kobiet, nie spojrzawszy więcej na mnie. Zaczęła
już pracę zapominania o mnie.

Mój ojciec Parastrata Cerrec, kapitan „Parastraty”, szedł na czele naszego pochodu. Jego rude włosy przeredziały się już i wyblakły do żółtobiałej barwy. Na ramiona miał narzucony ręcznie pikowany patriarchalny szal, a pod nim nosił zieloną szatę ciężką od haftów. Szal ciągnął się po podłodze, gdy wiódł nas przez szeroką ładownię naszego statku. Za nim podążał Jerej, piastując w ramionach drewnianą skrzynkę zawierającą mój kontrakt ślubny. Następnie postępowali inni mężczyźni dźwigający dary panny młodej – jedną z naszych ciężarnych kóz, ciężkie bale miedzianego drutu i kabli światłowodowych będące naszym towarem firmowym oraz koguta do walk. Ja niosłam duży miedziany półmisek pełen ciast jajecznych. Po upływie pięciu obrotów znowu przybyliśmy na spotkanie końcarejsów na stację Bhutto, gdzie dołączają do nas załogi wszystkich statków, aby prowadzić pertraktacje handlowe, zawierać małżeństwa i planować traktaty.

Trzymałam się z tyłu naszej grupy z innymi kobietami. Czułam się przerażona, ważna, śmiała i czysta – wszystko naraz. Otaczały mnie żony z naręczami darów: zielonych tkanin i grubych, ciężkich arkuszy papieru o szorstkich brzegach. Miałam wrażenie, jakbym kroczyła wewnątrz szkatułki wyłożonej aksamitem, niczym klejnot naszej procesji. Żałowałam, że nie ma przy mnie mojej matki, nie może trzymać mnie za rękę, nie może widzieć, że jestem już na tyle dorosła, by zostać żoną.

Kiedyś, gdy byłam jeszcze małądziewczynką, nasz statek w drodze na spotkanie końcarejsu dostał się w sztorm słoneczny. Mężczyźni zagonili wszystkie kobiety i maleństwa do magazynu z belami miedzi w pobliżu samego serca statku i zamknęli nas tam. Ale nawet mimo tylu kadłubów, podłóg i drzwi oddzielających nas od Próżni, czułyśmy pod nogami, jak statek skacze i się trzęsie. Była tam moja matka, cierpiąca już na chorobę wirusową, która niedługo potem ją zabiła. Jej twarz, zwykle podobnie jak moja ciemniejsza niż u reszty członków załogi, była blada, ziemista i z powodu gorączki zroszona kroplistym potem. Modrie Reller okryła mamę szorstkim, ręcznie tkanym kocem i poleciła mnie i Jerejowi, żebyśmy nad nią czuwali, po czym wyszła szybko, by

pomóc uspokoić wrzeszczące niemowlęta. Objęłam kolana ramionami i przyglądałam się, jak matka na przemian otwiera i zamyka oczy, a wokół mnie cały statek dygotał.

W pewnym momencie pomieszczeniem wstrząsnęło gwałtowne uderzenie i zgasły z trzaskiem wszystkie lampy zasilane energią słoneczną. Ogarnęła nas ciemność. Wszyscy krzyczeli. Matka chwyciła mnie za rękę.

– Avo – rzekła schrypniętym głosem. – Trzymaj oczy otwarte.

Zamrugałam w mroku. Po chwili zajaśniał mdły blask fosforyzujących pasków statku, spowijając wszystko niebieskawozieloną poświatą. Dostrzegłam niewyraźnie postać matki. Mój oddech przyśpieszył. W półmroku jej sylwetka wyglądała jak czaszka. Poszukałam po omacku ręki Jereja. Wrzasnął w ślepej panice, gdy moje palce dotknęły jego palców. Zareagowałam krzykiem, co jeszcze bardziej go przestraszyło.

– Ciii... ciii... – szepnęła matka, ściskając moją dłoń.

Kadłub znowu zadygotał. Powietrze rozdarł zgrzyt tak przenikliwy, że przyprawiał o ból zębów. Jerej i ja objęliśmy się nawzajem i mocniej chwyciłam rękę matki.

– Spokojnie, kochani – powiedziała mama. – Miłosierne nas podtrzymają. Ta burza wkrótce ucichnie.

Czułam, jak pulchna rączka Jereja poci się w mojej dłoni. Wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami, nie mrugając.

– Chcecie usłyszeć opowieść? – zapytała matka.

Oboje kiwnęliśmy głowami.

– O Saeleas i Miłosiernych? – spytała. – Chcecie tę?

Słyszeliśmy ją już wcześniej wiele razy, opowiadaną cicho, sekretnie w mroku kwatery sypialnej przez nasze matki i modries oraz inne kobiety tulące do snu swoje maleństwa. Nasz ojciec skandował ją na głos w Dniu Apogeum każdego obrotu. Mimo to przytaknęliśmy.

Matka zamknęła oczy i zaczęła mówić:

Pewnego razu nasza babka Saeleas znalazła się sama na pokładzie statku jej męża Candora. Candor wraz z resztą mężczyzn udał się na Ziemię w poszukiwaniu wody i podczas gdy przemierzali ziemski grunt, uderzył gwałtowny sztorm i rozerwał kadłub. Saeleas została wyrwana

w Próżnię, gdzie nie ma ani odrobiny powietrza, ciepła i światła. Spadała długo, zanim Miłosierne złapały ją w ręce. Zaciekawione poniosły ją przez woale mgławic i posadziły na swoim podnóżku – lilii usianej gwiazdami, całej rozjarzonej ciepłem najłagodniejszego słońca i tchnącej własnym powietrzem – żeby podtrzymać Saeleas przy życiu.

„Proszę – błagała – pozwólcie mi wrócić do mojego męża. Jestem tam pilnie potrzebna”.

Ale Miłosierne rzekły: „Nie, będziesz naszą miłą ulubienicą i staniesz się bardziej użyteczna dzięki radości, jaką nam dasz, niż mogłabyś być kiedykolwiek, służąc mężowi”.

„Wcale nie – odparła Saeleas. – Bo kto będzie tkał, jeśli mnie zabraknie?”.

„Mężczyźni mogą tkać bez ciebie” – powiedziały Miłosierne.

„Ale kto będzie karmił mężczyzn i dzieci, jeśli mnie zabraknie?” – spytała Saeleas.

„Mężczyźni mogą wykarmić siebie i dzieci bez ciebie” – powiedziały Miłosierne.

„A kto – rzekła Saeleas – będzie odtąd rodzić dzieci, jeśli mnie zabraknie?”.

Na to Miłosierne umilkły, gdyż to było coś, czego żaden mężczyzna nie potrafi robić. I zobaczyły, że Saeleas nosi w łonie wspaniałego Nerena, ojca naszej rasy. Ulitowały się nad nią, tchnęły w jej płuca swoje własne życie i poniosły ją ze swych gwiazdzistych tronów do domu, w ramiona męża. Tak oto nasza rasa została ocalona dzięki łasce Miłosiernych. Czcimy je więc, gdyż nasze życie jest zawsze w ich rękach.

– Widzisz więc – szepnęła moja matka. – Widzisz wartość kobiety,

Avo.

Oczy uciekły jej w głąb czaszki i zaśpiewała monotennie urywek naszej świętej pieśni *Słowa Niebios*, której dźwięki wzniosły się w mrok.

– „...jak miedziane żagle chwytające żar słońca.

Ona osłania nas wszystkich...”.

– Mamo, proszę... – rzekłam.

– „...powstrzymuje furię gwiazd i wspiera życie”.

– Cicho, mamo, bo wszyscy usłyszą – powiedziałam.

Obróciłam głowę, by się upewnić, że żadna z pozostałych żon nie usłyszała jej śpiewu. Ale nie. Były nazbyt przerażone burzą, by to zauważyć.

Przygwoździłam wzrokiem Jereja.

– Nikomu nie powiesz, prawda? – wyszeptalam. – Nie powiesz, że ona śpiewała?

Jerej potrząsnął głową.

– Przysięgasz?

Blade policzki Jereja oblał rumieniec. Chłopiec przytaknął.

Odetchnęłam z ulgą. Nawet będąc taką małodziewczynką jak wtedy, wiedziałam, że nie powinna śpiewać na głos *Słowa Niebios*. Mogła ściągnąć na nas rabusiów statków czy jakąś inną złą materię, na przykład Złowrogą Mikim z naszych legend. Albo co gorsza, Miłosierne mogłyby zdecydować, że jednak nie ocalą nas ze sztormu.

Matka mamrotała ciszej dalsze wersy pieśni:

– „Kobiety przestworzy, pozostaniecie wysoko...”.

Nachyliłam się bliżej do jej ucha. Żar gorączki promieniował falami z jej rozpalonej skóry.

– Proszę, mamo – szepnęłam. – Musisz już przestać śpiewać, tak jest?

Otworzyła oczy, błyszczące głęboko w cieniu jej twarzy.

– Avo. – Dotknęła mojego policzka. Poczułam w jej oddechu gorączkę. – Ty jesteś żaglami, Avo. Moja córeczko. Ty jesteś żaglami.

A ja zrozumiałam. Nawet pomimo płomienia gorączki liżącego jej umysł i zmieniającego słowa w bezładny potok pojęłam, co miała na myśli. Poczułam w sobie ziarno tego – tego, że mogę dać życie, pociechę i spokój, nawet w najsroźszych bezmiarach Próżni. I w tym momencie

zabłyły światła. Mrużąc oczy, spojrzałam w ich blask, a kiedy popatrzyłam z powrotem na matkę, miała znowu zamknięte powieki i spała. Chociaż byłam bardzo mała, przepełniła mnie determinacja i wiedziałam, że nagnę się do woli Miłosiernych i pewnego dnia zrodzę nowe życie załodze naszego statku.

Gdy teraz stałam z tyłu naszej procesji, przesuwając przez umysł śpiew mojej matki jak kawałek jedwabnej wstążki, „jak miedziane żagle chwytające żar słońca”.

Z przodu dostrzegłam Iri. Obejrzała się przez ramię i posłała mi lekki uśmiech. Rozległo się dudnienie, gdy na polecenie mojego ojca otwarto wielkie wrota ładowni, i do naszego statku wpadł podmuch zimnego powietrza.

Nasz pochód powlókł się dalej, aż dotarliśmy do skraju zewnętrznej komory statku. Zanim miałam czas pomyśleć, przestąpiłam próg i weszłam na rampę załadowniczą. I tak oto znalazłam się dalej od mojego domu niż kiedykolwiek dotąd w życiu. Gdy oddalaliśmy się od „Parastraty”, grawitacja naszego statku słabła i nagle wszystko – ciasta jajeczne, miedziane obręcze, nawet moje nogi – zaczęło mi ciążyć. Zachwiałam się, lecz zaraz odzyskałam równowagę. Inne kobiety także zwolniły, jak ja, ale mężczyźni co najwyżej drgnęli. Jakże byłam rada, że mamy ich wokół nas, że nas strzegą przed wpływem Ziemi. Modrie Reller miała rację. Tutaj, poza czystym światem naszego statku, przyciąganie Ziemi było mocniejsze.

Dok był niemal pusty, z wyjątkiem dwóch okrętów stojących nieruchomo obok naszego. Od właściwej stacji oddzielały nas drzwi grodzi. Ojciec wystukał kod na klawiaturze podłączonej do drzwi, które po chwili rozsunęły się wolno na rolkach w podłodze, odsłaniając długi korytarz. Ruszyliśmy przed siebie równym krokiem. W miarę jak zbliżaliśmy się do końca korytarza, narastał zgiełk, aż wreszcie ogarnął nas, gdy weszliśmy do hali stacji.

Było w niej mnóstwo ludzi, zwierząt i wózków handlarzy. Zalewały ją potoki i błyski wielobarwnych światel. Mężczyźni i kobiety przekrzykiwali się nawzajem. Ręczniaki brzęczały do ich właścicieli, w powietrzu wibrowała muzyka o rytmie szybkim jak bicie serca, a szyldy migotały przelatującymi błyskawicznie obrazami: ławica ryb,

biegnący mężczyzna, kobieta z proszkiem antymonowym wokół oczu. Ponad ten hałas wybiło się gdzieś beczenie owcy. Poczułam w głowie tępy zamęt.

Naparła na mnie ściana naszych żon, gdy przeciskaliśmy się przez zatłoczoną halę. Pomiędzy ich ramionami dostrzegłam przelotnie mężczyznę o cerze brązowej jak skórka chleba, rozmawiającego przez ręczniak. Inny, o skórze jeszcze ciemniejszej, w niebieskim ubraniu, które marszczyło się i lśniło jak olej, zmieniał symbole w szyldzie nad markizą sklepu. Jeszcze inny, z rumieńcami na bladej twarzy i metalowymi pierścieniami osadzonymi w miękkiej tkance ucha, rozdawał małe zadrukowane skrawki papieru. Były tam też kobiety; żadna nie miała spódnic na tyle długich, by zakryły jej buty, a kilka nosiło męskie spodnie. Królowały w sklepach sprzedających ręczniaki, a także malowane ptaki oraz ryby wielkości mojego przedramienia. Komenderowały i krzyczały równie głośno jak mężczyźni i błyskały zębami w szerokich uśmiechach.

To było dla mnie za dużo. Mogłam tylko trzymać równo półmisek, starać się nie przewrócić i wbijać wzrok w potok długich włosów spływających na plecy Lannal przede mną. Modliłam się, żeby to się już skończyło, żebyśmy dotarli do bezpiecznego portu tamtego innego statku i zostawili za sobą ten natarczywy tłum.

„A w niebiosach stworzymy świat na nowo – powtórzyłam w myślach. – Stworzymy świat na nowo”.

Ryk głosów stępił, gdy opuściliśmy główną halę. Przeszliśmy gęsiego przez wąski, pogrążony w półmroku korytarz i zatrzymaliśmy się nagle.

– Czy już jesteśmy na miejscu? – spytałam szeptem Lannal. – Czy to „Æther”?

Popatrzyła na mnie z zaciśniętymi ustami, co znaczyło, że powinnam mieć dość rozsądku, by się nie odzywać.

Z przodu ciszę rozdarł łoskot otwieranych drzwi grodzi. Nasz mały pochód ruszył naprzód, lecz niemal natychmiast znowu przystanął.

W korytarzu rozbrzmiały słowa pozdrowienia wypowiedziane przez mojego ojca:

– Witaj, najbracie Fortune.

– Witaj, najbracie Cerrecu – dobiegła odpowiedź.

Głosy ścichły tak, że już nie mogliśmy usłyszeć nic więcej. Przystąpiłam z nogi na nogę. Żałowałam, że nie mogę postawić tacy z ciastem jajecznym na ziemi. Dłonie miałam śliskie od potu. Elektryczny świetlny panel nade mną zamigotał z trzaskiem.

A potem mnie zawołano.

– Avo. – Moja prababka Hannah pstryknęła palcami. – Chodź tu.

Jej mleczonebieskie oczy były powiększone szklami kruchych okularów, które miała tylko dla siebie od śmierci mojego dziadka Larala.

Kobiety poprowadziły mnie naprzód. Udało mi się jakoś nie upuścić tacy, chociaż oczy pewnie miałam wytrzeszczone i rozbiegane jak u przestraszonej kozy. Mężczyźni na czele pochodu rozstąpili się, by nas przepuścić, i oto nagle stałam już obok ojca i Jereja, naprzeciw mężczyzny w czarnych butach bez sznurowadeł i patriarchalnym szalu. Przez ułamek sekundy, zanim sobie przypomniałam, żeby odwrócić wzrok i nie patrzeć mu w twarz, zobaczyłam, że ma ostro zarysowaną szczękę i jest przystojny jak na siwowłosego mężczyznę, pomimo gruzłowatej blizny na policzku wypalanej promieniowaniem. Ale jego usta miały twarde, zacięty wyraz. Za nim dostrzegłam zacumowany statek z otwartą komorą ładowni, w której tłoczyli się członkowie załogi o czarnych włosach. A więc to „Æther”! Serce podskoczyło mi w piersi.

– To moja córka Parastrata Ava – powiedział ojciec.

Skłoniłam głowę i dygnęłam, trzymając półmisek przed sobą jako podarunek.

– Jestem zaszczycona, przybywając do twojego domu, Ætherze Fortune.

Poczułam pod brodą jego dłoń i zimny metal licznych pierścieni na palcach.

– Niech spojrzę na oblubienicę – rzekł.

Przechylił mi głowę ku górze. Stałam nieruchomo jak oszołomiony ptak i patrzyłam w bok, gdy mi się przyglądał.

Za Ætherem Fortune’em stał młody mężczyzna. Był wyższy o głowę ode mnie, miał gęste, krótko obcięte czarne włosy i tęczaówki błękitne jak płonący ozon. Ręce trzymał splecione za plecami. Utkwił spojrzenie w moich oczach, niczym jeden magnes odnajdujący drugi.

„Luck”. Serce smyrgnęło mi w piersi. Luck, dorosły jak ja. Spuściłabym wzrok, gdybym mogła. To całkiem nie przystoi, żeby najdziewczyna gapiała się tak na mężczyznę. Ale jego spojrzenie trzymało mnie tak mocno jak dłoń tamtego starszego mężczyzny pod brodą.

Po chwili Æther Fortune mnie puścił. Zniżyłam się wdzięcznie w ukłonie, wciąż trzymając przed sobą półmisek z ciastem. Ręce mi drżały.

– To mój najstarszy syn Æther Luck, spadkobierca stanowiska kapitana – zwrócił się Fortune do moich ojca i brata.

Uniosłam odrobinę wzrok nad stertę ciast. Luck skłonił się lekko. Posłał mi przelotny uśmiech, a ja znowu ukryłam twarz za półmiskiem. Moje serce pompowało żar w każdy zakątek ciała. Czulałam ten żar w piersiach, palcach u nóg... i nagle stałam się świadoma ukrytych zakamarków siebie, o których istnieniu dotąd nie wiedziałam. Luck, spadkobierca funkcji kapitana. I ja, oblubienica.

„Æther” był olbrzymi w porównaniu z „Parastratą”. Jego stropy wznosiły się dobry metr nad naszymi głowami, a pomieszczenia tworzyły istny labirynt. Ale przynajmniej grawitacja była znowu znośna. Mężczyźni i kobiety z załogi „Æther” jadali osobno, jak my, ale ich kambuz był tak wielki, że nie musieli spożywać posiłków kolejno, najpierw mężczyźni i chłopcy, a potem kobiety i dziewczyny. Pośrodku stołów w kambuzie stały małe miseczki z prawdziwą solą i olejem, a załoga używała ich bez ograniczeń.

– Luksusy – parsknęła Hannah, ale widziałam, że obficie posypała solą lepki perłowy ryż, ulubione danie na „Æther”.

Powiodłam wzrokiem po zatłoczonym kambuzie i dostrzegłam Lucka siedzącego przy stole z grupą innych młodych mężczyzn. Jego towarzysze śmiali się z jakiegoś żartu, ale on spoglądał prosto na mnie, a w kącikach jego ust igrał nikły ciepły uśmiech. Przeniknął mnie miły żar. Pochyliłam głowę, ale nie potrafiłam się oprzeć jego spojrzeniu, które czułam na sobie. Musiałam znowu na niego popatrzeć.

Jego uśmiech udzielił mi się i napełnił mnie ciepłem. Wyobraziłam sobie gładką skórę wewnętrznej strony jego nadgarstka przy moim i to, jak ślubna wstęga oplata je wielokrotnie, zatrzymując na zawsze i uświęcając żar między nami. Po tej ceremonii znajdziemy się sami w małżeńskiej komnacie i on rozplecie moje warkocze oblubienicy. Jego dłoń powędruje od mojej szyi do ramienia, a potem rozepnie sprzączki halki...

Hannah pacnęła mnie mocno wachlarzem w kostki dłoni. Nie musiała nawet nic mówić. Zachowywałam się niegodnie, uśmiechając się jak idiotka na oczach wszystkich w kambuzie. Potarłam wierzch dłoni i z wysiłkiem odzyskałam panowanie nad wyrazem twarzy. Ale nawet groźba tego, że prababka znowu trzepnie mnie wachlarzem, nie powstrzymała mnie przed rzucaniem ukradkowych spojrzeń na Lucka, póki nie nadeszła pora sprzątnięcia ze stołu.

Soli zobaczyłam dopiero po kolacji, kiedy kobiety z „Æther” zaprowadziły nas do pokoju wizyt, wyścielonego grubą stertą ręcznie tkanych dywanów. Uklękłam razem z nimi. Soli usiadła po drugiej

stronie kręgu, ale poznałam ją tylko po tym, że rozpromieniła się na mój widok. Była teraz niemal wzrostu brata, a długie włosy splecione wysoko w małżeńskie warkocze zasłaniały jej uszy. Na szyi miała wisiołek identyfikacyjny. Był czarny, ale w świetle zmieniał połyskliwie barwy niczym kropla oleju. Uśmiechnęła się i wymówiła bezgłośnie: „Musimy porozmawiać”.

Hannah, Iri i kobiety z „Æther” wyjęły z wewnętrznych kieszeni składane krosienka i zaczęły tkąć. W mojej piersi rozděła się bańka paniki. Modrie Reller nie wspomniała nic o zabranii ze sobą krosna, ale teraz wydawało się jasne, że nie musiała mówić mi o czymś tak oczywistym. Pomacałam kieszenie, jak gdyby jakimś cudem krosno mogło się tam jednak pojawić. Nic.

– Avo – rzekła wolno Iri.

Przez cały ten czas siedziała obok mnie, rozwijając powoli motek wełny w zielonym odcieniu glonów.

Podniosłam na nią wzrok. W milczeniu podała mi swoje zapasowe krosienko. Ucisk w mojej piersi zelżał. Nie wiem, dlaczego Iri otacza mnie opieką – z wyjątkiem tego, że przed śmiercią mojego pradziadka nie miała własnych maleństw, a później żaden z mężczyzn na pokładzie „Parastraty” nie próbował wziąć jej za żonę, być może z szacunku dla jej zmarłego męża. Podziękowałam Iri skinieniem głowy, szybko złożyłam ramki krosna i sięgnęłam do wspólnego koszyka nici po motek.

– A zatem nasze kolory cieszą twoje oczy, Parastrato Avo – odezwała się matka Soli, nie podnosząc wzroku znad swojej robótki.

Spojrzałam na trzymaną w dłoni przędzę. Była to gładka jedwabna nić o czerwonej barwie Ætherów. Wydawała się jaskrawa na tle ciemnej zieleni moich spódnic.

– Tak – odrzekłam. – Jest... jest mocno piękna.

– Ona powiada: piękna – rzekła z uśmiechem matka Soli do kobiet siedzących obok niej. Potem odwróciła się znowu do mnie i jej twarz przybrała nagle poważny wyraz. – Ale gdybyś używała jej dostatecznie długo, mogłabyś zacząć uważać ją za nudną.

Zorientowałam się, że to jakiś test, choć nie wiedziałam, na czym dokładnie polega.

– Nigdy. – Wyprostowałam się i zmierzyłam ją spokojnym

spojrzeniem, naśladowując Modrie Reller. – Nie jestem jakąś trzpiotką. Nie zmienię zdania o was i waszych sprawach.

Przyjrzała mi się spod na wpół przymkniętych powiek. Wokoło cicho klekotały krosna, a pozostałe kobiety zerkały na nas z ukosa znad robótek.

W końcu matka Soli skinęła głową.

– A więc w porządku.

Wypuściłam powietrze z płuc. Zdałam ten test. Inne kobiety skupiły się z powrotem na tkaniu i rozmawiały ściszone głosami. Soli wstała i podeszła do mnie. Spojrzałam na nią zaskoczona. Jej długa czerwona spódnica wzdymała się nad łagodnym zaokrągleniem w talii. Soli zaszła w ciążę.

– Kiedy, Soli? Kto?

Chwyciłam jej rękę, gdy usiadła ostrożnie obok mnie. Pragnęłam ją objąć, tak bardzo się za nią stęskniłam. Ale starsze kobiety nie pochwałyby takiej demonstracji uczuć. Poprzestałam więc na mocniejszym uściśnięciu jej dłoni.

– Opowiedz mi wszystko.

– Pozwól, siostrze, że potrzymam ci nieć – powiedziała głośno, ale po jej zarumienionej twarzy widziałam, że rozpira ją chęć podzielenia się nowiną. Rozwijając motek, nachyliła się do mnie. – Nazywa się Ready, jest urzędnikiem zaopatrzenia. Zawarliśmy związek pół obrotu temu.

Zerknęłam w dół na nią. Na „Parastracie” widziałam wiele ciężarnych kobiet i nawet kilka porodów. Cięża wyglądała na znacznie dłuższą niż pół obrotu.

– To mocno szybko.

Soli zachichotała i przez moment przypominała tamtą małądziewczynkę, jaką pamiętałam.

– Ale sama wybrałam, prawda? O tym jednak porozmawiamy później, bez tych wszystkich wysiadających tu sztywnych starychdziewczyn.

– Czy on jest miły? – spytałam. Przerwałam tkanie i spojrzałam na nią. – Nie jest stary, co?

– Nie. – Soli potrząsnęła głową. – Tylko pięć obrotów starszy ode

mnie. Jest wspaniały.

– Och – westchnęłam i spuściłam wzrok.

Soli szturchnęła mnie łokciem.

– Nie przejmuj się tak tym. Z tego, co słyszę, ty dostaniesz jeszcze młodszego – powiedziała i oczy tak jej zalśniły, że pomyślałam niemal, że są wilgotne od łez.

– Skąd... – zaczęłam pytać.

– Daj spokój, Avo, widać jasno jak w próżni, że nadal masz do niego feblik. A on do ciebie też. Dzisiaj w doku nie potrafił oderwać od ciebie oczu.

Znowu przeniknęła mnie ta gwałtowna fala żaru i z zakłopotaniem skubnęłam nić. Gdyby tylko moje ślubne bransolety nie czyniły mnie taką powolną i niezdarną.

– Pomyśl, będziesz moją siostrą, a nasze dzieci będą się mogły razem bawić – dodała.

Gorąco na moich policzkach zmieniło się w ogień. Mówią, że po urodzeniu dziecka zacznasz żyć w nowym, zupełnie własnym małym świecie i wtedy Ziemia przestaje cię już pociągać. Tego właśnie chcę, ale... ale dopiero zaczęłam zamocowywać w głowie myśl o byciu żoną, oswajać się z tym, że to Luck zerwie monety z mojego ślubnego welonu, że to jego nadgarstek zwiążą z moim. A teraz dzieci. Oczywiście, wiedziałam zawsze, że się pojawią. Przecież właśnie do tego jest stworzone moje ciało, ale... Widok brzucha Soli bił mnie w oczy. To kolejna rzecz zbyt realna. I trochę niepokoju budziło we mnie to, że sprawy splatają się dokładnie, jak marzyłam, i tak szybko. Martwiło mnie, że przez to coś straciłam.

Soli i ja leżałyśmy twarzami do siebie na jej koi w kwaterze kobiecej. Zameżne dziewczyny zazwyczaj tak nie robią, ale wszystkie kobiety z „Æther” wiedziały, że byłyśmy przyjaciółkami już jako małodziewczynki, a ja wkrótce mam wziąć ślub, więc pozwalały nam udawać jeszcze przez kilka nocy, że jesteśmy dziećmi. Z otworów wentylacyjnych wionęło chłodne świeże powietrze, a ściemniacze oświetlenia wprowadzały nas łagodnie w sztuczną noc statku.

– Ready jest taki silny – szepnęła Soli pod kocami. Leżała na plecach, z twarzą zwróconą do mnie. – Potrafi mnie podnieść, nawet

teraz, kiedy jestem w ciąży, i zawsze przynosi mi ładne rzeczy z Działu Zaopatrzenia. Na przykład któregoś dnia podesłał Działowi Hydroponiki kilka dodatkowych gramów odżywczej papki, a oni zachowali dla niego pomarańczę i mi ją dał.

Possałam dolną wargę. Ojciec dał mi raz plasterek pomarańczy, kiedy byłam małą dziewczynką, i nawet teraz poczułam na języku jej słodki smak.

– Czy twój ojciec wybrał go dla ciebie? – spytałam.

Soli z uśmiechem potrząsnęła przecząco głową.

– Ready i ja wybraliśmy siebie nawzajem.

Uniosłam brwi ze zdziwienia i szeroko otworzyłam oczy, starając się dostrzec jej twarz w niemal całkowitych ciemnościach. Załogom statków prawie nigdy nie pozwala się na małżeństwa z miłości, zwłaszcza gdy chodzi o ślub córki kapitana, której mąż może kiedyś przejąć kapitańską funkcję.

– Jak ci się to udało? – spytałam.

Soli przesunęła dłonią po brzuchu.

– Dałam się przyłapać.

– Co takiego? – wykrzyknęłam głośno.

– Sza – uciszyła nas jedna ze starszych kobiet z pryczy pod nami.

Soli jeszcze bardziej zniżyła głos:

– Widziałam wcześniej, jak dziewczyny to robiły. Byłam już wtedy w ciąży i wiedziałam na pewno, że ojciec nie wysadzi mnie po drodze w jakimś porcie ani nie pozwoli, żebym chodziła po statku niezamężna. Tak więc kiedy następnym razem byłam w sali oczyszczeń, pozwoliłam, żeby moja matka mnie zobaczyła, a ona oczywiście poszła powiedzieć ojcu. Później Ready przyznał się do tego przed wszystkimi i już następnego dnia złączono nas ze sobą.

– Czy twój ojciec nie był na ciebie zły? – spytałam.

– Jasne, że tak – odrzekła Soli i skubnęła wewnętrzną stronę koca.

– Z początku chciał wypchnąć Ready’ego przez śluzę powietrzną, ale potem uznał, że wolałby nie mieć nieślubnego wnuka, więc zamiast tego kazał go tylko wychłostać po ceremonii.

– Och, Soli – szepnęłam zmieszana, nie wiedząc, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

– Sama wybrałam, nieprawdaż? – rzekła i zwróciła ku mnie głowę. Przytaknęłam. Soli z roztargnieniem pogładziła się po brzuchu.

– A co z Readym? – spytałam. – Co będzie, jeśli dzisiejszej nocy przyjdzie i wezwie cię do siebie?

– Nie wezwie – odparła z zamkniętymi oczami. – Nie wcześniej, aż urodzi się dziecko, a ja się zagoję.

– Czy to boli? – zapytałam.

– Co, rodzenie? Tak przypuszczam z wszystkich tych wrzasków innych dziewczyn.

– Nie – powiedziałam. – Ta druga rzecz.

– Och. – Soli obróciła się ciężko na bok, twarzą do mnie. – Tylko na początku, ale nie tak bardzo, jeżeli on jest ostrożny. A potem jest o wiele lepiej. Niepokoisz się tym?

Przycisnęłam podbródek do piersi, objęłam się ramionami i kiwnęłam głową.

– Nie bój się. – Potarła moje ramię. – Kiedy usłyszeliśmy, że przybędziesz jako oblubienica, domyśliłam się, że możesz być przeznaczona dla Lucka. Powiedziałam mu więc, żeby nie ważył się zrobić ci krzywdy, bo połamię mu wszystkie palce u nóg. Będzie zatem ostrożny. Przekonasz się.

Uśmiechnęłam się do niej, chociaż w tych niemal całkowitych ciemnościach ledwie mogłyśmy dostrzec nawzajem biel naszych zębów. Soli przekręciła się znowu na plecy, a ja odwróciłam się do ściany. Usnęła po kilku mgnieniach, jej oddech stał się spokojny i miarowy. Ja leżałam bezsennie, pocierając gładką powierzchnię mojego wisiora identyfikacyjnego. Iri i Hannah pochrapywały lekko w koi pod nami. Kilka małych dziewczynek poszeptywało i od czasu do czasu chichotało, ale to też wkrótce się skończyło i słychać było tylko oddechy i kojący szum wentylatorów.

Usiadłam. Nie mogłam już wytrzymać gorąca bijącego od Soli, chociaż ze szczelin wentylatorów nadal dmuchało na nas chłodne powietrze. Przesunęłam się na skraj koi i siedziałam tam ze zwieszonymi nogami obciążonymi miedzianymi obręczami. Powietrze było zachwycająco świeże. Otrzeźwiło mnie, przyprawiało niemal o zawrót głowy. Rozejrzałam się po innych kobietach leżących w swoich kojach.

Jak one mogą spać w takim cudownie czystym powietrzu? Jak mogą oczekiwać, że ja zasnę? Mój nowy dom mnie wabił. Pokoje do zbadania, korytarze i służbowe przejścia do zapamiętania. Poza tym, chociaż wstyd mi się było do tego przyznać, chciałam oddalić się nieco od brzucha Soli.

Opuściłam się lekko na podłogę. Zostawiłam moje wierzchnie spódnice z ich brzęczącymi, lśniącymi lustreczkami. Przepasałam tylko te zwyklesze, noszone pod spód, i cicho ruszyłam do drzwi. Podobnie jak wszystkie inne na pokładzie „Æther”, miały przyciemnioną szybę, przez którą widać było, co jest po drugiej stronie – w tym przypadku pusty korytarz. Nie miały natomiast szyfrowego zamka ani też żadnego uchwyty, za który można by pociągnąć. Obmaciałam ich krawędzie, a także ścianę obok, gdzie powinien znajdować się panel z klawiaturą. Nic. Przyklękałam przy nich. W miejscu, gdzie mógłby być ręczny uchwyt, jarzył się czerwono cienki kwadrat. Na próbę przycisnęłam do niego dłoń. Drzwi podjechały w górę z niemal bezgłośnym świstem powietrza. Rzuciłam się do tyłu, tłumiąc okrzyk zaskoczenia. Załoga „Æther” nawet nie zamyka swoich kobiet na noc. Dziwne.

Wyszłam na korytarz i dotknęłam takiego samego kwadratu po drugiej stronie drzwi. Zjechały cicho w dół. Korytarz wypełniała pusta cisza. Głęboko w żyłach poczułam znajomy dreszczyk na myśl o byciu jedyną osobą, która nie śpi. Poszłam w lewo, oddalając się od kambuza i głównego wejścia w kierunku części statku, której jeszcze nie widziałam. Moje stopy plaskały po zimnej podłodze.

Minęłam serię pokoi z mnóstwem wysokich wąskich zbiorników do zatrzymywania gazu oraz przenośnych centryfug, pomniejszych wersji tych, jakie widywałam z daleka w naszej maszynowni. Stałam z dłońmi przyciśniętymi do szklanych tafli sięgających mi do pasa i przyglądałam się sterylneemu porządkowi w tych pomieszczeniach. Na ścianach wisiały wykresy pokryte gęsto tajemniczymi napisami. Poszłam na palcach dalej i minęłam kolejne pracownie. Potem trafiłam na męską salę treningową. Był tam komplet przyrządów do ćwiczeń, lśniących i nowych, a nie pocętkowanych rdzą i połatanych taśmą hydrauliczną jak na „Parastracie”. Uśmiechnęłam się. Matka Soli mocno się zdziwi, kiedy wyśle mnie tutaj z jakimś poleceniem, a ja będę już znała drogę.

Za salą treningową podłoga łagodnym skosem biegła w górę.

Powietrze zgęstniało od wilgoci i zapachu ziemi. Dział Hydroponiki. Ale kiedy dotarłam do zaciemnionej hali na końcu korytarza, zawahałam się. To miejsce w niczym nie przypominało Hydroponiki na naszym statku, wyciskającej jak najwięcej produktów rolnych z możliwie jak najmniejszej ilości substancji odżywczych i wody. Zerknęłam przez przejrzystą zasłonę izolującą rozpostartą na drzwiach. Mgła unosiła się nad dywanem miękkiej trawy ciągnącym się przez całą długość pomieszczenia niemal równie wielkiego jak zewnętrzna komora „Parastraty”. Gęste cienie zbierały się pod rosnącymi na trawie drzewami cytrynowymi. Tylna ściana była jednym długim oknem z widokiem na gwiazdy.

Przykłękałam, uniosłam skraj zasłony i przesunęłam palcami po trawie. Łaskotała, ale łagodnie, jak kocie wąsy. Nasi mężczyźni mówią, że tam w dole, na powierzchni, ludzie hodują ją po prostu po to, żeby po niej chodzić, jak po żywym chodniku, ale to się wydaje prawie świętokradztwem. Nachyliłam się niżej i powąchałam ją. Pachniała robakami i świerszczami, takimi jak te w naszych belach kompostu. Miękki intensywny zapach gnicia.

Podniosłam się i odchyliłam zasłonę. Trawa była wilgotna i nie potrafię tego wyjaśnić, ale poczułam w powietrzu wodę. Nie taką martwą, przegotowaną, do jakiej przywykłam, lecz świeżą, niemal żywą, przesiąkniętą wonią delikatnie roztartych liści i gliniastego piasku. Spojrzałam w górę. Z kratownicy dźwigarów zwisały rozpylacze pary wodnej na przemian z przyciemnionymi lampami jarzącymi się światłem podobnym do słonecznego. Zawahałam się. Czy ludzie z „Æther” naprawdę chodzą po tym żyjącym czymś? Muszą, bo jak inaczej dosięgliby tych cytryn? Ale jeśli ich nie zbierają, to po co byłaby im ta hala?

Przestąpiłam jedną nogą za próg. Trawa była miękka jak włoski niemowlęcia. Cofnęłam się. Może jest też równie delikatna i zgniotę ją moim ciężarem. Ale pędy wyprostowały się z powrotem, gdy tylko cofnęłam nogę. Niepewnie zrobiłam krok, potem następny, pozwalając, by zasłona opadła za mną. Zastanawiałam się zawsze, jak by to było chodzić po tych starych jedwabnych gobelinach wiszących na ścianach w salach zebrań na „Parastracie”, i teraz chyba już wiedziałam. To

luksus. To Ziemia. Pomyślałam, że rozumiem, dlaczego Saeleas szlochała, gdy opuszczała tę planetę.

Powietrze przenikał dziwny orzeźwiający zapach cytryn. Słyszałam, jak starydziwczyny mówiły, że cytryny są kwaśne i dobre tylko na lekarstwa, ale i tak ślinka napłynęła mi do ust. Przystanąłam pod drzewem i uniosłam jeden z tych małych, jaskrawo barwnych owoców. Wpasował się idealnie w moją dłoń. Przez moment wyobrażałam sobie, że zrywam tę cytrynę z gałęzi, zatapiam zęby w woskowej skórcie i wypijam ze środka sok. Ale nie. To nie są moje cytryny, jeszcze nie. A nawet gdyby były, to całkiem nieestosowne wziąć całą jedną dla siebie.

Doszłam do okna, przycisnęłam dłonie do jego chłodnej warstwowej powierzchni i wyjrzałam na bezkresne jezioro gwiazd. Pode mną rozciągał się port kosmiczny; z miejsca, gdzie stałam, wydawał się nachylać w dół, chociaż wiedziałam, że góra i dół to tylko triki pola grawitacyjnego statku. Na skórcie stacji wyróżniały się jaskrawe łąty po naprawach, statki przywierały do jej boków jak ryby podnawki, a z każdego stanowiska dokowania sterczały grona anten. I wszystko to było skąpane w błękitno-białej poświacie pobliskiego księżyca.

– Parastrato Avo!

Odwróciłam się szybko. Za mną, pod zwieszającym się nisko konarem drzewa cytrynowego, siedział mężczyzna. Przestałam oddychać. Na jego dłoniach odbijał się mleczny blask księżyca, ale reszta postaci była za bardzo w cieniu, żebym mogła go zobaczyć. Serce mi zadrżało. To właśnie ten rodzaj błędu, przed jakim ostrzegła mnie Llell. Ale ja jej nie słuchałam i oto teraz jestem przydybana i bezbronna, zdana na kaprys nieznajomego, który niewątpliwie przewyższa mnie zarówno mową, jak i siłą fizyczną.

Odskoczyłam od okna. Próbowałam ominąć drzewo, lecz ślubne obręcze spowolniły moje kroki. Mężczyzna wychylił się spod konaru. Pokuśtykałam w lewo, ale złapał mnie w pasie. Krzyknęłam. Zakrył mi dłonią usta.

– Avo, nie szarp się.

Szamotałam się w jego uścisku, usiłując rzucić się do przodu na ziemię.

– Avo, to ja.

Puścił mnie i padłam jak długa na trawę. Przekręciłam się na plecy, gotowa go odkopnąć, i wtedy w końcu lepiej mu się przyjrzałam. „Luck!”. Moja głowa wydała mi się zarazem ciężka i lekka. Upojenie tlenowe. Upadłam do tyłu na miękką trawę i roześmiałam się. To tylko Luck.

Wyciągnął do mnie rękę.

– Przez ciebie nas przyłapią.

– Przepraszam. – Chwyciłam jego dłoń i dźwignęłam się na nogi. – Nie wiedziałam, że to ty.

– Co tu robisz?

– Nie mogłam usnąć.

Spojrzałam na moje gołe stopy i spróbowałam strzepnąć ze spódnicy skrawki mokrej trawy. Co mi strzeliło do głowy, żeby spacerować samotnie po obcym statku? A gdyby pod tym drzewem był ktoś inny, nie Luck? I co teraz ten chłopiec... ten mężczyzna, który ma zostać moim mężem, pomyśli sobie o mnie, chodzącej nocą po jego statku na wpół ubranej? Czy uważa, że zamierzałam ukraść cytryny jego załogi?

– Przepraszam. Już pójdę – wymamrotałam i chciałam go ominąć.

– Zaczekaj – rzekł i chwycił mnie za ramię.

Ciepły uścisk jego palców na mojej skórze sprawił, że całe moje ciało ożyło jak namagnesowane. Westchnęłam urywanie i przystanęłam. Dopiero teraz zauważyłam, że on też ma bose stopy i potargane włosy.

– Ja także nie mogłem zasnąć – powiedział. – W takich razach czasami wychodzę pospacerować. Albo popływać.

Wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, złączeni skóra przy skórze.

– Mój ojciec poprosił mnie, żebym poszedł z nim jutro do sali zebrań – oznajmił Luck. – Przypuszczam, że łatwo odgadniesz, o co mu chodzi.

– Masz na myśli to, że przybyłam tutaj jako oblubienica – powiedziałam.

Spuściłam głowę i dotknęłam palcem miedzianych obręczy na nadgarstku, których druty już zazieleniły mi skórę.

– Właśnie. – Puścił moje ramię i wstał, prostując się w oficjalnej pozie. – Parastrato Avo, przepraszam, że dotykałem cię, zanim zostaliśmy złączeni. Zachowywałaś się zawsze tak stosownie i...

– Wcale nie. – Błyskawicznie uniosłam głowę, popatrzyłam mu w oczy i poczułam, że moje spojrzenie znalazło w nich znowu bezpieczne miejsce odpoczynku. To rozkoszne czuć, że robi się coś zarazem niebezpiecznego i właściwego, jedno z drugim splecione w mojej piersi. Podeszłam bliżej. – Nie jestem tylko kimś, kto zachowuje się stosownie. Nie zawsze.

Luck spojrział na mnie. Zamrugał tuż przy mojej twarzy, jakby się zastanawiał, jak ma dopasować mnie do tamtej małejdziewczyny, którą poznał pięć obrotów temu.

Sięgnęłam po dłoń Lucka i objęłam palcami jego palce, próbując wcisnąć mu w skórę to, co czuję.

– Ćwiczę się w tych sposobach napraw, które pokazała mi Soli. Tych, których jak powiedziałaś, potrafiłabym się nauczyć.

Roześmiał się.

– Co, ciągle jeszcze? Po tylu obrotach?

Puściłam jego rękę urażona.

– Nauczyłam się też sama innych.

– Nie, miałem na myśli... Jestem tylko zaskoczony, to wszystko. To całkiem niestosowne dla najdziewczyny, z tego, co widziałem na waszej „Parastracie”. Sądziłem, że jesteś zbyt zajęta Priorytetami. Ale cieszę się. Jestem szczęśliwy.

Wyciągnął rękę i lekko uścisnął moje palce.

– Ja też – powiedziałam.

– Czy myślisz, że... – Przerwał i rzucił spojrzenie na wejście do sali ogrodowej. – Czy kiedykolwiek pływałaś?

– Pływałam?

To słowo dziwnie owinęło mi się wokół języka. Kiedy byliśmy małymi dziewczynkami, Llell ośmieliła mnie do popluskania się w wodzie konwertora zbiornika odsalającego. Słyszałyśmy, że niektórzy starsi chłopcy wkradają się tam i że woda podobno sama cię unosi, trochę tak jak Próznia, a trochę nie. „Bardziej jak podtrzymująca cię olbrzymia dłoń”, powiedział jeden z nich. Ale Modrie Reller przyłapała nas stojące po kostki w filtrujących trzcinach i zmusiła, żebyśmy piły z odsalającego basenu, póki nie zaczęłyśmy wymiotować słoną wodą. Llell i ja nigdy więcej tam nie wróciłyśmy.

Przecząco potrząsnęłam głową.

– Chodź. – Luck pociągnął mnie za rękę. – Pokażę ci.

– No nie wiem...

– Nic ci się nie stanie – powiedział. – Obiecuję. Znam ten statek na wylot. Wiem, kiedy zaczynają się i kończą nocne naprawy.

Zawahałam się.

– Zaufaj mi – rzekł. – Dobrze?

Zmarszczyłam brwi.

– Obiecujesz?

– Obiecuję – powtórzył z uśmiechem. – Nie chcesz czegoś przeżyć, zanim zostaniemy złączeni?

Myślałam o tym. Za kilka miesięcy mogę już być obarczona ciążą jak Soli i zajęta uczeniem się u boku matki Lucka, jak kierować tutejszymi kobietami. Ale dzisiejszej nocy nikt mnie nie szuka. Nikt nie zauważy, że wymknęłam się z łóżka. To ostatnia noc, zanim stanę się w pełni kobietą.

Pozwoliłam więc, żeby wyprowadził mnie z ogrodu.

Podążyłam za Luckiem przez korytarz, który w pobliżu szeregu pracowni się rozgałęział, a potem zeszłam włączem po drabince na kładkę dla personelu zawieszoną w trzewiach statku. W wilgotnym powietrzu unosił się żar, co przypominało mi pomieszczenia farbiarskie na „Parastracie”. Przeszliśmy jedno za drugim nad pokrywami dudniących generatorów, skąpani w mdłym pomarańczowym świetle.

Wtem przed nami rozbrzmiał echem męski głos:

– ...zawróćcie i przynieście to.

Luck zamarł pośrodku kładki.

– Nocne naprawy? – szepnęłam.

Skinął głową.

– Ale przecież powiedziałaś...

– Ciii...

Pociągnął mnie za sobą z powrotem tą samą drogą, którą przyszedliśmy. Skręciliśmy za róg i Luck bezgłośnie wskazał szafkę na narzędzia, z podwójnymi drzwiami, wbudowaną w ścianę. Kiwnęłam głową. Otworzył obydwie skrzydła drzwi, które cicho zaskrzypiały. Z walącym sercem przekroczyłam porozrzucane narzędzia i przepalone kable i wcisnęłam się głęboko w cień za siatkę zbrojeniową. Luck wskoczył za mną i przyciągnął drzwi, zamykając je. Przywarliśmy do tylnej ściany szafki.

– Nie ruszaj się – szepnął.

Miałam nos wciśnięty w jego ramię. Luck pachniał rozgniecioną trawą i lekko potem zamaskowanym wonią mydła, jakimś własnym nieokreślonym zapachem, który elektryzująco przeniknął mnie całą. Pozwoliłam mojej dłoni pozostać tam, gdzie opadła na jego pierś, i oddychałam powoli, starając się tłumić ten odgłos, żeby ci reperzy z nocnej ekipy remontowej nas nie usłyszeli.

– ...problem z nim jest taki, że bierze sobie kolejną żonę, wiesz? – dobiegło nas głośnie.

– Mnie to mówisz? – odrzekł drugi mężczyzna. – Mam dość kłopotów tylko z dwiema.

Ich kroki rozlegały się blisko nas. Luck przycisnął mnie do ściany

szafki. Oboje staraliśmy się oddychać płytko i wolno, nie potraścić nogami metalowej siatki opartej chwiejnie o ścianę. Luck pochylił głowę i nosem dotykał teraz czubka mojej głowy. Czułam we włosach jego ciepły oddech. Mogłam dostrzec każdą nitkę jego koszuli, każdy kosmyk czarnych włosów dotykający szyi, pulsowanie krwi w żyłach pod skórą. Zamiast obawiać się reperów, myślałam tylko o lekkim poruszaniu się jabłka Adama w szyi Lucka i o tym, jak jego pierś ociera się o moją.

– Widziałeś tę oblubienicę, którą przywieźli?

– Aha.

– Jest w niej coś dziwnego, ale nie potrafię rozgryźć co.

– No nie wiem. Dla mnie one wszystkie są mocno dziwne z tymi włosami i tym, jak... – dalszy ciąg zagłuszyło dudnienie generatorów.

Luck i ja staliśmy wtuleni w siebie w głębi szafki na narzędzia. To ostatnie miejsce, w jakim powinnam czuć się bezpieczna, ale nie chciałam stamtąd wychodzić.

Cofnął się powoli, ostrożnie.

– Przepraszam – rzekł.

Nie byłam pewna, czy za to, że znowu mnie dotykał, czy chodziło mu o to, co mówili o mnie jego współtowarzysze z załogi. Uśmiechnął się nerwowo, pchnął drzwi i wyciągnął do mnie rękę, żeby pomóc mi wyjść z szafki.

– Jest tylko jedna nocna ekipa remontowa – powiedział. – Nie powinniśmy natknąć się już na nikogo innego.

Serce wciąż biło mi niespokojnie. Roześmiałam się, częściowo z ulgi, częściowo z upojenia. Ten dźwięk zabrzmiał dziwnie w moich uszach, jakby pochodził od jakiejś innej dziewczyny. Może takiej, jaką mogłabym być, gdybym była żoną Lucka i nie zamykałby mnie na noc. Chwyciłam jego rękę, a on wyciągnął mnie z szafki i niemal pobiegliśmy. Miałam wrażenie, jakby grawitacja osłabła, jakby moje stopy ledwie dotykały podłogi, gdy pomknęliśmy krętym korytarzem, a potem w dół spiralną rampą.

Luck zatrzymał nas gwałtownie przed ciężkimi drzwiami zamykanymi obrotowym kołem. Wparł ramię w koło i pchał, aż obróciło się z urywaniem metalicznym zgrzytem.

– Gdzie jesteśmy? – szepnęłam.

Z uśmiechem wskazał tabliczkę z literami przyśrubowaną do drzwi.

Spojrzałam na nią. Znałam litery mojego imienia A-V-A, ale na tabliczce rozpoznałam tylko dwa A pośród linii i zawijasów, reszta była dla mnie zagadką. Przygryzłam usta, popatrzyłam na Lucka i potrząsnęłam głową.

Uśmiech spełził mu z twarzy.

– Przepraszam. – Głos mi zadrżał. – Skłamałam.

– Nie martw się tym teraz. – Znowu uśmiechnął się do mnie łagodnie i odgarnął mi kosmyk włosów za ucho. Poczułam mrowienie skóry od jego dotyku. – Idziemy popływać.

Oparł się o drzwi. Otworzyły się na ciemne spadziste pomieszczenie wypełnione od ściany do ściany wodą. Światło bioluminescencyjnych ryb i fosforyzujących warstw pokrywających dno spowijało wodę i powietrze niesamowitą poświatą. Ze zdumienia rozdziawiłam usta. Wiedziałam, że to tylko odsalający basen statku „Æther”, ale poczułam się, jakbym wyszła poza czas i znalazła się w królestwie samych Miłosiernych.

– Pięknie tu – szepnęłam.

Kiedy załogi takie jak nasza natrafiają na planetę, na której jest woda, znajdują najczęściej słone oceany albo lód. My na „Parastracie” wyflukujemy większość soli w zbiornikach, ale zanim woda przepłynie przez gęstsze filtry i stanie się zdatna do picia, przechowuje się ją przez pewien czas w sadzawce pełnej takich ryb i roślin, które usuwają z niej nadmiar sodu. Jednak basen odsalający statku „Æther” przyćmiewał nasz. Wyglądało, że jest głęboki na wysokość dwóch mężczyzn i na tyle szeroki, że pomieściłby kambuz. W płytszej części falowały glony.

Luck szybko zszedł łagodną pochyłością do skraju basenu i ściągnął koszulę przez głowę. Na jego bladych plecach wyraźnie odznaczały się łopatki. Odwrócił się, spojrzał w górę na mnie i w jego oczach zamigotał szelmowski błysk.

– Idziesz? – zapytał.

Przestąpiłam z nogi na nogę. Uświadomiłam sobie nagle, że kiedy zdejmę koszulę i spódnice, Luck dostrzeże moją nijakość i odmienność. Zobaczy mnie całą.

– Spodoba ci się, obiecuję – powiedział. – Ta sól sprawi, że nie utoniesz.

– Ja... nie chcę, żebyś mnie oglądał.

– A jeśli odwrócę wzrok, póki nie wejdiesz do wody?

Pod spódnicami potarłam stopą kostkę drugiej nogi. Tutaj, poniżej chłodnego komfortowego pokładu „Æther” z kwaterami sypialnymi, było mocno gorąco i swędziała mnie spocona skóra. Z jednej strony żałowałam, że zamiast Lucka nie ma tu Llell lub Soli, gdyż wtedy byłoby mi łatwiej pluskać się w basenie, ale z drugiej serce zatrzepotało mi w piersi i oblałam się rumieńcem z radości, że to Luck.

– Dobrze – powiedziałam i mój głos zabrzmiał doroślejsz, wyzywająco.

Luck kopnięciem zrzucił spodnie i wszedł do basenu. Starłam się nie patrzeć, póki nie zanurzy się pod powierzchnię, ale małe ziarenko lekkomyślnej brawury we mnie kazało mi zerknąć na niego w porę, by zobaczyć jego nagie plecy, gdy rzucał się do wody.

Rozwiązałam tasiemki spódnic i postarałam się uspokoić oddech.

– Nie patrz! – krzyknęłam.

– Nie patrzę! – odkrzyknął i zanurkował.

Przez moment mignęły mi jego nogi, a potem zniknął pod wodą.

Wzięłam głęboki wdech. On będzie moim mężem. I tak za dzień czy dwa zostaniemy złączeni, więc mogłabym równie dobrze już teraz przewyciężyć wstydlivość. W okamgnieniu pozbyłam się spódnic, zdjęłam koszulę, zasłoniłam rękami piersi i wbiegłam do basenu naga z wyjątkiem wisiora i miedzianych obręczy. Woda uderzyła mnie ciepłym pluśnięciem, a śliskie morskie wodorosty łaskotały mnie w podeszwy stóp. Pochyliłam się, by zmoczyć włosy, i weszłam głębiej. Poczułam na wargach słony smak wody, która z każdym moim krokiem coraz bardziej mnie podtrzymywała, nawet pomimo dodatkowego ciężaru miedzi. Wisiorek unosił się przede mną na powierzchni jak lekki płatek kwiatu.

Luck się wynurzył. Od dołu oświetlał go migotliwy blask fosforyzujących paneli i ryb, przez co wyglądał jak stwór z baśni, jakie opowiadały nam żony, kiedy jako małodziewczynki pomagałyśmy im prąść wełnę. Popatrzyłam w dół na jego ciało, a potem na moje,

obydwa zniekształcone przez warstwę wody. W półświecie nasze skóry miały niemal taką samą barwę, więc miałam nadzieję, że nie będzie się przyglądał mojej.

– Twoje włosy wydają się ciemniejsze, kiedy są mokre – zauważył. Pracując nogami, podpłynął bliżej. Jego spojrzenie powędrowało w dół ku mojej nagości, ale zmusił je, by wróciło w górę. Zaczerwienił się. – Przepraszam.

– Twoje zawsze wyglądają na ciemne – powiedziałam.

Położył się na wodzie na plecach i jego stopy wynurzyły się na powierzchnię.

– Naprawdę nigdy wcześniej tego nie robiłaś?

Pomyślałam o sobie i Llell wykrztuszających nieprzefiltrowaną słoną wodę poza krawędź zbiornika.

– Nie – odrzekłam. Pozwoliłam moim stopom też unieść się w wodzie, tak że wyjrzały z niej palce stóp. Uśmiechnęłam się i pokiwałam nimi. – Czegoś takiego się nie robi, będąc najdziewczyną.

– Więc czy to znaczy, że teraz porzuciłaś bycie najdziewczyną? – spytał żartobliwie Luck.

Łyknął pełną garść wody i z powrotem ją wypluł.

– Tak jest. – Przeniosłam uśmiech z moich palców u nóg na Lucka.

– Nie można być jednocześnie najdziewczyną i żoną.

Odpowiedział mi uśmiechem.

– Chyba nie – przyznał.

Odrzucił głowę do tyłu. Zrobiłam to samo, pozwalając, by całe moje ciało się wynurzyło, skoro teraz nie patrzył. Tamci chłopcy mieli rację. To takie wrażenie, jakby podtrzymywała cię ciepła dłoń. Unosiłam się na powierzchni basenu jak liść w misce wody.

– Avo – odezwał się Luck głosem stłumionym przez wodę.

Uniosłam głowę, wróciłam do pionu i teraz szłam obok Lucka.

– Uhm?

– Czy chcesz mnie poślubić? – zapytał. – To znaczy wiem, że nie mamy w tej kwestii wiele do powiedzenia, ale czy tego chcesz?

Popatrzyłam na niego. Miał mokre włosy i poważne spojrzenie.

– Prawie mnie nie znasz – dodał.

„Ależ znam – chciałam powiedzieć. – Albo chcę poznać”.

Podpłynęłam do niego. Powiódł za mną wzrokiem i oczy mu pociemniały, gdy się zbliżałam.

– Wiesz, nigdyś marzyłam, żeby być siostrą Soli – oświadczyłam. Plasnęłam dłońmi w wodę, wywołując drobne fale, które uderzyły o jego pierś. – Wyobrażałam sobie, że ty, ja i ona będziemy spędzać całe poranki na rozmowach, dojąc kozy i ucząc się napraw.

– Naprawdę?

Przytaknęłam. Wzięłam głęboki wdech.

– Mogę ci o czymś powiedzieć?

Teraz on skinął głową.

– Moje włosy w rzeczywistości są ciemniejsze – oznajmiłam. – Mocno podobne do twoich. Moje modries farbują mi je na rudo, żebym lepiej pasowała do załogi.

– Naprawdę? – Luck zmarszczył brwi i dotknął pasma moich włosów. – Nikt by nie poznał.

– Czy sądzisz, że to znak od Miłosiernych? – spytałam. Unosiłam się teraz na wodzie bliżej niego i moje kolana przypadkowo otarły się o jego kolana. – Może od początku było mi przeznaczone należeć do twojej załogi. Może jestem przeznaczona dla ciebie.

Kąciki ust Lucka uniosły się w lekkim uśmiechu.

– Możliwe.

Czułam w kończynach pulsowanie krwi w rytmie mojego serca.

– Chyba nie mam nic przeciwko temu – powiedziałam i zbliżyłam się do niego jeszcze bardziej.

Krew głośno dudniła mi w uszach. Luck nachylił się i dotknął ustami moich ust. Wargi miał ciepłe, smakowały solą. Moje wargi przycisnęły się do nich, zanim się zorientowałam, co robię. „Jestem całowana. Całuję Lucka”. Jego dłonie powędrowały wzdłuż moich boków, potem w dół pleców. Przyciągnął mnie do siebie. Moja krew zmieniła się we wrzący olej. Przez chwilę oboje zapomnieliśmy, że powinniśmy utrzymywać się na powierzchni, i poszliśmy pod wodę. Luck odsunął się ode mnie i wypłynęliśmy z powrotem, machając nogami. Wynurzyliśmy się, na poły się śmiejąc, a na poły kaszląc i plując wodą.

– Przepraszam. – Luck potrząsnął głową, rozchlapał wodę wokoło

i znowu się zaśmiał. – Może powinniśmy się przenieść w mniej głębokie miejsce?

Odgarnęłam włosy z oczu.

– Tak jest.

Rozbryzgując wodę, popłynęłam za nim do płytszej części basenu, gdzie czubkami palców ledwie muskałam dno.

– Obejmij mnie – szepnął.

Uśluchałam i oplotłam ramionami jego plecy. Przysunął usta do moich i tym razem już nie groziło nam, że utoniemy. Luck był słony, spocony i ciepły. Chciałam, żeby ten pocałunek nigdy się nie skończył. Rozplótł mi warkocze i moje włosy spłynęły w dół. Odgarnął je na bok, żeby pocałować mnie w szyję. Zadrżałam. Było tak, jak sobie wyobrażałam.

– Będę się o ciebie troszczył – powiedział. Poczułam miękki dotyk jego warg na mojej skórze, na moim uchu. – Będę dobrym mężem. Uczynię cię szczęśliwą, przyrzekam.

– Ja... – zaczęłam, ale wtedy jego dłoń musnęła mi piersi i wszystkie moje myśli odleciały, jakby wymiecione wiatrem słonecznym, niewidzialnym i niepoznawalnym.

– Pragnę cię, Avo. – Luck cofnął się i spojrzał mi w oczy. Przełknął ślinę. – Czy ty...

Zachwiałam się w jego ramionach, rozdarta między narastającym we mnie żarem a dręczącym mnie w głębi duszy okropnym lękiem. Ale Luck miał silne ręce, trzymał mnie mocno i przecież będzie się o mnie troszczył, uszczęśliwi mnie. Przyrzekł to. Tak bardzo chciałam, żeby mnie pokochał i żebym była godna tej miłości. I czułam moje serce w całym ciele – dudniło w szyi, w nogach, w nadgarstkach i wszędzie indziej.

– Jutro zostaniemy złączeni – powiedział schrypniętym głosem. Uniósł moją dłoń i splótł palce z moimi. Nasze przeguby stykały się, jak będą się stykać pod małżeńskimi więzami. – „Nić przy nici, życie przy życiu...” – wyrecytował.

Westchnęłam drżąco.

– „...aby utworzyły jedno życie” – dokończyłam.

Położył mnie w wodnych trzcinach z głową opartą o metalowy

brzeg basenu. Ledwie mogłam oddychać. Znowu miałam wrażenie, że jestem tylko pasażerką w swoim ciele. Luck uklęknął nade mną. Szyję i twarz owionął mi jego gorący oddech.

– Czy robiłeś to już wcześniej? – spytałam.

Czułam omdlałość w rękach, a serce biło mi zbyt szybko.

Luck przecząco potrząsnął głową.

– Nie chcę sprawić ci bólu. Soli powiedziała...

– ...że połamię ci palce u nóg – dokończyłam i parsknęłam nerwowym śmiechem.

Ten mój śmiech w jakiś sposób rozwiał nasze zakłopotanie. Luck przytulił mnie mocniej i zaśmiał się ze mną. Czułam, że drży.

Potem znowu spoważniał.

– Jesteś na to gotowa?

Wzięłam głęboki wdech.

– Chyba tak.

Popatrzyłam na niego i przypomniałam sobie spotkanie w doku, gdy moje spojrzenie pomknęło ku niemu, szukając bezpiecznego schronienia, podczas gdy reszta mnie była uwięziona w śmiertelnym bezruchu.

– Tak – powiedziałam.

Soli miała rację. To rzeczywiście dosyć zabolalo, ale potem już nie tak bardzo, albo przynajmniej był to słodki rodzaj bólu. Luck i ja poruszaliśmy się we wspólnym rytmie. Ryby muskały nasze gołe kostki nóg, woda z cichym chlupotem omywała ściany basenu, a moje poczucie czasu, świadomości nocy i dnia, wyparowało. Opierałam czoło o czoło Lucka i oddychałam razem z nim. Mogłam już wyczuć, jak włókna mojego serca wyrastają i splatają się z włóknami jego serca tam, gdzie dotykały się nasze piersi.

Kiedy się skończyło, leżeliśmy na płyciźnie spleceni ze sobą, a woda okrywała nas jak koc.

Luck pocałował kostki moich palców.

– Avo?

– Uhm?

– Jak to się stało, że twoja załoga nigdy nie nauczyła cię czytać, ale pokazała ci, jak się rachuje?

Twarz oblał mi rumieniec. Oparłam się na łokciu.

– Potrafię napisać moje imię. A rachować nauczyłam się sama.

– Nauczyłaś się sama? – powtórzył jak echo.

– Głównie tak – powiedziałam, wzruszając ramionami.

– Ale czytanie... Co z tablicami ostrzegawczymi i instrukcjami?

Czy do tego nie potrzebujesz umieć czytać?

– Kobiety nie czytają – usłyszałam z moich ust słowa Modrie Reller. – Jesteśmy zbyt zajęte. Mamy mężczyzn, którzy robią to za nas.

Luck przewrócił oczami, wpatrując się w sufit.

– To głupie. A jeśli coś się stanie? Jeśli będziesz musiała nastawić radiolatarnię alarmową albo rozróżnić, co jest trujące?

– Wtedy każę ci, żebyś mi powiedział, jak to zrobić – odparłam.

Łyknęłam garść wody i wypłułam na niego. W rewanżu mnie ochlapał.

– Mówię poważnie, Avo. Kiedy zostaniemy złączeni, będziesz musiała nauczyć się czytać. Niebezpiecznie jest tego nie umieć.

Przygryzłam wewnątrz policzka.

– Mogę być na to trochę za stara. Modrie Reller zawsze powtarza za moim ojcem, że nasze mózgi przestają się dobrze uczyć, gdy już nie rośniemy, i że dziewczyny od początku nigdy nie są w tym zbyt dobre.

– No nie wiem. – Luck przyciągnął mnie bliżej. – Sama nauczyłaś się rachowania, prawda?

Powoli skinęłam głową.

– Nauka czytania nie może być od tego trudniejsza – powiedział. – Zwłaszcza jeśli ktoś pokaże ci, jak to idzie. – Przesunął palcem po moim obojczyku. – Jesteś bystra, Avo, bystrzejsza od wszystkich kobiet, jakie znam. I kiedy zostaniemy złączeni, nie będziesz już musiała ukrywać koloru swoich włosów.

Poczułam ucisk w gardle. Znowu pocałowałam Lucka, tym razem mocniej.

– Co to ma być, do dziewięciu piekieł? – wdarł się w ciszę szorstki gromki głos.

Luck oderwał się ode mnie i zatoczył się do tyłu na kolanach. Zakryłam rękami piersi i usiadłam.

W drzwiach pomieszczenia stali dwaj mężczyźni i spoglądali w dół

na nas. Nocna ekipa remontowa.

Wyciągnęłam ręce do Lucka, ale był za daleko.

– Æther Luck? – Jeden z mężczyzn wyciągnął szyję, chcąc się upewnić, czy dobrze zobaczył. – I ta oblubienica z „Parastraty”?

Luck przełknął nerwowo.

– Ja...

– Wyrzuć ją stąd. – Drugi reper, wysoki i grubokościsty, przepchnął się obok swojego towarzysza. Podniósł koszulę Lucka i cisnął mu w twarz. – I sam się wynoś.

Luck złapał koszulę i sięgnął w dół, by pomóc mi wstać. Obydwaj reperzy patrzyli gniewnie na nasze złączone dłonie, gdy wyprowadzał mnie z wody, zasłaniając swoim ciałem. Zalał mnie wstyd. Grawitacja ponownie przejęła nade mną władzę, gdy chlapiąc, brodziliśmy do skraju basenu. Wypełniła moje żyły ciężarem ołowiu. Na brzegu ten wysoki reper wyrwał moją rękę z dłoni Lucka i pchnął go ku swemu towarzyszowi.

Luck się zatoczył, ale odzyskał równowagę.

– Gdzie wasza przyzwoitość? – rzucił. Obejrzał się na mnie. – Pozwólcie jej włożyć coś na siebie.

– I kto tu mówi o przyzwoitości! – zripostował reper o przygarbionych plecach i spiorunował go wzrokiem, ale nie próbował mnie powstrzymać.

Przewiązałam spódnicę i drżącymi palcami zapięłam sprzączki koszuli. Materiał przylgnał do wilgotnej skóry. Tamci niewątpliwie nas zobaczyli. Wiedzieli, co zaszło. Musieli wiedzieć. Pragnęłam podbiec do Lucka, wtulić się w niego, ale zagradzali mi drogę. „Co się dzieje?”, chciałam zapytać. Owszem, powinni być rozgniewani, znalazłszy nas razem, ale ta ich wściekłość wydawała się zbyt wielka, skoro przecież wkrótce mieliśmy zostać złączeni. Coś poszło źle. Usiłowałam pochwycić spojrzenie Lucka, gdy reperzy, tupiąc butami, prowadzili nas w górę spiralnym trapem obok tamtej szafki na narzędzia, do wjazdu z drabinką.

– Dokąd idziemy? – zapytał ich Luck, w końcu podnosząc głowę.

– Do twojego ojca – odrzekł przygarbiony reper i obrzucił mnie spojrzeniem mówiącym, że jestem dla niego tylko łajnem i śmieciem. –

I jej.

Oddech ugrzązł mi w piersiach. „Mój ojciec”. Nogi się pode mną ugięły. Reperzy szarpnęli mnie do przodu, pchnęli ku drabince. Wspinałam się otępiała, jak automat. Na myśl o tym, jak ojciec na mnie popatrzy, jak ujmie w słowa to, co zrobiłam, poczułam mdłości ze wstydu i żalu. To, co wydawało się takie właściwe w baśniowej poświacie basenu, teraz zdało mi się bezbrzeżnie głupie. Powinniśmy byli poczekać. To tylko kilka dni. Żałowałam, że nie mogę się cofnąć, przechylić wagi tak, żebym przed kilkoma minutami w ramionach Lucka postanowiła stracić dziewictwo później, w stosowny sposób. Ale teraz nic już nie mogłam zrobić, nie było powrotu. Stało się.

Może wcale nie będzie tak źle – usiłowałam się pocieszać, gdy prowadzono nas obok kwatery kobiecej i pogrążonego w ciemności kambuza. Soli w końcu popełniła dużo gorszą rzecz. Æther Fortune mógł co prawda wychłostać Ready’ego, ale przecież nie zrobiłby tego własnemu synowi, prawda? A Luck powiedział, że zatroszczy się o mnie. Wkrótce wszystko znowu zacznie się dobrze prząść.

Zatrzymaliśmy się przed solidnymi drewnianymi drzwiami z wyrytymi płaskorzeźbami. Na ich widok serce zaczęło szaleńczo walić mi w piersi. Znałam te drzwi. Takie same płaskorzeźby – nasi przodkowie spoglądający w niebo, potem wsiadający na pokłady swoich statków, wreszcie Saeleas unosząca się nieważko z włosami rozpostartymi jak skrzydła anioła – zdobią wejście do kwatery kapitańskiej na „Parastracie”. Spędzałam godziny na polerowaniu ich u boku Llell przed każdym Dniem Apogeum. Z ust Saeleas rozwija się pasmo słów. Nawet nie umiejąc czytać, wiedziałam dobrze, co mówią. Te same słowa wyszeptała moja matka w gorączkowym śnie.

Teraz powróciły do mnie wszystkie wersy i ogarnął mnie bolesny strach. Chciałam uciec, lecz moje zdradzieckie ciało było jak sparaliżowane.

Ale kobieta o woli kruchej

Jak miedziane żagle chwytające żar słońca,

Ona osłania nas wszystkich,

Powstrzymuje furię gwiazd i wspiera życie.

Unosi się w przestworzach,

Doskonała, promieniejąca.

Ale kiedy jej stopy dotkną ziemi,

Nim minie chwila, upadnie zmiażdżona i zgasła.

Kobiety przestworzy, pozostaniecie wysoko, nietknięte.

Miałam wrażenie, jakby podłoga rozpadała się pode mną. Wysoki reper wystąpił naprzód i uderzył pięścią w drzwi. W końcu zdołałam przelotnie dostrzec Lucka. Jego twarz mówiła, że jest tak samo jak ja zdruzgotany z żalu i czuje się tak samo zgnębiony, ale mimo to spróbował się do mnie uśmiechnąć, jakby chciał mi powiedzieć: „Nie bój się”. Spuściłam głowę i wilgotne włosy zakryły mi twarz. Jak on może mnie ochronić, skoro jest skamieniały ze wstydu, tak jak ja?

Drzwi rozsunęły się nieco ze skrzypnięciem, ukazując małe ukryte okienko.

– O co chodzi? – spytał strażnik.

– Musimy się widzieć z Ætherem Fortune’em i kapitanem „Parastraty” – rzucił reper.

– Co? Teraz? – burknął strażnik.

Potem zobaczył mnie z włosami skudłonymi morską wodą i tylko na wpół ubraną w koszulę i spódnice noszone zwykle pod spód i wzdrygnął się, jakby ktoś dotknął jego skóry gołym przewodem pod napięciem.

Reperowie wprowadzili nas do kwatery kapitańskiej. W powietrzu zasnutym mdląco słodkim dymem rozbrzmiewały męskie głosy. Członkowie załogi wylegiwali się na wielkich poduszkach ze skóry i jedwabiu i wychylali szklanki przejrzystego ryżowego wina. Moje serce zabiło dwa razy szybciej. Nigdy jeszcze nie byłam w męskiej kwaterze, z wyjątkiem tych chwil, kiedy Modrie Reller posyłała mnie, żebym posprzątała, ale wtedy pomieszczenia były puste. Żółtobiałe włosy mojego ojca wyróżniały się pośród morza czarnych głów niczym Supernova. Obok niego siedział Æther Fortune. Moje dłonie i twarz płonęły od paniki skwierczącej mi pod skórą. Spróbowałam wyrwać się do drzwi, ale reperowie złapali mnie i odwrócili z powrotem twarzą do ojca.

Spojrzał na mnie oczami zwężonymi jak u kota. Wokół nas rozpostarła się cisza.

Wstał i przeniósł wzrok na reperów.

– Dlaczego przyprawdziliście tu moją najdziewczynę?

– Twoją najdziewczynę – powtórzył jeden z reperów głosem lepkiem od sarkazmu. – Przydybaliśmy ją nagą w zbiorniku odsalającym, jak pozwalała się dotykać Ætherowi Luckowi – rzekł i pchnął go naprzód.

Æther Fortune porwał się na nogi.

– Mojemu synowi?

– Uznaliśmy, że będziecie chcieli porozmawiać z nimi o tym, co robili razem w pełnym środku nocy – powiedział reper.

Wzrok mojego ojca stał się twardy jak metal.

– A co robiłeś z naszą oblubienicą, Ætherze Lucku?

– Pomyślałem, że... – Luck urwał i zwiesił głowę. – My...

Nie, pomyślałam ogarnięta rozpaczą. Nie odgrywaj małego chłopca, nie teraz.

– Mów głośniej – rzekł mój ojciec, stojąc nad nim groźnie. – Tak, żebyśmy cię słyszeli.

– Ja... my... pieczętowaliśmy nasz związek – powiedział Luck. Podniósł głowę i spróbował wytrzymać wzrok mojego ojca, ale widziałam, że drży. Ja sama, widząc wyraz twarzy ojca, zapragnęłam paść na kolana i błagać o litość. – Pomyśleliśmy, że to nie będzie miało znaczenia, skoro wkrótce zostaniemy złączeni.

– Nie będzie miało znaczenia? – Æther Fortune przepchnął się naprzód. Krew napłynęła mu na policzki i szyję. – Nie będzie miało znaczenia?!

– Wiem, że to był błąd – rzekł Luck. – Ale bardzo zależy mi na Avie. A kiedy zostaniemy złączeni, to już nie...

Mój ojciec wyglądał, jakby chciał go uderzyć, ale zrobił to Æther Fortune. Rąbnął Lucka zaciśniętą pięścią pod oko. Rozległ się trzask, Luck zgiął się wpół i przycisnął dłonie do twarzy.

Stłumiłam krzyk.

– Mój rodzony syn! – wykrzyknął Æther Fortune.

Złapał go za kark i poderwał do góry. Luck przełknął nerwowo. Na jego kości policzkowej już fioletował siniak.

– Ojciec...

– Dla mnie to ma znaczenie – wycedził zimno Æther Fortune i znowu uderzył go pięścią z pierścieniami.

Luck upadł. Twarz mu krwawiła. Dotknął rozcięcia skóry i oszołomiony popatrzył na czerwoną smugę na dłoni. Æther Fortune kopnął go mocno w żebra, wyduszając mu powietrze z płuc. Luck osunął się bezwładnie na podłogę.

– Nie! – krzyknęłam i chciałam podbiec do niego, lecz reper mnie powstrzymał.

Æther Fortune wymierzył mu następnego kopniaka, a potem dwa kolejne. Zakryłam oczy, ale nie mogłam uciec od odgłosów – głuchych uderzeń, stęknień. W końcu ktoś z załogi „Æther” powstrzymał Fortune’a, kładąc mu rękę na ramieniu. Kapitan cofnął się, dysząc ciężko, i przyglądał włosy.

– Dla mnie to ma znaczenie – powtórzył. – Przygotować służbę powietrzną.

– Proszę. – Wyciągnęłam rękę i weszłam między Lucka a jego ojca. – To ja mu pozwoliłam.

W pokoju zapadła cisza, zakłócana tylko świszczącym oddechem Lucka. Æther Fortune i mój ojciec powoli odwrócili się do mnie i uświadomiłam sobie, co zrobiłam. Wiedziałam, że nie powinnam była w ogóle się odzywać. Wie to każda najdziewczyna warta swojej soli. Ojciec i Æther Fortune gapili się na mnie, jakby jedna z kóz stworzyła pysk i odezwała się ludzkim głosem.

Padłam na ziemię i błagalnie wzniosłam rękę.

– Litości, najojcze.

– Pozwoliłaś mu? – syknął; oczy miał lodowate jak Próźnia.

Spuściłam głowę i przytaknęłam, przerażona i oszołomiona. Ojciec wyglądał, jakby chciał poderżnąć mi gardło.

– Najkapitanie. – Luck dźwignął się chwiejnie na nogi. – Najojcze, ukarż mnie, jak ukarałeś męża Soli. Ja zawiniłem, nie Ava. Nadal możemy zostać złączeni i wszystko będzie dobrze.

– A dlaczego... – zabrzmiał groźnie głos Æthera Fortune’a – dlaczego sądzisz, że pozwolę ci ukraść mi moją narzeczoną, mały Lucku?

Zaległa cisza.

– Twoją narzeczoną? – powtórzył Luck i rzucił na mnie przerażone spojrzenie.

– Tak, moją narzeczoną. – Æther Fortune zacisnął dłonie w pięści. Na jego poczerwieniałą twarz wystąpiły plamy jak wstrętne księżycy. – Atrament jeszcze nie wysechł, ale kontrakt ślubny został podpisany.

Luck przełknął z wysiłkiem.

– Myślałem, że skoro nadchodzi dla mnie czas, żebym wziął sobie żonę, a ty mówiłeś, że muszę się ożenić, zanim przejmę funkcję kapitana... – mówił coraz ciszej i w końcu umilkł.

– A więc zamierzasz też objąć funkcję kapitana? – Æther Fortune podniósł głos. – Zabierając mi narzeczoną? A więc taki jesteś? Mój własny syn cudzołożnikiem i zdrajcą?

Odepchnął Lucka. Jeden z reperów złapał chłopca, żeby nie upadł, i dźwignął go z powrotem na nogi. Æther Fortune, oddychając ciężko, obrócił się do mojego ojca.

– I ty ze swoimi gładkimi kłamstwami o tym, jaka to twoja córka jest cnotliwa i wprawna. Teraz widzimy, do czego ma dryg.

– Bracie Ætherze Fortune – powiedział mój ojciec. – To wina moja i moich żon. Głęboko żałujemy i ogromnie cię przepraszamy. Pozwól, że znajdę ci inną dziewczynę z mojej załogi. Lepszą oblubienicę, czystą, bardziej uległą. Mam młodszą córkę z mojej trzeciej żony. Już niemal osiągnęła kobiecość. Mógłbyś wziąć ją teraz i...

– Nie chcę nic twojego, Parastrato – odparł Fortune, bryzgając śliną z ust. – Nie chcę twoich kłamstw, twoich dziewczyn ani twoich metali. Koniec z nami. Opuść mój statek.

– Najbracie – rzekł mój ojciec pojednawczym, łagodzącym tonem. – Ja tylko...

– Opuść mój statek – powtórzył Æther Fortune i pojęłam, że ucina całą sprawę jak nożem.

Ludzie z „Parastraty” stali w gotowości, napięci. Już dawno zapomnieli o szklankach z winem odstawionych na podłogę. Mój ojciec dał im znak gwałtownym ruchem głowy. Uformowali dwuszereg, a on sztywnym krokiem wyszedł między nimi z sali. Mijając mnie w drodze do drzwi, potrącił mnie, jakbym była niewidzialnym oparem. To było jak kopnięcie w pierś; nie mogłam złapać oddechu. Zerknęłam na Lucka.

Miał opuchnięte oko, a nad garbkiem nosa widniała strużka krwi. Chciałam podbiec do niego, przycisnąć chłodną dłoń do jego twarzy, zetrzeć z niej krew, ale jego ojciec zastąpił mi drogę.

– Byłabyś moją żoną, dziewczyno – wycodził. Jego bladoniebieskie oczy były pełne nienawiści. – Teraz jesteś niczym.

Zatoczyłam się do tyłu, potknęłam o swoją spódnicę i upadłam ciężko na łokieć. Dźwignęłam się niezgrabnie na nogi. Byłam sama, prawie naga i pozbawiona ochrony moich krewnych. Patrzyłam, jak mój ojciec znika w niewielkich drzwiach, a za nim wycofują się jego ludzie. Jeden z nich się odwrócił. To Jerej uczynił mi drobną łaskę, czekając na mnie.

Rzuciłam ostatnie spojrzenie na Lucka. Odwzajemnił je. Twarz miał zakrwawioną i wykrzywioną grymasem rozpaczony. Nie potrafił uratować siebie, a co dopiero mnie. Co zrobi z nim jego załoga? Z pewnością spotka go gorszy los niż Æthera Ready'ego. Śluz powietrzna, jak powiedział jego ojciec, albo coś jeszcze gorszego.

Nie miałam wyboru, pośpieszyłam za Jerejem. Mężczyźni z „Æther” odwracali się ode mnie, gdy przeciskałam się między nimi do brata.

– Jerej... – powiedziałam, dotarłszy do drzwi.

Obrócił się na pięcie i wypadł z kwatery kapitańskiej. Pobiełam za nim najszybciej, jak mogłam.

– Jerej.

Jego buty stuknęły o podłogę. Nie odpowiedział.

– Proszę, zaczekaj na mnie!

Mój krzyk pomknął zakolem korytarza, a gdy odbił się echem i powrócił do mnie, znienawidziłam to, jak zabrzmiał, pełen strachu i dziewczęco piskliwy. Jerej przyśpieszył kroku. Łzy zapiekły mnie w oczy jak poparzenie chemiczne, a gardło ścisnęła groza.

– Proszę...

Czułam, jak nić między Luckiem i mną rwie się z każdym moim krokiem. Potknęłam się i upadłam, zdzierając sobie skórę dłoni i kolan. Podniosłam się i z trudem powlokłam za Jerejem. Nie zatrzymał się, nawet kiedy upadłam. Zniknął mi z oczu za ostrym załomem korytarza.

– Zaczekaj! – zawołałam znowu.

Minęłam zakręt i wrosłam w ziemię.

– Jerej – rzekł mój ojciec i spojrzął na mnie. Przez moment myślałam, że odezwie się do mnie. Ucieszyłabym się z tego, nawet gdyby jego słowa uderzyły mnie jak policzek wymierzony w twarz. Ale mówił dalej do mojego brata: – Zabierz ją z powrotem na statek. My zbierzemy kobiety i spotkamy się tam z tobą.

– Ojciec... – zaczęłam.

Odwrócił się i skinął na swoich ludzi, żeby podążyli za nim. Jerej chwycił mnie mocno za ramię i popchnął w przeciwnym kierunku, do komory wyjściowej. Nie opierałam się, gdy powlókł mnie korytarzem, a potem w dół pochylni. Ciasne wnętrze „Æther”, które jeszcze niedawno wydawało mi się tak bezpieczne, ustąpiło miejsca wysokiej otwartej hali. Znowu spadł na mnie ciężar grawitacji portu. Teraz, gdy na stacji panowała umowna noc, hala była niemal pusta. Mdłe niebieskie światło z nielicznych otwartych sklepów padało na żwir, gnój, marnujące się resztki jedzenia i papiery zaścielające podłogę rozległej powierzchni targowej. Do podeszew moich stóp przykleiła się cienka warstwa brudu i śmieci, gdy Jerej poganiał mnie naprzód przez halę. Przywarłam do niego, chociaż boleśnie ścisnął mi ramię.

– Jerej – szepnęłam. – Proszę, uwierz, nie wiedziałam.

Pociągnęłam go do tyłu, żeby zwolnił. „Może jeśli z nim pomówię, zdołam odwieść go od zamknięcia mnie na »Parastracie« – pomyślałam gorączkowo. – Może zabierze mnie z powrotem na »Æther«. Może jeszcze nie jest za późno, żeby rozplątać ten supeł i znowu uprząść wszystko stosownie”.

– Wiem, że postąpiłam źle – rzekłam drżącym głosem. – Ale nigdy bym tak nie zrobiła, gdybym nie myślała, że to z Luckiem mam zostać złączona. Przysięgam, Jerej.

Popatrzył na mnie przelotnie, ale nie zwolnił kroku.

– Gdybyś wstawił się za mną u ojca.

Otarłam oczy. Czy on nie pamięta, jak oboje byliśmy maleństwami? Jak przyglądaliśmy się naszej matce podczas burzy słonecznej? Jak tyle razy przy kolacji upuszczał ciasto fasolowe, a ja dawałam mu swoją porcję? Czy to nie powinno się teraz liczyć?

– Proszę, najbracie...

– Nie jestem żadnym twoim bratem. – Jerej zatrzymał się i spojrzał na mnie gniewnie. – Moja siostra Ava nie żyje. A ty, ty jesteś niczym, tylko resztką złej materii. Nie rozumiesz, co zrobiłaś? Dwa dziesiątki obrotów handlowania z ludźmi z „Æther” wyparowały przez ciebie.

– Nie wiedziałam – wymamrotałam. – Skąd miałam wiedzieć, że...

– Nie musiałaś wiedzieć – przerwał mi. – Miałaś tylko trzymać nogi ściśnięte razem i robić, co ci kazano.

Zwiesiłam głowę i pozwoliłam Jerejowi powlec mnie do doku „Parastraty”. Nie podniosłam wzroku, dopóki nie usłyszałam, że zatrzasnęły się za nami wrota hali, i znowu owionęło nas wilgotne powietrze mojego rodzinnego statku.

Skuliłam się na podłodze pomieszczenia gospodarczego, w którym dzisiejszego ranka Modrie Reller i Iri farbowały mi włosy. A może to było wczoraj? Przed dwoma dniami? Straciłam poczucie czasu, odkąd Jerej zatrzasnął za mną drzwi. Staroświecka lampa kondensacyjna wbudowana w sufit nie zapalała się i gasła w cyklu panującym na reszcie statku, lecz paliła się stale, tykając cicho, niczym paznokieć pukający mi w czaszkę. Moje ręce i nogi pokrywała skorupa zaschłej soli, a zwoje miedzianego drutu na nadgarstkach i kostkach przywarły do poplamionej zielenią skóry. W pewnym momencie zapadłam w niespokojny sen i przyśniło mi się, że Luck poprowadził mnie do szerokiego okna w ogrodzie na „Æther”. Staliśmy i spoglądaliśmy na gwiazdy.

– Czy wiedziałaś, że można po nich chodzić? – zapytał.

– Naprawdę? – odrzekłam.

Wszedł w okno, wyszedł na zewnątrz i balansując, stanął na maleńkim punkciku światła.

– Trzeba tylko stale być w ruchu – powiedział i przeskoczył na następną gwiazdę.

– Nie możemy – rzekłam, jednak podążyłam za nim na zewnątrz, w Próżnię.

Podciągnęłam spódnice i wskoczyłam na najbliższą gwiazdę. Była trwała, mocna jak szkło. Podniosłam wzrok na Lucka.

– Możesz pobiec – rzekł.

Uśmiechnął się, odskoczył ode mnie i pognął przez gwiazdziste pole.

Puściłam się pędem za nim. Im szybciej biegłam, tym gęściej zdawały się leżeć gwiazdy, aż wreszcie utworzyły pod moimi stopami lśniąca wyboistą dróżkę. Zaśmiałam się. Moja spódnica była nieważka, a nogi niosły mnie jak woda. Nawet się nie zadyszałam.

„Zadyszałam?”. Popatrzyłam w dół na stopy. „Ale przecież jestem w Próżni, przypominałam sobie. Nie powinnam w ogóle móc oddychać. Krew powinna skrzepnąć mi w żyłach, a płuca bez powietrza powinny się zapaść”. Spojrzałam w górę, by ostrzec Lucka, ale zniknął. Wokół mnie rozpościerała się bezkresna, naga Próżnia. Otworzyłam usta, by go

zawołać, i wtedy pustka wdarła się we mnie i wyssała ze mnie całe powietrze.

Obudziłam się, dysząc spazmatycznie na podłodze pomieszczenia gospodarczego.

Odtąd starałam się nie spać. Zamiast tego obejmowałam ramionami nogi, przyciągałam do piersi, kołysałam się i wciąż na nowo odgrywałam w głowie to, co się stało, wyobrażając sobie, że było zupełnie inaczej. W jednej wersji w ogóle nie opuściłam koi Soli. W innej skłamałam Luckowi, że już wcześniej pływałam, i nie poszłam z nim do basenu, tylko wróciłam do łóżka, a potem poślubiłam Æthera Fortune'a. Nie pocałowałam Lucka. Nie objęłam go mocno w wodzie. Nigdy nie dałam mu szansy, żeby mnie pokochał. W najbardziej szalonej wersji Luck i ja wyrwaliśmy się reperom i uciekliśmy ze statku, ale moja wyobraźnia zablokowała się, gdy dotarliśmy do hali wyjściowej, więc zamiast tego wyobraziłam sobie, że Luck pomówił z ojcem i przekonał go, żeby nas jednak złączono.

„Może tak zrobi – pomyślałam. – Może Soli wstawi się za nami. Może Jerej...”

Zgrzytnął zamek w drzwiach. Podniosłam się z trudem i starałam się tupaniem rozruszać ścierpnięte nogi. A więc nie zapomniano o mnie. Serce ścisnął mi skurcz ulgi zmieszanej ze strachem. Zawiasy skrzypnęły, gdy otwierano drzwi, i w progu stanęła Modrie Reller. Część mnie chciała cofnąć się przed nią na koniec pokoju, a druga część zapragnęła podbiec do niej, zalać się łzami ulgi na jej widok. Modrie Reller miała pustą, nieruchomą twarz. Przyciskała do piersi naręcze grubych zielonych ubrań. Rozpoznałam ładną spódnicę z lustreczkami, którą nosiłam, będąc tak krótko oblubienicą, tę pozostawioną na „Æther”.

„Może...” – przemknęło mi przez myśl, ale się pohamowałam. Najlepsze, na co mogłabym liczyć, to że moi krewni namówili Æthera Fortune'a, by jednak zdecydował się na nasz ślub, chociaż wiedziałam, że na to nie zasługuję. Bardziej prawdopodobne, że znaleźli na „Parastracie” kogoś bez znaczenia, kto dla utrzymania pozorów zechce wziąć mnie jako kolejną żonę. Skończę jako farbiarka, jak matka Llell, ale będę czyjaś piątą czy szóstą żoną, czyli niżej nawet od niej. „Pogodzę

się z tym – powiedziałam sobie. – Cokolwiek, żeby tylko zdjąć z siebie ten wstyd, żeby nie zostać znowu zamkniętą w tym pomieszczeniu z nieustannie tykającą lampą kondensacyjną”. Otworzyłam usta, by to powiedzieć, lecz Modrie Reller mnie powstrzymała.

– Ani słowa – rzekła. – Idź za mną.

Począpałam za nią, uważając, by trzymać głowę spuszczoną. Jeśli nie podniosę wzroku, nie będę musiała patrzeć w twarze mijanych ludzi. Oni wszyscy wiedzą. Kątem oka dostrzegałam, że nasi reperzy i sprzątacze obracają głowy i gapią się na mnie, gdy szłam za Modrie Reller. Wiedziałam, jak muszę wyglądać, ze skórą pokrytą grubą warstwą brudu, w ubraniu sztywnym od potu. Cudzołożnica, przestępczyni, dziwka. Ich spojrzenia mnie paliły.

Ze wzrokiem utkwionym w skraj spódnicy Modrie Reller szłam w górę z trzewi statku. Przystanąła przy tylnych drzwiach sali oczyszczeń, wzięła mnie pod brodę, przechyliła moją twarz ku górze i wpatrzyła się w nią, jakby usiłowała zapisać ją sobie w pamięci. Po dziecięcemu chwyciłam ją za rękę. Przez moment myślałam, że się do mnie odezwie, ale odwróciła się na pięcie i pchnęła drzwi sali oczyszczeń. Przy wyłożonej kafelkami ścianie stały tam szerokim półksiężycem kobiety czekające na nas. Iri, Hannah i inne wdowy po moim pradziadku, matka Llell, matka Lifil i Eme, a także wszystkie inne żony mojego ojca. Były tu prawie wszystkie kobiety ze statku.

Przez jedną radosną chwilę myślałam, że przyszedł przygotować mnie do ceremonii złączenia. Z Ætherem Fortune'em, którymś z papierników, sprzątaczy czy reperów – wszystko jedno, byle wszyscy przestali mną gardzić i mogłabym znowu poczuć solidne podłoże pod stopami. Ale potem spostrzegłam, że nie ma tu żadnych dzieci. Na ceremonie złączenia zawsze przyprawdza się dzieci, żeby pobłogosławić pannę młodą i przypomnieć o jej życiowym celu.

– Co się dzieje? – zapytałam cienkim drżącym głosem.

– Siostry – rozbrzmiał w ciszy głos Modrie Reller. Położyła dłonie na moich ramionach i ścisnęła. – Przybyłyśmy przygotować naszą córkę do pogrzebu.

Matka Lifil jęknęła, a po niej Hannah, Iri i pozostałe. Razem wzniosły głosy w przenikliwym żałobnym zawodzeniu. Ich lament

krażył; gdy jedna wyciągała najwyższy ton, inne przerywały, by zaczerpnąć tchu. Zjeżyły mi się włoski na karku. Kobiety zbliżyły się do mnie równocześnie z rozpostartymi ramionami.

– Proszę – szepnęłam.

Spróbowałam się cofnąć, gdyż nagle dotarło do mnie, po co przyniesiono moją ślubną spódnicę i co oznaczały słowa Jereja: „Moja siostra nie żyje”. Przypomniałam sobie pocałunek Modrie Reller na zimnym czole mojej zmarłej matki i to, jaką matka miała zwiotczałą skórę, suchą jak papier, kiedy myliśmy jej ciało, jak sztywniały jej kończyny, gdy ubieraliśmy ją w jej spódnicę i owijaliśmy ślubnymi drucianymi obręczami jej cienkie stawy; ciężar jej głowy, gdy ją unosiliśmy, by ponownie włożyć jej na szyję wisiołek identyfikacyjny. Po ceremonii złączenia kobieta jeszcze tylko raz ma na sobie ślubny odświętny strój: podczas swojego pogrzebu. Kiedy opuścimy port i zanurzymy się wystarczająco głęboko, wrzucą mnie, wciąż jeszcze oddychającą, w Próżnię.

Modrie Reller chwyciła mnie za ramiona i trzymała mocno, a pozostałe kobiety skupiły się wokół mnie. Ich blade ręce rozpięły mi koszulę i szarpnęły tasiemki spódnic. Patrzyłam, jak mnie rozbierają, jakbym obserwowała z góry coś, co przydarza się innej dziewczynie. Moje ubrania zniknęły w gęstwie rąk. Kobiety zerwały mi z nadgarstków i kostek zaśnieżone miedziane obręcze, pozostawiając tylko ich widmowe zielone ślady na skórze.

Iri uniosła nad głowę naczynie z wodą, co pozostałe kobiety powitały nowym szaleńczym zawodzeniem. Patrząc obok mnie, złamała pieczęć i wylała na mnie strumień ciepłej wody.

Spowodowany tym szok przywrócił mnie znów samej sobie. Woda zmoczyła mi włosy i splukała sól ze skóry.

– Nie! – krzyknęłam.

Wyrywałam dłoń z uścisku Modrie Reller i rzuciłam się w napierający mur kobiet. Nie byłam gotowa na bycie pogrzebaną. Nie byłam gotowa na spotkanie z Próżnią. Potknęłam się i upadłam. Kobiety podniosły mnie na nogi i pchnęły z powrotem w stalowy uścisk Modrie Reller, zawodząc i szlochając jeszcze głośniejsze niż dotąd. Podniosłam wzrok i przez jedno mgnienie zamarłam w bezruchu zszokowana, gdy

zobaczyłam Llell. Jęczała, ale w jej oczach płonęło coś jeszcze, co sprawiło, że przypomniałam sobie z żalem wszystkie te razy, kiedy mówiłam do niej ostro, by osadzić ją w miejscu.

Ściana kobiet znów ruszyła do przodu, pochłaniając Llell. Kopałam je, gdy omywały moje ciało wodą i wciągały na mnie spódnice. Zostawiły moją klatkę piersiową nagą, ale ponownie splotły mi włosy w grube ślubne warkocze i związały je miedzianym drutem. Nowym drutem owinęły mi kostki i łydki, a potem nadgarstki i przedramiona, aż ledwie mogłam znieść ciężar miedzi. Modrie Reller włożyła mi na głowę ślubny stroik z przymocowanymi kilkoma drobnymi monetami i nagle zawodzenia się urwały.

Modrie Reller położyła ręce na mojej głowie i wyrecytowała:

– Nadchodzi oddech gwiazd.

Ich pył opada

I tworzy nas wszystkie.

Nadchodzi ostatni oddech mężczyzny

I pył znowu wraca.

Kobiety szeptem powtórzyły jej słowa, a potem kolejno każda pochylała się, by pocałować mnie w czoło i ostatni raz dotknąć moich włosów.

„Ja umrę”.

Wzięły mnie na ramiona i wyniosły z sali oczyszczeń. Znowu się unosiłam, ale teraz nie w wodzie, tylko w morzu rąk, gdy wypłynęliśmy przez kwaterę sypialną na centralny korytarz statku. Mężczyźni przerywali pracę i stali w milczeniu, przyglądając się naszej procesji.

„Już nigdy więcej nie zobaczę Lucka. Nigdy nie będę prawdziwą żoną”.

Postawiły mnie na ziemi i poprowadziły między sobą. Mineliśmy kuchnie, ogrody hydroponiczne i nisze z kanarkami. Małe żółte ptaszki skakały szaleńczo w klatkach, zaniepokojone dźwiękiem głosów i zmianą powietrza.

„Nigdy nie będę miała własnych maleństw”.

Weszliśmy do hali magazynowej. Kozy odbiegły truchtem od bramy i mecząc, zbiły się w stadko na końcu wybiegu.

„Moje ręce już nigdy nie będą tkwały. Nigdy nie wyćwiczę się

w naprawach”.

Kobiety stanęły ciasno dwójkami, ramię przy ramieniu, gdy weszłyśmy do pogrążonego w cieniu kanionu utworzonego przez sterty beli miedzi, skrzynie z piaskiem i ryzy kabli światłowodowych. Objęłam ramionami nagą klatkę piersiową, by opanować drzenie. Prowadziły mnie drogą do komory chłodniczej, gdzie przechowujemy zwłoki, dopóki nie zdołamy wrócić w głębinę Próżni, gdzie urządzamy im stosowny pochówek pośród gwiazd. Tam właśnie leżało ciało mojej matki, póki córka najdoktora nie przybyła jej pochować. W mojej piersi zapłonął gniew. Owszem, zasłużyłam na karę. Ale na śmierć? Nie chciałam umrzeć.

„Nie ułatwię im tego”. Stanęłam. Moja procesja pogrzebowa zatrzymała się i stłoczyła za mną. Przez chwilę myślałam, że mi się udało, ale kobiety zaraz chwyciły mnie spracowanymi rękami i powlokły dalej. „Przeklinam was za moją śmierć” – pomyślałam.

Modrie Reller przystanęła przed drzwiami komory chłodniczej. Były uchylone i przez szparę mroźny dym sączył się do ciepłego hangaru. Podłogę zalewało mdłe niebieskie światło z biolumenicznych kloszy wbudowanych w strop, które bardziej rzucało cienie, niż oświetlało puste skrzynie i wnęki z metalowymi stołami przeznaczonymi na zwłoki.

W progu kobiety mnie puściły. Modrie Reller położyła dłoń na mojej głowie i powiedziała:

– Niech Miłosierne poniosą twoją duszę na spoczynek, Parastrato Avo.

Podłoga przywierała do moich bosych stóp, kiedy zapominałam się ruszać. Chodziłam od jednego do drugiego końca komory chłodniczej pod półmrocznym światłem biolumenicznych kloszy i krążących w nich fosforycznych ryb. Metalowe stoły były puste. Dzięki za to Miłosiernym. Gdyby uwięziono mnie tutaj z jakimiś zwłokami, mogłabym spróbować podciąć sobie gardło ostrymi końcami miedzianych drutów owiniętych wokół moich nadgarstków. Zresztą może byłoby to rozsądne wyjście. Wolałabym cięcie metalu otwierającego mi żyły i powolne zapadanie w sen, gdy moje serce przestałoby pracować.

Ale nie.

Właśnie tego chcą Modrie Reller i one wszystkie. Mają nadzieję, że umrę z zimna albo wynajdę jakiś sposób przyspieszenia swojej śmierci, co oszczędziłoby im makabrycznego obowiązku wypchnięcia mnie w Próżnię. „Przeklinam was” – pomyślałam i zaczęłam chodzić szybciej, żeby utrzymać dopływ krwi do palców rąk i nóg, powstrzymać dygot mięśni. Zerwałam z głowy nędzny stroik i cisnęłam na podłogę. „Nie ułatwię wam sprawy”.

Jednak było tu strasznie zimno. Marmurowe stoły pokrywała warstwa szronu lśniąca jak plama oleju. Żadne Miłosierne nie przybędą, by uratować dziewczynę taką jak ja. Byłam zdana tylko na siebie. Zimno parzyło mnie w stopy, ręce, płuca. Od zewnątrz i od wewnątrz lodowaty chłód obcierał mnie do żywego mięsa. Potrzebowałam ciepła. Słyszałam kiedyś o zimnie tak ostrym i przenikliwym, że ludziom palce od niego czerniały, gniły i odpadały. „Przynajmniej ciepło mi w uszy” – pomyślałam i roześmiałam się gorzko na głos, mój oddech uniósł się mgiełką w mdłym niebieskim świetle.

„Moje uszy”. Zanurzyłam dłonie we włosy. Zimno zelzało w palcach tak nieznacznie, że nie zauważyłabym tego, gdybym nie wstrzymywała oddechu. Ale zelzało. Zerwałam z włosów miedzianą wstążkę i rozplotłam warkocze. Włosy spłynęły szeroką ciężką falą niemal do pasa. Rozpostarłam je na nagich barkach i ramionach jak pelerynę. Było mi teraz trochę mniej zimno, ale wciąż niewystarczająco.

Przetrzęsłam pomieszczenie, szukając czegoś użytecznego.

Czegokolwiek, co wyciągnęłoby ze mnie ziąb, ogrzałoby mnie. „Myśl, myśl. Musi być jakiś sposób”.

„Przynajmniej zamierzają pochować cię pośród gwiazd”
–powiedziałam sobie. Mogłoby być gorzej. Moja załoga mogłaby postanowić pogrzebać mnie pod ziemią. Ale taki los spotyka tylko najgorszych z nas, morderców i heretyków, których dusze mogłyby powrócić i nawiedzać statek, gdybyśmy puścili je wolno w Próżnię. Powiadają, że kiedy trup zostanie pogrzebany w ziemi, jego dusza obraca się w proch razem z ciałem.

Zadrżałam i odepchnęłam tę myśl. Moja dusza nigdzie się nie wybiera. Pozostanie w ciele. Poszperałam z brzękiem wśród kanistrów z dwutlenkiem i odsunęłam kilka zamrożonych kozich udźców wiszących na hakach w głębi pomieszczenia. Nic. Połamane skrzynki były z plastiku i nie paliłyby się, nawet gdybym mogła w jakiś sposób rozniecić ogień. A pożar na statku to najgorsza katastrofa, jaka może się zdarzyć, prawie jak pęknięcie kadłuba. Wypala tlen z powietrza i niszczy systemy podtrzymywania życia. A skoro wciąż byliśmy w porcie, mógłby rozprzestrzenić się na stację, zeżreć tlen i zdestabilizować rdzenie reaktorów jądrowych na starszych statkach.

Roztarłam ręce i powoli obróciłam się wokoło. Metalowe drzwi, metalowe ściany, metalowa podłoga. Popatrzyłam w górę na łagodne światło biolumenu. Małe ryby i kryle, świecące dzięki procesom chemicznym w ich ciałach, krążyły w gęstym płynie odżywczym wypełniającym szklany klosz. Ta mieszanka musi je jakoś chronić przed zimnem, izolować, bo w przeciwnym razie by zdechły. Podsunęłam jedną ze skrzynek pod klosz, weszłam na nią i spróbowałam wyrwać go z sufitu. W metalowej obudowie biolumenu nie było żadnych śrub ani nitów, tylko cienka owalna szczelina w miejscu, gdzie stykał się ze stropem. Gdybym mogła go jakoś wyważyć...

„Myśl, Avo, to po prostu tylko kolejna naprawa”.

Moje spojrzenie padło na ciężkie miedziane obręcze na ręce. „Być może...”.

Zdjęłam te obręcze, rozprostowałam kawałek drutu i owinęłam go ciasno pozostałym, tak żeby się łatwo nie zgiął. Co kilka chwil przerywałam pracę, by rozetrzeć dłonie i opanować dygot ciała. Kiedy

moje prowizoryczne narzędzie było gotowe, wsunęłam jego cienki koniec w szew między obudową biolumenu a stropem. Stęknęłam z wysiłku, wepchnęłam go głębiej i podwahałam, póki we wnętrzu obudowy nie rozległ się trzask. Jeden bok biolumenu zwisał z sufitu. Po zewnętrznej stronie szkła ściekły strużki odżywczego oleju.

Pracowałam drucianym lewarem wokół obudowy. W pomieszczeniu rozbrzmiewały echem ciche trzaski za każdym razem, gdy uwalniałam kolejny fragment, aż wreszcie biolumen trzymał się sufitu już tylko na cienkim skrawku metalu. Lewą ręką podparłam śliski klosz, a prawą usiłowałam wyrwać ten ostatni metalowy strzęp. Po chwili puścił ze zgrzytem.

Zachwiałam się na szczycie skrzynki. Upuściłam moje narzędzie i oburącz przycisnęłam biolumen do piersi. Strumień odżywczego oleju rozlał się na moją klatkę piersiową. Skóra natychmiast się ogrzała, jakby ktoś przycisnął do niej ciepłą dłoń. Westchnęłam urywanie. Uchwyciłam mocniej klosz, zlazłam ze skrzyni i umieściłam go ostrożnie na jednym z pustych metalowych stołów. Zanurzyłam w nim rękę. W palce wpłynęło ciepło. O ich skórę ocierały się zimne, pokryte łuskami ryby. Chlusnęłam olejem na rękę. Osiadły na niej kryle, ale po całym ciele rozeszło się miłe pieczenie, wsączając się w mięśnie.

Wtarłam olej w szyję, twarz, ramiona. Drżałam, ale już nie z zimna, tylko z ulgi. Odrętwienie spełzało ze skóry i zapłonęły we mnie trzaskające płomyki, gdy ponownie odpaliły zakończenia nerwów. Sięgnęłam, by zaczerpnąć dłonią z klosza kolejną porcję, lecz znieruchomiałam. Poziom odżywczego oleju opadł już poniżej kreski oznaczającej połowę wysokości. Ryby zbite ciasno krążyły przy dnie, skrecając się niezgrabnie, by pozostać pod powierzchnią. Jeżeli zużyję tyle oleju, ile potrzebuję, uśmiercę te stworzenia. A kiedy w ich ciałach ustaną procesy chemiczne, ryby przestaną świecić. Znajdę się samotna w ciemnościach.

W pierś wkłuł mi się strach i wyrwał się z niej cichy szloch.
– Przepraszam – powiedziałam.

Płkanie nad rybami jest głupie, dziecinne. Nie chodziło o to, że naprawdę je kochałam, tak jak Nan kocha koty z zagrody dla zwierząt. Ale to, jak rozpaczliwie wiły się na dnie klosza, jak rzucały się

i tłoczyły, poruszyło mi serce.

Zaczerpnęłam dłonią odrobinę oleju i wtarłam go w prawą stopę. Palec, grzbiet stopy i pięta zapłonęły boleśnie, wracając do życia. Ryby cisnęły się do siebie. Nie miały już miejsca, żeby krążyć.

Wzięłam jeszcze trochę oleju i wmasowałam czucie w lewą stopę. Stłoczone ryby obróciły się na boki, by uchronić skrzela przed zetknięciem się z powietrzem. Olej pieśczośliwie omywał ich wystające na powierzchnię płetwy brzuszne.

Ponownie zanurzyłam dłoń i poczułam dotyk ich śliskich ciał. Musiałam odepchnąć je na bok, by zaczerpnąć olej. Zamknęłam oczy. Trzepoczące ogony ryb plaskały w moją skórę.

– Przepraszam – powtórzyłam.

Łzy zapiekły mnie w oczy, kiedy smarowałam sobie boki olejem.

Ryby dygotały i dyszały. Niektóre już przestały się ruszać. Ich skórę opuszczało światło i Pokój zaczął się chylić ku mrokowi.

Oderwałam dwa paski materiału z rąbka ślubnej spódnicy i owinęłam nimi stopy. Wciągnęłam się na jedną z nisz i skuliłam się do przodu, obejmując kolana. Nie wiedziałam, jak długo olej zdoła powstrzymać ziąb, ale wydawało się rozsądne stykać się z zimnym metalem jak najmniejszą powierzchnią ciała. Patrzyłam, jak światło w kloszu coraz bardziej przygasa, aż wreszcie już tylko jedna ryba jarzyła się pod ciałami pozostałych. Cienie połknęły podłogę, ściany, sufit.

„Nie gaśnij, nie gaśnij”.

Ale po chwili słaba błękitna poświata znikła i zatrzasnęła się wokół mnie prawdziwa ciemność.

Moje myśli podryfowały ku Luckowi. Czy zamknięto go tak jak mnie w jakimś lodowatym ciemnym pomieszczeniu? Czy ojciec znowu go zbił? Czy on też czeka, aż wypchną go w Próżnię? A może już nie żyje? Wyobraziłam sobie, jak mnie obejmuje, jego silne dłonie gładzą mi włosy. Jak leżę obok niego w wodzie. Nie mógł umrzeć, skoro wciąż tak wyraźnie mogę go sobie przypomnieć. Nie mógł umrzeć, skoro tak go kocham. „Proszę – błagałam Miłosierne. – Proszę, pozwólcie mu żyć”.

W pierwszej chwili pomyślałam, że skrzypnięcie drzwi to część snu. Ale pod moje zaciśnięte powieki wdarło się ostre, jaskrawe światło.

Usiadłam i zobaczyłam Iri. Trzymała nad głową zapaloną latarnię. Skóra Iri odbijała światło jak kościany księżyc.

– Nie podchodź do mnie – powiedziałam.

Głos miałam szorstki i ochryply z zimna. Zesztywniała, zgramoliłam się z niszy i cofnęłam do najbliższej ściany. „Iri”. Jej zdrada zraniła mnie najmocniej. Czy pozostałe kobiety przysłały ją, żeby wymierzyła mi jakąś nową karę? Albo może przyszła tu, żeby wyrządzić mi łaskę i postarać się, bym już nie oddychała, kiedy spotkam się z Próżnią?

– Sza – szepnęła i uniosła dłoń, uciszając mnie.

Mrużąc oczy, rozejrzała się po ciemnym pokoju. Otworzyła je szeroko, ujrawszy martwy biolumen na stole. Rzuciła na mnie taksujące spojrzenie.

Popatrzyłam za nią. Była sama. Bez Modrie Reller, Hannah czy jakiejś innej kobiety. Mój umysł ruszył powoli, ze zgrzytem, nadal oblepiony snem i strachem, gdy usiłowałam się domyślić, co to oznacza.

– Avo. – Iri wyciągnęła do mnie rękę. – Chodź.

Nie ruszyłam się z miejsca. Wiedziałam, że jest coś, o co powinnam ją zapytać, ale miałam rozdziawione usta i nie wydobyły się z nich żadne słowa.

– Pośpiesz się, dziewczyno. – Przez twarz Iri przemknął grymas irytacji. – Jeszcze tylko godzina do nowego dnia.

Oderwałam się od ściany. Iri odwróciła się i wybiegła z komory chłodniczej. Poszłam za nią otępiała. Cudownie ciepłe powietrze hali przywarło mocno do mojej skóry. Zastanawiałam się tępo, czy nadal śpię i to jest sen.

Iri przystanęła, by zaryglować za nami drzwi chłodni.

– Co... – zaczęłam szeptać.

Przerwała mi ostrym machnięciem ręki. Przytknęła palec wskazujący do ust.

Podążyłam za nią ciemnym kanionem między stertami ładunku do hangaru dla żywego inwentarza. Ciszę zakłócało tylko miarowe plaskanie naszych bosych stóp po podłodze i szelest spódnic. Kozy uniosły głowy i patrzyły na nas, gdy je mijaliśmy, lecz zaraz opuściły uszy i ułożyły się z powrotem na sianie do snu. Nawet kurczaki były tym

razem cicho. „Dziękuję wam, Miłosierne”.

Iri przystanąła przed drzwiami w zewnętrznej komorze. Wyciągnęła zza paska spódnicy niewielki złożony kwadrat materiału i podała mi.

– Włóż to – poleciła szeptem.

Rozwinęłam sukno. Była to znoszona zielona koszula, pokryta łatami i miejscami poprzecierana. Iri widocznie zabrała ją ze sterty szmat. Podniosłam wzrok na moją modrie.

– Nie możesz wyjść tak ze statku – powiedziała i wskazała głową na moją nagą klatkę piersiową, a potem zerknęła w dół na podarty skraj mojej spódnicy i stopy owinięte szmatami. – Przyniosłabym ci buty, ale nie mogłam tego zrobić tak, żeby nie zauważyła pierwszażona Reller.

Włożyłam koszulę przez głowę i ściągnęłam jej tasiemki, żeby ją dopasować.

– Dlaczego to robisz? – zapytałam.

– Kilka z nas nie chciało przyłożyć ręki do tego, co zamierzano z tobą zrobić, Avo – rzekła cicho. – Kilka mówi: „Gdyby nie łaska Miłosiernych, mogłoby to spotkać także mnie”.

Sięgnęła ręką w górę i uruchomiła drzwi. Stałyśmy tak blisko, że ich zgrzyt i hurgot zawibrowały w całym moim ciele. Serce zatrzepotało mi w piersi.

– Co ty robisz? – zapytałam w panice, przekrzykując ogłuszający ryk rozsuwających się drzwi hangaru i pneumatyczny syk pochylni opuszczającej się do podłogi stacji.

– To jedyna droga wyjścia! – odkrzyknęła.

Zerknęłam za siebie. W każdej chwili mogli się pojawić mój brat czy Modrie Reller albo ktoś inny. Niemożliwe, żeby nikt nie usłyszał dudnienia tych drzwi, nawet o tak wczesnej porze. Strażnicy z pewnością zauważyli, że je uruchomiono. Niewątpliwie w wartowni już błyskają bezgłośnie światła alarmowe.

Pochylnia uderzyła o podłogę z brzękliwym łomotem i urządzenie pneumatyczne jęknęło z ulgą.

– Chodź – powiedziała Iri i ruszyła szybko w dół pochylni, a spódnice falowały wokół jej kostek przy każdym długim kroku.

Pośpieszyłam za nią, bojąc się obejrzeć. Minęłyśmy granicę

zmiany grawitacji – poczułam nagle dudniący ucisk w piersi – i dotarłyśmy do drzwi hali targowej z zamkiem szyfrowym. Iri wyjęła z kieszeni spódnicy i rozwinęła świstek papieru. Nachyliła się bliżej do kratkowanego panelu zamka, żeby porównać widniejące na nim symbole z tymi, które przerysowała.

Za nami w wielkim hangarze rozbrzmiał echem pojedynczy krzyk.
– Pośpiesz się, Iri – rzuciłam.

Zerknęłam na symbole na panelu. Było ich tylko dziesięć, ale wyglądały dla mnie równie obco jak zapewne dla Iri. Niepewnie wcisnęła palcem pierwszy symbol sekwencji, spiczasty, z rozwidleniem u góry.

Rozległy się kolejne krzyki.

Iri wstukwała następny symbol – łatwy, zwykła prosta linia.

U szczytu pochylni pojawili się mężczyźni. Strażnicy, a wśród nich Jerej. Spozrzegł mnie. Coś straszego przemknęło mu przez twarz i pojęłam, że jeśli mnie dopadnie, czeka mnie los o wiele gorszy niż powrót do komory chłodniczej.

– Iri, błagam.

Zacięła się przy ostatnim symbolu. Jej palec zawisł nad klawiaturą. Symbol był skomplikowany, okrągły z ogonem, a na panelu widniał drugi podobny, tylko odwrócony do góry nogami. Pomodliłam się do Miłosiernych i wdusiłam za nią ostatni klawisz.

Drzwi ustąpiły. Wbiegłyśmy ile sił w nogach do hali targowej. Handlarze podnosili kraty zasłaniające witryny ich sklepów, by rozpocząć nowy dzień handlu. Poczułam zapach pieczonego chleba i ostrą woń ozonu. Sprzątacze stacji wymietli już z korytarza wszystkie śmieci z wczorajszej nocy i nasze białe stopy plaskały po lśniącej podłodze, gdy przepychałyśmy się przez grawitację.

Za nami ponownie otworzyły się z hukiem drzwi z zamkiem szyfrowym.

– Zatrzymać je! – wrzasnął Jerej, ale handlarze nie zwracali na niego uwagi, a nieliczni poranni podróżni tylko odwrócili głowy i popatrzyli za nami tępo.

Jerej puścił się pędem, a za nim pobiegli pozostali mężczyźni. Nie zmagali się z grawitacją jak my. Z każdym krokiem nas doganiali.

Iri i ja wpadłyśmy za róg na szeroką estakadę, dłuższą wszerz niż „Parastrata” i „Æther” ustawione obok siebie, nakrytą szklaną kopułą. Nad nami otwierała się bezkresna Próżnia. Westchnęłam urywanie. Tłumy ludzi roily się na tym rozległym pomoście jak pszczoły na powierzchni ula. Iri pociągnęła mnie za rękę i zanurkowałyśmy w tę gęstą ciżbę. Zrównałam się z Iri i obie, wysoko unosząc kolana, pobiegłyśmy szybciej, niż kiedykolwiek biegły dziewczyny z jakiegokolwiek załogi. Czułam ucisk w pracujących ciężko płucach. Moja dłoń pociła się w dłoni Iri, ale chwyciłam ją mocniej, żebyśmy się nie rozdzieliły.

Na końcu estakady znajdował się ciąg błyszczących czarnych drzwi prowadzących do maleńkich lśniących białą pokoików. Drzwi co chwila rozsuwały się i zasuwwały. Gdy się zbliżyłyśmy, zobaczyłam, że jedno z nich zamknęły się za kobietą w obcisłym czarnym trykocie i narzuconym na ramiona pomarańczowym płaszczu – a po kilku uderzeniach serca otworzyły się znowu, ukazując mężczyznę o skórze wypłukanej z koloru tak jak jego włosy. Szarpnęłam rękę Iri, żebyśmy zwolniły.

– To tylko szyb windziowy, Avo – powiedziała kojącem tonem, jakim przemawiam do kóz, i to rozsypało we mnie węzeł paniki na tyle, że mogłam pobiec dalej.

Pognałyśmy do drzwi. Przepychałam się teraz szybciej przez powietrze i zrobiło się twardsze. Najbliższe drzwi widocznie wyczuły nasz ciężar na kafelkach podłogi, bo zaczęły się rozsuwać. Iri i ja obróciłyśmy się bokami, żeby się w nich razem zmieścić, i wpadłyśmy do małego pokoiku. Odwróciłam się szybko. Jerej i Strażnicy przepchnęli się przez tłum i rzucili się ku nam. Drzwi znieruchomiały, wyczuwając ich ciężar.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam kratkowany panel przy przesuwanych drzwiach. Był większy niż tamten zamek szyfrowy wrót hali, a jego symbole tworzyły plątaninę linii i zawijasów wciśniętych w siebie nawzajem. A potem nad panelem spostrzegłam niewielką kwadratową taflę z biegnącą wokół jej brzegów pomarańczowo-żółtą linią błyszczącego światła, trochę podobną do tej w kwaterze kobiecej na pokładzie „Æther”. Uderzyłam w nią dłonią, gdy Jerej był już tuż przy

nas. Wrzasnął, ale drzwi się zasunęły, ucinając jego krzyk. Żołądek zjechał mi w dół, gdy pomknęliśmy w górę szybu.

Nasza pierwsza podróż na oślep w górę szybu zawiodła nas na poziom remontowy. Leżały tam karaki, fregaty i barkentyny z wybebeszonymi wnętrzościami, poszarpane i podarte żagle słoneczne. Wysoko na wyciągach wisiały kadłuby, a wokół nich bryzgały fontanny iskier. Spróbowałyśmy jeszcze raz i winda wyrzuciła nas na długi wąski korytarz, gdzieś w trzewiach stacji. Po obu stronach korytarza biegły rzędy zatłuszczonych okien. Domyślałam się, że to koszary załóg stacji albo tanie miejsca noclegowe dla pasażerów przesiadających się z jednego statku na drugi.

Schyliłyśmy się pod sznurami z wilgotnym praniem rozciągniętymi wszerz korytarza. Przeciskała się tamtędy krępa dziewczyna niosąca na ramieniu metalową beczułkę. Przywarłyśmy do ściany, by ją przepuścić. Starsza kobieta z prostymi włosami i siecią blizn wokół ust popatrzyła na nas z jednego z otworów drzwiowych. Za nią w ciasnym pokoju raczkowało niemowlę o umorusanej buzi. Nieco dalej, za nami, otworzyły się inne drzwi i wychylił się z nich mężczyzna z zaczerwienioną twarzą i spróchniałymi zębami.

– Wy, panie, szukacie towarzystwa? – zagadnął. Zrobił chwiejny krok w naszym kierunku. Od jego powalanego ziemią ubrania bił kwaśny odór alkoholu. – Jeżeli szukacie towarzystwa, mam tutaj pokój.

Iri przecząco potrząsnęła głową i popchnęła mnie naprzód.

– Jednego drinka? Jesteśmy przyjaciółmi, nie? – zawołał za nami. – Możemy się zaprzyjaźnić.

Oddaliłyśmy się, jak mogłyśmy najszybciej, nie biegnąc. Korytarz z brudnymi oknami ciągnął się bez końca. Pomyślałam, że dach musi się łagodnie obniżać nad nami. Byłam pewna, że za chwilę otworzą się gwałtownie kolejne drzwi i drogę zastąpi nam ktoś jeszcze gorszy. Żony na „Parastracie” opowiadały mnóstwo historii o dziewczynach, które oddaliły się od swoich załóg i zostały obrabowane, zgwałcone albo pocięte na kawałeczki i wrzucone do zbiorników recyklingu substancji odżywczych.

Korytarz wreszcie skończył się okrągłymi metalowymi drzwiami służbowymi. Iri pociągnęła je, otworzyła i weszła w mrok. Chciałam

pójść w jej ślady, ale w chwili, gdy postawiłam nogę, podłoga przesunęło się, obróciło i poczułam się, jakbym spadała. Krzyknęłam i wyciągnęłam rękę do Iri.

– Tutaj, Avo – powiedziała i złapała mnie.

Obrót skończył się równie nagle, jak się zaczął. Rozejrzałam się. Stałyśmy w długim tunelu towarowym. Nad nami z trzaskiem zapaliły się lampy, ale z tyłu i z przodu tunel tonął w ciemnościach. Odwróciłam się w prawo do drzwi, którymi się tu dostałyśmy. Zobaczyłam, że pogrążony w półmroku korytarz z brudnymi oknami przekręcił się na bok, tak że ich szeregi znajdowały się teraz tam, gdzie powinny być podłoga i sufit.

– Co... – zaczęłam pytanie.

– To grawitacja – szepnęła Iri. – Twórcy stacji zmienili jej kierunek, żeby ułatwić transportowanie rzeczy między poziomami.

– Och – westchnęłam.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nigdy nie myślałam, że mężczyźni potrafią zmieniać grawitację. Sądziłam, że to coś stałego.

– Idziemy naprzód czy do tyłu? – spytała Iri.

– Naprzód – odrzekłam.

Wprawdzie kondygnacja, na której cumuje „Parastrata”, leżała gdzieś z przodu lub nad nami, ale nie chciałam nawet myśleć, co może się czaić na poziomach jeszcze niższych niż ten, na którym się znajdowałyśmy.

Ruszyłyśmy. Ilekroć docierałyśmy do nowego odcinka tunelu, zapalały się światła przed nami, a te za nami gasły. Nasze kroki rozbrzmiewały echem w ciemności. Każda kondygnacja miała własne drzwi z wąskim oknem wychodzącym na przechyloną podłogę. Ktoś przyśrubował obok framug winylowe tabliczki z odbitymi symbolami. Gapiłam się na nie bezradnie, modląc się błagalnie w duszy, aby spłynęła na mnie sztuczka czytania, jeśli będę się wpatrywać wystarczająco długo. „Kiedy zostaniemy złączeni, nauczę cię czytać...”.

Mój Luck. Czy wysłali go na spotkanie z Próżnią? Jest rodzonym synem kapitana. Jego życie z pewnością musi być warte więcej niż moje. Ktoś z jego załogi go ocali, tak jak Iri ocaliła mnie. Albo może, jeśli powiemy o wszystkim właściwym ludziom, będą mogli nam pomóc.

Same zdołamy go uratować.

Ile jeszcze poziomów jest nad nami? Jak daleko zaszliśmy? W końcu zerknęliśmy przez szybę w drzwiach i zobaczyliśmy halę rozciągającą się szeroko przed nami, pełną ludzi taszczących torby i pchających poduszkowe wózki z niewielkimi skrzynkami. Uchyliłam odrobinę drzwi, żeby się lepiej przyjrzeć. Napłynął zapach dobrze wyszorowanego powietrza, a wraz z nim trzeszczenie reklam z pobliskich głośników i ręczniaków. Ten poziom mocno przypominał tamten, na którym cumuje „Parastrata”, z handlarzami i straganami z jedzeniem, ale było tu jaśniej. W centrum hali widniały sześciennie hologramy paproci i kwiatów, a wokół nich stały białe ławki.

– Poziom pasażerski – tchnęła mi do ucha Iri.

– Alarm bezpieczeństwa. – Chłodny, bezbarwny kobiecy głos przerwał potok reklam. Cofnęłam się pośpiesznie. W tunelu głos rozbrzmiał echem: – Doniesiono o zaginięciu szesnastoletniej dziewczyny. Ostatnio widziano ją w towarzystwie jej starszej krewnej, która jak się uważa, ją uprowadziła. Obie mają rude włosy i pochodzą z plemienia kupców. Jeśli ktokolwiek zobaczy te osoby, proszony jest o poinformowanie najbliższego posterunku służby bezpieczeństwa. Kod pięć-dwa-dziewięć.

Iri i ja popatrzyłyśmy na siebie nawzajem szeroko otwartymi oczami. „Niech to dziewięć piekieł!”. Zatrzasnęłam drzwi. Jak oni tego dokonali? Skąd wiedzieli? Widocznie Jerej albo ojciec nakłonili kogoś, by pomógł nas ścigać. Musieli powiedzieć, co zrobiłam. Teraz nikt nam nie pomoże. Oparłam się bezsilnie o drzwi, serce podeszło mi do gardła i dławilo mnie. Muszę odepchnąć od siebie myśl o Lucku, bo inaczej położę się tutaj i już nigdy nie wstanę. Trzeba się stąd ruszyć.

Odchrząknęłam.

– Co teraz?

Iri uklękła pośrodku tunelu.

– Pomyślałam o tym – rzekła.

Wywróciła kieszenie i wyjęła zwoje ręcznie tkanych materiałów, szpulki miedzi, matowe pozieleniałe monety ze ślubnego stroika – najwyraźniej wszystkie wartościowe rzeczy, jakie zdołała upchać w kieszeniach, zanim uciekła.

- Na wymianę – powiedziała.
- Wymianę? – powtórzyłam tępo.

Skinęła głową.

- Znam kogoś na powierzchni, kto mógłby nam pomóc.
- Znasz kogoś na powierzchni?

Wgapiłam się w nią, w jednej chwili zapominając o zagrożeniu ze strony Jereja i Strażników. Równie dobrze mogłaby powiedzieć, że zna kilka zefirów Próżni.

– Tak – rzekła i zacisnęła usta, jak gdyby niepewna, czy może mi zaufać i ile wyjawić.

Przykucnęłam obok niej i dotknęłam palcem jednej ze skorodowanych monet.

– Kogo?

– Pamiętasz – zaczęła powoli – pamiętasz, że kiedy twoja matka przeniosła się do Próżni, córka najdoktora przybyła na pokład „Parastraty”, żeby poukładać sprawy z twoją prababką Hannah?

Przed moimi oczami jak duch przemknął obraz tej dziwnej obcej kobiety, która miała odkryte tylko dłonie i twarz. „Turrut i Hah. Może przybyła, żeby cię porwać”.

– Pamiętam.

Iri ułożyła monety w kupkę. Dźwięczały jak kapiąca woda.

– Poznałam ją trochę.

– Poznałaś ją?

– Tak – potwierdziła Iri. – Jeśli do niej dotrzemy, pomoże nam.

– Skąd wiesz? – spytałam.

Podniosła na mnie wzrok.

– Ponieważ już wcześniej pomagała.

Coś w tonie głosu Iri powiedziało mi, żeby nie naciskać dalej.

W czymkolwiek pomogła jej ta córka najdoktora, to nie jest coś, o czym można mówić głośno, nawet teraz, po dziesięciu obrotach.

– Wiesz, gdzie ona jest? – zapytałam zamiast tego.

– Na powierzchni.

– Ale gdzie na powierzchni?

– Na Ziemi. W Mum... – Iri potknęła się na tym słowie. –

W Mumbaju.

– Co to jest?

– Nie wiem. Chyba miasto.

Pomyślałam o koloniach i pogranicznych placówkach, o których opowiadali nam wracający stamtąd mężczyźni. Małe skupiska hermetycznych budynków otoczone polami paneli baterii słonecznych, pomp azotu i nakrytych kopułami konwertorów dwutlenku. Chociaż Ziemia jest tak ciasno zatłoczona, czy rzeczywiście byłoby trudno znaleźć tam kogoś, jeśli poszukiwanie zawęziłoby się tylko do jednego miasta?

– Wyślemy do niej wiadomość? – zapytałam. – O tym myślisz?

Iri wyglądała na zaniepokojoną. Przecząco potrząsnęła głową.

– Więc co zrobimy? – chciałam wiedzieć.

Zawahała się.

– Przecież nie możesz mieć na myśli... – Urwałam i wzdrygnęłam się. Chyba wiedziałam, co Iri zamierza zrobić. – Och, nie!

– Tylko na małą chwilkę, Ava.

– Nie.

– Nie słyszałaś? Wszyscy na stacji nas szukają. Gdybyśmy wysłały wiadomość, mogliby ją podsłuchać. Jedynym bezpiecznym sposobem skontaktowania się z nią jest pojechanie tam. Pojechanie na powierzchnię. Słyszałam kiedyś, jak kilku mężczyzn rozmawiało o tym, że można wynająć miejsce na statku promowym. Można nawet zapłacić, żeby ukryli twoje nazwisko.

– Nie – powtórzyłam. – Iri, co ty sobie myślisz? Nie możemy tego zrobić.

Jakby w ostrzeżeniu lampy nad nami zgasły, pogrążając nas w ciemności. Zbyt długo pozostawałyśmy w bezruchu.

– Spójrz, jakie jesteśmy poza statkiem – ciągnęłam. – Brak nam tchu, kości mamy ciężkie jak z ołowiu, jesteśmy gotowe ulec zewowi Ziemi. Udanie się na powierzchnię mogłoby nas zabić. – „Albo gorzej”, pomyślałam.

– Córka najdoktora to znosi – rzekła cicho Iri.

Znała *Słowo Niebios* równie dobrze jak ja.

Ale kto wie, co życie na powierzchni zrobiło z córką najdoktora, jak ją zmieniło? Czy w ogóle nadal jest kobietą, czy może trzeba stać się

czymś innym, żeby móc znieść pod nogami Ziemię?

– Nie, Iri – powiedziała w ciemnościach. – Proszę, nie.

Dotknęła mojego ramienia.

– To jedyny sposób, jaki potrafię wymyślić, Avo.

– Możemy podpisać umowę o pracę w jednej z firm spedycyjnych.

Albo ukrywać się tutaj przez kilka wacht, zarabiając sprzątaniami lub czymś w tym rodzaju. Albo błagać, żeby przyjęto nas do nowej załogi.

Słyszałam raz, jak Jerej powiedział, że załoga statku „Nau” od zbyt dawna krzyżuje się między sobą. Potrzebują tam kobiet...

– *Aviso de seguridad* – przerwał nam ten kobiecy głos z głośników, rozpoczynając wygłaszanie komunikatu w kolejnym języku.

Iri parsknęła.

– Z tym, co wisi nad naszymi głowami, nie zatrudni nas żadna firma spedycyjna ani nie przyjmie nas żadna załoga, nawet statku „Nau”. Zapominasz, że dla nich wszystkich jesteś tak samo martwa jak dla załogi „Parastraty”. Poza tym ja nie jestem łakomym kąskiem jako żona, zwłaszcza dla załogi rozpaczliwie potrzebującej płodnych kobiet.

Zerknęła w dół na swój płaski brzuch i szybko odwróciła wzrok, sądząc, że tego nie widziałam. Ale widziałam. Widziałam. To ją dręczyło. Nagle przygniótł mnie ciężar tego, co naprawdę zrobiła Iri, ratując mnie. Zrezygnowała z wszelkiej szansy na ponowne małżeństwo, z wszelkiej szansy na posiadanie maleństwa. I wszystko to dla mnie.

– Zrobię to – usłyszałam siebie. – Pojadę.

Iri i ja wyszliśmy z tunelu towarowego na poziom pasażerski.

Świat znowu się przekręcił, gdy zmieniła się grawitacja, ale tym razem byłam na to przygotowana. Wślizgnęliśmy się w tłum tłoczący się w hali. Mężczyźni i kobiety poruszali się tutaj swobodnie. Wtopiliśmy się w potok strojów z drukowanymi jedwabiami i skafandrów ciśnieniowych, ludzi o cerze ciemnej i jasnej. Szukałam wzrokiem Jereja i Strażników. Ani śladu, przynajmniej na razie.

– *Avis de sécurité*.

Obydwie boczne ściany hali wypełniały szeregi drzwi, przy każdym znajdowało się biurko bądź kontuar za przepierzeniem. Przy najbliższym na krześle siedziała z rozstawionymi nogami ciemnoskóra kobieta z burzą czarnych loków o złotych końcówkach, ubrana

w spodnie, buty do kolan i białą bluzkę wyciętą tak, że odsłaniała obojczyk. Za nią widniał właz przejścia prowadzącego do słupu krótkiego zasięgu. Dostrzegła nas kątem oka już z odległości kilku kroków, jednocześnie wprawnie rozłupując orzech między dłonią a płaskim bokiem ostrza długiego noża. Rzuciła pokruszoną skorupkę na podłogę, a zawartość włożyła do ust. Głęboka pomarszczona blizna na jej twarzy biegła w dół z boku nosa i przecinała jedną stronę umalowanych na czerwono warg. Przycisnęłam się mocniej do Iri.

– Tam – powiedziała Iri.

Poprowadziła mnie do rzędu przepierzeń przed trapem opasłego promu pasażerskiego. Nad nimi wirował widmowy obraz komety okrążającej planetę. Taki sam symbol nosiła w klapie kobieta siedząca po drugiej stronie szklanej szyby. Była schludna i gładka. Jej czarne włosy lśniły, wargi połyskiwały jaskrawym, bijącym w oczy różowopomarańczowym kolorem, a twarz pokrywały pastelowe błyszczki i barwniki.

– Witamy serdecznie w firmie Podróże Gwiazdne Hyakutake – powiedziała z uśmiechem i wychyliła się do przodu. – Jesteśmy prawdziwą gwiazdą w naszej branży! Dokąd możemy was dzisiaj zabrać?

– Do M-mumbaju – wyjąkała Iri.

Kobieta potrząsnęła głową, lecz jej uśmiech nie przygasł.

– Przepraszam, nie zrozumiałam. Dokąd chcielibyście polecieć?

– Do Mumbaju – wypaliłam.

Znowu potrząsnęła głową.

– Przepraszam, nie zrozumiałam. Dokąd chcielibyście polecieć?

Przyjrzałam się jej uważnie. Było coś nie w porządku w tym, że jej włosy podskakiwały dokładnie tak samo za każdym razem, gdy potrząsała głową, w identycznej melodyjnej intonacji wypowiedzianych tych samych słów.

– To hologram – powiedziałam.

I wtedy spostrzegłam, że ramiona kobiety są nieznacznie przezroczyste. Zrobiłam krok w bok i obraz kobiety rozpląszczył się na szybie.

Iri kiwnęła głową, jakby już wcześniej to wiedziała.

– Do Mumbaju – powtórzyła śmiało i wyraźnie.

– Podróż do Mumbaju będzie wymagała skorzystania z transportu naziemnego z miejsca lądowania w Międzynarodowym Porcie Kosmicznym w Dubaju – oznajmiła zhologramowana kobieta. W górnym rogu szklanej tafli wyskoczyła przezroczysta mapa z zaznaczoną proponowaną trasą jarzącą się niebieską linią. – Chcielibyście zarezerwować przejazd lądowy teraz czy po przylocie?

– Ile to kosztuje? – spytała Iri.

Kobieta znowu z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Przepraszam, nie zrozumiałam. Proszę powiedzieć: „teraz” albo „po przylocie”.

– Teraz – rzuciła Iri ostro, pośpiesznie. Zerknęła przez ramię. – Jaki jest koszt?

– Wasze opcje ceny biletów są wyświetlone tutaj – powiedziała holograficzna projekcja, wskazując gestem w lewo, i nad jej ręką rozwinął się długi wzór kolumn symboli. Pośród słów rozrzucone były nieliczne V i A, lecz w niczym mi to nie pomogło. – Proszę wybrać preferowany plan cenowy, dotykając ekranu.

Z góry wślizgnął się między nas bezbarwny głos wypowiadający komunikat ostrzegawczy:

– *Jǐng bào...*

Spojrzałam z niepokojem na Iri, a ona mocno zacisnęła usta.

– Potrzebujemy kogoś żywego – rzekła do mnie. Powiodła wzrokiem po zatłoczonej hali. – Jakiegoś niewielkiego stateczku należącego do kogoś, z kim mogłybyśmy dobić targu.

– Przepraszam, nie zrozumiałam – powiedział ponownie z uśmiechem hologram, potrząsając głową.

– Nieważne, anuluj – rzuciła Iri i machnęła ręką. – My nie...
Anuluj.

Szeregi symboli zbladły i zniknęły, pozostawiając tylko projekcję kobiety na szybie.

– Dziękujemy za rozważenie skorzystania z usług firmy Podróże Gwiazdne Hyakutake – powiedziała, po czym znieruchomiała z lekko uniesioną głową i szerokim uśmiechem.

Oddaliśmy się chyłkiem. Iri rzucała szybkie spojrzenia na kolejne

statki. Sprzedaży biletów w funkcjonalnych, średniej wielkości boksach nie prowadził ani jeden żywy człowiek, tylko kolejne hologramy. Wreszcie zza pojazdu o ostrym, iglastym dziobie popatrzył na nas gniewnie wysoki mężczyzna z ogoloną głową. Przy ostatnim statku siedziała starsza kobieta przesiąknięta oparami paliwa i alkoholu.

Iri podeszła niepewnie do mężczyzny i z szacunkiem skłoniła głowę.

– Naj, proszę, czy mogłybyśmy zarezerwować przelot?

Żując coś wolno, zmierzył ją wzrokiem.

– Czy możecie zapłacić?

Iri odchyliła fałdę szmatki trzymanego zawiniątka, ukazując skarby, które zrabowała z „Parastraty”.

Mężczyzna chwycił jedną z monet i potarł kciukiem. Na skórze została mu smuga zieleni. Z odrazą cisnął monetę z powrotem Iri.

– Tylko karty kredytowe.

– Proszę, naj, to ślubne monety – wtrąciłam.

– Bezwartościowe – rzucił. – Czy myślisz, że mogę napędzać statek szmatami i zapleśniałymi drobniakami?

Iri cofnęła się, jakby wymierzył jej policzek. Chciałam odpowiedzieć mu coś ostro, ale objęła mnie ramieniem i odciągnęła pośpiesznie. Przystanęliśmy pośrodku hali. Wokoło ludzie tłoczyli się, przepychali i omijali nas, a my stałyśmy nieruchomo jak kamienie, trzymając razem troskliwie skarby Iri.

– Nie możemy wszczynać kłótni, bo zwrócimy na siebie uwagę – powiedziała. Potrząsnęła głową nad zawiniątkiem. – Myślałam, że to jest coś warte.

– Ja też – rzekłam.

Nigdy nie udawało się nam zdobyć niczego poprzez handel wymienny z innymi załogami czy faktoriarnami w koloniach. Czy to możliwe, że ludzie mieszkający w pobliżu Ziemi naprawdę są tak różni od nas? „Jak zdołamy dobić z nimi targu?”. Popatrzyłam nad ramieniem Iri. Kobieta z nożem znowu miała głowę zwróconą w naszym kierunku. Blizna uniemożliwiała odczytanie wyrazu jej twarzy.

Iri spostrzegła, że patrzę w tamtą stronę. Obejrzała się.

– Ona? – Odwróciła się szybko z powrotem do mnie i uśmiechnęła

się szeroko. – Świetnie, Avo, doskonały wybór.

– Nie, Iri, zaczekaj – powiedziałam.

Coś w tej kobiecie z blizną mnie niepokoiło. Jedne Miłosierne wiedzą, co zrobiło z nią chodzenie po Ziemi. Może zdeformowało jej umysł i duszę tak jak twarz. W opowieściach starychdziewczyn zawsze można odczytać mapę czyjejś duszy z jego wyglądu. Chciałam złapać Iri za ramię, ale wyslizgnęła się z mojego chwytu i energicznym krokiem podeszła do kobiety.

Ociągałam się niepewnie. Kobieta z nożem przeniosła wzrok z Iri na mnie i z powrotem na nią. Iri zatoczyła koło wolną ręką, a potem wyciągnęła drugą w błagalnym geście, podając zawiniątko ze skradzionymi przedmiotami. Kobieta wzięła je, zważyła w dłoni i znowu popatrzyła na mnie.

Iri podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Avo, chodź tu – rzekła i przywołała mnie gestem ręki, a w jej oczach zabłysła nowa nadzieja.

Objęłam się ramionami, spuściłam głowę i podeszłam szybko do Iri. Powiodłam spojrzeniem po tłumie, wypatrując Strażników, i stanęłam w czujnej pozie, na wypadek gdybym znowu musiała rzucić się do ucieczki.

– To kapitan Guiteau – wyjaśniła mi Iri. Otoczyła ramieniem moje plecy i zwróciła się do kobiety z blizną: – Jak widzisz, żadna z nas nie jest bardzo ciężka.

Kapitan zwróciła jej zawiniątko, lecz wzrok miała utkwiony we mnie.

– Nie wątpię w to. Ale to tylko słup pocztowy, moje panie. Tak więc, jeśli macie do wysłania jakieś paczki albo chcecie, żebym dostarczyła na powierzchnię coś z tego... – Wskazała ruchem głowy trzymane przez Iri naręczce ubrań. – Tyle mogę zrobić. Przesyłki polecane.

Kiedy mówiła, poruszała się tylko prawa, nieuszkodzona strona jej ust. Kącik przecięty blizną pozostawał nieruchomy, przez co wyglądała, jakby wymawiając każde słowo, krzywiła się w grymasie. Cokolwiek zrobiło tę szramę, było mocno złe. Szybko odwróciłam wzrok, żeby nie spostrzegła, że się jej przyglądam.

– Proszę – spróbowała ponownie Iri cichym głosem. – Na powierzchni mieszka kobieta, nasza znajoma. Ona może dać ci więcej, jeśli tylko zawieziesz nas do niej. Proszę tylko o odrobinę miejsca na podłodze ładowni.

Kapitan Guiteau przecząco potrząsnęła głową.

– Nie mogę umieścić w mojej komorze ładowni żywych ludzi. Nie ma tam regulacji temperatury i jest bardzo ciasno. Nie zamierzam wylądować z dwoma trupami pośród przesyłek.

– Proszę, najkapitan...

W ręczniaku przymocowanym do paska kobiety zatrzeszczał głos:

– Alarm bezpieczeństwa...

Kapitan Guiteau zerknęła w dół na urządzenie. Potem spojrzała na mnie i ostentacyjnie je wyłączyła.

– Dlaczego tak bardzo chcesz się dostać na powierzchnię? – spytała, krzyżując ramiona na piersi.

Nie zdołałam nic odpowiedzieć. Popatrzyłam na Iri.

– Tam mieszka jej... – urwała, szukając słowa. – Jej modrie. Siostra jej matki.

Siostra mojej matki. Nigdy dotąd nie słyszałam, by ktoś określił w ten sposób to, kim córka najdoktora była dla mojej matki. Mój umysł usiłował teraz nieporadnie dopasować te słowa do wspomnień. „Siostra mojej matki. Moja rodzona modrie. Może przybyła, żeby cię porwać”.

Kapitan Guiteau obserwowała mnie uważnie. Odwróciłam głowę i wpatrzyłam się pustym wzrokiem w tłum. Jeszcze zaledwie dzień czy dwa dni temu na widok tylu ludzi stłoczonych razem poczułabym się niemal, jakbym tonęła, ale teraz łatwiej przychodziło mi patrzeć, jak przepływają tam i z powrotem po obu stronach hali, niczym ławice ryb. Przyglądałam się ich podskakującym głowom. Włosy czarne jak ptasie oczy, białe, brązowe i rude. Drgnęłam nagle. Rude. Usiłowałam związać razem myśli. Rude. Wzdłuż skraju tłumy zbliżał się szybko rój rudowłosych głów.

Kurczowo chwyciłam Iri za ramię. Podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem i zobaczyła to samo co ja. Przez ciżbę przeciskali się mój ojciec, Jerej i rozsypany wachlarzem cały oddział mężczyzn o płomiennie rudych włosach.

– Uciekajmy, Iri – szepnęłam, złapałam ją mocno za rękę i szarpnęłam.

– Zaczekajcie! – zawołała kapitan.

Iri się zawahała.

„Nie. Musimy uciekać” – pomyślałam i pociągnęłam ją.

Kapitan Guiteau rzuciła szybkie spojrzenia na mnie, Jereja, ojca, Strażników i znowu na mnie. Widziałam, że jej umysł dokonuje końcowego obrotu i wszystkie elementy wpadają w swoje rowki.

W tym momencie mój ojciec się odwrócił. Zobaczył mnie i Iri. Zawołał do Jereja, przekrzykując nieustanne szuranie nóg i gwar tłumu. Kilkoro pasażerów zwolniło i spojrzało, wpatrywało się w nas coraz więcej oczu. Tamci za chwilę przepchną się przez ciżbę, zawłoką mnie i Iri z powrotem do komory chłodniczej „Parastraty”. Ale Iri czekała ze wzrokiem utkwionym w kapitan słupu pocztowego. Czas zwolnił bieg. Ojciec odepchnął na bok gapiącego się pasażera. Jerej machnięciem ręki dał znak pozostałym mężczyznom.

Kapitan wydeła usta. Podjęła decyzję.

– Mogę zabrać jedną.

– Avę. Zabierz Avę – rzuciła bez wahania Iri. Wcisnęła mi do rąk zawiniątko i pchnęła mnie w ramiona kapitan. – Uciekaj, już.

– Ale... – zaczęłam, wpatrując się z osłupieniem w pakunek.

Kapitan Guiteau chwyciła mnie za przegub.

– Tędy – powiedziała. Wetknęła nóż za pasek i pociągnęła mnie do wjazdu przejścia łączącego jej statek ze stacją. Otworzyła go szarpnięciem. – No, szybko.

Odwróciłam się w porę, by zobaczyć, jak mój ojciec powalił Iri na ziemię. Uderzyła mocno podbródkiem o podłogę z odgłosem przypominającym pękające jajko.

– Soraya Hertz! – krzyknęła. Miała na zębach krew. – Twoja modrie nazywa się Soraya Hertz. Nie zapomnij!

Kapitan wciągnęła mnie przez właz. Kłapa zatrzasnęła się i zablokowała z cichym syknięciem, ale zdążyłam jeszcze zobaczyć przelotnie, że Iri szamocze się na podłodze pod trzema mężczyznami, a tłum podróżnych przygląda się temu ze zdumieniem.

– Iri! – zawołałam.

Niemal wyrwałam się kapitan, ale była szybka i silniejsza ode mnie.

– Chodź, fi. Nie możesz w żaden sposób jej pomóc.

– Ale...

– Ona tego chciała. – Kapitan Guiteau obróciła mnie do siebie i nasze spojrzenia się spotkały. – Nie rozumiesz? Chciała, żebyś uciekła. Teraz my obie musimy uciec. Więc biegnijmy – powiedziała i puściła moje ramię.

Pobiegłam.

Pole grawitacyjne slupu było słabe. Mój żołądek zrobił fikołka, a włosy stanęły dęba, gdy kapitan skręciła ostro z orbity stacji w kierunku olbrzymiej połyskliwej krzywizny błękitu. Przypasana do jednego z dwóch wąskich foteli statku, trzymałam się mocno poręczy, a cała kabina trzęsła się od wibracji silników. „Zaraz zwymiotuję”. Przycisnęłam dłonią żołądek i zamknęłam oczy, starając się nie myśleć o wyłaniającej się w dole jasności, o krwi w ustach Iri ani o tym, że zostawiam Lucka.

– W porządku – odezwała się kapitan Guiteau. Wycie palników statku nieco ucichło. – Już się wyrwałyśmy.

Otworzyłam oczy. W iluminatorze widać było tylko wąski półksiężyc Próżni. Reszta pozostawała jaskrawa, zbyt jaskrawa, jak gdybym spoglądała w zwrócone prosto ku mnie żagle słoneczne jakiegoś statku. Zmrużyłam oczy i zasłoniłam je dłonią przed tym oślepiającym światłem.

– Co to za mężczyźni cię ścigają? – rzuciła kapitan zajęta pchaniem w dół jednej z dźwigni na pulpicie sterowniczym. Dźwignia miała rączkę oklejoną taśmą. – Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Mój ojciec – odrzekłam. Nie mogłam na nią patrzeć, nie mogłam spoglądać na jaskrawą planetę, nie mogłam też zamknąć oczu, bo wtedy widziałam Iri i Lucka. – I brat.

– Co takiego zrobiłaś, że tak ich rozwścieczyłaś? Ukradłaś coś? Pocałowałaś chłopaka, którego nie lubią?

W jej głosie wyraźnie brzmiała łagodna kpina, lecz te słowa zabolowały mnie, gdyż cięły zbyt celnie. Miałam wrażenie, jakby w nosie i oczach palił mnie żrący kwas. Nie rozplączę się, nie teraz.

– Coś złego – zdołałam wydusić.

Coś tak złego, że nawet ta kobieta z blizną nie potrafi sobie tego wyobrazić. Kobieta urodzona na Ziemi, kursująca między Ziemią a niebem bez mężczyzny, który by jej strzegł, malująca swoje zeszpecone usta. Tak złego, że to ona lituje się nade mną.

– Cokolwiek to było, z pewnością nie zasłużyłaś na to, co zamierzali ci zrobić – powiedziała i znowu umilkła.

Uważnie obserwowała drgające wskaźniki i migoczące lampki na pulpicie sterowniczym.

– Skąd wiesz, co zamierzali mi zrobić? – zapytałam i po raz pierwszy dostrzegłam coś smutnego i łagodnego w kącikach jej zaciętych ust.

– Ten wyraz ich twarzy. Widywałam go już wcześniej. – Spochmurniała. – Zawsze oznacza to samo.

Popatrzyłam na nią. Nie potrafiłam objąć umysłem jej zwątpienia i odwagi, tego, jak mogą pomieścić się w jednej osobie.

Mój wzrok przykuła ściana kabiny za nią. Na haczykach wśrubowanych w gródź wisiały zastępy płaskich metalowych posążków – węże w koronach, koguty, brosze w kształcie słońca – grzechoczących od wibracji silników.

– Co to takiego? – zapytałam.

Kapitan podniosła wzrok znad przełączników i uśmiechnęła się przelotnie.

– Amulety na szczęście. Zrobiła je dla mnie moja mała córeczka.

Chciałam zapytać, czy działają, ale poczułam suchość w ustach na widok Ziemi pęczniejącej w iluminatorze.

– Jesteś przypięta pasami? – zapytała kapitan i po namyśle dorzuciła: – Byłaś kiedykolwiek na planecie?

Przecząco potrząsnęłam głową.

Obrzuciła mnie zaniepokojonym spojrzeniem, ale było już za późno. Dolatywałyśmy.

– Trzymaj się mocno – powiedziała. – Grawitacja paskudnie cię rąbnie.

Wibracje nasiliły się i objęły cały statek, gdy wchodziłyśmy w atmosferę. Narastały, aż słup zaczął kołysać się pod nami. Kurczowo uchwyciłam się obiema rękami moich krzyżujących się pasów naramiennych.

W iluminatorze eksplodował błysk światła i coś uderzyło mnie mocno w pierś, wyduszając ze mnie całe powietrze. Usiłowałam odetchnąć, lecz płuca mnie nie usłuchały. Ciężyły mi, jakby wypełniono je ołowiem. Statek runął w dół i pęd wcisnął mnie w fotel. Wzrok zmałyły mi ciemne plamki. Dyszałam ciężko. „Czy to właśnie to?”. Czy

to miały na myśli starych, kiedy ostrzegały nas przed dotknięciem przez Ziemię? Czy właśnie to czujemy, kiedy dusza opuszcza ciało? Ciężyły mi wszystkie mięśnie – nóg, dłoni, głowy, powiek. Moja skóra zmieniała się w skorupę. Serce mozolnie tłukło się w piersi i bolało przy każdym rwanym uderzeniu.

– Trzymaj się tam! – zawołała kapitan Guiteau, przekrzykując hałas. – Sprowadzam nas niżej. Kiedy się tam znajdziemy, będziemy mogły zmniejszyć prędkość i stracimy kilka G.

Nie potrafiłam pojąć sensu jej słów. Wszystko coraz bardziej zwalniało, także bicie mojego serca. Nie znałam tej kobiety. Mogłaby zrobić ze mną cokolwiek i nikt nigdy by się o tym nie dowiedział. Panika przeszła moje otępienie na tyle ostro, by zmusić mnie do otwarcia oczu. Zobaczyłam oślepiające bielą szczyty obłoków.

– Zamknij oczy – poleciła kapitan. – Skoncentruj się na oddychaniu. Jesteśmy już prawie na miejscu.

Gdy to mówiła, znowu zawyły palniki i rumor osłabł do cichego stukotu. Ciężar mojego ciała trochę się zmniejszył, na tyle, bym mogła płytko oddychać, i wymiotło mi z oczu mroczki.

Kapitan Guiteau pstryknęła kilkoma przełącznikami na pulpicie.

– Jaki był poziom grawitacji na twoim statku? – zapytała, nie patrząc na mnie.

Poziom grawitacji?

– Ja nie... – zaczęłam.

Ale przypomniałam sobie, jak mężczyźni, którzy mieli udać się na powierzchnię, przygotowywali się do tego w sali treningowej. Wkładali obciążone pasy i biegali, żeby przyzwyczaić serca i ciała do siły przyciągania Ziemi.

– Statki dalekiego zasięgu zazwyczaj nie schodzą poniżej sześciu czy ośmiu dziesiątych G – rozważała na głos kapitan. – Naprawdę nie byłaś nigdy na powierzchni planety? Czym się zajmowali twoi ludzie? Handlem?

– To załoga kupców...

Urwałam i zaczerpnęłam tchu. Wysięk mówienia wypalał całą moją energię.

– Znam ludzi, którzy łamią przepis zabraniający przebywania

w przestrzeni kosmicznej dłużej niż przez dziewięćdziesiąt dni bez przerwy. Ale nigdy nie słyszałam o nikim, kto spędził całe życie, nie dotknąwszy powierzchni żadnej planety, chyba że ciążenie na jego statku wynosi pełne jedno G – mruknęła kapitan. – Ale twoi ludzie przynajmniej stosowali wobec ciebie procedury wspomagania układu krążenia, prawda?

Nie wiedziałam, o czym mówi, ale to nie miało znaczenia.

– Kobiety przestworzy, pozostańcie wysoko... – szepnęłam i uśmiechnęłam się gorzko do siebie.

Kapitan obrzuciła mnie spojrzeniem.

– Nic ci nie jest, fi?

Potrząsnęłam głową i pozwoliłam powiekom opaść. Czułam, że moje ciało jest stare i zmiażdżone bólem.

– Jestem martwa – powiedziałam.

– Martwa? – spytała ostrożnie, jakby sądziła, że mówię od rzeczy, półprzytomna z bólu i znużenia.

Skinęłam głową. Gdy statek wychynął spod chmury, jaskrawy blask słońca omiótł mi twarz, czerwieniąc świat pod moimi powiekami.

– Martwa.

Upał. Lepki, wilgotny, taki, od którego moje płuca kipią i wiotczą. Taki, w jakim budziłam się każdego dnia na „Parastracie”. Przez chwilę myślałam, że wróciłam, że jestem znowu w domu, obok mnie śpi zwinięta w kłębek Lifil, a Iri i Luck są bezpieczni. Ale potem z wysiłkiem otworzyłam oczy i wlało się w nie światło, gęste i złote, jakby cały świat zatonął we wrzącym oleju. Pochylała się nade mną maładziewczynka w wieku jakichś ośmiu obrotów. Poniżej jej uszu sterczały krótkie czarne warkoczyki. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami o barwie głęboko miodowobursztynowej, jaśniejszymi o kilka odcieni od jej ciemnobrązowej skóry.

Odetchnęła gwałtownie.

– Mamo, ona otworzyła oczy!

Znowu je zamknęłam i próbowałam sobie przypomnieć. Świat podskakujący w górę i w dół, okrutnie niebieskie niebo. Moje włosy wilgotne od potu. Krzyki i czyjeś ręce na moich ramionach, podnoszące mnie. Przelotny obraz – wszędzie wokoło woda i... i... Jak to się nazywa? Łódź, pomalowana na ciemnofioletowo, różowo i żółto jak żółtko; jej przód zavalony wysokimi stertami paczek i przesyłek wrzyna się w głęboką wodę. Potem połatane pstrokate ściany i blaszany dach piekący się w żarze słońca. Powietrze przesiąknięte zapachem dymu i paliwa i wszędzie tylko palące światło i głosy.

A potem cień. Tykanie wentylatora wirującego leniwie w górze. Męska dłoń, wielka, chłodna i sucha, spoczywająca na moim czole. „*Lifren...* – jego głos szeleszczący łagodnie jak sucha niczym papier skóra jego dłoni. – *Ki sa li genyen?*”.

Kapitan mówiąca cicho w tym samym języku, wkładająca mu coś do ręki. Palce mężczyzny przyciśnięte do tętna na mojej szyi i coś nałożonego na mój nos, co doprowadza chłodny słodki tlen do moich obolałych płuc. A potem ukłucie igły we wnętrzu zgięcia ręki i osunięcie się w nicość.

Teraz dopiero się z niej wydobyłam. Spróbowałam unieść się do pozycji siedzącej, ale moje mięśnie zadygotały z wysiłku i opadłam z powrotem na wyściełany siennik, wilgotny od potu. Czułam się, jakby

ktoś gmerał grubymi niezdarnymi paluchami w moich mięśniach i rozrywał je włókno po włóknie. Mogłam tylko leżeć nieruchomo i czekać, aż moje kończyny się odblokują.

Ta maładziewczynka patrzyła na mnie przestraszona.

– Manman! – zawołała.

Do pokoju zajrzała kapitan Guiteau. Nie miała już na sobie kurtki i pasa zdobionego koralikami, tylko ciężki skórzany fartuch mechanika i gogle spawalnicze.

Uklęła przy mnie z boku pryczy.

– Miyole, podaj mi jedno z tych opakowań z wapniem.

Zdjęła z metalowego haka nad moim łóżkiem pęcherz wypełniony kredowobiałym płynem i połączyła go z małym plastikowym czymś wystającym z mojego ramienia.

– Daj temu chwilkę, fi – powiedziała i odgarnęła mi z czoła wilgotne włosy.

Kurcze powoli ustąpiły. Moje mięśnie się odblokowały, ale odnosiłam wrażenie, że całe ciało mam zmaltretowane. Leżałam na plecach, oddychając ciężko. Ścianę nade mną pokrywał namalowany nieregularnymi smugami wizerunek różowej kobiety z rybim ogonem. W jednym z wysokich okien pokoju wirował wentylator. Rozejrzałam się. Kapitan Guiteau i Miyole kucały przy pryczy od strony mojej głowy i przyglądały mi się z niepokojem. Za nimi znajdowała się ściana pomalowanych na zielono półek uginających się pośrodku pod ciężarem żywności i części mechanicznych, których sterta sięgała aż do sufitu.

– No, już dobrze – powiedziała kapitan Guiteau.

Pomogła mi usiąść i oprzeć się o ścianę. Wydawało mi się, że mam w ciele odłamki szkła, które przy każdym ruchu szorują ze zgrzytem o kości, ale kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam, że moja skóra jest gładka jak zawsze. Jakim cudem kapitan i ta maładziewczynka mogą poruszać się tak szybko i swobodnie w ciężkim uścisku Ziemi?

Naszła mnie kolejna fala mdłości. Zamknęłam oczy i oddychałam z trudem pomimo cienkich elastycznych rurek pompujących powietrze do mojego nosa. Dotknęłam gumowej taśmy obwiązanej wokół mojego ramienia. Zamiast swojego ubrania miałam na sobie białą spraną koszulę, ledwie zakrywającą mi kolana. Sięgnęłam do szyi, szukając

wisiorka identyfikacyjnego. Nadal tam był, czułam na skórze jego ciepły dotyk.

– G-gdzie jestem? – wydusiłam.

Gardło miałam poparzone i szorstkie, żołądek pusty i obolały, jakby ktoś skopał mi brzuch ciężkim butem. W powietrzu unosił się odór wymiocin.

– Gyre Wschodnie – odpowiedziała kapitan. Widocznie zobaczyła wyraz dezorientacji na mojej twarzy, bo dodała: – Na Pacyfiku. Jesteś na Ziemi, fi.

„Na Ziemi”. Pochyliłam się do przodu i spróbowałam wstać z łóżka, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa i osunęłam się z powrotem na ścianę.

– Iri...

Zdawało mi się, że mój język zmienił się w błoto. Nie zdołałam wymówić reszty.

– Nie ruszaj się za bardzo, bo wyrwiesz kroplówkę – powiedziała kapitan. Sięgnęła za plecy i pociągnęła tasiemki skórzanego fartucha. – Chcesz trochę wody? Może coś do jedzenia?

– Wody.

Kapitan skinęła głową na tę małodziewczynkę, Miyole, która wybiegła i po kilku chwilach wróciła z cynowym kubkiem ciepłej wody o gorzkim smaku.

– To chinina – powiedziała łagodnie Miyole, gdy piłam. – Żebyś nie złapała choroby krwi od moskitów.

Łyknęłam, starając się nie zwracać uwagi na gorycz, i skurcz ścisnął mi żołądek. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio jadłam, ale mogło to być na ucztę podczas mojej pierwszej – i ostatniej – nocy na pokładzie „Ether”. Miyole przyglądała się z powagą, jak piłam, a kiedy skończyłam, wzięła ode mnie kubek.

Kapitan powiesiła fartuch na gwoździu i wytarła ręce w ścierkę.

– Muszę polecieć do stacji Bhutto, a potem do Cuzco.

Porozmawiamy, kiedy wrócę. – Spojrzała na małodziewczynkę. – Miyole, postaraj się, żeby nie zasnęła. Im dłużej będzie siedziała, tym lepiej.

– *Łi*, manman.

– Chodź tu i uściskaj mnie – powiedziała kapitan.

Uklękła i rozłożyła ramiona, a maładziewczynka wpadła w nie.

– Bądź ostrożna – poprosiła ją Miyole. – Przyrzeknij mi, manman.

– *Li, ma chére* – odrzekła kapitan i przytknęła głowę do głowy

Miyole, a potem podniosła się i ruszyła do drzwi.

– Proszę – odezwałam się.

Chciałam zapytać ją o tyle rzeczy. Gdzie dokładnie się znalazłam, dlaczego jestem taka słaba i dlaczego jednak nie umarłam. Poza tym powinnam jej podziękować. A nawet nie znam...

– Muszę iść – powiedziała kapitan.

– Ale nie wiem nawet, jak masz na imię – wydusiłam i nie poznałam własnego głosu.

– Perpétue – powiedziała. Wykonała zabawny pół ukłon, pół salut.

– Firma Dystrybucji Przesyłek na Gyre. A to moja córka Miyole. Ale naprawdę, uwierz mi, Avo, reszta może poczekać.

Zamknęłam usta i bezwładnie oparłam się o ścianę. Kiwnęłam głową. Perpétue pomachała mi i wyszła tylnymi drzwiami. Kilka chwil później powietrze wypełniło wysokie przenikliwe wycie, a potem niskie dudnienie, niczym olbrzymich wentylatorów w głębi trzewi „Parastraty”. Jęk i ryk palników słupu pocztowego spotężniały i statek wystartował.

– Spójrz – powiedziała Miyole.

Podbiegła do okna na drugim końcu pokoju i wskazała na skrawek wyblakłego nieba w górze.

Zmrużyłam oczy, gdy słup przemknął obok, wzbił się w górę i zniknął w oślepiającym słońcu. Ryk jego silników ucichł. Na dachu rozbrzmiał chór przenikliwych gdaknięć.

– Co to? – szepnęłam.

– Kurczaki manman. – Miyole usiadła na łóżku obok mnie i skrzyżowała nogi. – Manman powiedziała, że może zjadłabyś zupę. Chcesz?

Odchrząknęłam.

– Tak, poproszę.

Miyole zeskoczyła z łóżka i pognęła do kuchni po drugiej stronie pokoju. Nucąc pod nosem jakąś piosenkę w tym innym języku, rozłożyła przenośny piecyk i postawiła na nim ciężki garnek, a potem wyjęła dwie

tluste ryby z plastikowego schładzacza przy ścianie. Szeroko otworzyłam oczy. Oczywiście, mamy nasze biolumeny. A raz mój ojciec dobił targu z załogą „Nau” i kupił stertę skrzynek drobnych rybek zakonserwowanych w soli i oleju. Ale nigdy nie widziałam niczego takiego. Nie miałam pojęcia, że ryby mogą być takie duże. Miyole zeszkrobała z nich łuski. Kilkoma wprawnymi machnięciami nożem oderznęła im głowy, odcięła płetwy i rozpruła brzuchy.

– ...*si li pa dodo, krab la va manjé* – powiedziała i pod garnkiem zapaliły się niebieskie płomyki.

Kiedy skończyła gotować, przyniosła mi miseczkę wonnego bulionu, stawiając drobne, ostrożne kroki, żeby go nie rozlać. Wcisnęła mi do ręki łyżkę. W bulionie pływały małe kawałki delikatnego białego mięsa. Pachniał tak dobrze, że mogłabym się niemal rozplakać. Ale łyżka wydawała mi się ciężka i nieporęczna jak kawał betonowego zbrojenia. Gdy podnosiłam ją do ust, ręka mi się trzęsła.

Miyole przyglądała się, jak zmagam się z łyżką.

– Moja manman mówi, że byłaś za długo poza powierzchnią planety i dlatego wymiotujesz, a twoje mięśnie nie pracują dobrze.

Włożyłam łyżkę do ust. Zupa była gęsta i miała łagodny smak. Spodziewałam się, że ryby mogą okazać się słone, ale były delikatne. Bulion złagodził skurcz żołądka.

– Czy twoi ludzie karali cię tym, że trzymali cię poza grawitacją? – zapytała Miyole.

Przecząco potrząsnęłam głową i siorbnęłam następną łyżkę zupy.

– Więc dlaczego to robili?

Zawahałam się. „I tylko mężczyźni zniosą jej dotyk”. Ale skoro tak, to dlaczego kapitan Guiteau i Miyole sobie z tym radzą? Rozbolą mnie głowa i straciłam apetyt.

– Nie wiem – odparłam.

Odstawiłam zupę i łyżka wpadła z brzękiem do niemal pełnej miseczki.

Miyole objęła rękami kolana i wsadziła sobie do ust koniec jednego z warkoczy. Popatrzyła na mnie.

– Dlaczego jesteś taka blada?

– Blada? – Wybałuszyłam oczy. Ja blada? Przez całe życie

pragnęłam mieć jaśniejszą cerę, podobniejszą do reszty załogi. – Większość mojej załogi ma całkiem bezbarwną skórę.

– Naprawdę? – rzuciła Miyole i wykrzywiła się, jakby mi nie uwierzyła.

Skinęłam głową.

– Jestem ciemniejsza od nich po ojcu mojej matki.

– Czy on był człowiekiem z przestrzeni jak ty?

Potrząsnęłam głową.

– Pochodził stąd, z powierzchni. Był najdoktorem.

– Dlaczego nie kazał im, żeby trzymali cię w grawitacji?

– Umarł. – Gardło bolało mnie od mówienia. Zamknęłam oczy. –

Moja matka też.

Minęło kilka mgnień ciszy, a potem Miyole trąciła mnie w kolana.

– Hej, panienko. Hej, Avo.

Uniosłam powieki.

– Manman powiedziała, żebym nie pozwoliła ci usnąć.

– Nie śpię – odparłam. – Mówienie... – Chciałam powiedzieć:

„Mówienie sprawia mi ból”, ale głos mi się zablokował.

Miyole pokiwała się, obejmując kolana i żując warkocz.

– Chcesz, żebym ci poczytała?

– Umiesz czytać?

Rzuciła mi dziwne spojrzenie.

– Oczywiście, że umiem – odrzekła i wstała.

– A więc tak, poproszę.

Miyole podbiegła do zabytkowej komody, wyjęła zza dekoltu sukienki metalowy klucz i włożyła go w zamek górnej szuflady.

Otworzyła ją i po chwili wróciła z kawałkiem przezroczystego plastiku złożonego w równy czworokąt. Gdy go rozpostarła, jego części rozdzieliły się, a potem połączyły w cieńszy arkusz. Po chwili ten arkusz rozświetlił się od wewnątrz, jakby trzymała w ręku mały odprysk nieba. Na jego powierzchni zaczęły pulsować obrazy i symbole, rzucając jaskrawe barwy na dłonie i twarz Miyole.

– W porządku – powiedziała. – Chcesz prawdziwą historię czy wymyśloną?

Wpatrywałam się jak urzeczona w świecący arkusz.

– Prawdziwą – odrzekłam wreszcie.

Dostrzegła moje zadziwione spojrzenie.

– Co, tam, skąd pochodzisz, nie macie tabletów?

Nie było sensu kłamać. Widywałam świecące ekrany i skupionych wokół nich mężczyzn, ale tylko od progu drzwi do kwatery mojego ojca. Zerkalam zawsze ukradkiem, gdy rozstawiałam kubki ryżowego wina, a potem czmychałam, zanim ktoś mógłby mnie zauważyć. Ale przysięgłabym, że nie mieliśmy niczego takiego jak to.

– Nie – odrzekłam.

Miyole wzruszyła ramionami.

– Mój przyjaciel Kai też nie ma. Manman mówi, że mamy szczęście.

– Jest mocno ładny – przyznałam.

Obrzuciła mnie długim taksującym spojrzeniem.

– Możesz go używać, jeśli chcesz. Ale nie dotykaj go lepkimi palcami, dobrze? Manman mówi, że to by go zepsuło.

Chciałam się uśmiechnąć, ale to za bardzo bolało. Nie potrafiłam nawet wykrzesać dość siły, by jej powiedzieć, że i tak nie wiedziałabym, jak się z tym obchodzić. Zamiast tego tylko kiwnęłam głową.

– No dobrze – powiedziała i zaaferowana zajęła się znowu tabletem. – Nie mamy tutaj sygnału z sieci, więc jest tylko to, co załadowała manman, kiedy ostatnio poleciała w rejs. Ale mamy mnóstwo opowieści do wyboru. Czy w szkole uczyłaś się już o Potopach?

Przecząco potrząsnęłam głową.

– Nie? – Znowu puknęła w tablet. – A o Trzeciej Bibliotece Aleksandryjskiej? O programie budowy subkontynentalnych wałów przeciwpowodziowych?

Ponownie potrząsnęłam głową.

– Ooch, nie, zaczekaj. Formowanie łądów. – Spojrzała na mnie znad tabletu i uśmiechnęła się, jakby znalazła w kieszeni cukierek. – Uczę się o tym teraz na lekcjach. Manman kupiła mi materiały na temat nauki o Ziemi.

Skinęłam głową i zamknęłam oczy.

Miyole odchrząknęła z namaszczeniem.

– „Formowanie łądów to długotrwały proces polegający na stworzeniu na ciałach planetarnych warunków umożliwiających zamieszkanie ich przez ludzi – poprzez infuzję gazów... – przerwała i zachichotała, a potem zerknęła na mnie ukradkiem i znowu przybrała poważną minę – ...i uwalnianie energii geotermalnej. Chociaż uczeni od dawna poszukują szybszych i bardziej ef... – zająknęła się – ...efektywnych metod formowania globów planetarnych potencjalnie nadających się do zaludnienia, proces ten wciąż wymaga wysiłków wielu pokoleń kolonistów, aby osiągnąć równowagę atmosferyczną, która umożliwi rozkwit życia tam, gdzie ono wcześniej nie istniało. Kwestią fundamentalną dla tych kolonii jest utworzenie floty statków finansowanych przez rząd oraz zajmujących się komercyjnym handlem, których załogi poświęcą wiele lat życia zadaniu zao... zaopatrywania kolonii. Każdy lot, nawet z prędkościami przyświatlnymi, może trwać lata, zanim załoga dotrze do celu...”

Głos Miyole brzmiał trochę podobnie do głosu starychdziewczyn, które recytując historie o przestworzach, wymawiają słowa sztywno i oficjalnie.

Gdy tak czytała, poczułam się, jakbym przeniosła się z powrotem na pokład „Parastraty”. Przyglądałam się milczącemu ogromowi czerwonego globu zamglonego zieloną aureolą, wirującego powoli pod kadłubem naszego statku. Niemal widziałam gwiazdy poza cienką warstwą nowo stworzonej atmosfery planety.

– Avo. Hej, Avo. – Miyole przestała czytać i mówiła do mnie łagodnie. – Obudź się.

– Nie śpię – odrzekłam. Zmusiłam się do otwarcia oczu. – Wspominałam. Odbyliśmy rejs wokół jakiejś czerwonej planety. Marsa?

– Byłaś tam? – Miyole podskoczyła na kolanach i przycisnęła do piersi tablet. – Chcę tam polecieć, kiedy dorosnę. Zapiszę się do akademii lotniczej, żeby móc zobaczyć Marsa, Tytusa i wszystkie te startujące małe kolonie. Ale manman mówi, że jeśli chcę tego dokonać, muszę się podciągnąć w matematyce. – Przerwała, by zaczerpnąć tchu. – Naprawdę poleciałaś na Marsa?

– Nie. No, to znaczy tak jakby. Byłam nad nim, ale kobiety nie wykonują zadań na powierzchni.

– Dlaczego? – spytała, przechylając głowę na bok i spoglądając na mnie.

– My... my... – Z wysiłkiem machnęłam ręką przed sobą. Jak mam to wytłumaczyć? Że to by nas skalało? Okaleczyło, jak mnie teraz?

– Po prostu tego nie robimy.

Miyole zmarszczyła brwi.

– Nie możemy – dodałam, ale już gdy to mówiłam, wiedziałam, że ona tego nie pojmie, skoro ciężar tego świata jest dla niej niczym.

Zrezygnowałam i splotłam dłonie na kolanach. Miyole czytała dalej o równowadze azotu i czymś nazywanym efektem kaskadowym, ale te słowa przepływały przeze mnie jak przez sito. Zastanawiałam się, czy w rzeczywistości jestem tylko łuską ze skóry i kości, a moja dusza unosi się zagubiona gdzieś nad atmosferą. Czy dlatego tak cierpię? Czy zdołam ją odzyskać, jeśli znowu wzniosę się do gwiazd, czy może została spalona i obróciła się w proch w płomieniu naszego silnika, kiedy schodziliśmy w dół do lądowania? I co z tymi wszystkimi kobietami tutaj, które chodzą, pracują i rodzą dzieci, przez cały czas we władaniu Ziemi? Czy one też są pozbawione duszy? A Luck...

Myślenie o Lucku było zbyt ciężkie. Przeszyło mi pierś bólem.

Przytknęłam dłonie do brzucha. Przypomniałam sobie nagle wydatny brzuch Soli i to, co Luck i ja zrobiliśmy w basenie. Moje ciało poniżej żeber było lekko zaokrąglone. „Ale to jeszcze za wcześnie” – uświadomiłam sobie. Ta myśl przyśpieszyła mi bicie serca i nappełniła mnie mieszaniną strachu i nadziei. „To możliwe” – pomyślałam. Zakręciło mi się w głowie. Wiedziałam, że nie byłam godna poświęcenia Iri, ale gdybym urodziła maleństwo Lucka, może zasłużyłabym na to, co dla mnie zrobiła. Może w ten sposób jakaś część Lucka mogłaby przeżyć. Czy można jednocześnie chcieć czegoś i nie chcieć?

Miyole skończyła czytać, podgrzała sobie trochę zupy i usiadła przy stole, machając nogami. Wpatrywała się w świecący tablet i od czasu do czasu przestawała jeść, pukała w niego, po czym przełykała następną łyżkę zupy. Kiedy zjadła, umyła miseczkę, a potem starannie złożyła tablet z powrotem w kwadrat i schowała go ostrożnie do szuflady. Następnie wyjęła arkusz przyciętego metalu oraz gogle spawalnicze i jakieś niewielkie narzędzie. Usiadła ze skrzyżowanymi

nogami na podłodze, przekręciła końcówkę narzędzia, tak że ożyło z cichym brzęczeniem, i pochyliła się nad metalowym arkuszem.

– Co robisz? – spytałam.

Mówienie wciąż sprawiało mi ból, lecz było lepsze od myślenia.

– Hm? – mruknęła, podnosząc głowę i spoglądając na mnie przez gogle.

– Te wisiorki. – Wskazałam ręką wokoło. – To ty je robisz?

– Och, tak. – Uniosła kawałek metalu i pokazała mi. – To będzie ryba. Manman czasami sprzedaje te figurki podczas swoich rejsów, żeby pomóc opłacić moje lekcje.

– Są piękne – powiedziałam.

Miyole wzruszyła ramionami, ale spostrzegłam, że uśmiechnęła się lekko.

Leżałam na koi i udawałam, że czuję obejmujące mnie ramiona Lucka. Jednocześnie przyglądałam się, jak Miyole przemienia poszarpany kawałek czarnego metalu w pokrytą łuskami rybę z pyszczkiem, oczami i żłobkowanymi płetwami. W powietrzu wiła się woń rozżarzonego metalu. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie maleństwo, dziecko Lucka, wtulone we mnie. Potem znowu zobaczyłam upadającą Iri. Krew na jej zębach.

Niebo w wysokim oknie zmieniło kolor z bladej rozpalonej bieli na głęboki kremowy błękit. Wszystkie odgłosy pod nami stały się głośniejsze: chłopot fal omywających drewno, warkot silników, pianie kogutów, skrobanie i miauczenie kotów, pokrzykiwania ludzi. Gdziekolwiek się znajdowaliśmy, było tu głośniejsze, niż się spodziewałam. Miałam wrażenie, jakby ktoś przykrył nas pokrywką garnka i wszystkie hałasy zostały uwięzione wewnątrz. Miyole wbiegła na dach, żeby uruchomić generator, a potem zeszła z powrotem i włączyła sufitowe wentylatory oraz pojedynczą świetlną rurę zawieszoną nad stołem kuchennym. Zapadłam w drzemkę.

Zbudził mnie dudniący w górze wibrujący ryk silnika służy pocztowego. Miyole rzuciła się do okna. Z mojej koi zobaczyłam, jak przemknęły nad nami światła statku Perpétue, i usłyszałam westchnienie wyłączanych palników. Rozległ się głośny metaliczny huk i kilka sekund później na zewnętrznych schodach zatupały kroki Perpétue. Wpadła do

środka, nucąc coś cicho, wyciągnęła zza paska nóż i rzuciła go na stół wraz z garścią nieregularnych skrawków metalu.

– Manman, spójrz! – zawołała Miyole i podniosła w górę rybę, której łuski zaślniły pomarańczowo w słabym świetle.

Perpétue wzięła ją do ręki i odsunęła na odległość ramienia, uważając na ostre łuski.

– Śliczna – rzekła z uśmiechem do córeczki. – Błyskotliwa i śliczna, jak jej twórczyni.

– Czy zdobyłaś dla mnie więcej? – zapytała dziewczynka.

Perpétue wskazała głową.

– Są na stole.

Miyole podbiegła tam i zaczęła grzebać wśród metalowych skrawków. Perpétue zdjęła z półki żółtawy plastikowy dzbanek z wodą.

– Jak się czujesz, fi? – zapytała przez ramię.

Zmoczyła dłonie wodą z dzbana, wpompowała na nie mydło w płynie i potarła nimi energicznie.

– Nieźle – odpowiedziałam, choć nie byłam tego pewna.

Perpétue odwróciła się do córki.

– Czy coś zjadła?

– Tak, manman – odrzekła Miyole. – I przeczytałam jej moje lekcje.

Perpétue strzepnęła wodę z rąk i wytarła je w ściereczkę przywiązaną do jej paska.

– To dobrze, *ma chère*. – Pocałowała córeczkę w głowę. – A ty jadłaś?

Miyole przytaknęła.

– Świetnie. Idź się umyć przed snem – rzekła do niej Perpétue.

Podgrzała dla siebie miskę zupy, a potem złożyła przenośny piecyk i schowała go pod stół. Wzięła miskę i przysunęła sobie krzesło naprzeciwko swojej pryczy.

– Chorowałaś – rzekła. Zjadła kawałek ryby i mówiła dalej z pełnymi ustami: – Twoja przyjaciółka, ta kobieta, która była z tobą na stacji Bhutto, powiedziała, że masz na powierzchni rodzinę.

Skinęłam głową i przełknęłam ślinę, żeby oczyścić gardło. „Iri, krew na jej zębach”.

– To córka najdoktora. Moja rodzona modrie. Siostra mojej matki.
– Twoja *tante*? – Perpétue uniosła brwi. – To dobrze. To bliska rodzina.

Potrząsnęłam głową.

– Właściwie nie. Nigdy jej nie poznałam. Ani... ee... ona mnie.
Perpétue odchyliła się do tyłu na krześle.

– Ale znasz jej nazwisko? Jak się nazywa?

– Soraya Hertz – powiedziałam ostrożnie. – Ale nie sędzę, by o mnie wiedziała.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– W Mumbaju? – rzuciłam niepewnie.

Perpétue czekała. Kiedy nie dodałam nic więcej, znowu pochyliła się do przodu.

– I to wszystko? Tylko Mumbaj?

Kiwnęłam głową.

– Żadnej nazwy ulicy czy przynajmniej dzielnicy?

Przecząco potrząsnęłam głową.

Perpétue westchnęła i przesunęła językiem po wewnętrznej stronie dolnej wargi, spoglądając na wirujące łopaty wentylatora.

– Wiesz o niej coś jeszcze? Cokolwiek, co pomogłoby nam ją odszukać?

– Jest jakąś lekarką – powiedziałam. – A mój dziadek, jej ojciec, też był doktorem.

– Znasz jego nazwisko?

– Też nazywał się Hertz – odrzekłam.

– I twoja *tante* nigdy nie wyszła za mąż? Nigdy nie zmieniła nazwiska? – spytała Perpétue i w zamyśleniu potarła dłonie.

Ogarnął mnie strach. A jeżeli zmieniła nazwisko? Jeśli nie uda się jej odnaleźć?

– Widziałam ją tylko raz, jakieś dziesięć obrotów temu – powiedziałam. – Myślisz, że zdołamy ją znaleźć?

Gdyby była tu Iri, wiedziałyby, co zrobić.

Perpétue potrząsnęła głową. Oparła czoło na rękach.

– Nie wiem, Avo. – Znowu podniosła na mnie wzrok. –

W Mumbaju żyje sto siedemdziesiąt pięć milionów ludzi. W dodatku nie

wiemy, czy ona nadal nosi to samo nazwisko ani nawet czy wciąż tam mieszka.

Sto siedemdziesiąt pięć milionów. To liczba tak wielka, że mój umysł nie potrafił jej ogarnąć. Moja załoga liczyła ciut ponad dwieście osób, a załoga „Æther” niecałe pięćset. Przez całe życie widziałam chyba najwyżej jeden czy dwa tysiące ludzi, wliczając tych w hali stacji Bhutto. Jakakolwiek liczba większa od tej wydawała mi się nierealna. Utkwiłam spojrzenie w czarnym kwadracie nieba za ramieniem Perpétue i walczyłam, żeby się nie rozpłakać. Chciałam znowu zasnąć, śnić o Lucku i naszej własnej poświacie, która otaczała nas po tym, jak się zespoliliśmy. Albo jeszcze lepiej – w ogóle nie śnić.

– Ale spróbujemy, Avo. – Perpétue wzięła mnie za rękę, przywracając do rzeczywistości. Miała silne palce i ścisnęła mi dłoń tak mocno, że zaboląło. – Spróbujemy.

– Dobrze, teraz jeszcze jeden – powiedziała Perpétue, trzymając mnie za ramię, gdy robiłam następny powłóczący krok.

Jęknęłam, wysunęłam nogę do przodu i oparłam na niej ciężar ciała. Moje nogi płonęły, jakby ktoś wlał w nie paliwo i podpalił. Ale zdołałam przejść niemal całą drogę z pryczy do małego pokoju oczyszczeń wciśniętego między salon i kwaterę sypialną Perpétue i Miyole. Perpétue zwróciła mi moje spódnice, ale spaliła podartą koszulę. Zamiast niej miałam na sobie jedną z jej miękkich, cienko utkanych koszul. „Bawełna – powiedziała. – Znad morza”.

Spędziłam w jej domu już dwa tygodnie, a wciąż nie potrafiłam sama chodzić. Ale przynajmniej już nie krwawiłam i tym starałam się pocieszać. A także szansą na dziecko Lucka.

Powietrze wisiało ciężkie od upału, jakby znieruchomiało w oczekiwaniu. To Gyre Wschodnie, do którego przywiozła mnie Perpétue, w niczym nie przypominało Ziemi, jakiej się spodziewałam. Wszystkie moje modries opowiadały o pyle i zimnie tak ostrym, że czyni Ziemię białą, jednak tutaj powietrze było zawsze wilgotne i ciepłe, jak w sali farbiarni, gdy w jej kadziach wrze. Czasami dom Perpétue trząsał się i kołysał, a z dołu dochodził wibrujący jękliwy hałas.

Gyre to pływające miasto, powiedziała Perpétue, sklecone z barek, z budynków wzniesionych na pontonach i z porzuconych statków floty ił badawczych. Mówiła mi o tym, kiedy ćwiczyłam chodzenie, aby odwrócić moją uwagę od bólu. Obroty na obrotach temu, jeszcze nawet przed czasami Candora i Saeleas, ludzie powierzchni myśleli, że morze połknie wszystkie ich śmieci, więc karmili nimi głębiny. Jednak zamiast tego śmieci trafiły ostatecznie tutaj, gdzie prądy wodne zbiegają się przy Gyre, i utworzyły olbrzymią połać butelek, toreb i mlecznego plastiku.

– Kilka pierwszych statków przybyło tu, aby badać tę wyspę powstałą ze śmieci oraz drobnoustroje w wodzie – wyjaśniła Perpétue. – Ale później, gdy Potopy zatopiły wyspy Ziemi, inni ludzie uciekli tutaj, by rozpocząć nowe życie, i trałowali to pływające śmietnisko. Taki był początek Gyre.

„Drobnoustroje?” – chciałam zapytać, ale potrzebowałam całego

mojego tchu, żeby iść.

Dom Perpétue umościł się na skraju Enklawy Karaibskiej, przymocowany do innych statków z utraconych wysp Jamajki, Kuby i Haiti, z których pochodzili jej przodkowie. Ale żyli tutaj ludzie ze wszystkich zatopionych wysp, lodowych lądów, Filipin i Ziemi Bez Węży. Mówiła, że wszyscy mogą zarabiać na życie, zbierając i odsprzedając plastikowe odpady, które tworzą równinę Gyre. Tych śmieci jest tak wiele, że całe miasto może je stale zbierać, a i tak nigdy ich nie zabraknie.

– Kiedy już poczujesz się dobrze, będziesz mogła wyjść i zobaczyć sama – powiedziała.

Ale to by oznaczało stawienie czoła spojrzeniom ludzi i tym samym pytaniom, jakie zadały mi Perpétue i Miyole. „Co się stało z twoją skórą? Dlaczego nie potrafisz dobrze chodzić? Co takiego zrobiłaś, że twoi ludzie cię wyrzucili?”. Na samą myśl o tym miałam ochotę położyć się znowu do łóżka.

– Nie zapominaj zginać kolan – przypomniała mi Perpétue.

Miyole szła obok, celowo tupiąc głośno, ubrana w spodnie z nogawkami postrzępionymi na dole, gumowe buty i sukienkę z wyblakłym drukowanym kwiatowym wzorem. Dźwigała jaskrawoczerwony latawiec, niemal tak wielki jak ona.

– Do widzenia, manman! – rzuciła.

– Miyole? – Perpétue puściła moją rękę. – Dokąd idziesz?

– Puszcząć z Kaim latawce.

Perpétue przygryzła kącik ust.

– Ale nie zejdziesz do krawędzi, prawda?

Dziewczynka się przygarbiła.

– Manmaaaan – rzekła, przeciągając to słowo w jęk.

Perpétue westchnęła. Chociaż przebywałam tu tak krótko, wiedziałam już, że zaraz rozpoczną tę samą sprzeczkę co zawsze.

– Wiesz, co sędzę o krawędzi, *ma chére*.

Miyole przewróciła oczami.

– Nic mi się nie stanie, manman.

– Powiedz to matce Bjarni.

– Nigdy mi na nic nie pozwalasz!

– Nigdy nie pozwalam ci tylko na nic niebezpiecznego.

– Manman. – W głosie Miyole brzmiało coś pomiędzy błaganiem a jękiem. – Będę ostrożna, przyrzekam. Kai mnie potrzebuje. Jego tata znowu choruje, a Song, Hobb i ja obiecaliśmy mu, że pomożemy przy zbieraniu. Później będziemy puszczać latawce.

Perpétue znów westchnęła, tym razem z rezygnacją.

– No dobrze. Idź. Ale nie zapomnij powiedzieć Kaiemu, żeby ci dał bosak. Nie chcę, żebyś sięgała do wody gołymi rękami.

Każdego ranka obserwowałam, jak małe grupki maleństw przeskakiwały szczeliny między pontonami i przechodziły przez kładki w drodze do krawędzi, gdzie pomagały rodzicom zarabiać na życie wyławianiem plastiku. Ale nie wszystkie tam szły. Miyole nie, chyba że chciała. Przez większość ranków albo robiła z metalu kolejne zwierzątka, albo siedziała ze swoim tabletem, wpatrywała się i pukała w jego świecąca powierzchnię, przerywając tylko po to, by pomóc mi przejść do pokoju oczyszczeń czy namówić mnie, żebym połknęła tabletki wapnia zapobiegające skurczom mięśni.

Całe to miejsce było dla mnie zagadką. Perpétue nie miała w domu żadnego mężczyzny, więc zarabiała, przewożąc stale paczki z powierzchni do stacji i między miastami tu, na dole. Do tego jeszcze prała, gotowała i pilnowała, żeby Miyole każdego wieczoru odrobiła lekcje, a czasem nawet przyrządzała więcej jedzenia i dzieliła się z chorą kobietą z dwojgiem maleństw z sąsiedniego statku. Spytałam ją kiedyś, gdzie jest jej mąż, lecz twarz Perpétue zastygła jak maska. Nigdy więcej jej o to nie zapytałam.

Przez większość dnia leżałam nieruchomo, pocilałam się i obserwowałam cienie wędrujące po podłodze, gdy słońce zakreślało w górze łuk. Czasami żałowałam, że nie wyłączają wcześniej dziennego światła, i dopiero potem przypominałam sobie, że tutaj, na dole to tak nie działa. Słońce trzyma się własnego czasu. Zamykałam przed nim oczy i myślałam o Lucku. Potrafiłam wprowadzać się w rodzaj kojącego półsnu o tym, że budzę się u boku Lucka, pławię się w jego uśmiechu, a on śpiewa naszemu jeszcze nienarodzonemu dziecku rosnącemu we mnie. Byłam cała obolała, a pamiętałam, jak Modrie Reller i inne żony mówiły, że to znak tego, że nosisz w sobie maleństwo, i dlatego bolą cię

piersi i brzuch.

Ale potem przychodziła Perpétue i zmuszała mnie, żebym się ruszała, schylała i chwytala tak długo, jak zdołam to znieść. Przynęcała, że będziemy mogły zabrać tablet Miyole na szczyt tego, co było kiedyś statkiem badawczym pobliskiej enklawy Islandczyków – do jednego z niewielu miejsc w całym Gyre, gdzie udawało się jej czasami złapać sygnały bezprzewodowej sieci nadawane z odległych wybrzeży. Mówiła, że na Gyre nigdy nie ma sztormów, ale gdzie indziej na Ziemi jest cholernie wiele gwałtownych huraganów, nagłych burz deszczowych i spadających z nieba kolumn rozpalonego do białości ognia, a sieć to delikatna rzecz.

– Kiedy już będziesz wystarczająco silna – powiedziała teraz, podtrzymując mnie za łokieć. – Kiedy wyzdrowiejesz.

Dotarłam do pokoju oczyszczeń. Perpétue kazała mi usiąść, a sama napełniła wiadro ciepłą wodą z zasilanego bateriami słonecznymi bojlera na dachu. Pomogła mi umyć włosy, a kiedy były już czyste, posadziła mnie na podłodze, jakbym była małodziewczynką, i uczesała je. Zamknęłam oczy, rozluźniłam się i poddałam delikatnym pociągnięciom grzebienia, a Perpétue rozsupływała palcami moje splątane kosmyki. To mi przypomniało, jak Iri czesała mi włosy, a ja robiłam to samo Lifil i innym moim siostram. Miałam nadzieję, że Miłosierne obdarzą mnie chłopcem, ale jeśli urodzę dziewczynkę, może przynajmniej będę mogła kiedyś ją tak czesać.

– Dlaczego farbowałaś włosy? – Głos Perpétue przerwał moją zadumę.

Uniosłam dłoń do głowy.

– Co?

– Twoje włosy – powtórzyła. – Farbowałaś je, prawda?

– To widać? – spytałam.

– *Li* – powiedziała. Uniosła pasmo włosów i przesunęła je między palcami, aż musnęły mi czoło. – Tutaj.

– Co takiego? – rzuciłam.

Odsunęłam się od Perpétue. Włosy rosną mi szybko, ale trzeba by tygodni na tygodniach, żeby urosły aż tyle. Około decyobrotu. Odkąd się ocknęłam, jestem tutaj zaledwie dziesięć dni. To niemożliwe, chyba że...

Uderzyła mnie straszna myśl. Ile czasu spałam? Sądziłam, że kilka godzin, najwyżej dni. To nie mogło być więcej niż kilka dni.

– Nie – powiedziałam. – To się nie zgadza. To nie może być.

Perpétue sięgnęła po małe lustro i trzymała je tak, żebym mogła się w nim przejrzeć. Włosy na szczycie głowy miałam czarne, dopiero niżej, przy skroniach przechodziły w zblakłą czerwień. Obydwa kolory nie pasowały do mojej twarzy. Czerwień była nienaturalna, a czerń surowa i wskazująca na kogoś, kim nigdy nie byłam, odkąd mogłam sięgnąć pamięcią.

Podniosłam wzrok znad mojego odbicia.

– Jak długo spałam?

Perpétue się zawahała.

– Kilka dni? Tydzień? – pytałam dalej.

– Trochę ponad miesiąc – odpowiedziała. – Cierpiałas na takie okropne bóle, że musieliśmy trzymać cię pod narkozą, dopóki lekarz nie orzekł, że twój poziom wapnia jest wystarczająco wysoki.

Zmarszczyła czoło i zacisnęła usta i pomyślałam, że być może trwało to jeszcze dłużej.

Miesiąc. Decyobrót. Dźwignęłam się niezgrabnie na nogi. Krew głośno pulsowała mi w uszach. Byłam uwięziona tu na dole przez cały decyobrót.

– Avo...

Słaniając się na nogach, ruszyłam do salonu.

– Dokąd idziesz? – zawołała za mną.

Nie odpowiedziałam. Zgubiłam decyobrót. „Decyobrót...”.

Chwiejnym krokiem dotarłam na przód domu i mocowałam się z drzwiami wyjściowymi. Po prawdzie, nie wiedziałam, dokąd idę. Wiedziałam, że na zewnątrz są schody prowadzące w dół do pontonów i w górę na dach, gdzie są generator, zbiorniki na wodę i kurczaki Perpétue. Ale co jest dalej... Już zbyt długo tkwiłam zamknięta, widziałam z okna tylko strzępy świata. Teraz chciałam – nie, musiałam! – zobaczyć niebo.

Uderzyło mnie jaskrawe powietrze. Pachniało solą, dymem i rybami. Gdzieś w oddali rozbrzmiała syrena. Słońce stało wysoko, ale stłoczone wokół konstrukcje przesłaniały większość nieba.

„W górę – powiedziałam sobie. – Wyżej”.

Weszłam na pierwszy stopień. Kolana mi dygotały, nogi mnie paliły. „Muszę wejść na górę”. Postawiłam drugą nogę na następnym stopniu, starałam się zmusić do wchodzenia szybciej. Zachwiałam się. „Muszę zobaczyć niebo...”. Nie wiedziałam dlaczego. Przecież ze szczytu dachu nie dostrzegę Lucka, statków ani nawet gwiazd. Ale coś we mnie upierało się, żeby spróbować. Nagle, bez ostrzeżenia, nogi ugięły się pode mną. Osunęłam się na trzeci stopień.

– Avo, tutaj – usłyszałam.

Pojawiła się za mną Perpétue wyciągająca do mnie rękę.

– Nie! – odparłam.

Tygodnie stracone na sen. I kolejne, gdy ona i Miyole ubierały mnie, karmiły i pomagały mi chodzić. Nie chciałam tego więcej. Chciałam wywlec siebie z powrotem w górę, ku niebu. Chciałam znowu być kobietą. Chciałam dowieść mojej wartości, tak żeby Perpétue mnie nie wyrzuciła, gdy odkryje, że noszę w sobie dziecko Lucka.

Popęzłam w górę schodów; beton ścierał mi kolana przez cienką halkę. Z dołu obserwowała mnie Perpétue. Przydusił mnie upał, gęsty i parny. Pot ściekał mi po plecach. Słońce oślepiało mnie swym blaskiem i paliło żarem. Następny krok. Skórę miałam napiętą. Kolejny. W końcu dotarłam na górę i już nic nie czułam oprócz powietrza. Uniosłam głowę. Widok nieba przesłaniały mi tylko kwadratowe metalowe ściany generatora, sznur z łopoczącym na wietrze praniem i zniszczona klatka z kurczakami sklecona z drewna wyrzuconego przez morze.

Wylazłam zeszywniała na rozpalony słońcem dach. Niebo rozpościerało się nieskończenie wysoko, płonąc błękitem. Nie wiedziałam dlaczego, ale wydało mi się rozleglejsze nawet od Próżni, poprzecinane w wyższych partiach wąskimi pasmami, białymi jak owcza wełna. Słońce błyszczało jaskrawo jak nowiutka miedź. Jego widok zapierał mi dech i przytępiał ból w nogach.

„Luck” – pomyślałam i zapragnęłam, by mógł zobaczyć to ze mną. Dotarłam do murku okalającego skraj dachu i osłoniłam dłonią oczy. Wokoło widziałam chaos niepasujących do siebie konstrukcji tej samej wysokości jak ta, na której szczycie stałam – kilka statków, kilka sześciennych budynków na pontonach, takich jak dom Perpétue, kilka unoszących się na wodzie rupieciarni z metalu, plastiku, brezentu i parę grubych paneli słonecznych skierowanych ku niebu. Łączyły je krzyżujące się sieci sznurów z praniem i kładki z drewna wyłowionego z morza. Wszystkie te budowle nieznacznie unosiły się i opadały w rytm kołysania morza, jakby spoczywały na klatce piersiowej śpiącego olbrzyma. Nad dachami niósł się z oddali stłumiony gwar głosów i warkot motorów, pianie kogutów i brzękliwy hałas ręczniaków.

W odległości mniej więcej dziesięciu czy dwunastu domów enklawa się kończyła, a za jej krawędzią ciągnęła się aż po horyzont pustynia unoszącego się na wodzie plastiku. Podmuchy wiatru wydobywały z niej furkoczące odgłosy przypominające łopot skrzydeł. Wzdłuż jej skraju, tak daleko, jak mogłam sięgnąć wzrokiem, rozpościerało się gęste skupisko wyblakłych od słońca łodzi, oddzielające tę połąć śmieci od czystej niebieskiej wody. Odwróciłam się. Po drugiej stronie dachu domu Perpétue enklawa ustępowała miejsca niezmaconemu błękitowi. Niebu i jego ciemniejszemu bratu, morzu.

– Avo – rzekła Perpétue, przystając u szczytu schodów. – Zejdź na dół. Spalisz sobie skórę, fi. Nie jesteś przyzwyczajona do słońca.

Przełknęłam z wysiłkiem.

– Nie chcę już dłużej tkwić wewnątrz – powiedziałam i usłyszałam w swoim głosie błagalną nutę.

– Wiem. – Perpétue przesunęła językiem po dolnej wardze. – Ale naprawdę nie jesteś jeszcze dostatecznie zdrowa.

– Popracuję nad tym. – Mój głos wydał mi się słaby na tej rozległej przestrzeni. – Proszę, czcigodna naj, nie chcę być bezużyteczna. Nie chcę leżeć tam i być dla was tylko... – Gardło mi się ścisnęło, tamując resztę słów, jakie chciałam powiedzieć: „Nie chcę już dłużej tracić czasu na spanie”.

– Jeżeli to ma odwieść twoje myśli od bólu, może uda się przydzielić ci jakieś obowiązki. – Kiwnięciem głowy przytaknęła samej

sobie. – Coś lekkiego.

– Umiem sprzątać i trochę gotować – oświadczyłam. – Wcześniej wykonywałam prace w zagrodzie dla zwierząt. Potrafię doglądać kurczaków i...

Perpétue powstrzymała mnie machnięciem ręki.

– Powoli, Avo. Chwilowo możesz pomagać Miyole przy kurczakach i może czasami coś ugotować. Twoje ciało wciąż dopiero dochodzi do zdrowia, fi. Podejmując zbyt wiele wysiłków naraz, zrobisz sobie krzywdę.

Wypuściłam wstrzymywany oddech.

– Tak jest.

Poczułam się odrobinę bardziej tą dziewczyną, jaką wcześniej byłam. Karmienia kurcząt nie da się porównać z pilnowaniem całej załogi kobiet i dziewczyn, ale przynajmniej będę miała czym zająć ręce i głowę podczas czekania na dziecko Lucka i zastanawiania się, jak mam odnaleźć moją modrie.

W środku nocy obudziłam się ze skurczem wnętrzości. Potykając się w ciemnościach, dotarłam do pokoju oczyszczeń, ale gdy tylko kucnęłam nad chemiczną muszlą klozetową, poczułam ściekającą po nogach krew. Wymacałam linkę lampy i pociągnęłam. Zapaliła się z cichym trzaskiem, wypełniając pomieszczenie mdłym brązowym światłem. Stałam bez ruchu, wpatrując się w smugi krwi na udach i nocnej koszuli, aż wreszcie zmusiłam się, by zrozumieć.

To moje krwawienie.

„Nie, pomyślałam tępo. To nieprawda.

A więc nie jestem w...”.

Wyrwało się ze mnie coś pomiędzy śmiechem a szlochem.

„Nie ma żadnego maleństwa. Nie ma we mnie cząstki Lucka”.

Osunęłam się na podłogę, plecami po ścianie, i kurczowo objęłam się w talii. Miałam ochotę wybuchnąć płaczem, lecz się opanowałam. Nie czułam nic oprócz szoku. Straciłam maleństwo Lucka. Straciłam maleństwo Lucka. Zniknęło. On zniknął. Nie potrafiłam sprostać nawet tej jedynej rzeczy, do której jestem stworzona.

Wstałam i umyłam się. Wzięłam szmatkę i mydło i wyszorowałam plamę krwi na nocnej koszuli. To umiem. Czyszczenie. Mycie.

Wszystko porządnie utkane. Mogę odsunąć myślącą, czującą część mnie i żyć tylko tym, co robią moje ręce.

Ubrałam się i bosą poszłam cicho do kuchni. Przez wysokie okna wpadały ukośnie jasne promienie księżyca. Zalała mnie fala tęsknoty. Niebo. W nocy będzie wyglądało inaczej, będzie bardziej przypominało mój dom. Przez chwilę zobaczę Próżnię, bez słońca spalającego mi skórę. Cicho otworzyłam drzwi i powlokłam się po schodach na górę. Na obrzeżach enklawy Gyre jej światła odbijały się w wodzie, ale nade mną niebo było czarne i głębokie. Gwiazdy błyszczały i migotały, a niżej spokojnie lśniły muśnięte światłem słońca stateczniki satelitów i niewielkich statków przestrzennych wznoszących się i zniżających łukiem ponad morzem.

Te odległe światła wędrujące powoli w górze. Czy jedno z nich to stacja Bhutto? Czy nadal cumuje tam „Parastrata”? W zwykłej sytuacji już uzupełnilibyśmy zapasy i postawili żagle. Ale jeśli ojciec i brat zostawili kilku mężczyzn, by mnie szukali? Jeśli rozgłosili wśród innych załóg, co zrobiłam? A co z Iri? I Luckiem? Czy zostali porzuceni na stacji, czy może „Æther” i „Parastrata” zanurzyły się już w głębinę, a ich ciśnięto w Próżnię?

Ból, ostry i nagły, znów przeszył płomieniem moje mięśnie aż do szpiku kości. Gardło zdusiła mi twarda pięść paniki. Dlaczego wciąż tu jestem? Dlaczego Iri poświęciła się dla mnie? Na co zda się to ciało, jeśli nie nosi w sobie dziecka mojego męża? Dlaczego Miłosierne zachowały mnie przy życiu, skoro nie ma w nim żadnego celu?

Ta świadomość niczym palący kwas wypełniła mnie całą po brzegi, przelewając się przez usta i oczy. Moi ojciec i brat niewątpliwie zabili Iri. A Luck też z pewnością nie żyje. Æther Fortune do tego czasu już wyrzucił go w Próżnię albo uśmiercił w jakiś inny sposób, zbyt potworny, by o tym myśleć.

– Ava.

Wymrugałam z oczu łzy.

Perpétue podeszła do mnie.

– Co tu robisz? – spytała.

Na jej twarzy nie było teraz ani śladu macierzyńskiej łagodności. Perpétue skrzyżowała ramiona. Miała na sobie długą bawełnianą

koszulę, w której sypiała, odsłaniającą gołe nogi. Od prawego kolana biegła w górę głęboka pomarszczona blizna i znikwała pod rąbkiem koszuli.

Westchnęłam urywanie. Na pokładzie „Parastraty” widywałam rany, ale niewiele równie okropnych.

– Czy ty... co się stało z twoją nogą? – zapytałam bez namysłu. Spuściła wzrok.

– Operacja.

– Ale co...

– Jesteś tutaj mile widziana, Avo, ale są rzeczy, o które nigdy cię nie zapytam, i proszę cię o to samo wobec mnie – powiedziała.

– Przepraszam – wyjąkałam.

Nigdy nie przeszłoby mi przez myśl, żeby ją urazić. Zwłaszcza ją. Nadal patrzyła w dół na powierzchnię dachu.

– Przepraszam, czcigodna naj – powtórzyłam.

Perpétue potrząsnęła głową, jakby odrzucała od siebie tę sprawę.

– Co się stało? Nie mogłaś usnąć? – zapytała.

Przytaknęłam.

– Z bólu?

Ponownie skinęłam głową, chociaż to był inny ból, niż miała na myśli.

Perpétue też pokiwała głową, na znak, że rozumie. I musiała rozumieć, skoro ma tę straszliwą dawną ranę.

Popatrzyłam w górę na księżyc.

– Krwawię – wyznałam, nie potrafiąc spojrzeć przy tym na Perpétue.

Przez jej twarz przemknął niepokój.

– Gdzie? – spytała i ruszyła ku mnie.

Położyłam dłoń między kośćmi biodrowymi, gdzie ból był najostrzejszy.

– Och. – W jej oczach odmalowała się ulga. – Ten rodzaj krwawienia.

Skręciły się we mnie cierpienie i zakłopotanie.

– Myślałam, że...

Perpétue położyła dłoń na moim ramieniu i ścisnęła łagodnie.

– Nie, to normalne, fi. Czasami, kiedy jesteśmy wystawione na zbyt wielkie napięcia, nasze cykle ustają. Skoro teraz krwawienie powróciło, oznacza to, że zdrowiejesz.

Zamrugałam. „A więc w ogóle nie byłam...”. Poczułam ulgę, jakby gwałtownie rozwinęła się skrzycona mocno sprężyna, a potem ogarnęło mnie zakłopotanie połączone z poczuciem winy. „Może nie straciłam maleństwa. Może w ogóle nigdy go nie było”.

Roześmiałam się nagle od tego szoku. Perpétue rzuciła mi dziwne spojrzenie, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Moje ciało wydawało się lżejsze bez ciężaru maleństwa, które wyobrażałam sobie rosnące we mnie, i bez brzemienia związanego z tym lęku. Zawstydziłam się tego. Co ze mnie za kobieta, że nie chcę dziecka? Ale świadomość, że nie będę musiała doświadczyć tego krzyczącego bólu, jaki widziałam u starszych dziewczyn? Świadomość, że nikt nie będzie obrzucał mnie pogardliwym spojrzeniem dlatego, że noszę w sobie dziecko bez ojca? Świadomość, że moje ciało należy tylko do mnie i nie mam zobowiązań wobec nikogo oprócz samej siebie? Wiedziałam, że to są podłe, niskie powody i że wszystkie moje siostry i modries syknęłyby z oburzenia, słysząc, że to mówię, jednak nie mogłam nic na to poradzić, że czułam lekkość i ulgę.

– Przepraszam – powiedziałam i przybrałam poważny wyraz twarzy ze względu na Perpétue. – Nie zamierzałam się śmiać. To tylko...

– Śmiech przez łzy – dokończyła za mnie. – Tak, fi?

– Właśnie – przytaknęłam. – Czy to prawda, co powiedziałaś?

O kobiecych krwawieniach?

– *Li*. – Popatrzyła na mnie ze ściągniętymi brwiami. – Czy matka nie pouczyła cię o tych sprawach?

– Nie – odparłam.

Gdyby matka żyła, może by to zrobiła, ale Modrie Reller uważała za niestosowne rozmawianie o takich rzeczach. Większość wiedzy na ten temat zdobyłam, przysłuchując się naszeptywaniom starszychdziewczyn i obserwując zwierzęta.

– Ona umarła – dodałam.

– Ach – westchnęła cicho Perpétue. – A on? – spytała, wskazując głową stację Bhutto błyszczącą w górze.

Nigdy nie wymieniłam przy niej imienia Lucka, ale przypuszczam, że powiedziałam dość, by domyśliła się jego istnienia.

Przełknęłam z wysiłkiem.

– On też nie żyje.

– Kochałaś go? – spytała.

Skinęłam głową.

– Niełatwo być wdową – rzekła Perpétue.

Wpatrzyła się w ocean. Lekki wietrzyk muskał jej włosy.

„Wdowa”. Nie wiedziałam, czy mam prawo do tego słowa, ale poczułam, że do mnie pasuje. Skrzywiłam się, gdy barki przeszył mi nowy sztych bólu.

– Ty cierpisz, fi. – Perpétue ujęła mnie za ramię. – Chodźmy na dół. Mam trochę środków przeciwbólowych, które pomogą ci usnąć.

Wsparłam się na niej i z jej pomocą zaczęłam powoli schodzić w kojącą ciemność jej domu.

Ból z każdym dniem słabł. Pomagałam Miyole przy kurczakach, a wkrótce Perpétue pozwoliła mi także gotować, choć początkowo musiałam walczyć z jej upartym składanym piecem, żeby wyszło z niego coś, co nie jest spalone. Nie przywykłam gotować na otwartym ogniu.

Jednak Perpétue wydawała się zadowolona. Miała teraz więcej czasu, by wieczorami sprawdzać lekcje Miyole. Obie na zmianę czytały mi też o Ziemi, jej oceanach i lasach, jej roztopionych z żaru głębinach, jej pustyniach i śniegach, o ludziach i ich licznych wojnach oraz kruchych okresach pokoju. Czytały o kalkulacjach wzrostu przyptyków, walkach o przesiąknięte krwią skrawki lądu, miastach obróconych w ławice i konieczności ucieczki w gwiazdne głębiny.

Jednego dnia, kiedy Perpétue poleciała w rejs, Miyole zawołała mnie, gdy schodziłam na dół po rozwieszeniu prania:

– Avo! Hej, Avo!

Zastałam ją przy stole nad tabletem.

– Możesz mi pomóc? – spytała.

Postawiłam pusty kosz wewnątrz domu przy drzwiach i wytarłam ręce o spódnice.

– Co mam zrobić?

Podeszłam bliżej i stanęłam obok niej. W tablecie migąło małe niebieskie światełko, które jak powiedziała mi kiedyś Miyole, oznacza poszukiwanie sygnału sieci.

Dziewczynka podniosła tablet, puknęła w niego i przesunęła po nim palcem wskazującym. Wyskoczyły dwie kolumny pogrupowanych symboli.

– Musisz tylko odczytywać mi te słowa i sprawdzać, czy je prawidłowo literuję – wyjaśniła.

Zawahałam się. Nie powiedziałam Miyole i jej matce, że nie umiem czytać; jakoś nigdy nie nadarzyła się okazja. Wzięłam tablet i usiadłam naprzeciwko niej. Był chłodny i cięższy, niż myślałam. Przyjrzałam się ekranowi, szukając czegokolwiek, co bym rozpoznała. Nic. Nie było nawet żadnej litery A.

– Pomarańcza – rzuciłam na chybił-trafił, zbyt głośno.

– Pomarańcza – powtórzyła spokojnie Miyole. –
P-O-M-A-R-A-Ń-C-Z-A.

Udałam, że przesuwam palec w dół do następnego słowa.
Widywałam, jak moi ojciec i brat robili tak, przeglądając faktury statku.

– Maszyna – powiedziałam.

Miyole zmarszczyła czoło.

– M-A-S-Z-Y-N-A.

– Ee... – Podniosłam wzrok znad tabletu i rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu inspiracji. – Fartuch spawalniczy.

– Avo. – Miyole przyjrzała mi się uważnie. – Co ty wyprawiasz? –
Wyrwała mi tablet i popatrzyła na niego. – Tu w ogóle nie ma żadnego z tych słów.

Poczułam, że twarz mi się pali. To wszystko nie tak. Jestem sama, rzucona na planetę, która sprawia mi ból przy każdym oddechu. Ledwie daję radę pokonać ciąg schodów, i jeszcze do tego ruga mnie mała dziewczynka. A przecież znałam każdy zakamarek wszystkich kuchni „Parastraty”, mogłabym chodzić jej korytarzami na oślep i być może kiedyś kierowałabym pracą wszystkich kobiet załogi. Przeszyło mnie dojmujące poczucie samotności. Każdego dnia moje dawne życie coraz bardziej blaknie. Nie potrafię już nawet przywołać ducha Lucka, żeby mnie objął. Zaczynam zapominać dźwięk jego głosu.

– Ja... – urwałam. – Ja... nie jestem w tym dobra.

– W czym? – spytała Miyole.

– W czytaniu – odrzekłam. – Mój... mój Luck...

Wcześniej nigdy nie wymówiłam jego imienia. Gdyby była tu Perpétue, spostrzegłaby, że się zacięłam, i domyśliłaby się następnego fragmentu mojej przeszłości. Ale Miyole tylko patrzyła na mnie, kopała nogami pod stołem i czekała, żebym mówiła dalej.

– Luck chciał mnie nauczyć – dokończyłam.

– Ja mogłabym cię nauczyć – zaproponowała. – Uczyłam Kaia, ale powiedział, że to nudne. Znam alfabet i gramatykę, umiem literować i tak dalej.

– Nie wiem, czy...

Ale ona już biegła do zabytkowej komody. Wróciła z zaostrzonym rysikiem, uklękła na krześle obok mnie i pochyliła głowę nad tabletem.

– Najpierw musisz poznać alfabet – powiedziała.

Puknęła w ekran i powiodła rysikiem po jego gładkiej powierzchni, a potem zwróciła mi tablet. W lewym górnym rogu pojawiła się wielka litera A.

Podniosłam wzrok na Miyole. Czy chciała mi ułatwić, zaczynając od jednej z zaledwie dwóch liter, jakie już rozpoznaję?

– Czy nie... – urwałam i odchrząknęłam. – Nie powiesz swojej matce, co?

Miyole przygryzła usta.

– Nie, skoro nie chcesz.

– To dobrze. – Odetchnęłam. – Dziękuję ci.

– To jest A. – Pchnęła tablet bliżej mnie. – Pierwsza litera. Spróbuj ją skopiować.

Chwyciłam rysik i wyrysowałam mój znak.

Miyole z powagą kiwnęła głową.

– Dobrze – powiedziała. Usłyszałam w tym echo głosu Perpétue. Znowu wzięła ode mnie tablet i narysowała kolejną literę. – Teraz spróbuj następną. To jest B.

Do czasu, gdy Miyole skończyła z alfabetem, czułam ból od korzeni oczu aż do tyłu głowy. Moje litery wychodziły na ekranie krzywe, chwiejne. Nie pamiętałam połowy z nich, nawet z pomocą piosenki, którą śpiewała Miyole, by pomóc mi zapamiętać ich kolejność.

– To nic nie da – rzuciłam.

Dźwignęłam się od stołu. Potrzebowałam się czymś zająć, żeby nie czuć się taką beznadziejną i tępą. Chwyciłam największy gar, wlałam do niego dzbanek odsolonej wody, postawiłam z hukiem na stole piecyk i zaczęłam go porywczo rozkładać. Miyole, taka mądra! Co ona wie o tym, jaki straszny jest świat – mając ładny błyszczący tablet, swoje lekcje i matkę będącą kapitanem statku? W piersi wzbierała mi gorzka czerń, dymiąca i gotowa zapłonąć. Podniosłam garnek i postawiłam go na piecyku tak szybko, że woda chlusnęła na wszystkie strony.

Miyole siedziała zamarta obok mojego pustego krzesła.

– Ostrożnie, Avo – wyjąkała drżącym głosem. – Połamiesz go.

Znieruchomiałam z dłońmi na gałkach piecyka. Łza skapnęła mi z oka do wody w garnku. Byłam tak wzburzona, że sama nie

wiedziałam, czy płaczę z frustracji, ze smutku, z gniewu, czy z jakiejś okropnej mieszanki wszystkich trzech. Odwróciłam się i wzięłam woreczek fasoli.

Kiedy obróciłam się z powrotem do Miyole, siedziała napięta na krześle i mocno ścisnęła w rękach tablet, jakby mogła posłużyć się nim do odparcia mojego ataku. Usta miała wąsko zaciśnięte w wyrazie, który widywałam wcześniej na twarzy Perpétue. Było w nim coś starszego niż wiek tej dziewczynki, coś zaciętego, wiedza o tym, jak to jest być złamanym i się z tego podźwignąć.

– Nie bądź zła – powiedziała.

– Przepraszam. – Upuściłam worek na stół. – Ja nie...

Ale nie wiedziałam, co powiedzieć, więc zabrałam się do robienia kolacji, chociaż było jeszcze mocno wcześnie i pojmowałam, że będę musiała ponownie ją podgrzać, kiedy Perpétue wróci do domu. Miyole wpatrywała się w tablet, nie dotykając go. Unikała patrzenia na mnie.

Przykryłam garnek pokrywką.

– Chcesz usłyszeć historię? – spytałam łagodnie, bo właśnie to najlepiej zapamiętałam z mojej matki: historie, które opowiadała, kiedy się bałam.

Miyole podniosła na mnie wzrok. Znowu była tylko małądziewczynką. Spoglądała na mnie przez kilka chwil, nie mrugając, a potem kiwnęła głową.

– Jakiego rodzaju historię? – zapytałam.

Odwróciła wzrok.

– Przygodową.

– Co powiesz na historię o tym, jak lord Candor został bohaterem?

– Kto? – rzuciła, wykrzywiając się do mnie.

– Candor – powiedziałam. – Jeden z ojców załóg. Wielki człowiek. Miyole wzruszyła ramionami.

– Może być.

Zaczerpnęłam powietrza.

– A więc dobrze – rzekłam i zaczęłam:

– Kiedy lord Candor poślubił swoją drugążonę Mikim, była młoda i piękna. Z biegiem lat obdarzyła go wieloma dorodnymi synami. Ale Mikim stała się wyniosła, gdyż Saeleas, pierwszażona Candora, dała mu

tylko córki, a Mikim wiedziała, że jej synowie obejmą władzę po ojcu.

W tamtych czasach niebo było dzikie i groźne, a mężczyźni mogli się obawiać wielu rzeczy. Nie tylko zimnego pocałunku Próżni i spustoszeń spowodowanych przez sztormy, lecz także rabusiów i korsarzy. Candor stoczył liczne bitwy z tymi napastnikami i dobrze strzegł swoich synów i żon, gdyż wiadano, że korsarze czynią niewolnikiem każdego, kogo pojماją. I oto pewnego dnia podczas długiej ciężkiej podróży powrotnej z najdalszych pograniczy statek Candora zaatakowały trzy okręty korsarskie, wznecając pożar. Candor w swojej mądrości postanowił uciec, gdyż jego armaty zostały uszkodzone w trakcie boju. Ukrył statek w cieniu jakiegoś księżycy, podczas gdy nad nim krążyli korsarze, szukając go.

Kobiety i maleństwa ze statku Candora bardzo się bały. Mikim zebrała je wszystkie w trzewiach statku i nakazała im śpiewać, żeby odpędzić strach. Ale kiedy ich głosy się złączyły, pieśń stała się tak głośna, że rozbrzmiała przez pokłady i wydostała się na zewnątrz, w czerń samej Próżni.

A korsarze nadstawiali uszu.

Candor pośpiesznie zbiegł pod pokład.

„Proszę – rzekł błagalnie – uciszcie swoje głosy. Napastnicy czają się nad nami i tylko cisza może nas ocalić”.

Inne żony Candora natychmiast umilkły, ale Mikim tylko się roześmiała i odparła:

„Mężu, jakże mało wiesz! Nasze głosy nigdy nie dotrą do ich uszu. Próżnia jest ogromna”.

„Niemniej – rzekł Candor, cierpliwy jak zawsze – błagam cię, usłuchaj mnie ten jeden raz i bądź cicho, dla dobra naszych synów i twoich sióstr, żono”.

Ale Mikim nie zważała na słowa męża. Kiedy Candor wyszedł, zaczęła śpiewać jeszcze głośniej. Jej pieśń przeniknęła przez kadłub statku i dotarła do uszu korsarzy. I zanim Candor zdołał naprawić swój statek i wyruszyć nim znowu do walki, napastnicy go zaatakowali. Rozpruli kadłub, wtargnęli na pokład i porwali wszystkie żony i maleństwa Candora, w tym także Mikim i jej synów.

Serce Candora wypełniły żal i wściekłość. Wraz z garstką

mężczyzn, jaka mu pozostała, odbudowali statek tak, że był jeszcze mocniejszy i szybszy, uczynili go prawdziwą machiną wojenną. Wówczas Candor począł ścigać napastników, którzy ukradli mu rodzinę, i odzyskał kolejno wszystkie żony i synów, z wyjątkiem Mikim. Nękał korsarzy i wyparł ich aż na głębokie puste krańce Próżni, lecz nigdy nie odnalazł swojej drugiejżony. Miłosierne postanowiły ukarać jej pychę i do końca swoich dni nie ujrzała krewnych. Tak więc jej imię stało się przestrogą dla wszystkich, którzy kryją w sercach bunt.

Mając w pamięci winę Mikim, pozostałe żony Candora zebrały się razem i uradziły, co następuje: Odtąd, chociaż kobieta może słuchać świętych pieśni, nie wolno jej już ich śpiewać ani wznieść swego głosu ponad głos męża. Tak więc pieśni i zwoje *Słowa Niebios* oddano pieczy mężczyźni i w ten sposób pozostają bezpieczne aż do dziś.

To bardzo zadowoliło Miłosierne i pobłogosławiły Candora wieloma synami. Wierna Saeleas zrodziła mu wspaniałego Nerena, którego bohaterskie czyny są wiecznie opiewane w pieśniach. Z czasem Candor dochował się tylu synów, że zbudowali oni własne statki i rozprzestrzeleni się aż do najdalszych zakątków Próżni. Tak zatem imię Candora jest wiecznie sławione i wszystkie jego dzieci go błogosławią.

Splotłam dłonie na metalowym stole i uśmiechnęłam się, pogrążona w słodkim rytmie opowieści i wspomnieniach o tym, jak moja matka ją recytowała.

– To śmieszne – powiedziała Miyole. – Nikt nie mógłby usłyszeć tej kobiety.

Zamrugałam, wyrwana z zadumy.

– Co?

– To nie była jej wina – rzekła Miyole. – Dźwięk tak nie działa w próżni kosmicznej. Nie wiesz tego?

– To... opowieść – wyjąkałam. – Tak właśnie było.

– To głupie – zawyrokowała Miyole. – Ten Candor i reszta potrzebowali kogoś, kogo mogliby obwinić, to wszystko. Ostatecznie nie zdołali jej odnaleźć, więc postanowili poprawić sobie nastrój i dlatego zrobili z niej winną.

– Nie...

– Avo – rzekła Miyole takim tonem, że odebrała mi wszelką ochotę

do dalszego sporu. – Ta pani Mikim miała rację. Dźwięk nie wędruje w przestrzeni kosmicznej.

Ze zdumienia rozdziawiłam usta. Próżnia to mój dom. Niewątpliwie o tym jednym powinnam wiedzieć więcej niż Miyole. A jednak ona każdego dnia wypowiada słowa i myśli, z którymi nigdy się nie spotkałam: „spadochron”, „silnik spalinowy” czy „zdeastowany”. Nie potrafię nawet zapamiętać wszystkich tych słów spływających tak gładko z jej języka. Ona może mieć rację. Najprawdopodobniej ma rację.

– Ja nie... – zaczęłam znowu.

Wtem przez drzwi wpadł mały chłopiec bez koszuli, z gęstym kołpakiem prostych czarnych włosów i skórą jak zbrązowiałe masło.

– Miyole! – zawołał z szeroko otwartymi oczami. – Musisz zejść na dół i to zobaczyć!

Dziewczynka odwróciła się na krześle. Twarz jej się rozpromieniła.

– Kai! – wykrzyknęła. Ale potem zerknęła na mnie i jej uśmiech zniknął. – Nie mogę. Nie wolno mi jej zostawić.

Chłopiec rzucił na mnie szybkie spojrzenie.

– Ty jesteś ta dziewczyna Ava, co?

– Tak jest – odrzekłam.

– Weź ją ze sobą – powiedział do Miyole. – Musisz to zobaczyć.

Starłam się, jak mogłam, dotrzymać im kroku. Zbiegli z tupotem po schodach domu Perpétue i przemknęli przez rozkołysane mostki z drewna naniesionego przez morze, łączące każdą płytką krypę z sąsiednią. Zanim zesłam na dół, już zniknęli. Przystanęłam. W tej upalnej porze dnia wszędzie wokół mnie na Gyre panowała cisza. Barki skrzypiały, unosząc się na wodzie, pokład pontonu parzył mnie w bosa stopy.

Na prawo była zatrzaśnięta kłapa izolowanego szybu, w którym Perpétue zamyka na noc swój slup. Przekroczyłam ją i spojrzałam w dół w szczelinę między barką Perpétue i sąsiednią. Dwa metry niżej zobaczyłam rozkołysaną morską wodę. Miyole i jej matka powiedziały mi, że w głębinach pływa pełno rekinów – strasznych czarnookich ryb z rzędami ostrych zębów. Zadrżałam i cofnęłam się.

– Avo! – Miyole pomachała do mnie ze szczytu sąsiedniej barki. –

Pośpiesz się!

Weszłam na chwiejącą się kładkę. Pod moimi nogami falowało morze, niebieskie i bezdenne. Staralam się nie patrzeć w dół.

Gdy tylko znalazłam się po drugiej stronie, Miyole chwyciła mnie za rękę i ruszyła szybkim krokiem. Wolałabym, żeby zwolniła, tak abym mogła lepiej przyjrzeć się Gyre – było tu o wiele więcej do zobaczenia, niż mogłam dostrzec z dachu – ale chciała dogonić Kaia i dotrzeć do krawędzi. Moje pierwsze prawdziwe zetknięcie z tym miastem było chaosem głośnej brzękliwej muzyki dobiegającej z wyższych poziomów barek; zblakłej łuszczącej się farby na ścianach; widoku chłopca niosącego na ramieniu tyczkę, z której zwisało mnóstwo ryb, oraz spoconych mężczyzn i kobiet budujących na dachach swoich domów nowe barierki lub punkty obserwacyjne. Jedna z barek miała szklane dno, przez które widać było morze i liczne pływające w nim ciemne kształty. Gdy na nią weszłyśmy, szarpnęłam Miyole, żeby się zatrzymała.

– Co się stało? – spytała, krzywiąc się.

W milczeniu spojrzałam w dół.

Roześmiała się.

– Co, chodzi ci o to dno? Jest mocne. – Podskoczyła kilka razy, by tego dowieść. – Nie bój się. Bez przerwy po nim chodzimy.

– Proszę. – Zamknęłam oczy. – Nie rób tego.

Miyole westchnęła i przystanęła.

– Mówisz jak moja manman. – Znowu pociągnęła mnie za rękę. – Chodź. Jesteśmy już prawie na miejscu.

Gdy zbliżyłyśmy się do krawędzi enklawy, wysokie pontony ustąpiły miejsca szerokiemu pasowi płaskich drewnianych i plastikowych platform znajdujących się na poziomie morza oraz przycumowanym do nich tratwom i małym aluminiowym łódkom z wiosłami. Dalej aż po horyzont ciągnęła się połać śmieci wyblakłych od słońca i soli. Na samym skraju nabrzeża tłoczyła się grupa ludzi. Stojący z tyłu tego tłumu Kai spostrzegł nas i pomachał. Pośpieszyłyśmy do niego.

– To potwór – szepnął z trwożnym podziwem, gdy przeciskaliśmy się na przód ciżby. – Miko i jej synowie znaleźli go wyrzuconego przez

morze na środku śmietniska. Mówią, że to świeże zwłoki. Może zabił go rekin.

Na skraju wody tęga kobieta z krótko ostrzyżonymi włosami i pomarszczoną zbrązowiałą od słońca skórą stała nad martwym zwierzęciem. Jego szarawe gumowate cielsko rozdzielało się na osiem gruzłowatych ramion splątanych ze sobą w śmiertelnym skurczu. Jedno szkliste oko patrzyło na nas.

Miyole pchnęła Kaia w ramię.

– To nie żaden potwór, ty rybi mózdzku, tylko kałamarnica.

– Olbrzymia kałamarnica – poprawiła ją stojąca nad zwierzęciem kobieta, zapewne Miko. Szturchnęła cielsko ręką dzidy zakończonej hakami. – Ma ze dwanaście metrów.

– Czy zabił ją rekin? – zapytał z przejęciem Kai.

Miko przecząco potrząsnęła głową.

– Nie. Nie ma żadnych ran, widzisz?

– One nie wynurzają się na powierzchnię, nie z własnej woli – powiedziała Miyole. Popatrzyła kolejno na mnie, Kaia i stojących za nami ludzi. – To stworzenia głębinowodne.

– To zły znak – rzekła jakaś kobieta z czerwoną twarzą i żółtawobiałymi włosami takiego samego koloru jak równina śmieci. – Zapowiada nadejście sztormu.

Mężczyzna obok niej się roześmiał.

– Każdy wie, że na Gyre nie ma sztormów. Właśnie dlatego nazywa się Gyre.

– Co ty możesz o tym wiedzieć, węgorzy synu?

– Więcej niż ty, stara mrożona rybo.

W tłumie rozległy się krzyki:

– ...mogła zdechnąć od czegokolwiek...

– I ty mi będziesz mówić, że znasz się na morzu?

– ...to czysty przypadek...

– ...mógł ją zabić, a poza tym...

Miko trzykrotnie uderzyła trzonkiem dzidy w pokład. Wszyscy ucichli.

– Znaleźliśmy ją ja i moi synowie, więc powiem wam, co to oznacza. – Jej głos poniósł się nad tłumem. Uśmiechnęła się szeroko. –

I mówię, że oznacza ucztę.

Rozbrzmiały okrzyki zgody. Mężczyźni i kobiety z wielkimi nożami i hakowatymi dzidami podeszli bliżej, by pomóc poćwiartować zwierzę, zapominając o kłótniach.

Tego wieczoru przy brzegu zapłonęło tysiąc małych ognisk. Niektóre z maleństw przyniosły latawce i patrzyliśmy, jak furkoczą na ciemniejącym niebie. Miyole i ja siedziałyśmy razem z rodziną Kaia wokół ich paleniska, nad którym parowały i skwierczały kawałki kałamarnicy. Kiedy wgryzłam się w moją porcję i po brodzie pociekł mi gorący mięsny sos, to wystarczyło, żebym zapomniała o sztychach bólu przeszywających moje nogi i plecy. Miyole opowiedziała historię, jaką niedawno przeczytała, o kobiecie z rybim ogonem, która zakochała się w księciu i przehandlowała swój głos w zamian za nogi. Ale kiedy je dostała, okazało się, że księżę jej nie kocha, a ona przy każdym kroku czuje się, jakby chodziła po ostrzach noży. Ta smutna historia trzymała się mnie, nawet kiedy Miyole już skończyła mówić. Potem bracia i siostry Kaia wcisnęli do rąk swojemu ojcu niewielki strunowy instrument.

– Zaśpiewaj z nami, Avo – poprosiła mnie Miyole, gdy mężczyzna zaczął nucić znaną im wszystkim piosenkę.

Potrząsnęłam głową. Nie mogłabym śpiewać, nawet gdybym znała słowa. Siedziałam, przysłuchując się dźwiękom melodii, trzaskaniu ognia i łagodnemu chlupotowi wody, i zastanawiałam się, czy naprawdę może istnieć takie miejsce, w którym nie ma burz.

Miyole klęczała obok Kaia i jego rodzeństwa w łódce ich rodziny, a jego matka wiosłowała w kierunku równiny Gyre. Słońce nie wstało jeszcze nad wodą, ale niebo przybierało już ciepłą lawendową barwę. Równina odpadów promieniowała łagodnym widmowym blaskiem, jakby była oświetlona od wewnątrz, a nie z góry. Niektórzy inni zbieracze wpłynęli w nią już tak daleko, że ich łódki były tylko małymi ciemnymi sylwetkami na horyzoncie.

– Wróć, zanim słońce wzejdzie wysoko! – krzyknęłam do Miyole.
– Tak kazala twoja matka.

– Wróć! – odkrzyknęła. – Nie zapomnij poćwiczyć czytania.

– Tak jest!

Raz jeszcze pomachałam i odwróciłam się. Tablet Miyole zawierał opowieści. Teraz, kiedy już znałam alfabet, chciała, żebym wypróbowała dźwięki słów poprzez czytanie historyjek, w których są sztuczki ze słowami brzmiącymi bardzo podobnie. Było tyle pojęć do zapamiętania, nowe rodzaje zwierząt oraz rzeczy związane z niebem i ruchem Ziemi. Niektóre słowa, które niegdyś uważałam za puste – takie jak „mgła”, „ubytek” czy „stado” – miały teraz dla mnie więcej sensu niż dawniej, gdy były zamknięte na „Parastracie”.

Och, ale były też cyfry. O wiele prostsze. Czyste, eleganckie znaki, jeden na każdy mój palec. Miyole pomogła mi wyrysować je atramentem na kostkach dłoni i mogłam dopasowywać te symbole do moich rachunków, gdy gotowałam, prałam, rozrzucałam ziarno dla kurczaków i starałam się nie zważać na nikłe resztki bólu. Perpétue nadal proponowała mi swoje proszki, ale miałam po nich sny o tonięciu. W najgorszym Modrie Reller nakarmiła mnie kamieniami, zaprowadziła do ciemnej wodnej szczeliny między pontonami i wepchnęła mi głowę pod fale. A przez cały ten czas Lifil i Miyole pluskały się w rozświetlonej słońcem wodzie.

Powędrowałam z powrotem przez mostki Gyre. To była moja ulubiona pora dnia, cisza tuż przed wschodem słońca. Większość zbieraczy odpadów zebrała się już na brzegu, ale cała reszta była jeszcze w domach. Przyrządzano śniadania, budzono dzieci lub wieszano pranie,

żeby wyszło. Mogłam błąkać się pośród budynków i statków, niczym duch samej siebie.

– Luck – szepnęłam. – Jesteś tam?

I chociaż wiedziałam, że to tylko moje urojenie, jednak nasłuchiwałam.

– Tęsknię za tobą – powiedziałam w pustkę i czekałam na jakiś znak: mewę zdmuchniętą z toru lotu lub nagłą zmianę wiatru.

Potem zobaczyłam dom Perpétue i moje uczucie pustki się rozwiało. Tam nie ma miejsca na duchy. Przemierzyłam cicho taras i weszłam po schodach. Musiałam nakarmić kurczaki i rozwiesić pranie, a potem podszkolić się w czytaniu. Perpétue już dwa razy proponowała, że zabierze mnie na wieżę Islandczyków, żeby poprzez sieć poszukać mojej modrie, ale odmawiałam. Im więcej uczyłam się czytać, tym bardziej pojmowałam, jaka głupia bym się jej wydała, gdyby odkryła, jak niewiele wiem. Czasami wyjmowałam tablet Miyole, siadałam i wpatrywałam się w jego świecący pusty ekran, usiłując zmusić się do tego, by go włączyć i ćwiczyć wstukiwanie w niego moich własnych słów. Ale najczęściej potrafiłam tylko gapić się na migoczące niebieskie światełko sieci i pulsujące obok słowo, które znałam teraz najlepiej: „Przeszukiwanie... Przeszukiwanie...”.

– Ava? – głos Perpétue dobiegł z szybu dokowego jej slupu. – To ty?

Przystanęłam na schodach, a potem pośpieszyłam do szybu i wetknęłam głowę przez właz.

Perpétue stała po kostki w wodzie mętnej od soli i obsługiwała ręczną pompę. Za jej plecami wznosił się statek na swoich podporach.

Ośloniła dłonią oczy i popatrzyła w górę na mnie.

– Mamy przeciek. Pomożesz mi?

– Tak jest – odpowiedziałam.

Zeszłam po drabince i zeskoczyłam z pluskiem obok Perpétue. Zimna woda wsiąkła w rąbki moich sukienek. Zaciążyły jak ołów.

– Pompuj dalej – powiedziała Perpétue i obróciła rączkę pompy ku mnie.

Uklękła w wodzie i zaczęła macać wzdłuż szwu łączącego podłogę szybu ze ścianą. Zdawała się nie zważać na to, że zimna woda moczy ją

aż do kolan. Ja jednak potrafiłam myśleć tylko o tym, jak prędko napelni się szyb, jeżeli przeciek się powiększy, i że moje ciężkie ubranie może ściągnąć mnie na dno, gdy woda podniesie się ponad moją głowę. Nie musiałabym mieć nawet brzucha pełnego kamieni. Zaczęłam pompować szybciej.

– Ach, *li*. Tutaj – rzekła Perpétue.

Wstała z chlupotem i wzięła kawałek metalu w kształcie litery L oraz spawarkę na zimno, podobną do tej, jaką widziałam kiedyś w rękach Jereja. Spawarka napęliła wodę niebieskim światłem i stłumionym brzęczeniem. Powierzchnię wody zmarszczyły drobne fale. Ale potem nagle stłumiony dźwięk ucichł, a światło zgasło.

– Cholera. – Perpétue wyjęła spawarkę i walnęła w nią otwartą dłonią. – Stale się psuje.

Zawahałam się. Jeżeli to urządzenie jest choć trochę podobne do uszczelki tłoka lub mechanicznej dojarki, które Soli nauczyła mnie naprawiać, być może zdołałabym coś na to poradzić. Czyżby? Czy odważę się zapytać Perpétue? Zanim zaczęłabym zbyt długo się nad tym zastanawiać, powiedziałam:

– Czy mogłabym rzucić na nią okiem, czcigodna naj?

– Ty? – spytała zdumiona Perpétue.

– Tak jest – powiedziałam. Staralam się nie zważać na to, że woda skrada się w górę moich nóg, i wyciągnęłam rękę. – Mogłabym spróbować.

Perpétue wzruszyła ramionami i podała mi spawarkę.

– Nie zdołasz jej już bardziej zepsuć.

Obróciłam spawarkę w rękach, uważając, by nie dotknąć jej parzącego lodowatym zimnem wylotu. Wyglądała na dobrze uprzedzoną, z wyjątkiem cienkiej jak włos rysy pęknięcia w rowku nad włącznikiem. Zniosłam spawarkę pod ścianę, na której wisiały na hakach narzędzia, i wybrałam jedno, którym jak wiedziałam, otworzę obudowę tak łatwo, jakbym rozwierała dłoń. Perpétue zdjęła ze ściany lampę warsztatową i poświeciła mi. Woda omywała mi już łydki, ale zacisnęłam zęby i zignorowałam to. Perpétue też zdawała się nie zwracać na to uwagi, ale ona przecież miała buty do kolan. Otworzyłam spawarkę i pochyliłam się nad nią, by ją obejrzeć. Na jej ruchomych

częściach i metalu wokół baterii widniały drobne kropelki.

– Uszczelka jest pęknięta – powiedziałam. – To woda zepsuła spawarkę.

Sięgnęłam po suszarkę, włączyłam ją i trzymałam nad spawarką tak długo, aż woda wyparowała. Potem sprawdziłam połączenia i zamknęłam obudowę. Przylegała ściśle, bez widocznego szwu. Perpétue przez cały czas obserwowała, co robię.

– Czy masz tu któryś z tych pasków lepkich po jednej stronie, a metalowych po drugiej? – zapytałam.

Woda muskała mi już kolana.

Perpétue uniosła brwi.

– Metalową taśmę klejącą?

Nacisnęła zamek szuflady wbudowanej w ścianę, wysunęła ją i pogrzebała w niej. Wyjęła ciasno zwiniętą szpulę dokładnie tego, czego potrzebowałam.

– To?

– Tak jest – odrzekłam i podziękowałam jej skinieniem głowy.

Wyciągnęłam taśmę i przycisnęłam do pęknięcia nad włącznikiem. „Szybciej, szybciej” – poganiałam w myśli taśmę. Wołałabym, żeby Perpétue wróciła do pompowania, ale nie śmiałam jej tego powiedzieć, a ona wydawała się zadowalać obserwowaniem mojej pracy, chociaż woda wciąż powoli się podnosiła. Gdy tylko stalowa taśma się przylepiła, szybko wdusiłam jaskrawoczerwony guzik spawarki. Urządzenie włączyło się i zabręczało miarowo, a wszystkie lampki wskaźników zapłonęły jedna po drugiej.

– Spróbuj teraz – powiedziałam, podając spawarkę Perpétue.

Wzięła ją i obrzuciła mnie długim taksującym spojrzeniem.

Ale stałam już po uda w słonej wodzie i w mojej piersi narastała panika. Pognałam do pompy i zaczęłam pośpiesznie wybierać wodę z szybu. Tymczasem Perpétue kończyła spawać przeciek. Podniosłam na nią wzrok, dopiero gdy brzęczenie spawarki ucichło, a woda opadła poniżej moich kolan. Zobaczyłam, że Perpétue mi się przygląda.

– Chciałabyś polecieć ze mną w rejs, fi? – zapytała.

– Ja... ja nie... polecieć?

– Potrzebuję pierwszego oficera, żeby mi pomógł. Ładował towar.

Może też nauczyłyby się tego i owego o pilotowaniu. – Obróciła w dłoniach spawarkę. – Myślałam zawsze, że może Miyole chciałyby ze mną latać, kiedy będzie starsza, ale prawdę mówiąc, pomoc przydałaby mi się już teraz. W ten sposób loty byłyby bezpieczniejsze. A ty... – Perpétue ostrożnie powiesiła spawarkę na ścianie obok innych narzędzi. – Ty nadajesz się do czegoś więcej niż karmienie kurczaków, fi.

Zamrugałam zaskoczona. Ja miałabym pilotować statek? W głowie zagrzecotały mi słowa ojca: „Nie można opiekować się niemowlęciem i jednocześnie obsługiwać programu nawigacyjnego”.

– Nie wiem – wyjąkałam.

Popatrzyłam na nią, na słup i na pełen obłoków kwadrat nieba nad naszymi głowami. Perpétue podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem.

– Wyrzucili cię – powiedziała. – Ale to nie znaczy, że jesteś bezwartościowa. Znaczy tylko, że nie dostrzegli twojej wartości.

Spojrzałam znowu na nią stojącą w cieniu dokowego szybu. Miała zaciśnięte szczęki, a jej oczy pałały światłem.

– Możesz im pokazać – powiedziała. – Możesz wybrać własną drogę.

W tym momencie coś we mnie zapłonęło, jakby cały ból i smutek minionych miesięcy był paliwem nasączającym moje serce, a słowa Perpétue przytkniętą do niego pochodnią.

Czułam gniew. Tkwiła w tym siła. Miałam w ustach jej smak, dawała mi żar, dawała mi coś, dla czego mogę żyć.

– Dobrze – powiedziałam.

Spędziłyśmy tę noc w domu, upewniając się, że Miyole ma wszystko, czego będzie potrzebowała przez następny dzień, i wyruszyłyśmy przed wschodem słońca. Miałam na sobie stare ubranie Perpétue: spłowiałą czerwoną koszulę w białe kropki ściągniętą grubym brązowym paskiem, buty sięgające do połowy łydek i grube spodnie robocze. Mocno dziwnie było czuć materiał obciskający mi nogi, a jeszcze dziwniej buty. To było trochę jak zbroja, jaką ponoć nosił lord Candor.

Perpétue roześmiała się, widząc, że wiercę się w moim nowym stroju.

– Przywyknij do niego, fi – powiedziała z kwaśnym uśmiechem. –

Pora się przekonać, co potrafisz.

Jej dłonie tańczyły po wskaźnikach pulpitu sterowniczego, gdy się wznosiliśmy. Gyre skurczyło się pod nami i po raz pierwszy zobaczyłam, jak naprawdę olbrzymia jest połać odpadów. Można by wiosłować kilka dni i nie dotrzeć do Gyre Zachodniego po drugiej stronie.

– Dokąd lecimy? – zapytałam, gdy przemknęło pod nami pasmo zielonych wysp.

– Na zachód – odrzekła Perpétue, nie odrywając wzroku od wizjera. – I na północ. Mam ładownię wypełnioną po brzegi znalezionymi odpadkami do sprzedania w Mirnem. Potem z zarobkiem polecimy do pośrednika handlu ryżem w Nowym Bangkoku. Stamtąd przywieziemy ryż i prawdopodobnie trochę tabletek odsalających wodę z powrotem do dostawców w Gyre. Chcę, żebyś mnie obserwowała, Avo. Śledziła, co robię.

Powiedziała mi o kilku sztuczkach związanych z pilotowaniem słupu. Tu jest dźwignia gazu do przepychania paliwa i przyspieszania lotu. Tu wskaźnik wysokości zawsze pulsujący cyframi. Testowałam siebie, sprawdzając, czy potrafię rozróżnić i nazwać te cyfry, zanim błyskawicznie znikną. Po jakichś trzystu kilometrach odbiorniki dalekiego zasięgu wreszcie złapały sygnał sieci i ożyły.

Przelecieliśmy nad skalistym wybrzeżem i zielonym trawiastym obszarem. Perpétue skierowała słup na północ. Na jego skrzydłach zebrał się lód, a teren pod nami sfałdował się we wzgórze, a potem góry wyścielone grubą warstwą drzew z zielonymi kolcami. „Sosny” – nazwała je Perpétue. Co jakiś czas pośród lasów pojawiały się strupy miast lub miasteczek, jakby Ziemia pękła i wyciekły z niej budynki, światła i drogi. Dalej na północ teren pokrywała warstwa drobnego białego proszku. „Śnieg” – powiedziała Perpétue. Ziemia wypłaszczyła się w monotonną szarobiałą równinę.

– Tutaj – wskazała Perpétue.

Zmrużyłam oczy.

– Nie widzę... – powiedziałam.

Ale po chwili zobaczyłam. Na północny zachód od nas ziała w Ziemi olbrzymia jama, otoczona na skraju cienkimi liniami

schodzącymi spiralnie w dół w jej czeluść, jakby jakieś gigantyczne stworzenie wwierciło się w skalne podłoże. Wokół niej widniały maleńkie, pokryte śniegiem budynki, porozrzucane jak kamyki.

Perpétue sprowadziła nas niżej.

– W Mirnem niegdyś wydobywano z ziemi diamenty, zanim ludzie nauczyli się je sztucznie wytwarzać – powiedziała. Gdy zwolniłyśmy i zanurkowałyśmy, cienkie linie wokół wylotu jamy stały się drogami prowadzącymi w dół do kopalni. – Trzeba uważać, żeby trzymać się z dala od krawędzi. Prądy powietrzne stale ściągają tam statki w dół.

Zmniejszyła moc silników do jednej czwartej i zwolniła nad ogrodzonym lądowiskiem pokrytym brudną breją roztopionego lodu. W doku stało kilka statków. Gąsienicowe ciągniki wywoziły z nich palety pełne znalezionych odpadów – metali, plastiku, gumowej pianki, papieru i kartonu, nawet czegoś wyglądającego na gnijącą pulpę z roślin, ciasno owiniętą przezroczytymi arkuszami pakowymi.

Wylądowałyśmy w pustym kącie doku. Podążyłam za Perpétue w dół statku do ładowni. Wyjęła z szafki magazynowej dwa grube płaszcze i podała mi jeden. Otworzyła drzwi i wyprowadziła nas na szare lądowisko. W płuca ukąsiło mnie lodowate zimno. Gdy z hurgotem przetoczył się obok nas jeden z ciągników, w powietrze wsączył się zapach smażącego się oleju. „Kukurydziany olej napędowy” – przypomniałam sobie. Jedna z rzeczy, o których czytała mi Miyole. Roztarłam dłonie i rozejrzałam się. Za płotem rosły nagie białe drzewa przypominające wrzeciona. Powietrze wypełniało dudnienie ciągników i przenikliwy zgrzyt ich widlastych ramion, gdy podnosiły sterty palet. Mężczyźni i kobiety, tak opatuleni w czapki i płaszcze, że nie potrafiłam ich rozróżnić, przekrzykiwali ryk silników. Mój oddech wychodził na zewnątrz białym dymem.

Nie pozostałyśmy długo na lądowisku. Perpétue przemówiła do kobiety ze spierzchniętymi policzkami w jakimś gęstym, rozlewnym języku, którego nie rozumiałam:

– *Kak diela? Skolko let, skolko zim!*

Tymczasem ciągniki opróżniały ładownię naszego slupu ze znalezionej plastiku. Perpétue i ta kobieta objęły się nawzajem ramionami i poklepały po plecach. Kobieta wręczyła jej pięć małych

plastikowych kwadratów płatniczych, każdy przewleczone miedzianym obwodem. Potem znów wystartowałyśmy.

Przeleciałyśmy nad ostrymi wierzchołkami gór, później nad bladą kamienną pustynią i rzekami lśniącymi złociście w słońcu. W końcu obniżyłyśmy lot i poszybowałyśmy nad olbrzymią równiną podzieloną na łąty zalanych wodą pól. Mężczyźni i kobiety zgięci, stojący po kostki w błocie, osłaniali dłońmi oczy i spoglądali w górę, gdy przemykał po nich cień naszego statku. W oddali z oparów mgły wyłoniło się jakieś miasto.

Usiadłyśmy na jednym z błotnych lądowisk, w pobliżu wysokiego muru z pustaków. Perpétue zostawiła mnie, żebym pilnowała słupu, a sama poszła odszukać pośrednika handlu ryżem. Długo jej nie było. W środku dnia otworzyłam mój cynowy pojemnik na kanapki i odkryłam, że Miyole wypakowała go po brzegi zniszczonymi książkami do czytania, takimi papierowymi, które ona i Kai zapewne zwędzili z jakiejś sterty papierów na podpałkę. Były to wszystko historyjki dla maleństw – o gadających psach i magicznych stworzeniach, takich jak zebry. Próbowałam je czytać, czekając na Perpétue. Naprawdę próbowałam. Ale mój mózg potykał się i grzązł. W końcu cisnęłam je do pustej ładowni. Potrafiłam rozróżnić słowa, które pokazała mi Miyole, ale nie znałam triku, jak złożyć je sensownie razem. Ścisnęłam dłońmi głowę. Dajcie mi liczby, ile tylko chcecie.

Wreszcie Perpétue wróciła z handlarzem ryżu – niskim mężczyzną z przylizanymi włosami, ubranym w srebrzystą marynarkę. Za nimi podążał szereg chudych mężczyzn, nagich do pasa, niosących na ramionach worki. Tu nie było żadnych maszyn ładowniczych. Handlarz już miał polecić mężczyznom, by wnieśli ryż prosto do ładowni, ale Perpétue powstrzymała ich i chłaśnięciem noża rozcięła wierzch jednego z worków.

Rzuciła handlarzowi krzywy półuśmieszek.

– Tym razem żadnego piasku, jak widzę.

– Nie, proszę pani – odrzekł i nerwowo potarł kark. – Żadnego piasku.

Upuściła mu na dłoń dwa kwadraty płatnicze.

– To dobrze. I tak trzymać.

Perpétue gwizdnęła na dzieci, które przyglądały się naszej transakcji zza muru, i rzuciła im garść cukierków. Dzieciaki zapiszczały i pognały do nich.

– *Kob kun kaa*, proszę pani! – zawołała jedna dziewczynka, ukazując szczerbę po obydwu przednich zębach.

Gdy dotarliśmy z powrotem na Gyre statkiem wypełnionym ryżem, słońce było już tylko różową wstążką ześlizgującą się za horyzont. Posadziłyśmy słup w porcie przeładunkowym w pewnej odległości od domu, rozliczyłyśmy się z dostawcami i dołączyłyśmy do innych kapitanów statków zaopatrzeniowych siedzących wokół ogniska rozpalonego w metalowej beczce.

Perpétue wcisnęła mi w dłoń oszronioną butelkę, a drugą wzięła dla siebie. Podważyła kapsel mojej butelki tępą stroną ostrza noża i trąciła ją z brzękiem swoją.

– Za pierwszą oficer – powiedziała.

Podniosłam butelkę do ust, przechyliłam i wypiałam łyk. Płyn uderzył mnie w język – kwaśny, intensywny i zimny. Skrzywiłam się.

– Ach, mamy tu młodą – rzekła korpulentna kobieta w jasnofioletowej sukience. – Nigdy jeszcze nie piłaś piwa, dzieciaku?

Potrząsnęłam głową.

Wszyscy się roześmieli, ale dobrodusznie, nawet mężczyźni, jakbym była jedną z nich.

– Gdzie ją znalazłaś, Perpétue? – zapytała kobieta.

– To Ava. Ma wrodzony dryg do mechaniki – oznajmiła z dumą Perpétue i opowiedziała im ze szczegółami o spawarce i moim pierwszym locie w rejs.

Nikt nie zauważył, że wcale nie odpowiedziała na pytanie, i rozmowa wkrótce przeszła na inne tematy: cen ogniwo paliwowych, a także potwora znalezionego przez Miko i tego, co to oznacza.

– Wkrótce znowu polecę na stację – powiedziała do mnie Perpétue, gdy stałyśmy przy ogniu. – Chcę, żebyś mi towarzyszyła.

– Och – westchnęłam.

Uświadomiłam sobie, że Gyre stało się moim życiem, że nieustanny wpływ pracy wygładził drobne odłamki bólu tkwiące nadal w moim ciele i że jestem tutaj, zmęczona i roześmiana, jedna z załogi.

I teraz miałabym znowu zmierzyć się z Próżnią... Spojrzałam w górę na niebo z gwiazdami zaćmionymi światłem grubego żółtego księżyca. Miałabym zobaczyć miejsce, w którym utraciłam Lucka, Iri i wszystko, co znałam. Zalał mnie smutek, ale nie zatopił. Zastanawiałam się, czy to oznacza, że moja dusza powraca do mnie.

– Co czujesz na myśl o znalezieniu się znowu tam, w górze? – zapytała Perpétue.

– Nie wiem – odrzekłam i mocniej ścisnęłam w rękę butelkę.

Moja załoga już dawno wyruszyła w nowy rejs, ale nie potrafiłam strząsnąć z siebie ciarek, które chodziły mi po skórze, kiedy myślałam o wyrazie twarzy ojca, o Jereju, o Ætherze Fortune. A jeśli oni nie odlecieli? Jeśli pozostali w porcie i czekają, aż wychynę na powierzchnię? Jeśli wciąż mnie szukają?

Objęłam się mocno ramionami. Za bardzo się tym niepokoję. Z pewnością już ich tam nie ma. A zobaczyć znowu cały bezkres niemrugających gwiazd, zobaczyć ten kawałek mojego domu...

– Nie poprosiłabym cię, gdybym nie sądziła, że jesteś już gotowa – powiedziała Perpétue.

Odetchnęłam głęboko i skinęłam głową. Wrócę na stację Bhutto.

Zapięłam guziki czerwonej koszuli, wciągnęłam robocze spodnie i zatrzasnęłam klamrę paska. Początkowo czułam się naga bez moich spódnic, ale teraz moje nogi poruszały się w spodniach swobodnie i lekko. Włożyłam na szyję wisiołek identyfikacyjny. Pozostała do zrobienia tylko jeszcze jedna rzecz, zanim wyruszymy. Zaczesałam palcami włosy do przodu i spojrzałam w lustro w pokoju oczyszczeń. Moje włosy spływały aż do talii. Do uszu były proste i czarne, a niżej przechodziły w splecione łamliwe splety w kolorze zblakłej czerwieni. Ujęłam jeden ich motek, wzięłam kuchenne nożyce Perpétue i cięłam, póki długie rude pasma nie upadły na podłogę. Chwyciłam następną garść włosów i odcięłam. Chwytałam i cięłam, chwytałam i cięłam, aż wreszcie włosy o wystrzyżonych, postrzępionych końcach sięgały mi tylko do uszu.

Spojrzałam na moją twarz w lustrze. Byłam teraz inną dziewczyną. Starszą, z wklęśniętymi policzkami po miesięcznej rekonwalescencji i pracy na pokładzie słupu. Byłam też silniejsza. Czułam to, chociaż moje ciało wciąż wydawało mi się ciężkie i nieporadne pod tym ciężarem Ziemi. Ale moja skóra przestała być bladoszara i nabrała cieplejszego miodowego odcienia, gdy już bardziej przywykłam do blasku słońca.

Zebrałam z ziemi włosy na kompost, pomachałam bez troski na pożegnanie do Miyole i zbiegłam truchtem po schodach do Perpétue czekającej na mnie w szybie dokowym. Obecnie uczyła mnie napraw i technicznych trików. Nowych, ciekawszych, bardziej skomplikowanych niż te, które kiedyś demonstrowała mi Soli, ale opartych na takich samych zasadach. Potrafiłam już zmieniać moc napędu silnika poprzez regulację dopływu paliwa, odblokować podwozie, wymienić lampki kontrolne w pulpicie sterowniczym, uruchomić awaryjny układ chłodzący i robić wiele innych rzeczy. A teraz Perpétue orzekła, że już wystarczająco dobrze orientuję się w liczbach, żeby spróbować pilotażu.

Wciągnęłam się na górę do kokpitu. Siedząca w fotelu drugiego pilota Perpétue zerknęła kątem oka na moje włosy, ale nic nie

powiedziała. Zajęłam miejsce w fotelu kapitańskim, spojrzałam w dół na zestaw licznych przyrządów sterowniczych i starałam się przypomnieć sobie, jak się oddycha.

– Pamiętaj o wszystkim, co ci mówiłam – rzekła Perpétue.

Zmusiłam się, by odetchnąć, i wykonałam kolejne rzeczy z listy czynności. Sprawdziłam moje pasy bezpieczeństwa, wskaźniki temperatury silnika, ciśnienie w kabinie, poziom chłodzenia i upewniłam się, że pod wylotami dysz palników nie płaczą się żadne małe stworzenia ani zwierzęta.

Wystrzeliliśmy w górę, wzbijając kłęby soli i piasku, i z miarowym rykiem silników przemknęliśmy nad Gyre. Poczułam w sercu radosną nieważkość. Przyśpieszyłam lot statku, upajając się dreszczem kierowania czymś tak potężnym.

– Spokojnie, fi – rzekła Perpétue i mrugnęła do mnie, a ja uświadomiłam sobie, że uśmiecham się szeroko.

Łagodnie zmniejszyłam ciąg. Gyre skurczyło się do nierównego szarego pasma pomiędzy błękitem morza a równiną odpadów. Wzniosliśmy się jeszcze wyżej, aż Ziemia w dole ukazała swoją krzywiznę. Atmosfera stała się rzadsza i pociemniało. Kabiną zakołysały porywy wichru.

– Jesteś gotowa? – zapytała Perpétue, sprawdzając swoje pasy.

– Tak jest – odrzekłam.

Pchnęłam dźwignię gazu i statek przyśpieszył gwałtownie pod moim dotknięciem.

Przebiłyśmy się przez atmosferę z lekkim dygotaniem kadłuba. Żołądek mi podskoczył, gdy włączyła się sztuczna grawitacja statku. Moje płuca zakwitły pełnią powietrza, a resztki bólu, które dotąd nosiłam w ciele, znikły. Czułam się lekka jak piórko i silna.

– Czujesz to? – spytała Perpétue.

Odwróciłam się do niej powoli z szeroko otwartymi oczami. Jeżyły mi się włosy na głowie. Przytaknęłam.

– Za każdym razem – powiedziała i parsknęła beztróskim śmiechem. – Za każdym razem tak jest.

Uśmiechnęłam się razem z nią i oddychałam głęboko, upojona nieoczekiwaną rozkoszą tego, że moje ciało nie musi już z wysiłkiem

walczyć o każdy ruch i łyk powietrza. Statek obracał się wokół własnej osi, gdy przebijałyśmy się przez Próżnię, więc gwiazdy wirowały na tle czerni jak wentylator. Perpétue poleciła, żebym poprowadziła słup wzdłuż krzywizny Ziemi, aż w polu widzenia ukazała się stacja Bhutto; jej światła migotały wskutek szybkiej rotacji nad planetą. Kurczowo ścisnęłam drążki sterownicze. Czy „Parastrata” nadal tu cumuje?

– Spokojnie, Avo – musnął mnie łagodny głos Perpétue. – Sprawdź nasze wektory lotu.

Spojrzałam na wskaźniki na pulpicie. Cyfry ciurkały w górę i w dół. Odczytanie sensu tych liczb wciąż wymagało ode mnie pełnej koncentracji.

– Musimy się wznieść – powiedziałam ze wzrokiem utkwionym w ekran. – O trzydzieści cztery stopnie w kierunku stacji.

– Dobrze – rzekła Perpétue. Obserwowała, jak wprowadziłam gładko statek w przydzieloną nam strefę wlotu. Wylądowałyśmy ze stłumionym łupnięciem. – Już niedługo dam sobie luz, a ty będziesz pilotować podczas wszystkich naszych rejsów.

Roześmiałam się, ale nerwowo. Już omiatałam wzrokiem dok. Wyłączyłam silnik i wylądowałyśmy na wózek nasz towar – stopiony plastik i mrożone ryby. W doku oprócz naszego stało sześć innych niewielkich statków i roіło się od ludzi. Niektórzy ciągnęli ładunki na wózkach takich jak nasz, inni siedzieli w otwartych włazach ładowni swoich statków, machając nogami w powietrzu, plując żutym tytoniem na brudną podłogę i żłowiąc kawę. Staralam się trzymać spuszczoną głowę. Ale ilekroć ktoś mnie potracił albo mężczyźni wybuchali hałaśliwym śmiechem, mimo woli podnosiłam wzrok i przyglądałam się twarzom, wypatrując, czy kogoś znam.

Jeden z mężczyzn pochwycił moje spojrzenie. Szczupły, brodaty, w wełnianej czapce.

– Hej, dziewczuszko! – zawołał i gwizdnął, jakby przywoływał bezpieczeństwa psa. – Dziewuszko, zaczekaj.

Perpétue dała mi wzrokiem znak, żebym udawała, że go nie słyszę, ale było już za późno, gdyż popatrzyłam na niego.

– Mam dla ciebie miłą pracę w mojej załodze. – Zapraszająco poklepał się po kolanie. – Jeśli nie masz nic przeciwko pracowaniu na

leżąc.

Gapiałam się na niego z rozdziawionymi ustami, póki nie dotarło do mnie, co miał na myśli, a wtedy oblałam się gorącym rumieńcem i dałam nura w luk ładowni slupu.

– Pilnuj własnej załogi, *hákarl* frajerze – prychnęła na niego Perpétue. Wetknęła głowę do ładowni. – Avo...

– Przepraszam – wyjąkałam. Podniosłam następny zwój plastiku i z trzaskiem rzuciłam na ręczny wózek. – Nie potrafię sobie z tym wszystkim poradzić, Perpétue.

– Radzisz sobie bardzo dobrze – odrzekła. – Powinnam była cię ostrzec. Pośród tych mężczyzn z załóg nie możesz być dziewczyną. Musisz być twarda jak oni. Spójrz. – Ujęła moje dłonie i ścisnęła w pięści, a potem rozprostowała w nich środkowe palce. – Ten gest bardzo ci się przyda.

Wypróbowałyśmy go na tym brodatym mężczyźnie, gdy wylazłyśmy z ładowni. Zaczerwienił się speszony. Jego kumple pohukiwali, wyśmiewali go i szturchali, aż wreszcie potrząsnął głową i wrócił do swojej roboty. Ale nas zostawili w spokoju. Załadowałyśmy resztę naszego towaru i zawiozłyśmy go na poziom dystrybucyjny, gdzie odebrałyśmy zapłatę.

Perpétue wsunęła mi do ręki plastikowy kwadracik płatniczy.

– Za kantyną na piątej kondygnacji są interfejsy do wynajęcia. Zobacz, czy uda ci się dowiedzieć czegoś o tej twojej *tante*.

– Mam iść sama? – zapytałam, nagle niepewna. Miałam jedynie mgliste pojęcie o tym, jak używać informacyjnych portów sieciowych, zdobyte dzięki przyglądaniu się podczas naszych lotów obsługującej je Perpétue. – A co z tobą?

– Kupię sobie kilka ciastek, a potem zjadę na poziom trzynasty odbierać przesyłki – oznajmiła, kiedy wtaczałyśmy nasz pusty wózek do windy towarowej. – Odszukam cię, kiedy będziemy miały w ładowni dość paczek, by wyruszyć w drogę powrotną.

Stałam w doku, otoczona paletami owoców i stalowych blach, ściskając w dłoni cienki kwadracik plastiku. Ruszyłam do windy osobowej z nisko spuszczoną głową, ale nie potrafiłam się powstrzymać przed zerkaniem na twarz każdego mijanego mężczyzny.

Weszłam do windy. Ogarnęło mnie dziwne, paraliżujące wrażenie czegoś znanego. Gdy zaciskałam powieki, widziałam tylko biegnącego Jereja, zamykające się drzwi, wyraz jego twarzy, a potem krew na zębach Iri. Mojego ojca przewracającego ją na ziemię. „Soraya Hertz, nie zapomnij...”. Otworzyłam oczy. Byłam sama w windzie. Mój wzrok padł na panel przy drzwiach. Tym razem jednak rozpoznawałam wyryte na nim litery i cyfry: POZIOMY OD 1 DO 42. Przeniknął mnie dreszcz radosnej ekscytacji. „Od pierwszego do czterdziestego drugiego”. Dzięki temu skrawkowi wiedzy, jaki już zdołałam zdobyć, ten świat stał się dla mnie zrozumiały. Jestem już inną dziewczyną, niż kiedy byłam tu poprzednio. Nie mam się czego bać.

Wcisnęłam guzik poziomu piątego. Winda ruszyła w dół, a kiedy drzwi rozsunęły się przede mną, poczułam się pewnie w swojej skórze, spokojna i zrównowazona. Nie czułam się tak od chwili, gdy po raz pierwszy opuściłam pokład „Parastraty”.

W kantine z rzędu garnków i głębokich patelni unosiły się pod sufit kłęby pary. Kucharze rozstawiali rondle na rozżarzonych do czerwoności elektrycznych spiralach i porozumiewali się głośnymi okrzykami z ludźmi czekającymi w kolejce. W całym pomieszczeniu z podłogi wyrastały grube kolumny wspornikowe, a każdą otaczały promieniście metalowe przepierzenia, w których znajdowały się interfejsy. Wślizgnęłam się do pustego boksu, usiadłam i wpatrzyłam się tępym wzrokiem w urządzenie. Przez ekran przepływała nieustannie seria tych samych niemych reklam. Ludzie stojący na brzegu morza; rozmawiający ze śmiechem przez ręczniki; pchający po trzypasmowej jezdni osłonięty wózek spacerowy z maleńkim pieskiem. Litery przemykały zbyt szybko, bym mogła je rozróżnić.

Dotknęłam ekranu. Na prawo od niego nad szczeliną w urządzeniu zaczęła pulsować pomarańczowa lampka. Z boku światelka ktoś umieścił pasek przyklepnego papieru z wydrukowanym wielkimi literami napisem:

„Zapł... ZAPŁACZ TUTAJ. Co takiego? Nie. Zapłać. ZAPŁAĆ TUTAJ”.

Wsunęłam w szczelinę plastikowy kwadracik płatniczy. Maszyna wciągnęła go i zaraz wypluła z powrotem, ale ekran zamigotał i pojawił

się na nim jeden z programów przeszukiwawczych, którego jak widziałam, używała Perpétue. Zgarbiłam się nad ekranem i wstukałam palcem imię i nazwisko, które kiedyś przeliterowała dla mnie Miyole:

S-O-R-A-Y-A-H-E-R-T-Z.

Wyskoczyły kolumny słów i obrazów, wypełniając ciasno cały ekran. Westchnęłam. To trochę potrwa.

Przeglądałam kolejne linki. Byłam na siebie zła za to, jak wolno mi to idzie. Zanim się zorientowałam, że jeden dotyczy zmarłej kobiety, minęło dużo czasu. Drugi mówił o dziewczynie w moim wieku znanej z tego, że ściga się na wielkim zwierzęciu zwanym koniem. Zmarniłam już tyle cennego czasu. Ale potem prawie na samym dole strony pośród spletanego kłębka liter wypatrzyłam słowo „Mumbaj”. „Mumbaj!”. Otworzyłam ten link.

Przez ekran przewinęły się małe ziarniste obrazy kobiety stojącej przed tłumem ludzi siedzących na krzesłach. Lawendowy szal zakrywał starannie jej głowę oraz ramiona dopasowanej koszuli. W miejscu, gdzie szal zsunął się do tyłu z czoła, wystawało pasemko czarnych włosów. Machinalnie uniosłam rękę i dotknęłam moich postrzępionych kosmyków.

Czy to ona? Kiedy kobieta mówiła, na dole ekranu przepływały litery.

„Dr Soraya Hertz”. Serce mi podskoczyło. Miyole powiedziała mi, że właśnie tych liter D-R powinnam szukać, bo ludzie z powierzchni używają ich na znak, że jakaś osoba jest lekarzem.

Widniało tam więcej słów. Pierwsze było łatwe. Mumbaj-ski. Ale następne? „Un... Uniwer... Uniwer... Uniwer-sy...tet”. Uniwersytet. Mumbajski Uniwersytet. Wzięłam głęboki wdech i brnęłam dalej. „W”. To łatwe, ale potknęłam się na kolejnym. „Kal... Kalinie”. „Kalina” to słowo, którego nie znałam. Serce stukało mi w piersi. Może to jakieś miejsce?

– Mumbajski Uniwersytet w Kalinie – szepnęłam. – Wy...
Wydz...iał...

– Hej, dzieciaku.

Odwrociłam się błyskawicznie. Ktoś krępy – mężczyzna, jak początkowo pomyślałam – stał za mną z kciukiem wetkniętym pod pasek

torby podróżnej. Spod kapelusza z wąskim rondem sterczały szpeciniaste rude włosy.

„»Parastrata«. Uciekaj!”.

Ale nie. Skóra spierzchnięta od wiatru. To ktoś z powierzchni. A potem przyjrzałam się uważniej. To nie mężczyzna, lecz kobieta ukryta pod szorstkim ubraniem podróżnym. Odchyliłam się w cień i uchwyciłam się kurczowo oparcia krzesła.

– Co? – rzuciłam.

– Nie wolno ci tu przebywać, o ile czegoś nie kupiłaś. – Wskazała kolejkę ludzi czekających w pobliżu kuchni kantyny. – Takie są przepisy, nie wiesz?

– Och – westchnęłam. Zerknęłam na znieruchomiały obraz Sorai Hertz. Zostało mi jeszcze dwadzieścia minut korzystania z interfejsu. – Przepraszam, naj. Dziękuję. Zaraz wrócę.

Wstałam, włożyłam do kieszeni mój płatniczy plastik i pobiegłam do kolejki. Wybrałam kubek czegoś, co okazało się słodką, przyprawioną korzeniami herbatą, za gorącą, by dała się od razu wypić, i przesunęłam plastikowy kwadrat przez czytnik, naśladując ludzi przede mną. Ale kiedy wróciłam do mojego boks, zobaczyłam, że ta rudowłosa kobieta usadowiła się na moim krześle. Siedziała z jedną nogą przerzuconą przez barierkę i stukwała w klawiaturę.

– Przepraszam, czcigodna naj – odezwałam się cicho.

Nie podniosła na mnie wzroku.

– Czcigodna naj? – powtórzyłam i dotknęłam jej ramienia.

Odwróciła się gwałtownie.

– Czego?

– Czy mogłabym odzyskać moje miejsce?

– Co, to miejsce? – spytała, przybierając minę niewiniątka.

Uczucie równowagi uszło ze mnie z sykiem jak powietrze z pneumatycznego podnośnika. Moją pierwszą myślą było, żeby oddalić się chyłkiem, ale zastanowiłam się, co by zrobiła Perpétue.

– Tak jest – odrzekłam. – Szukam czegoś. Mam prawo korzystać z tego interfejsu.

– Czyżby? – Demonstracyjnie obejrzała terminal od góry do dołu.
– Gdzie to jest napisane?

– Wykorzystujesz czas, za który zapłaciłam – powiedziałam.

Cenne pieniądze, które mogłyby pójść na olej do gotowania albo na zapasowe części do statku Perpétue, wypalały się teraz pod palcami tej kobiety, a ja okazałam się na tyle dziecinna i głupia, że dałam się nabrać na jej prosty trik.

– Oskarżasz mnie o kradzież? – rzuciła.

„Ona przywykła do tego, żeby takie rzeczy uchodziły jej na sucho” – uświadomiłam sobie. Zwilżyłam językiem wargi.

– Tak jest, czcigodna.

Przez jej twarz przemknął wyraz gniewu, ale zdusiła go i uśmiechnęła się z wyższością. Odwróciła się z powrotem do ekranu.

– Ciekawe, co możesz na to poradzić.

O Miłosierne, gdybym miała nóż, jak Perpétue! Wtedy nikt by mnie nie oszukał, nie wszedł mi w drogę ani nie odepchnął na bok, jakbym była śmieciem na wietrze. Nikt nie chwyciłby mnie za twarz ani nie włókł gdzieś, dokąd nie chcę pójść. Nie trzęsłabym się wewnątrz jak galareta, gdy ktoś na mnie krzyknie. Wbiłam paznokcie w ścianki kartonowego kubka. „Już nie. Nigdy więcej”. Machnęłam kubkiem przed siebie. Parujący płyn chlusnął na kark kobiety. Wrzasnęła. W kantine wokół nas zapadła cisza.

– Suka! – krzyknęła kobieta. – Wypatroszę ci wnętrzności, ty mała psychopatko!

Stałam nieruchomo jak posąg wyrzeźbiony z drewna. Trzymałam w ręku odwrócony pusty kubek, parująca ciecz ściekała mi po palcach. „Co ja zro...”. Rzuciłam się do ucieczki, omijając stoły i kolumny, potykając się o krzesła. Pognałam korytarzem do windy. Dopiero kiedy jej drzwi zasunęły się za mną i dźgnęłam palcem guzik trzynastego poziomu, uświadomiłam sobie, że nikt mnie nie gonił.

Popędziłam na oślep do słupa Perpétue, nie zważając na wołania mężczyzn z załóg. Uruchomiłam drzwi ładowni statku i wpełzłam do ciemnego luku. „Co ja zrobiłam?”. Przycisnęłam dłonie do oczu i osunęłam się na podłogę, opierając się plecami o ścianę. W głowie wciąż rozbrzmiewał mi krzyk tej kobiety. Ona nie jest moim ojcem, Jerejem ani nawet Modrie Reller. Jest nieznaną, która z chęcią by mnie oszukała, tak jak pośrednik handlu ryżem próbował oszukać

Perpétue. Tylko że o ile wiedziałam, Perpétue nigdy nie chciała poparzyć mi skóry. Może myliłam się, myśląc, że jakiś pączek mojej duszy ocalał i mógłby ponownie rozkwitnąć. Gdyby tak było, jak mogłabym zrobić coś takiego?

– Ava? – Perpétue, mrużąc oczy, wpatrzyła się w ciemność. – Wszędzie cię szukałam, fi.

Nie potrafiłam powstrzymać okropnego, zwierzęcego jęku, który wyrwał mi się z ust. Odwróciłam się od niej.

– Co się stało? – Podbiegła i uklękła przy mnie. – Czy ktoś cię skrzywdził?

– Nie – wyjąkałam i zdusiłam szloch. „Gdyby chodziło tylko o to!”.

– Powiedz mi, fi, powiedz – rzekła, po czym przyciągnęła mnie bliżej i roztarła mi ramiona, jakbym cierpiała z przemarznięcia.

Potrząsnęłam głową.

– Nie. Znienawidzisz mnie.

Nie mogłam pozwolić, żeby przekonała się, jaka naprawdę jestem.

– Czy coś ukradłaś?

– Nie. – Wytarłam z oczu wilgotną mgiełkę. – Chyba odszukałam moją modrie. Jest w miejscu, które nazywa się Mumbajski Uniwersytet w Kalinie. Było tam napisane więcej, ale zanim zdążyłam przeczytać, jakaś kobieta próbowała mnie odgonić, a ja chlusnęłam na nią herbatą i poparzyłam ją.

Perpétue wpatrywała mi się w twarz, jakby czekała na dalszy ciąg. Zamrugowała.

– I to wszystko?

Żałośnie kiwnęłam głową. Dzięki Miłosiernym, że nie miałam noża.

Perpétue parsknęła śmiechem, lecz szybko go stłumiła.

– A więc chyba już wiemy, że żaden z ciebie aniołek.

– Postąpiłam źle, Perpétue. A gdybym... – Zająknęłam się. – Sposób, w jaki... Skoro wiem, jak to jest być skrzywdzoną, czy to nie znaczy, że powinnam mieć na tyle rozsądku, by nie krzywdzić kogoś innego?

– Nie – odparła.

– Nie?

– Całe to cierpienie. – Przyjrzała mi się przenikliwie nieruchomym wzrokiem. – Ono nie czyni nas świętymi, fi. Czyni nas tylko ludźmi. Rozumiesz?

Przecząco potrząsnęłam głową. Nie wiedziałam, czy jej wierzyć.

– Ty nigdy byś tak nie postąpiła.

– Uważasz mnie za dobrą?

– Tak.

– Dlaczego?

Z namysłem spojrzałam w górę na ciemny strop ładowni.

– Dobrze traktujesz mnie i Miyole. Nigdy nikogo nie oszukałaś w udziale, jaki mu się należy, kiedy przywozimy na Gyre zapasy. Jesteś... – Przypomniało mi się jedno ze słów Miyole. – Jesteś uprzejma dla ludzi.

Perpétue wyciągnęła nóż i obróciła w dłoniach.

– Wiesz, dlaczego go noszę?

Potrząsnęłam głową.

– Do obrony?

– Tylko na pozór. – Podrzuciła w powietrze obracający się nóż i złapała go za rękojeść. – Głównie po to, żeby pamiętać.

– Pamiętać?

Przysunęła ostrze do twarzy obok głębokiej szpetnej blizny przecinającej jej wargi.

– Mam to od tego noża. Był pewien mężczyzna... – Odwróciła wzrok. Kiedy znowu zaczęła mówić, jej głos miał ostrość metalu: – Ojciec Miyole. Chciał mnie zabić, ale ostatecznie to ja go zabiłam.

Chciałam coś powiedzieć, lecz powietrze wokół nas było tak nieruchome, że nie ośmieliłam się go zakłócić.

Perpétue spojrzała na mnie.

– Czy to byłoby „dobre”, Avo, czy byłoby „uprzejme”, gdybym pozwoliła, żeby mnie zabił?

– Nie – szepnęłam. – Ale też nie ciachasz ludzi nożem na prawo i lewo. Ani nie parzysz wrzątkiem.

– Istnieje pewna równowaga – powiedziała. – Są rzeczy, które musimy zrobić, i te, które decydujemy się zrobić, a wszystko inne –

większość – to mieszanina tamtych dwóch. W najlepszym razie przeżywamy życie, usiłując nie zostać zranionym, ale też i nie zranić. Nie zawsze się udaje, ale to najlepsze, co można zrobić. Właśnie to usiłowanie nazwałabym dobrem.

Obróciła nóż rękojeścią do mnie.

– Weź.

Zdezorientowana, przeniosłam spojrzenie z noża na nią.

– Teraz to ty go potrzebujesz – dodała.

– Nie mogę – odrzekłam. – Jest twój.

Nie potrafiłam wyobrazić sobie siebie z jej nożem, tak samo jak nie potrafiłam wyobrazić sobie jej bez niego.

– Możesz – powiedziała i wcisnęła mi go do ręki.

Moja dłoń zacisnęła się na rękojeści.

Perpétue uśmiechnęła się i klepnęła mnie w ramię.

– Chodź, mamy już wystarczająco dużo paczek, by wrócić na powierzchnię. Miyole na nas czeka.

Perpétue pozwoliła, żebym to ja wyprowadziła statek z doku i przeleciała z powrotem przez atmosferę. Niebo wyglądało źle, gdy zbliżyliśmy się do Gyre. Nad otwartym morzem gromadziły się chmury pociemniałe do ziemistej żółtawej szarości. Nad falami rozdrzewiały się błyskawice.

– Myślałam, że tu nigdy nie ma burz – powiedziałam, zaryzykowszyszy szybkie zerknięcie znad przyrządów sterowniczych.

– Bo nie ma. – Perpétue ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się burzowym chmurom piętrzącym się nad równiną odpadów. Zaczął padać deszcz, mieszając się ze słoną mgiełką i zalewając nam przedni wizjer. – Przekaż mi stery.

Ustałam jej fotel kapitański. Gdy przebijaliśmy się przez wiatr ku Karaibskiej Enklawie, wysokie morskie bałwany kołysały już całym Gyre. Morze i niebo się kotłowały. Twarz Perpétue zszarzała. Żadna z nas nie musiała mówić na głos, o czym obie pomyślałyśmy. „Miyole”.

Podprowadziłyśmy słup tak, że zawisł nad barką Perpétue. Spienione fale zalewały jej pokład i cała konstrukcja kołysała się gwałtownie. Na dachu błysnęło coś czerwonego. Latawiec Miyole zaplątany w sznur do bielizny. Na moich oczach naprężony sznur trzasnął i po chwili wiatr porwał latawiec w górę, ku skłębionej szarości. Każdy grzbiet fali unosił szyb dokowy, a potem ciskał go znowu w wodną dolinę. Lądowanie było niemożliwe.

„Tamten potwór, pomyślałam. Oni mieli rację”.

Perpétue szarpnęła stery i zaklęła.

– No, dalej! – krzyknęła do statku.

Sprowadzała go coraz niżej, aż wreszcie fale zaczęły uderzać w jego brzuch osłonięty pancernymi płytami.

– Perpétue... – rzekłam nerwowo.

Przez wycie wichru i ryk fal przebił się straszliwy trask. W odległości kilku dachów dwupiętrowa budowla oderwała się z metalicznym zgrzytem od pontonów. Przechylała się powoli, bardzo powoli, aż wreszcie uderzyła w rozszalałą morską toń, wzbijając słup czarnej wody i piany. Olbrzymia fala runęła ku nam, roztrzaskując po

drodze prowizoryczne mostki.

– Perpétue! – krzyknęłam.

Wyciągnęłam rękę i pchnęłam dźwignię gazu. Slup poderwał się, w ostatniej chwili unikając zatopienia przez falę.

Perpétue rozpięła pasy i wygramoliła się z kapitańskiego fotela.

– Przejmij stery.

– Co zamierzasz... – zaczęłam.

– Rób, co mówię – warknęła.

Wdrapałam się na fotel, zatrzasnęłam na piersi klamry pasów i chwyciłam rączki dźwigni ciągu. Perpétue już ustawiła je na trzy czwarte mocy, usiłując przeciwstawić się wiatrowi.

– Sprowadź nas niżej – poleciła, przypinając do kołnierza nadajnik bliskiego zasięgu.

Staralam się utrzymać slup równo nad wodą. Trząśł się i podskakiwał na wietrze, ale udało mi się zawiesić go jakieś dwanaście metrów nad lądowiskiem na barce Perpétue.

– Otwórz klapę wjazdu – rzuciła.

Nie musiałam pytać, co zamierza. Pociągnęłam dźwignię otwierającą klapę. Po kilku mgnieniach zobaczyłam Perpétue na zewnątrz. Przywierała do końca drabinki ze stalowych lin, zmagając się z porywami wichru, który rzucał drabinką na boki, chociaż była dodatkowo obciążona ciężarem Perpétue. Ściany domu Perpétue znalazły się niebezpiecznie blisko niej; okna były równie ciemnoszare jak morze.

Zatrzeszczała radiostacja bliskiego zasięgu:

– Ava.

Włączyłam zestaw głośnomówiący i odkrzyknęłam:

– Jestem!

– Namagnetyzuj drabinkę. Włącznik jest przy dźwigni otwierającej klapę.

Dostrzegłam go.

– Mam! – oznajmiłam i pstryknęłam przełącznik.

Drabinka opadła do pokładu barki pokrytego metalowymi płytami. Trzeszczenie nadajnika ucichło. Po chwili znowu ożył.

– Jestem na dole – usłyszałam głos Perpétue ledwie przebijający

się przez świst wichru i huk fal. – Postaraj się nie wzbic wyżej, bo drabinka się urwie. Zaraz wracam.

Wiatr walił w statek i we wszystko wokoło, a fale wzbierały i toczyły się wielkimi szarozielonymi wzgórzami. Resztki z równiny odpadów wały się po pokładzie i zasypywały szyb dokowy. Dalszy koniec barki przechylił się na jedną stronę, częściowo zanurzając się w wodzie.

W głośniku zabrzmiał zdyszany głos Perpétue:

– Nie ma jej tu!

– Gdzie jeszcze... – zaczęłam.

Ale w tym momencie poprzez kurtyny ulewy i bryzgi rozbijających się fal zobaczyłam Miyole i Kaia. Machali z kładki rudery wdowy, dwa dachy dalej.

– Perpétue! – zawołałam. Wiatr pchnął słup niżej i przez mgnienie widziałam tylko straszliwe bezdenne morze, ale znowu go poderwałam. Straciłam z oczu Miyole, lecz wiedziałam, gdzie jest. – Widziałam ją!

– Już idę! – Perpétue wybiegła z domu do drabinki, ślizgając się i pędząc na oślep w deszczu. Dopadła jej i wspięła się szybko na dolne szczeble, nie tracąc czasu na wchodzenie wyżej. – W górę, Avo, szybko!

Podniosłam statek, oddaliłam się od domu Perpétue i weszłam w szeroki skręt, by dotrzeć do kładki wdowy. Utrzymałam słup nieruchomo, podczas gdy Perpétue zwisała z końca drabinki. Wypatrywałam przez strumienie deszczu. Jedynym metalem, do którego namagnetyzowana drabinka mogłaby przywrzeć, była cienka barierka kładki.

„Nigdy nie zdoła zejść na dół” – pomyślałam, ale w tym momencie wiatr nagle ucichł i słup niemal opadł na szczyt sąsiedniego domu.

– Widzę ich! – zaskrzeczał w głośniku jej głos. Uderzenie serca. A potem: – Zeszłam. Wysyłam Miyole na górę.

– Tak jest! – odkrzyknęłam.

Dłonie miałam śliskie od potu, lecz nie śmiałam puścić dźwigni, by je wytrzeć.

I wtedy wizjer zalała ciemność. Całe Gyre zostało wciągnięte w dół, z dala od słupu.

– Och, Boże – rozbrzmiał nagle czysto i wyraźnie głos Perpétue.

Zalśniła błyskawica, oświetlając olbrzymi wodny wał, wyższy nawet od słupu, toczący się wprost na nas. Zagarniał odpady i konstrukcje Gyre. Zawisł nad nami, jego grzbiet pobiełał pianą i zaczął się załamywać.

– Leć, Avo! – krzyknęła Perpétue. – Jesteśmy na drabince. Leć!

Pchnęłam dźwignię gazu, walcząc z wiatrem i oślepiającą ulewą, rozgrzewając silniki do czerwoności. Tuż obok przemknęły kawały plastikowych arkuszy i gipsowych płyt, a potem widziałam już tylko tę gigantyczną falę pędzącą na spotkanie z nami.

– W górę! – wrzasnęła Perpétue.

Ale było już za późno.

Grzbiet fali uderzył w nas z boku i słup zawirował nad wodą. W iluminatorze migają na przemian morze i niebo, morze i niebo. „Umrę” – pomyślałam, ale moje ciało walczyło samo, by zapanować nad statkiem i odzyskać wysokość. Pełną mocą ryczących silników wystrzeliliśmy w górę. Wciąż się obracając, wpadliśmy w coraz gęstsze chmury i wszystko pociemniało.

A potem nagle ujrzałam jaskrawe zimne słońce i niebieskie niebo. W dole szalała gwałtowna burza, niczym olbrzymi wentylator zamiatający łopatom nad wodą.

– Perpétue! Miyole! Kai! – zawołałam.

Z głośnika dobiegał tylko szum zakłóceń.

Nastawiłam autopilota na utrzymanie pozycji statku, odpięłam się od fotela i zlazłam niżej. Na podłodze ładowni wały się nasiąknięte wodą paczki; tylko tyle zostało z przesyłek, które miała dostarczyć Perpétue. Wiatr wpadał ze świstem przez otwarty właz. Doczołgałam się do skraju ładowni, w kwadrat słonecznego światła na podłodze.

– Proszę – szepnęłam do Miłosiernych.

Ale gdy dotarłam do sworzni mocujących drabinkę do statku, wymacałam tylko postrzępione, ostre końce metalowej liny. Drabinka zniknęła. Dźwignęłam się na kolana i cofnęłam od skraju włazu.

– Nie – wyszeptałam.

W ciemności za mną rozległo się ciche kwilenie. Odwróciłam się.

– Miyole?

Siedziała wciśnięta mocno plecami w ścianę ładowni, obejmując

kolana zakrwawionymi rękami.

– Byli pode mną – powiedziała. – Moja manman i Kai. Byli pode mną.

Nie pozostało nam nic innego, jak tylko czekać, aż burza przetoczy się powoli na północ i zachód, z dala od Gyre. A raczej od tego, co kiedyś było Gyre. Po kilku godzinach opuściliśmy się pod skraj warstwy chmur i zobaczyliśmy w dole tylko spokojne lśniące morze.

Sprawdziłam nasze współrzędne. Zgadzały się. Sprowadziłam nas niżej i przelatywałam tam i z powrotem nad wodą, modląc się do Miłosiernych, by dostrzec unoszący się na niej fragment pontonu czy kawałek drewna – cokolwiek, czego Perpétue i Kai mogliby się ucześcić. Ale nie widziałam niczego. Gyre po prostu zniknęło. Nie było żadnych łodzi, pontonów, nawet choćby resztki równiny odpadów, które gromadziły się tutaj przez pokolenia.

Rozwarła się we mnie pustka, jakby moją pierś wypełniła Próznia, wysysając z płuc całe powietrze. Nie byłam na to przygotowana, na tę nieoczekiwaną stratę. Przecież jeszcze tak niedawno Perpétue żartowała ze mną, że to ja powinnam pilotować podczas wszystkich naszych rejsów. A teraz zginęła. A Miyole...

– Miyole – odezwałam się drżącym głosem.

Było mi zimno i miałam wrażenie, jakbym przyglądała się wszystkiemu gdzieś z głębi samej siebie.

Uniosła głowę i spojrzała na mnie z fotela drugiego pilota. Wcześniej obmyłam jej krwawiące dłonie słoną wodą i owinęłam je paskami jedwabiu z jednej z paczek w ładowni. Rozciąłam wszystkie pakunki nożem Perpétue, gdy przeczekiwałyśmy burzę. Były w nich głównie resztki sukna i artykuły luksusowe, pomalowane złościście jajka, zmrożone fiołki czegoś, co wyglądało na rtęć, tkaniny tak cienkie, że poruszało je tchnienie oddechu. Nic użytecznego.

– Musimy znaleźć jakieś miejsce do lądowania – powiedziałam.

Miyole kiwnęła głową.

– Stamtąd będziemy mogły poszukać twojej manman i Kaia – mówiłam dalej, chociaż wiedziałam, że to tylko puste słowa.

Możemy szukać, ale oboje utonęli w bezdennej morskiej otchłani, gdzie są potwory, syreny i wszystkie te inne istoty, o których ludzie

z Gyre lubili opowiadać przy ogniskach.

Miyole wyrzwała przez iluminator na łagodny zmierzch opadający nad oceanem. Postarzała się o milion obrotów, odkąd jeszcze przed burzą zostawiłyśmy ją bezpieczną na Gyre.

– Moja manman nie żyje – powiedziała. – Kai też.

– Czy masz jeszcze jakichś krewnych? – zapytałam, chociaż chyba już znałam odpowiedź.

Przecząco potrząsnęła głową. Odwróciła się od okna.

– Powinniśmy pojechać w to miejsce, o którym stale mówisz. Do Mumbaju – powiedziała. – Tam możemy znaleźć twoją *tante*.

Dr Soraya Hertz. Mumbajski Uniwersytet w Kalinie. To niewiele, ale więcej niż nic. Jeden z rufowych silników zaczął przerywać i wyć jękliwie. Nie byłam w stanie sprawdzić płyt pancerza statku, ale przypuszczałam, że podczas burzy niektóre zostały uszkodzone lub całkiem oderwane. Musiałyśmy wylądować, i to szybko.

– Tak jest – odrzekłam. – Do Mumbaju.

Przewinęłam na ekranie dane dziennika pokładowego i wybrałam współrzędne najbliższego miasta na wschód od nas – tego, w którym mieszkał pośrednik handlu ryżem. Kiedy znajdziemy się bliżej lądu, będę mogła złapać sygnał sieci i odszukać koordynaty Mumbaju. I poleciałyśmy chwiejnie nad wodą z silnikami ustawionymi na ćwierć mocy. Z przodu przed nami zaszło słońce. Byłyśmy same w powietrzu. Nie mogłam choćby na chwilę oderwać wzroku od migających szaleńczo lampek kontrolnych pulpitu sterowniczego, ale wyciągnęłam rękę i ujęłam dłoń Miyole, gdy pochłonęła nas noc.

Część II

Kiedy moim oczom ukazał się Mumbai, pomyślałam, że chyba zasnęłam za sterami. Tylko że nigdy nie potrafiłabym wyśnić czegoś takiego. Miasto otaczał wysoki nadmorski wał. Na jego szczycie przycupnęły skupiska przysadzistych okrągłych budynków, niczym pąkle przywierające do burt barek Gyre. Wewnątrz wyrastały z ziemi olbrzymie krystaliczne budowle, których wierzchołki niknęły w nisko wiszących chmurach. „Drapacze chmur” – takiego określenia użyła kiedyś Perpétue. Dalej na północ teren wznosił się i zmieniał w patchwork dachów i drzew poszatowany szarymi drogami kolejowymi i cienką siateczką nitek rzek.

– Miyole – powiedziałam.

Poruszyła się i obudziła. Obie wpatrzyłyśmy się w to wyrastające przed nami miasto. Całkiem zapomniałam o kontrolkach pulpitu sterowniczego, póki nie zatrzeszczał głośnik. Ostry głos polecił nam skierować się do jakiegoś miejsca na obrzeżach miasta zwanego Port Lotniczy Navi. Sprowadziłam statek niżej i skręciłam na wschód. W polu widzenia pojawiły się betonowe domy, a potem krzywe dachy, niebieskie plandeki i szeregi drewnianych bud ciągnące się wzdłuż skrajów trzęsawisk. W końcu dostrzegłyśmy port lotniczy. Gdy schodziłyśmy w dół, słup kołysał się w prądach powietrznych, aż wreszcie niezdarnie, z głuchym łupnięciem posadziłam statek na lądowisku.

Słup był w bardzo złym stanie, czego się obawiałam. W kadłubie ziały szczeliny w miejscach, gdzie wichura oderwała płyty pancerza. Wyjący jękliwie silnik rufowy był supłem poskręcane go okopconego metalu. Mogłyśmy jakoś kuśtykać bez niego, ale loty na stację Bhutto czy choćby tylko przez morze były wykluczone, dopóki nie uda się go naprawić. Wciąż miałam plastikowy kwadrat płatniczy, który Perpétue dała mi na skorzystanie z interfejsu. Ale niemal połowa środków, jakie w nim zostały, poszła na opłacanie dokowania przez jeden dzień w Porcie Lotniczym Navi. A za resztę kupiłyśmy sobie możliwość wejścia do miasta bez „papierów”, jak nazwała je umundurowana kobieta zaganiająca nas przez bramę, chociaż właściwie miała na myśli

kartę chipową wielkości dłoni, rejestrującą nasze przekraczania granic miasta.

Za bramą był korytarz. Poszłyśmy nim, mijając reklamy wyświetlane na ścianach oraz sklepy sprzedające jedzenie, kapelusze i małe wiatraczki z silniczkami. Po drodze pochłonął nas tłum pasażerów z hali przylotów i pociągnął ze sobą do wąskiego pomieszczenia z siedzeniami przy ścianach. Dopiero kiedy zadźwięczał cichy dzwonek i drzwi się zamknęły, zorientowałam się, że jesteśmy w wagonie kolejowym. Chciałabym poczuć podekscytowanie moją pierwszą jazdą pociągiem, ale nie potrafiłam. Wagon powiózł nas błyskawicznie przez ciemny tunel, a potem na zewnątrz w oślepiający słoneczny blask, wzdłuż boku lądowiska, na którym stały stłoczone tysiące pojazdów powietrznych lśniących w promieniach słońca.

Wagon zwolnił. Znowu zadźwięczał dzwonek, a potem zabrzmiał głos kobiety. Mówiła najpierw w jakimś perlistym, melodyjnym języku, a potem usłyszałam:

– Kierownictwo Portu Lotniczego Navi wita was w Mumbaju leżącym na jednym z najstarszych na świecie ocalałych kontynentalnych cypli. Życzymy miłego pobytu w naszym pięknym historycznym mieście. *Svaagatam!*

Chciałam zapytać Miyole, czy wie, co to jest cypel, ale wyglądało na to, że czuje się tak jak ja – rozbita i kompletnie wyczerpana.

– Teraz musimy tylko odszukać moją modrie – powiedziała zamiast tego i pokrzepiająco ścisnęłam jej rękę. – Jesteśmy już blisko. Nie martw się.

Wyszłyśmy z wagonu i stanęłyśmy na skraju zatłoczonego peronu. Było tu za jasno i za głośno. Olbrzymie pociągi pasażerskie przejeżdżały z hukiem, wzbijając podmuchy gorącego wiatru. Powietrze było gęste i ciężkie od zapachu spalonego ozonu, intensywnej woni ostro przyprawionych potraw sprzedawanych z ręcznego wózka na drugim końcu peronu i oleistego odoru rozgrzanej metalowej podłogi. Poniżej nas ulicą wysadzaną palmami przepływał zbity tłum ludzi. Niektórzy szli pieszo, inni jechali na zwierzętach, które chyba nazywa się końmi.

Powinnam podziwiać to wszystko, lecz czułam tylko otępienie. Świat powinien być cichy i szary – teraz, gdy nie ma w nim już Perpétue

– a nie pełen zgiełku i światła.

– Gdzieś tu musi być mapa – powiedziałam i w tym momencie dostrzegłam ją przez prześwit w ciżbie ludzi: tablicę elektroniczną na postumencie pośrodku peronu.

Przecisnęłyśmy się do niej.

– Jak mamy... – zaczęłam pytanie.

Ale urwałam, gdy spojrzałam w dół na Miyole. Miała pustą twarz, jakby całkiem wyparowała z niej dawna Miyole.

Podeszła do elektronicznej tablicy.

– Mapa – rzuciła i pojawił się przed nami przestrzenny obraz miasta.

Dla mnie wyglądało to jak płatanina liter, linii i brył, ale Miyole bez trudu się w tym rozeznała.

– Jesteśmy tutaj – oznajmiła, wskazując zabandażowaną dłonią podobny do chrząszcza kształt znajdujący się daleko na prawo od najwyższych budynków. – Poproszę Mumbajski Uniwersytet – powiedziała.

Wyskoczył szereg prostokątnych budynków, każdy połączony cienką białą linią z innym miejscem na mapie. Było ich kilkanaście.

Miyole popatrzyła na mnie, marszcząc brwi.

– Który to?

Przez jedną krótką chwilę paniki nie potrafiłam sobie przypomnieć. Od ponad doby nie spałam. Głowę miałam ciężką i zamuloną.

– Ka... Kalina. – Ta nazwa przyplłynęła do mnie na fali ulgi. – Mumbajski Uniwersytet w Kalinie.

Miyole puknęła w mapę. Jej fragment powiększył się do obrazu podniszczonego szarego budynku otoczonego palmami. Ich pierzaste liście poruszał lekki wietrzyk, a obok chodnikiem przechodziła ciżba ludzi.

Podeszłam bliżej.

– Jak się tam dostaniemy?

Dotknęła kolejno kilku żółtych kropek, które połączyły się i utworzyły linię z naszego miejsca na mapie do uniwersytetu. W rogu tablicy pojawił się rozkład jazdy pociągów. Teraz zdołałam wyodrębnić słowa, numery i godziny. „Pociąg numer pięćdziesiąt dziewięć,

przewidywany czas przyjazdu 10.48. Pociąg numer dwadzieścia cztery, przewidywany czas przyjazdu 10.52”. Pomyślałam, że Iri mogłaby teraz żyć, obie mogłybyśmy być już bezpieczne u mojej modrie Sorai, gdyby któraś z nas potrafiła odczytać to, co próbował nam zakomunikować tamten hologram w hali stacji Bhutto. Nigdy nie spotkałabym Perpétue ani Miyole i nie sprowadziłabym na nie całego tego nieszczęścia. Perpétue być może nie poleciałaby tamtego dnia w rejs, gdyby nie uczyła mnie pilotażu. Mogłaby przeżyć. Kai i jego rodzina także...

„Przestań”, usłyszałam głos Perpétue, jakby jej duch mówił mi do ucha.

– Tu jest napisane, że możemy pojechać pociągiem numer dwadzieścia cztery na drugi brzeg rzeki, a potem przesiąść się w pociąg sto pięć – powiedziała Miyole, spoglądając w górę na mnie.

– Dobrze – odrzekłam i poszłyśmy razem na koniec peronu, trzymając się z dala od innych podróżnych.

– Kiedy znajdziemy twoją *tante* – odezwała się Miyole ze wzrokiem utkwionym w tor – czy ona pozwoli mi u siebie zostać?

– Oczywiście – powiedziałam, chociaż nie byłam nawet pewna, czy pozwoli zostać mnie.

– Dlaczego miałyby mi pozwolić? – Miyole kopnęła w żółtą linię na skraju peronu. – Nie jestem jej krewną.

– Ja też nie byłam waszą krewną, kiedy twoja matka wzięła mnie do siebie. Ale teraz... już jesteś moją krewną. – Ścisnęłam jej dłoń na znak, że mówię serio. – Nie zostanę u niej bez ciebie. Jeśli będziemy musiały, wrócimy na statek i znajdziemy pracę na stacji Bhutto. Twoja matka...

Urwałam, gdyż z dołu od magnesów dobiegło ciche brzęczenie, a daleko na torze pojawił się mknący ku nam smukły biały pojazd. Na tablicy elektronicznej zajarzył się napis: DWADZIEŚCIA CZTERY.

– Pociąg – powiedziała Miyole.

Cofnęłyśmy się, gdy wpadł na stację i przemknęły obok nas szeregi szklanych drzwi i okien. Zahamował gładko. Drzwi się otworzyły i ostrożnie weszłyśmy do środka, uważając na ciemną szczelinę między wagonem a peronem. Przypomniała mi pełne rekinów szczeliny między pontonami Gyre. Miyole usiadła tyłem do okna. Słońce oświetlało

cienkie kosmyki włosów, które wymknęły się z warkoczy dziewczynki, i pogrążyło jej twarz w cieniu.

Wokół nas tłoczyli się ludzie. Mężczyźni w czarnych garniturach i zapiętych pod szyją białych koszulach bez kołnierzyków, gładko ogoleni, z włosami wypomadowanymi i zaczesanymi za uszy; kobiety ubrane tak samo, ze złotymi lub diamentowymi pierścieniami w uszach i nosach; inne w ładnych sukienkach z drukowanymi wzorami i chustach albo w szerokich powłóczystych spodniach. Ludzie stojący tak jak ja pośrodku wagonu trzymali się poręczy nad ich głowami, więc zrobiłam to samo. Niemal dusił mnie ostry odór tyłu pocących się, ciasno stłoczonych ciał.

Za oknami przemykało miasto. Bliższe budynki były tylko rozmazanymi smugami metalu, szkła i szarego kamienia; jedynie dalekie wieże i wierzchołki drzew przesuwały się wolniej przed naszymi oczami. Przez szyby przepłynęły grube białe litery: STACJA BAY MOUTH – i z sufitu rozbrzmiał spokojny głos powtarzający tę nazwę głośno po angielsku i w nieznanym mi perlistym języku. Zatrzymaliśmy się. Połowa pasażerów naszego pociągu wysiadła drzwiami po jednej stronie, a potem otworzyły się drzwi z drugiej strony, wpuszczając kolejnych. Jakiś młody mężczyzna przeszedł powoli przez wagon, wołając: „Czaj! Czaj!” i niosąc kubki z parującym napojem na tacy zawieszanej na szyi.

Znowu ruszyliśmy. Pociąg rozpędzał się do swego miarowego, bezszelestnego ślizgu, przemykając pod słońcem środka dnia, gdy nagle z dołu dobiegł narastający przenikliwy dźwięk i podłoga zatrzęsała się nam pod nogami. Wagon wypełniły krzyki, gdy wpadliśmy na siebie, zgniatając się nawzajem; było zbyt ciasno, by móc upaść. „Awaria grawitacji” – przemknęło mi przez głowę, lecz zaraz przypomniałam sobie, że jesteśmy przecież na powierzchni. Działo się jednak coś złego, bardzo złego. Pociąg zazgrzytał i zatrzymał się z ostrym szarpnięciem.

Przez chwilę panowała pełna osłupienia cisza. Potem jakieś niemowlę wybuchło przestraszonym płaczem i rozległy się krzyki:

- *De!* Uważaj!
- ...za każdym razem się spóźniam.
- *Hawa aane de!*
- Do diabła! Co, znowu?

– Miyole! – zawołałam.

– Jestem tutaj – odpowiedziała.

Trzymała się kurczowo drążka obok swojego siedzenia. Oczy miała szeroko otwarte ze strachu, ale nic jej się nie stało.

Westchnęłam z ulgą i stanęłam prosto.

– Przepraszam, naj. Przepraszam – wymamrotałam do mężczyzny przede mną, na którego plecy przed chwilą wpadłam.

– Avo – odezwała się Miyole i wsunęła dłoń w moją. – Co się dzieje?

– Nie wiem – odrzekłam.

Wspięłam się na palce, żeby zobaczyć. Po plecach spływały mi strużki potu.

– To zalanie – powiedział mężczyzna, na którego wpadłam.

Wskazał na sufit. – Lada moment to ogłoszą. Słuchaj.

W głośnikach zadzwoniło ciche bim-bom, a potem w wagonie rozbrzmiał uspokajający kobiecy głos:

– Uwaga, mamy obecnie powódź na trasie...

Pasażerowie wydali zbiorowe jęknięcie.

– Proszę zachować spokój – ciągnął głos – i pozostać na swoich miejscach, dopóki nie zjawi się funkcjonariusz kolei, który doprowadzi was do najbliższej stacji.

Gdzieś blisko przodu wagonu ktoś wyważył drzwi i ludzie jeden po drugim przeskakiwali przez wąską szczelinę między torem a chodnikiem. Tłum pasażerów ruszył naprzód, porywając nas ze sobą.

– Czy nie powinniśmy zaczekać? – zapytałam tamtego mężczyznę.

Wzruszył ramionami.

– Zaczekaj, jeśli chcesz. Ja muszę zdążyć do śródmieścia na trzecią.

Zerknęłam za siebie na Miyole, czując w piersi narastający niepokój. Jeżeli opuścimy pociąg, jak znajdziemy drogę do tego drugiego, który ma nas zawieźć do mojej modrie?

Lecz w gruncie rzeczy nie miałyśmy wyboru. Usiłowałam wcisnąć się w rząd siedzeń, usunąć się z drogi, ale wszyscy parli do przodu. Można było pójść tylko na zewnątrz, w parny popołudniowy upał. Ten mężczyzna przed nami skoczył, wylądował z głuchym brzękiem na

metalowym chodniku, a potem odwrócił się i wyciągnął rękę, by nam pomóc. Miyole chwyciła ją i przesadziła szczelinę. Mężczyzna sięgnął teraz do mnie. Wiedziałam, że powinnam ująć jego rękę, że on tylko wyświadcza mi uprzejmość, ale miał takie duże dłonie o delikatnej skórze i idealnie obciętych paznokciach. Nie mogłam pozwolić, żeby mnie dotknął. Skoczyłam sama i wylądowałam na chodniku niezdarnie, chwiejnie.

Wszędzie, wzdłuż całej długości pociągu ludzie wychodzili z wagonów w upalne słońce. Większość wybrała chodnik, ale kilka osób wdrapało się na osłonę linii kolejowej, by uniknąć ścisłu. Pod nami błotne strużki zaczęły wypełniać dno namagnesowanego rowka toru.

– Czy myślisz, że... – odezwałam się, ale gdy spojrzałam na Miyole, umilkłam.

Chociaż trzymała dłoń w mojej, wydawała się nieobecna. Wpatrywała się pustym wzrokiem w coś, czego nie widziałam, a kąciuki ust miała opuszczone, co jak wiedziałam, oznaczało, że jest głęboko pogrążona w myślach.

Zanim dotarliśmy z powrotem do najbliższej stacji, słońce minęło już najwyższy punkt na niebie, a koszula kleiła mi się do pleców. Piekły mnie oczy. Wszystko docierało do mnie stłumione, jak dźwięki pod wodą w basenie odsalającym. Widok tego srebrzystego miasta pozszywanego ściegami zieleni, nieustanny ryk przelatujących w górze statków, jaskrawe kolory i palące słońce – nic z tego nie wydawało się rzeczywiste. Kręciło mi się w głowie.

Powłokłam się z Miyole do najbliższej tablicy elektronicznej i czekałam w kolejce za innymi pasażerami, by z niej skorzystać. Kiedy nadeszła moja kolej, wpatrzyłam się, mrużąc oczy, w linie splątane ze sobą jak druty. Jedna z nich błyskała niebieskim napisem: NIECZYNNE. Czy to trasa, na którą miałyśmy się przesiąść? Linia numer sto pięć? Przebiegłam wzrokiem tablicę, ale było tam tyle rozmaitych liczb, słów i linii. W końcu znalazłam linię sto pięć, ale teraz pociąg dwadzieścia cztery nie dowiezie nas do niej. Może zdołałabym się zorientować, czy jest jakieś inne połączenie, ale nie znałam nazwy tej maleńkiej stacji, do której dotarliśmy, i nie wiedziałam, jakie pociągi przez nią przejeżdżają.

– Miyole? – rzekłam z wahaniem.

– *Jaldi karo!* – parsknęła kobieta za mną. – Pośpiesz się, proszę.

– Przepraszam, naj – wymamrotałam.

Widziałam, jak wszyscy na mnie patrzą. Na pewno w taki sam sposób, jak ja patrzyłam na dziewczyny kuchenne, kiedy zapomniały dodać proszku proteinowego do potrawy z chleba albo zrobiły coś równie głupiego.

Pociągnęłam Miyole z powrotem przez tłum i osunęłam się na ławkę pod drzewem pośrodku peronu. Postanowiłam, że sprawdzę tablicę ponownie, kiedy zrobi się już przy niej pusto i będę miała więcej czasu na prześledzenie tych linii. Usiłowałam przełknąć ślinę, lecz miałam sucho w gardle.

– Chce ci się pić? – zapytałam Miyole.

Skoro ja jestem spragniona, ona pewnie też. Może nawet bardziej, bo prawdopodobnie nałykała się słonej wody podczas sztormu.

Kiwnęła głową.

Dźwignęłam się na nogi i rozejrzałam po peronie. Większość pasażerów miała własne butelki z wodą przyłączone do pasków albo do toreb noszonych na ramieniu.

– Przepraszam, naj – zagadnęłam przechodzącą kobietę w ciemnych okularach, z elegancką czarną torebką. – Gdzie mogłabym dostać trochę wody?

– Tam w środku jest sklep. – Machnęła ręką za siebie w kierunku małej budki, w której sprzedawano bilety i zimny sok. – Możesz sobie kupić.

– Kupić? – powtórzyłam i spochmurniałam.

W Gyre wszyscy dzielili się ze sobą wodą. Jeśli wracałyśmy do domu z targu i poczułyśmy pragnienie, wystarczyło tylko poprosić i któryś z sąsiadów Perpétue dawał nam wodę. Była zawsze ciepła i mdła po przegotowaniu, ale nigdy nie trzeba się było martwić o picie.

– Nie potrzebujemy zimnej czy jakiejś wyjątkowej, ani niczego w tym rodzaju – powiedziała do kobiety. – Po prostu zwykłej wody.

Uniosła brwi, zdjęła okulary i zmierzyła mnie ostrym spojrzeniem.

– Nie ma niczego takiego jak darmowa woda, dziecko – powiedziała i odeszła szybkim krokiem.

Jej słowa uderzyły mnie jak policzek i w mojej piersi zapłonął gniew, nagły i lodowato gorący. Ścisnęłam rękojeść noża Perpétue. Zamierzę się nim na tę kobietę. Przewrócę ją na ziemię i wepchnę jej twarz w stróżkę brudnej wody płynącej dnem rowka szyny. Przetnę pasek tej jej błyszczącej torebki i ucieknę ze zwisającą z niej pełną butelką.

Ale potem nadpłynęło do mnie znowu wspomnienie tamtej rudowłosej kobiety i tego, jak oblałam ją herbatą. Perpétue pocieszającej mnie w ładowni. Perpétue na drabince słupu. Jej zaginięcie podczas burzy. Opuściła mnie wszelka chęć walki.

Puściłam rękojeść noża. Słońce stało wysoko i nie było ani odrobiny cienia. Pot spływał mi po plecach. Wokół elektronicznej tablicy nadal kłębił się tłum ludzi, ale kilka osób przeszło kładką na inny peron, gdzie czekał pociąg z szeroko otwartymi drzwiami.

Chwyciłam Miyole za rękę.

– Chodź.

Spodziewałam się, że spyta, dokąd idziemy, ale ona w milczeniu podążyła za mną przez mostek. Nawet nie spojrzałam w górę na przemykającą po szybie nazwę następnej stacji, gdy wcisnęliśmy się do wagonu w miejsce koło okna. Nieważne, dokąd jedzie ten pociąg, byle tylko odjechać stąd, jak najdalej od tej okropnej kobiety i od tutejszej wody, nieosiągalnej dla nas. Poza tym w wagonie było chłodniej niż na peronie i pragnienie nie będzie nam tak dokuczało.

Pociąg przyspieszał i miasto za oknami napierało na nas. Budynki podpełzły bliżej toru, a potem rosły coraz wyżej i już nie widziałyśmy z wagonu ich szczytów. Malowane ręcznie znaki na ścianach domu ustąpiły miejsca elektronicznym tablicom i szklanym ekranom wyświetlającym olbrzymie obrazy kobiet o gładkiej cerze i zębach wielkości Miyole. Od czasu do czasu w prześwicie między budynkami oślepiająco błyskało słońce.

Zwolniliśmy, przejeżdżając przez bardziej zatłoczoną część miasta. Gęsty tłum ludzi przemierzał szeroką aleję za oknem, większość pieszo, ale niektórzy na koniach. Nagle w potoku podskakujących głów dostrzegłam szeroki szary łeb jakiegoś stworzenia ze zwisającymi uszami. Kiedy moją matkę zaatakował wirus, zaczęła mieć zwidy.

Sięgała po coś ręką, chociaż niczego tam nie było. Czy zapadam teraz na tę samą chorobę? Mocno zamknęłam oczy i znów otworzyłam. Zwierzę nie zniknęło. Jego grzbiet znajdował się na poziomie naszego wagonu i miało długi, podobny do ramienia nos, skręcony w zgrabny zwój.

– Miyole. – Szarpnęłam ją za ramię. – Widzisz to?

Spojrzała i wzruszyła ramionami.

– To słoń.

„Słoń”. Przypomniałam sobie obrazek z jednej z opowieści w jej tablecie. Sądziłam, że był zmyślony, jak zefiry i zebry z Próżni. Na grzbiecie tego zwierzęcia znajdowała się platforma z baldachimem. Tuż za uszami słonia siedziała kobieta, a za nią na platformie jechali mężczyzna, troje dzieci i inna kobieta, siwowłosa.

Jakaś stara kobieta obok Miyole spiorunowała mnie wzrokiem i odchrząknęła znacząco. Przydeptywałam rąbek jej sukni. Cofnęłam się i rzuciłam jej przepaszające spojrzenie.

Pociąg zatrzymał się na następnej stacji. Wiedziałam, że powinniśmy wysiąść, znowu poszukać wody i spróbować się zorientować, gdzie jesteśmy. Ale było tam tylu ludzi ściśniętych ciasno jak ryby w beczce. Nogi zanadto mi ciążyły, bym mogła się ruszyć. Nie potrafiłam wykrzesać z siebie dość energii, by przepchnąć się przez ten tłum i jeszcze w dodatku wlec za sobą Miyole, więc tylko przyglądałam się, jak za oknami przemykają nieznane nazwy kolejnych stacji. Świat wokoło robił się coraz większy, a ja coraz bardziej się w nim kurczyłam.

W końcu budynki cofnęły się od toru i tłumy się rozrzedziły. Przez pewien czas za naszymi oknami biegły wzdłuż toru pęki rur wysokości człowieka, a potem skręciły w inną część miasta. Niebo nadal jarzyło się słonecznym blaskiem, ale miało matowy odcień jak stary metal. Dzień się wyczerpywał. W polu widzenia wyrosło wzgórze. Domy i gołe rury wpełzały po jego zboczach oprócz jednego, nagiego, które opadało stromo do dachów budynków poniżej.

Pociąg zatrzymał się płynnie.

– Koniec trasy – oznajmił głos z sufitu wagonu.

Wszyscy pozostali jeszcze pasażerowie ruszyli gromadnie do wyjść. Spojrzałam na Miyole, która zasnęła na siedzeniu z głową opartą na moim ramieniu. Zapragnęłam zrobić to samo. Położyć się i na jakiś

czas opuścić ten świat. Rozejrzałam się. Pociąg był już całkiem pusty, drzwi pozostawały otwarte.

Oczy mnie piekły. Ciało tak bardzo mi ciążyło, jakby Mumbai miał własną, silniejszą grawitację. Zatęskniłam za Perpétue. Chciałam, żeby mi powiedziała: „Nie martw się, fi”, i odszukała za mnie moją modrie, tak aby to błędzenie już się skończyło. Zatęskniłam za Iri, a jeszcze bardziej za moją matką, pragnęłam, żeby przytuliła mnie do piersi. Chciałam, żeby Luck pogładził mnie po włosach i powiedział, że wszystko naprawi.

Ale tak się nie stanie. Nic z tego nie było możliwe.

– Miyole – szepnęłam. – Pora ruszać.

Wyszliśmy na peron kolejowy. Pociąg za naszymi plecami sapnął, od jego metalowej powłoki napływały fale gorąca. Po drugiej stronie ulicy tuż przy jezdni ciągnął się ciasny szereg sklepików sprzedających herbatę i długie bele cienkich tkanin. Dolne części białych gipsowych ścian budynków barwiły czerwone plamy, jakby ich fundamenty zanurzono w kąpieli farbiarskiej. Mężczyźni i kobiety szli, powłócząc nogami, inni ostrożnie lawirowali w tłumie na brzęczących dwukołowych pojazdach lub niekiedy na koniach. Może tutaj poszczęści się nam z wodą.

W pobliżu skupiska ławek, obok karłowatego drzewka w betonowej donicy, zobaczyłam tablicę elektroniczną. Pokrywały ją liczne rysy i zadrapania, a padające ukośnie promienie słońca jeszcze bardziej utrudniały dostrzeżenie liter i linii na ekranie.

W naszą stronę szedł peronem mężczyzna w jasnoniebieskim uniformie. Co kilka kroków przystawał, by zlusterkować wzrokiem puste wnętrza wagonów. Przyjrzał się uważnie naszym ubraniom i zagadnął:

– Wy, dziewczyny, czekacie na następny pociąg?

Skinęłam głową.

– Odjedziemy dopiero za dwie godziny – oznajmił, machnąwszy ręką w kierunku ciągu wagonów. – Przerwa konserwacyjna.

Spojrzałam na niego tępo. Znałam znaczenie każdego z tych słów, lecz mój umysł nie potrafił połączyć ich w sensowną całość. Mogłam tylko gapić się na plaketkę na jego koszuli, błyszczącą w świetle zachodzącego słońca.

– Może pójǳcie gdzieś zjeść kolację – powiedział z uśmiechem. – Wróćcie za kilka godzin, kiedy linia będzie znowu czynna.

Widocznie na mojej twarzy odbiła się rozpacz, gdyż mężczyzna przestał się uśmiechać.

– Zgubiłyście się? Jak długo podróżujecie?

– Od rana – pisnęła cicho Miyole schrypniętym głosem.

Westchnął.

– Nie zabrałyście dodatkowych pieniędzy na wodę, tak? –

Z irytacją potrząsnął głową. Odczepił od paska pełną butelkę i podał nam. – Macie.

Chwyciłam ją i wręczyłam Miyole. Piła długo, z boku jej brody pociekły małe strużki. Wreszcie skończyła, zaczerpnęła tchu i zwróciła mi butelkę. Woda była cudownie chłodna, niemal słodka. Piłam i piłam, do ostatniej kropli.

Z twarzy mężczyzny zniknął wyraz irytacji i zastąpiła go zmarszczka zatroskania między brwiami.

Wyciągnęłam ku niemu pustą butelkę.

– Dziękuję ci, naj.

Pokręcił przecząco głową.

– Zatrzymaj ją – rzekł. Przeniósł spojrzenie ze mnie na Miyole i zdawało się, że chce coś powiedzieć. Potrząsnął głową. – Poradzicie sobie, prawda?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. A miałyśmy inny wybór? Mężczyzna odszedł i wrócił do sprawdzania wagonów pociągu.

Podaliśmy plastikową butelkę Miyole, a ona zaczęła zgniatać ją w dłoniach z cichymi trzaśnięciami przypominającymi uderzenia serca. Po drugiej stronie ulicy stadko maleństw przebiegło ze śmiechem wzdłuż muru z pustaków, a sprzedawcy z wózkami głośno zachwalali sok i smażone dania, na przemian po angielsku i w tym drugim języku.

Zaburczało mi w brzuchu po wypiciu wody, ale trochę rozjaśniła mi w głowie.

– Jesteś głodna? – zapytałam Miyole.

Może uda mi się dobić targu z którymś z tych sprzedawców. Mogę dla nich dźwigać i sprzątać albo coś naprawić.

Przecząco potrząsnęła głową. Butelka w jej rękach znowu

trzasnęła.

– Nadal chce ci się pić? – dopytywałam się.

Przytaknęła.

Zamknęłam oczy i przywołałam z pamięci widok tego miasta widziany z góry, ze słupu. Były tam rzeki i strumienie, prawda? Jeżeli znajdziemy któryś, będziemy mogły ponownie napełnić butelkę. Skoro tu utkwiliśmy, możemy poszukać wody, a potem zorientujemy się, gdzie jesteśmy, i wsiądziemy do pociągu. Odnajdziemy moją modrie i wszystko będzie dobrze.

Pociągnęłam Miyole za rękę.

– Chodź. Poszukamy wody.

Potrząsnęła głową i spojrzała w górę na mnie.

– Jestem zmęczona, Avo.

W jej wielkich przekrwionych oczach widziałam żal i znużenie. Miała takie same oczy jak jej matka.

– Wiem – powiedziałam. Ukłękłam przy niej. – Chodź, poniosę cię.

Objęła mnie z tyłu za szyję, a ja wzięłam ją na plecy.

Włączyłyśmy się w tłum podążający ulicą. Światła błyskały w witrynach sklepów i przemykały wzdłuż boków jednej z olbrzymich rur wznoszących się nad dachami. Na pierwszych piętrach domów, na balkonach nad sklepami stali ludzie. Śmiali się i wołali do siebie nawzajem albo łajali psy i przyzywali swoje dzieci z ulic. Jeźdźnia sunęły małe zielone maszyny, zamiatarki. Zeskrobywały z niej końskie odchody i śmieci i wrzucały do swoich gardzieli. W powietrzu unosiły się kłęby pyłu.

Dziewczyna misternie spowita w pomarańczową suknię, ze złotymi i niebieskimi bransoletami, stała oparta o ścianę pod markizą sklepową, pochłonięta rozmową przez ręczniak.

– Przepraszam – zagadnęłam ją. – Czy wiesz, gdzie mogłabym znaleźć wodę?

Podniosła na mnie wzrok, zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. Wydawała się zakłopotana.

„Ona nie rozumie” – uświadomiłam sobie i po raz setny pożałowałam, że nie ma z nami Perpétue. Zawsze znała przynajmniej

kilka słów w języku, w którym mówiono wszędzie tam, gdzie lądowałyśmy.

Wskazałam na butelkę po wodzie i wyciągnęłam rękę w proszącym geście.

Dziewczyna skrzywiła usta, jakby się zastanawiała, a potem znowu potrząsnęła głową, odwróciła wzrok i podjęła rozmowę przez ręcznik.

Ruszyłam dalej, wciąż z Miyole na plecach. Czułam w powietrzu zapach soli, ale nie widziałam oceanu. Gdy przechodziłyśmy pod wysoko zawieszoną rurą, do moich uszu dobiegł narastający stłumiony szum i świst. Błyskające czerwone lampki oświetliły kałużę w błotnistym gruncie. „Woda” – pomyślałam i niemal upuściłam Miyole. Gdy stałam, spoglądając w górę, z rury kapnęła do kałuży kropla.

– Spójrz! – krzyknęłam do Miyole i postawiłam ją na ziemi.

Wysunęłam język, by złapać następną kroplę, ale gdy spadła, poczułam słony, żelazisty smak.

Wyplułam ją.

– To morska woda – powiedziałam.

Miyole wbiła wzrok w kałużę.

– Nie martw się – dodałam i spróbowałam się uśmiechnąć. –

Znajdziemy pitną.

Znowu podniosłam Miyole i poszłam dalej. Minęłyśmy szereg niewielkich lądowisk zapchanych statkami rozmaitej wielkości. Gdy mijaliśmy ogrodzenie z siatki, po drugiej stronie rzuciły się na nią smukłe łaciate zwierzęta. Dopiero po chwili przypomniałam sobie ich nazwę. „Psy”. W książeczkach z obrazkami, które pokazywała mi Miyole, te stworzenia były zawsze pomocne, bawiły się patykami i odpędzały obcych. Tylko że teraz to chyba my byłyśmy obce. Miyole mocniej objęła mnie za szyję.

– Może powinniśmy wracać – powiedziałam.

Niebo nie było właściwie czarne, jak nocami w Gyre, ale przybrało dziwny fioletowy odcień. W górze przemykały statki, mrugając światłami na tle aksamitnego mroku.

Zawróciłyśmy. Ulica była pusta, z wyjątkiem toczącej się w oddali samotnej zamiatarki. Minęłyśmy znowu psy, lądowiska i olbrzymią rurę,

z której kapąła słona woda. Jeszcze tylko kawałek drogi i powinniśmy zobaczyć tor kolejowy i peron z tablicą elektroniczną, która powie nam, dokąd mamy jechać. A w każdym razie w pociągu schronimy się przed upałem, który wcale nie zelżał, pomimo opadnięcia zmroku.

Szłam i szłam. Miyole coraz bardziej ciążyła mi na plecach. Byłam pewna, że do tego czasu powinnam już ujrzeć stację. Zatrzymałam się i zawróciłam. W mroku wszystkie ulice wyglądały tak samo i nie widziałam na nich nikogo oprócz dwóch kobiet w obcisłych sukienkach, z oczami podmalowanymi błyszczącą farbą, kręcących się pod latarnią. Większość witryn sklepowych była ciemna. Najszybciej jak mogłam, minęłam następny szereg domów, a potem jeszcze jeden. Lada mgnienie zobaczę stację. Ona musi tu gdzieś być.

Przed nami rozbrzmiały krzyki i śmiechy. Drugą stroną ulicy grupa mężczyzn szła wolno w naszym kierunku. Zjeżyły mi się włoski na przedramionach. „Uciekaj” – mówiło moje ciało. Ale wtedy tylko zwrócę na siebie uwagę tych mężczyzn. Chyba nas jeszcze nie zauważyli. Rozejrzałam się gorączkowo. Kilka kroków za mną otwierała się alejka między dwoma domami. Podbiegłam tam.

– Avo, co... – zaczęła Miyole.

– Sza – uciszyłam ją.

Przykucnęłam za stertą śmieci, z Miyole wciąż przywierającą do moich pleców, i zaczęłam, aż tamci nas minęli.

Wymknęłam się z ukrycia i ruszyłam szybciej, gnana teraz strachem. Ulica zakręciła i w górze na tle nieba dostrzegłam kolejną rurę. Mrugała sygnalizacyjnymi lampkami i w ich świetle pojawiał się i znikał symbol wymalowany na jej spodzie – dwie pary stykających się ze sobą poszarpanych linii, tworzących kształt diamentu.

Przystanąłam. Na pewno nigdy wcześniej nie widziałam takiego znaku. Skręciłam w inną stronę. Wciąż nie było stacji ani niczego, co bym rozpoznała. Nadaremnie starałam się opanować strach chwytający mnie za gardło. Zabłądziłyśmy.

Blask porannego słońca odbijał się w wodzie, niemal mnie oślepiając. Nie mogłam sobie przypomnieć, jakiego słowa powinnam użyć. Strumień? Rzeka? Potok? To coś było spore, ale nie bardzo duże. Miyole by wiedziała, ale spała pod zadaszeniem nad paletami transportowymi w bocznej alejce, gdzie spędziłyśmy noc, i nie chciałam jej budzić. Niech pozostanie jak najdłużej z dala od tego świata. A kiedy się obudzi, przynajmniej będę miała wodę.

Podwinęłam nogawki spodni, ściągnęłam buty i powiązałam je sznurowadłami, żeby móc przewiesić sobie przez ramię. Zlazłam ze śliskiej błotnistej skarpy i chlapiąc, weszłam na płyciznę. Woda była zimna. Na drugim brzegu grupa ludzi brodziła w leniwie płynącym nurcie, zamierzając się wykąpać. Trochę dalej gromadka chudych chłopców w krótkich spodenkach stała na betonowej płycie sterczącej nad wodą. Zobaczyłam, że jeden z nich zepchnął drugiego poza krawędź, a potem wszyscy wskoczyli z radosnym wrzaskiem.

„Pływanie” – pomyślałam i zatrasnęłam umysł przed falą wspomnień.

W górze wolno przeleciał statek z dudnieniem, które nie tylko usłyszałam, lecz także poczułam w ciele. Poleciał nad wodą w górę jej biegu, a potem wziął zakręt i przesłoniły go dachy domów. Zanurzyłam naszą butelkę. Ubiegłej nocy byliśmy tak blisko tego miejsca. Wystarczyłoby przejść jeszcze tylko kilka przecznic.

Wyjęłam napełnioną butelkę z wody, podniosłam do warg i przechyliłam, żeby się napić.

– Zaczekaj! – rozległ się krzyk.

Butelka wymknęła mi się z ręki i z pluskiem wpadła w muł.

– Niech to dziewięć piekieł! – zaklęłam.

Odwróciłam się gwałtownie, gotowa do walki, i stanęłam twarzą w twarz z chłopakiem może o obrót lub dwa starszym ode mnie. Jego czarne, krótko ostrzyżone włosy były mokre od potu i przylegały do karku i skroni. Nosił okulary o grubych kwadratowych szklach w czarnej plastikowej oprawce. Na nagich brązowych ramionach i szyi miał tatuaże.

– Przepraszam – powiedział. Cofnął się i uniósł ręce. Nos miał

krzywy po złamaniu, a brwi ściągnięte, jakby się namyślał. – Nie pij jej, chyba że chcesz dostać nieżyty żołądka i jelit czy czegoś podobnego.

Wykrzywiłam się.

– Nieżyty?

Pochylił się i wydobył moją butelkę z mułu.

– Tak. No wiesz... – Udał, że się dławi i wymiotuje do rzeki.

Zmierzyłam go ostrym spojrzeniem. Posłał mi zakłopotany uśmiech.

– Przepraszam, to chyba nie był najlepszy sposób... – Urwał, wziął wdech i wyciągnął rękę. – Pozwól mi zacząć jeszcze raz. Cześć, jestem Rushil. Nie powinnaś pić wody z kanału, bo się pochorujesz.

Uścisnęłam jego dłoń.

– Ja jestem Ava. – Popatrzyłam na pływających ludzi. – A co z nimi?

– W tej wodzie można pływać, prac i tak dalej – powiedział Rushil.

– Ale do picia trzeba mieć filtrowaną ze sklepów.

Klapnęłam na głaz sterczący z brzegu i popatrzyłam na swoje ubłocone stopy.

– Wszyscy tu tak mówią.

Rushil przyjrzał mi się uważnie, jakby dopiero teraz naprawdę mnie zobaczył.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. – Nie wyglądasz najlepiej.

Zastanowiłam się, czy nie skłamać, ale byłam zbyt znużona.

Przecząco potrząsnęłam głową.

– Dopiero co tu przyjechałaś?

Uniosłam brwi.

– Czy to aż tak widać?

– No, nie jesteś ubrana jak Bombaika. – Rzucił znaczące spojrzenie na skórzaną kurtkę Perpétue, którą miałam zawiązaną wokół bioder. – Większość ludzi tutaj nie nosi rzeczy z martwych krów.

Popatrzyłam w dół na siebie. Wszystkie skórzane rzeczy, jakie mieliśmy na „Parastracie”, były z koziej skóry, i myślałam, że ta kurtka też.

– Skąd wiesz, że to jest z... – Jak on powiedział? – Z krowy?

– Masz rację – przyznał. – Gdy ktoś będzie pytał, powiem po

prostu, że jest syntetyczna.

Przysłoniłam dłonią oczy.

– Posłuchaj, chociaż bardzo bym chciała siedzieć tu i rozmawiać o krowach, to...

– Oczywiście. Przepraszam. – Wyciągnął rękę i pomógł mi wejść na stromy brzeg. – Chodź, pokażę ci, gdzie możesz dostać wodę.

Potrząsnęłam głową.

– Nie mamy już pieniędzy. Wydałyśmy ostatnie na opłacenie dokowania naszego statku.

Rushil uniósł brwi.

– Waszego statku? – spytał. Nie potrafiłam się zorientować, czy na jego twarzy odbiło się zaskoczenie, czy niepokój. – Gdzie on jest?

– W Porcie Lotniczym Navi?

Dlaczego wszystko, co mówię, zmienia się w pytanie?

– W Navi? – Rushil skrzywił się i z sykiem wciągnął powietrze przez zęby, jakby ktoś nadepnął mu na palec u nogi. – Lepiej zabierz go stamtąd, zanim zedrą z ciebie skórę.

Pomimo słońca zrobiło mi się zimno.

– Zedrą skórę?

Spostrzegł moją minę.

– Och... nie. – Roześmiał się. – To tylko... no wiesz, takie wyrażenie.

– Ach, tak? – powiedziałam.

– Ale naprawdę powinnaś zabrać stamtąd swój statek – rzekł. – Zwłaszcza jeśli zamierzasz pozostać tu przez pewien czas.

Popatrzył nad wodą na chłopców skaczących do kanału, a potem w dół na swoje stopy.

– Mam stocznię. Możesz dokować u mnie o wiele taniej.

Ach, więc o to chodzi. Dotąd nie potrafiłam pojąć, dlaczego jakiś obcy chłopak miałby chcieć mi bezinteresownie pomóc. Teraz było to bardziej zrozumiałe.

Westchnęłam.

– Powiedziałam ci już, że nie mamy ani grosza. – „Więc spieprzaj”, chciałam dodać, ale ugryzłam się w język.

– Zaczekaj. – Rushil podniósł na mnie wzrok, niezrażony moim

opryskliwym tonem. – My?

– Ja i Miyole.

– Miyole?

– Ona... – Zawahałam się i zastanowiłam, ile chcę mu o nas wyjawić. – Straciła matkę. Opiekuję się nią.

– Dzieckiem? – Zamrugął. – Gdzie ona jest?

Wskazałam głową budynki na szczycie skarpy.

– Śpi tam, w alejce.

– W alejce? – powtórzył z niedowierzaniem. Twarz mu spochmurniała i nagle nie wyglądał już jak chłopak wysiadujący nad kanałem, lecz jak stanowczy młody mężczyzna. – Idziemy. Wstawaj.

Moja ręka powędrowała ukradkiem do noża.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie można zostawiać dziecka śpiącego w alejce. – Przewrócił oczami. – Oto dlaczego.

Poprowadziłam go pośpiesznie z powrotem na ulicę. Mimo woli zerknęłam na tatuaże na jego ramionach. Jeździec na koniu. Tygrys rzucający się na żołnierza. Nieokreślony kwiatowy wzór podobny do misternych ozdób z kutego żelaza na mijanych przez nas drzwiach i balkonach. Jakieś imię wypisane wokół pięści. Pod tymi tatuażami miał silne ramiona. Nie napakowane mięśniami, ale muskularne, co nasunęło mi myśl, że pracuje fizycznie.

– Nie obraż się, ale co robisz w Salt? – pytanie Rushila przerwało moje rozmyślenia.

Splonęłam rumieńcem, pośpiesznie odwróciłam wzrok od jego ramion i spojrzałam w dół.

– W Salt? – powtórzyłam.

Rushil wskazał machnięciem ręki ulicę wokoło.

– No, na mapach to Old Dharavi, ale nikt tego miejsca tak nie nazywa, oprócz dyrekcji kolei.

– Zabłądziłyśmy – wyjaśniłam. – Szukałyśmy mojej modrie i...

– Twojego czego?

– Mojej... mojej... – Przetrzęsnęłam pamięć, usiłując przypomnieć sobie słowo, którym Perpétue określała Sorayę. – Mojej *tante*?

Rushil potrząsnął głową na znak, że nie rozumie.

– Siostry mojej matki – powiedziałam.

– Twojej ciotki? – rzekł. – Czy nie powinna była spotkać się z wami na lotnisku?

– Nie wiedziała, że przylatujemy. – Nerwowo przełknęłam ślinę. – Prawdę mówiąc, nie jestem nawet pewna, czy wie o moim istnieniu.

To powstrzymało Rushila od dalszych pytań. Resztę drogi do alejki przebyliśmy w milczeniu.

Uklęłam przy Miyole i potrząsnęłam ją za ramię.

– Mi.

– Manman? – wymamrotała na wpół obudzona i zobaczyłam, jak twarz jej się wykrzywiła, gdy powróciło do niej wspomnienie ostatnich dni.

Gardło mi się ścisnęło.

– To ja – powiedziałam. Spojrzałam za siebie. – A to Rushil.

Przez twarz Rushila przemknął jakiś czuły, bolesny wyraz i uświadomiłam sobie, że to litość. Przeszył mnie gniew. Nie potrzebuję jego litości. Ani niczyjej innej.

– Posłuchaj, mój dom jest zaledwie kilka przecznic stąd – oznajmił. Wsadził ręce w kieszenie i wskazał głową w bok, w stronę kanału. – Wyglądasz, jakby nie zaszkodziło ci usiąść. I może też coś zjeść.

Część mnie wciąż mocno chciała odmówić, pokazać mu ten gest palca, którego nauczyła mnie Perpétue, i pójść swoją drogą. I zrobiłabym tak, gdybym była sama. Ale nie byłam sama. Była ze mną Miyole. Musiałam utrzymać ją przy życiu, nakarmić, zdobyć dla niej wodę.

– Dobrze – zgodziłam się. – Prowadź.

Przemierzyliśmy znowu te same brudne ulice, którymi Miyole i ja szłyśmy ubiegłej nocy. Teraz, kiedy słońce stało na niebie, mężczyźni i kobiety siedzieli w kucki na kwadratowych kawałkach jaskrawo kolorowych materiałów na wąskiej powierzchni między sklepami a jezdnią, handlując biżuterią, pomalowanymi muszlami, belami tkanin, porysowanymi ręcznikami i innymi błyskotkami. Więcej małych zielonych zamiatarek uwijało się z terkotem pod nogami tłumu przechodniów. W górze wisiała olbrzymia cieknąca rura, której spód pokrywały bazgroły. W jej cieniu ustawili stragany sprzedawcy soku. Rozłożyli kolorowe parasole chroniące ich przed nieustannie kapiącą

wodą.

Dotarliśmy do lądowisk. Znowu pojawiły się psy. Szczekały i warczały, kiedy mijaliśmy płoty.

– Tak, tak, wiemy – powiedział do nich Rushil. – Jesteście przerażające. Jesteście najgroźniejszymi stworzeniami na Ziemi.

Rzucił mi przez ramię uśmiech i wywrócił oczami.

Zatrzymaliśmy się przy ogrodzeniu z siatki. Była w nim brama z zamkiem zawierającym klawiaturę numeryczną. Szczytem ogrodzenia biegły spirale drutu kolczastego. Rushil wstukał kod wstępu i przytrzymał dla nas otwartą bramę.

– *Mademoiselles*, zapraszam w moje skromne progi.

Przeszliśmy przez bramę. Po drugiej stronie rozciągał się, dokąd mogłam sięgnąć wzrokiem, teren parkingowy o żużlowo-betonowym podłożu. Stały tam bezładnie liczne statki i wałały się zapasowe części. Niektóre pojazdy przykrywały plandeki z odblaskowej folii, ale inne wyraźnie były starymi wrakami.

– Wchodźcie. Zobaczę, czy Pala już zaparzył herbatę – powiedział Rushil.

Wetknął głowę do metalowej przyczepy kempingowej o niskim zawieszeniu stojącej w rogu parkingu na pustakach. Jej dach pokrywały igły nadajników i talerze anten odbiorczych. Z jednego z talerzy wstał zwinięty dotąd na nim w kłębek chudy kot, zeskoczył z dachu na ziemię i pognął do otworu w jakiejś kratownicy. Przed przyczepą stały dwa składane krzeselka, jedno z nich podpierało uchylone wąskie drzwi.

– Przyprowadziłeś jakieś klientki, Vaish? – krzyknął tyczkowaty chłopak rozwalony w fotelu zgrabnego dwusilnikowego stateczku wycieczkowego na sąsiednim parkingu.

Rushil przystanął.

– Co cię to obchodzi, Shruti?

Chłopak uśmiechnął się i zwiesił nogi z boku pojazdu.

– Po prostu patrzę na te panienki. – Przyjrzał mi się. – Potrzebujesz miejsca do dokowania, *chikni*?

Zerknęłam na Rushila i wzruszyłam ramionami.

Shruti potrząsnął głową.

– Nie dokuj u Rushila Vaisha. Potnie twój statek i sprzeda na

części.

Rushil zamknął oczy. Zacisnął szczęki.

– Shruti, przysięgam...

Tyczkowaty chłopak ześlizgnął się po boku stateczku. Podszedł do ogrodzenia i wczepił palce w siatkę.

– Dokuj u mnie. Zaproponuję ci o wiele korzystniejsze warunki.

– Naprawdę? – spytałam i rzuciłam szybkie spojrzenie na Rushila.

– Tak – powiedział Shruti. Wpatrywał się we mnie i posłał mi uśmiezek. – Możesz dokować u mnie za darmo.

– Za darmo? – powtórzyłam.

– Zgadza się – potwierdził. – Ale jeśli mi się za to zrewanżujesz...

Przeniósł spojrzenie na moje piersi i przechylił głowę na bok, odsłaniając w szerokim uśmiechu nieskazitelnie białe zęby.

– *Satak le*, Shruti. – Rushil uderzył w siatkę płotu między nimi. – To obrzydliwe. Nikt się na to nie nabierze.

– Ona tak. – Shruti kiwnął na mnie głową. – Co ty na to, *chikni*?

– N-nie – wyjąkałam. – Nie!

Przeszły mnie ciarki.

Shruti, odchodząc, mrugnął do mnie.

– Propozycja jest nadal aktualna. Gdybyś zmieniła zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Przepraszam cię za niego – powiedział Rushil. Odstawił krzesło podpierające otwarte drzwi przyczepy. – Shrutiemu zawsze w głowie tylko jedno.

Wnętrze przyczepy było zawałone rupieciami. Kilkanaście wentylatorów przymocowanych do sufitu i ścian mieszało powietrze. W głębi rozwieszona płachta ledwie zasłaniała wnękę ze złożoną pryczą i oknem. Z przodu zobaczyłam ciasną kuchenkę z przenośnym piecykiem, trochę podobnym do tego, jaki miała Perpétue, tylko że całym pobrudzonym plamami tłuszczu. Wyglądało na to, że nikt nigdy nie rozmontował go i nie oczyścił.

– Gdzie jest... – zaczęłam pytanie, ale Rushil już odsunął płachtę, budząc tym wielkiego białego psa ze spiczastymi uszami, który zamrugał zaspany na nasz widok i walił ogonem w łóżko.

– Tu jesteś, Pala. – Rushil ukląkł przy psie i podrapał go za uszami.

– Czy zaparzyłeś dla nas herbatę? Nie? – Potrząsnął głową. – Okropny z ciebie gospodarz.

– Och – westchnęłam tylko, zbyt spięta, by się roześmiać.

Miyole się nie odezwała.

Pies wstał i zeskoczył na podłogę. Dopiero wtedy zorientowałam się, że nie ma jednej tylnej łapy. Pokuśtykał za Rushilem, który zgarnął z jedyne w przyczepie, rozchwierutanego krzesła stertę pogniecionych papierowych instrukcji napraw i poobtłukiwany tablet, cisnął to wszystko na pryczę i zaciągnął zasłonę, żeby ukryć ten bałagan.

– Zaparzę herbatę – powiedział i przecisnął się obok nas. – Mam też chyba trochę placuszków roti. Mogę je odsmażyć.

Obeszłam powoli środek zagraconej przyczepy.

– Mieszkasz tu sam?

– Tak – odrzekł. Wziął z małego stolika przy ścianie stertę brudnych kubków i filiżanek i wszedł szybko do maleńkiej kuchni. – To znaczy z Palą. Ta przyczepa należała do mojego wuja, zanim umarł.

– Och – powiedziałam znowu.

– Przepraszam za ten bałagan.

Zgarnął ze stołu resztę gratów – przedłużacze, monety, narzędzie uniwersalne, świstki papieru pokryte liczbami, pinezki, starą skórzaną zszywaną piłkę – i wrzucił je do plastikowego kubła na śmieci wypełnionego do połowy kłębamii poplątanych kabli.

– Trzymam te rzeczy, bo mogą mi się jeszcze do czegoś przydać, ale czasami o nich zapominam.

Machnął ręką w kierunku krzesła.

– No, siadajcie. Herbatą już prawie gotowa.

Usiadłam. Miyole przycupnęła obok mnie na tym samym krześle. Oparła głowę o moje ramię i skubnęła materiał owijający jedną z jej dłoni.

– Nie rozdrap tego – powiedziałam.

Kolejna rzecz, jakiej potrzebujemy. Odpowiednie bandażę do jej pokaleczonych rąk.

Pała dokuśtykał do nas i obwąchał Miyole, a potem położył łeb na jej kolanach i popatrzył na nią z nadzieją.

– Pała, nie żebrz! – Rushil wrócił z dzbankiem herbaty, kilkoma

talerzykami płaskich okrągłych placuszków i trzema szklankami. – Strażnik też z niego kiepski.

Podał mi pełną po brzegi szklankę herbaty. Wypiłam łyk. Była gorąca, mętna i słodka, z dodatkiem czegoś, może goździków, i czegoś jeszcze, czego nie mieliśmy na „Parastracie”. Piliśmy w milczeniu. Herbata była doskonała, natomiast placki trochę czerstwe, ale i tak przysięgłabym, że w życiu nie jadłam niczego lepszego. Starłam się jeść powoli, ale nie potrafiłam się powstrzymać i wpychałam do ust coraz więcej. Miyole też jadła. Dzięki za to Miłosiernym.

Rushil przyglądał się nam z zaciekawieniem.

– Co się wam przydarzyło?

Znieruchomiałam z kawałkiem placka w połowie drogi do ust. Odłożyłam go z powrotem na talerz.

– Poleciałyśmy w rejs. Jej matka...

Urwałam i spojrzałam na Miyole. Siedziała nieruchomo, ze szklistym wzrokiem utkwionym w pustkę, ale wiedziałam, że słucha uważnie każdego słowa.

Naszły mnie mdłości. „Nie mogę teraz o tym mówić – chciałam powiedzieć. – Jeżeli zacznę opowiadać, co się stało, kompletnie się rozsypię”.

– Przepraszam, nie mogę... – zaczęłam.

Poczułam, że zaraz zwymiotuję. Poderwałam się z krzesła i wybiegłam na dwór. Zgięłam się wpół za stertą zardzewiałych blach falistych obok przyczepy. Chwyciły mnie kurcze żołądka, który podjechał mi do gardła, i zwróciłam wszystko, co zjadłam. Potem splunęłam na ziemię, otarłam usta i popatrzyłam na dachy domów Salt. Zobaczyłam błyszczące w słońcu panele baterii słonecznych i prania wiszące sztywno na drążkach. Powiew wiatru wzbił kłęb pyłu.

W drzwiach przyczepy stanął Rushil z zaniepokojoną miną.

– Nic ci nie jest?

– Chyba za szybko jadłam.

Kopnął w ziemię.

– To się zdarza.

– Właśnie – przytaknęłam.

Pochwyciłam jego spojrzenie i przeniknęło mnie dziwne, łagodne

uczucie. Chciałam mu podziękować za to, że zachowuje się, jakby nic się nie stało, ale jednocześnie pragnęłam wślizgnąć się pod dom tam, gdzie jego kot, i przez chwilę udawać martwą.

– Powinnaś się napić wody – powiedział. – Wróc do środka.

Przyniosę ci trochę.

– A co z...? – Skrzywiłam się i wskazałam wymiociny na stercie blach.

– Och, nie przejmuj się. Pala się tym zajmie.

Dopiero po chwili pojęłam, co miał na myśli.

– Błee... – rzuciłam.

Posłał mi uśmiech.

– Widzisz, nie jest jednak takim marnym gospodarzem.

Parsknęłam szorstkim urywanym śmiechem. Nie potrafiłam się powstrzymać. Przypomniałam sobie słowa Perpétue wtedy na dachu jej domu: „Śmiech przez łzy, tak, fi?”.

Piłam wodę powoli, drobnymi łyčzkami, żeby mieć pewność, że jej nie zwymiotuję. Miyole z roztargnieniem skrobała Palę za uszami, nucąc coś do siebie.

– Twoja ciotka mieszka tutaj, w Mumbaju? – zagadnął mnie Rushil.

– Chyba tak. Pracuje na uniwersytecie. Jest najdok... to znaczy lekarką. – Wzruszyłam ramionami. – A przynajmniej tego dowiedziałam się z sieci.

– Może... – Rushil urwał i wpatrzył się swoje kostki palców.

Były gruzłowate i zgrubiałe przy stawach od starych blizn. Po złamaniach, uświadomiłam sobie.

– Nie mam na myśli tego co Shruti – podjął, wciąż ze spuszczonym wzrokiem. – Ale może moglibyśmy jakoś to rozwiązać. Mogłabyś trzymać swój statek u mnie, a zapłacić mi później, kiedy odszukasz ciotkę.

Uniósł głowę i popatrzył na mnie.

Zacisnęłam zęby i obrzuciłam go nieufnym spojrzeniem.

Przypomniałam sobie, co mówił tamten chłopak, Shruti. A jeśli to jakaś pułapka?

– Nie zażadasz później więcej? – zapytałam i pomyślałam: „Nie

będziesz chciał w zamian rewanżu? Nie potniesz mojego statku i nie sprzedasz na części?”.

– Oczywiście, że nie. – Rushil przewrócił oczami. – Nie słuchaj niczego, co mówi Shruti. W ubiegłym miesiącu włamano się do ich doku. Skradziono im dwa statki na części i teraz tracą klientów, więc próbuje podbierać mi moich.

Popatrzyłam na Miyole, na Palę, a potem znowu na Rushila. Może to rzeczywiście najlepsze rozsądzenie.

„To dzieje się za szybko, jest zbyt poplątane” – odezwał się cichy głos w mojej głowie, słabe echo tego, co przed chwilą myślałam. Ale go zignorowałam. Czy mam jakiś wybór?

– Zgoda – rzekłam.

– Miyole – powiedziałam, kucając przy niej.

Potrząsnęłam nią, żeby ją obudzić. Przez otwarty właz słupu wpadało błękitne światło poranka.

Obróciła się na bok i popatrzyła na mnie, mrugając zaspana.

– Co?

– Pora wstawać.

Wczoraj po południu przyleciałyśmy do doku Rushila i chłopiec spędził sporo czasu przy swoim starym brudnym tablecie, pokazując mi, jak dostać się do Kaliny. Dziś odszukamy moją modrie.

Miyole wtuliła twarz w skórzaną kurtkę matki.

– Nie chcę – odparła.

Zakołysałam się niepewnie na piętach. Ona nie chce?

– Mi – spróbowałam jeszcze raz. – Chodź. Musimy tylko pojechać do...

– Powiedziałam, że nie chcę! – krzyknęła.

Rzuciła mi kwaśne spojrzenie i zakryła ramionami twarz, jakby myślała, że się w ten sposób ukryje.

Wstałam.

– Doskonale. Zostań – powiedziałam. Jeśli zamierza zachowywać się jak rozkapryszony bachor, to jej sprawa. – Wrócę za kilka godzin. Nigdzie nie odchodź, dobrze? Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, powiedz Rushilowi.

Kiedy szłam na stację Sion, minęli mnie jadący konno dwaj mężczyźni w białych płóciennych ubraniach. Zwierzęta niemal otarły się o mnie, chlastając ogonami ozdobionymi złotymi wstążkami. Odsunęłam się na bok, do rynsztoka. Im więcej spotykałam koni, tym bardziej mnie denerwowały. Jak dotąd nie widziałam w Mumbaju ciągników napędzanych olejem kukurydzianym, takich jak w Mirnem. Wyglądało na to, że bogatsi ludzie jeździli na koniach lub rzadziej na słońiach. Rushil powiedział mi, że te zwierzęta są wytresowane, żeby nie stratować ludzi na ulicach, ale nie potrafiłam się pozbyć nieufności wobec nich.

Gdy mknęłam pociągami przez południową część Mumbaju,

irytację wyparło poczucie winy. Nie powinnam była tak ostro burknąć na Miyole. Dopiero co straciła matkę, dom, wszystko, co знаła. Muszę odnosić się do niej łagodniej, dać jej więcej czasu.

Na następnej stacji popatrzyłam przez okno wagonu na wysoką linię horyzontu. Domy wystrzeliwały w górę imponującymi spiralnymi bryłami zbrojonego szkła i czystych lśniących metali. Były tak wysokie, że ulice spowijał półmrok o każdej porze z wyjątkiem południa, o ile nie rozświetlał ich blask tablic elektronicznych. Przez ściany wyższych budynków przepływały roziskrzone słowa i obrazy, a niebo nad nimi roilo się od statków.

Jakiś mężczyzna siedzący na stopniu betonowych schodów między domami pochwyił moje spojrzenie. Strąki siwych włosów spadały mu na uszy, a bosa stopy miał poranione. Trzymał tabliczkę z napisem: GŁODNY PROSI O WSPARCIE, DHANYAVAD. Nawet ja z tej odległości mogłam to odczytać. Ale wszyscy na ulicy mijali go obojętnie, jakby był duchem.

Mężczyzna spostrzegł, że mu się przyglądam, i zerwał się na nogi. Przecisnął się przez poranny gęsty tłum na ulicy i zbliżył się z wyciągniętą ręką do mojego okna. Zaczęłam się cofać. Nie miałam nic, żeby mu dać. Czy tego nie widzi? Ogarnął mnie pałący wstyd – za niego, żebrzącego, i za mnie, która niczego nie ma. Potrząsnęłam głową. Twarz mu obwisła. Podniósł pięść i zaczął coś wrzeszczeć w tym języku, którego nie rozumiałam, i co dochodziło do mnie stłumione przez szybę. Walnął pięścią w szkło i wtedy, na szczęście, zadźwięczał cichy dzwonek i pociąg znowu ruszył. Gdy przyśpieszaliśmy, mężczyzna zginął mi z oczu pośród tłumy.

Wstrząśnięta usiadłam w jednym z pustych foteli.

– Nie można dać im poznać, że się ich widzi – odezwała się pulchna kobieta w średnim wieku siedząca obok. – Zwłaszcza kiedy jest się ubranym jak turysta.

Kiwnęłam głową, zbyt zmieszana, by się spierać. Gdy zbliżaliśmy się do kampusu Kalina, pociąg wypełnił tłum młodszych ludzi. Młodzi mężczyźni i kobiety siedzieli w milczeniu, stukając w swoje ręczniki, albo rozmawiali i śmiali się w małych grupkach. Skuliłam się w fotelu i wyglądałam przez okno. Chciałabym stać się niewidzialna.

Wiedziałam, że są starsi ode mnie tylko o obrót, może trochę więcej, ale miałam wrażenie, że dzieli mnie od nich przepaść, której nigdy nie zdołam przeskoczyć. Lada mgnienie niewątpliwie któreś z nich wskaże na mnie i nazwie oszustką, którą rzeczywiście jestem. Powie: „Ona nie jest jedną z nas. Nie ma prawa tu być”.

Ale nikt nic nie powiedział. Nikt w ogóle nie zwracał na mnie uwagi, gdy tłocząc się, wysiadaliśmy z pociągu na stacji uniwersyteckiej. Na peronie się zawahałam. Nie wiedziałam, dokąd iść. Opływał mnie tłum studentów zmierzających szerokimi ocienionymi alejkami do budynków widocznych między drzewami. Za mną z gorącym podmuchem powietrza odjechał pociąg.

– Pokój dwieście trzy, Gmach Wadla Nauk Lingwistycznych – wyrecytowałam do siebie adres znaleziony przez Rushila.

Zrobiłam kilka kroków i zatrzymałam się. A jeśli... Jeśli się nie uda? Jeśli Soraya nam nie pomoże?

„Dalej, Avo, śmiało – rozbrzmiał mi znowu w uszach głos Perpétue. – Jaki masz wybór?”.

Żadnego, wiedziałam to. Ale na co się zda, jeżeli zjawię się przed drzwiami Sorai tak zdenerwowana, że nie zdołam wydusić ani słowa? Powinnam się trochę przejść, uspokoić, wyrównać ściegi myśli. Perpétue zazwyczaj zostawiała Miyole samą na dłużej niż ja teraz. Dziewczynka jest w slupie. Mogę skraść jeszcze kilka minut, żeby ochłonać i poczuć twardy grunt pod nogami.

Poszłam ścieżką pod drzewami. Studenci siedzieli grupkami na ławkach albo czytali na kocach rozłożonych w cieniu. Całe stadko młodych mężczyzn i kobiet truchtało razem po alejkach.

Słońce weszło dopiero nad szczyty drzew, ale upał stawał się już coraz bardziej dokuczliwy.

Podążyłam za kilkorgiem studentów do zniszczonego kamiennego budynku z olbrzymim witrażowym oknem we frontowej ścianie. Z jego dachu wznosiły się ozdobne iglice. Nie potrafiłam się powstrzymać i gapiłam się w górę na misternie barwione szkło. Potem weszłam pod kamiennym łukiem w chłodny mrok wnętrza budowli.

Tam nagle otoczyła mnie cisza. Jedyne światło padało od szeregu podświetlonych szklanych skrzynek stojących wzdłuż ścian. Najbliższa

zawierała przedmiot przypominający tablet, tylko większy i zamknięty w grubej osłonie. Miał nawet ruchome klawisze do naciskania. Ładna rzecz, ale niezbyt praktyczna. W następnej skrzynce leżała otwarta książka na czerwonej aksamitnej podstawie. A przynajmniej wydawało mi się, że to książka. W niczym nie przypominała tych cienkich, byle jak zszytych broszur, które Miyole zwędziła dla mnie w Gyre ze sterty papierów przeznaczonych na podpałkę. Całkowicie przyćmiła sąsiedni tablet. Mimo że była za szybą, niemal czułam jej ciężar. Drewniane deski okładki pokrywała skóra koloru ciemnej ochry. Nawet papierowe strony wyglądały na ciężkie, prawie jak z tkaniny, z szorstkimi brzegami.

Na lewo ode mnie ktoś kichnął. Podniosłam wzrok i zobaczyłam kamienne łukowe przejście do wysoko sklepionej sali oprószonej słońcem. Pod bocznymi ścianami stały w dwóch równych rzędach długie stoły z ciemnego drewna, a na końcu sali ktoś siedział za wysokim półkolistym biurkiem. Identyczne kręcone schody prowadziły w górę na następny poziom oświetlony słonecznym blaskiem wpadającym przez wysokie okna. I wszędzie wokoło przy ścianach rzędy na rzędach stały stare oprawione książki. Panowała kompletna cisza, tak że mogłam usłyszeć szelest przewracanej strony, stłumiony kaszel.

– Czy mogę ci w czymś pomóc? – Dobiegł mnie z mroku cichy głos.

Westchnęłam urywanie i odwróciłam się. Za mną przy małym biurku siedziała ciemnowłosa kobieta. Na jej szyi wisiały na sznureczku okrągłe okulary w złotej oprawce.

– N-nie, dziękuję, naj... – wyjąkałam.

Ale ona już wstała, obeszła biurko i zmierzała ku mnie. Jej buty stukały ostro na kamiennej podłodze.

– Szukasz czegoś konkretnego? – zapytała.

Uśmiechnęła się do mnie, ale jej słowa zabrzmiały ostro.

– Ja... – Gorączkowo usiłowałam wymyślić jakąś odpowiedź. – Szukam Gmachu Wadla. Najdoktor... to znaczy doktor Hertz...

– Ach, tak. – Twarz kobiety złagodniała w szczerym uśmiechu. – Jesteś potencjalną studentką? Rozważasz wstąpienie na Uniwersytet Mumbajski?

– Właśnie... tak... – wydukałam, uznawszy, że skoro ona się uśmiecha, najbezpieczniej będzie tak odpowiedzieć.

Podeszła do biurka.

– Jeśli chcesz, mogę skontaktować się z którymś z naszych studenckich wolontariuszy i polecić, żeby oprowadził cię po terenie uniwersytetu.

– Nie! – odparłam głośniejszym głosem, niż zamierzałam. Obniżyłam głos: – To znaczy dziękuję ci, naj, ale świetnie poradzę sobie sama.

– Dobrze, ale jeśli zmienisz zdanie... – Machnęła ręką w kierunku biurka. – Wyjdź tylnymi drzwiami, przejdź przez różany ogród, a potem skręć w prawo przy nowych laboratoriach biofizycznych i trafisz do Gmachu Wadla. To żółty dwupiętrowy budynek.

– Dziękuję, czcigodna naj – odrzekłam i oddaliłam się pośpiesznie, zanim mogłaby zarzucić mnie dalszymi pytaniami i zaoferować pomoc.

Wyszłam przez tylne drzwi w oślepiający blask słońca i woń tak słodką, że niemal czułam w ustach jej smak. Widywałam już wcześniej kwiaty – mają je fasola, kabaczki i niektóre zboża, jakie hodowaliśmy w ogrodach hydroponicznych na „Parastracie” – ale były zawsze wątłe i więdły, by wydać owoce. Te tutaj, wylewające się poza grządki, były bujne i miały mnóstwo grubych aksamitnych płatków w efektownych kolorach czerwieni, bladego różu i żółci. Wokół nich krążyły z bzyczeniem tłuste pszczoły.

Oparłam się ręką o ciepły kamienny mur, by nie osunąć się na gęsty dywan trawy. Na myśl o przebywaniu stale pośród takiego piękna i o luksusie marnowania gleby, światła i wody na coś, co ma tylko sprawiać przyjemność, przepełniły mnie podziw i gniew. Jak to możliwe, że niektórzy żyją w taki sposób, podczas gdy ich sąsiedzi nie mają jedzenia ani wody? Czy tych ludzi to nic nie obchodzi? A może po prostu te kwiaty pomagają im zapomnieć o sytuacji, której oni nie mogą zmienić?

Przeszłam powoli przez ogród. Taki jest świat Sorai – kwiaty, książki i ozdobne szkło. Dlaczego miałyby się troszczyć o cokolwiek poza nim? Czy w ogóle zrozumiałyby, ile wysiłku kosztowało mnie dotarcie aż tutaj, by ją odnaleźć? Dlaczego miałyby chcieć mi pomóc?

Wybiegłam z ogrodu. Lepiej zakończyć to raz na zawsze. Lepiej

mieć to już z głowy i wrócić do Miyole. Szłam alejką szybko, ze spuszczoną głową, unikając spojrzeń mijających mnie studentów. Podnosiłam wzrok tylko po to, by wypatrywać tego żółtego budynku, o którym powiedziała mi kobieta w sali książek.

Minęłam zakręt i niemal zderzyłam się z chłopcem o bladej cerze i piaskowych włosach. Na szczęście w porę uskoczył mi z drogi i rzucił:

– Och, przepraszam.

Nie zwróciłam na to uwagi i dalej parłam przed siebie ze spuszczoną głową. Ale on zawołał za mną:

– Hej... panienko! Proszę zaczekać!

Odwrociłam się. Trzymał coś na dłoni.

– Chyba to upuściłaś – powiedział.

Mój wisiołek? Ale nie, wciąż miałam go na szyi.

– Raczej nie... – zaczęłam.

Ale on już szedł ku mnie. Bezwiednie otworzyłam dłoń, a chłopiec upuścił na nią dwie okrągłe metalowe monety.

Popatrzyłam na nie zdezorientowana.

– To chyba nie są mo...

– Słuchaj, to rupie, prawda? – przerwał mi. – Zostawienie ich na ziemi przynosi pecha.

– Ty ich nie chcesz?

Roześmiał się.

– Co bym z nimi zrobił? Kupił tanie curry?

Potrząsnął głową, odwrócił się i odszedł.

Stałam bez ruchu na środku alejki, nie rozumiejąc. Czy to wystarczy, by kupić posiłek? Kto by kręcił na to nosem? Ale przecież wiedziałam kto, prawda? Ten sam rodzaj ludzi, którzy wykorzystują swoją ceną ziemię na hodowanie róż.

Gmach Wadla stał na końcu alejki. Był solidny i nie wyróżniał się niczym szczególnym. Jego jedyną ozdobę stanowiły błyszczące panele baterii słonecznych na dachu. Weszłam do środka, ominęłam gromadkę studentów i dałam nura w najbliższy korytarz. Za szeregiem niebieskich szklanych drzwi widać było sale pełne stołów z wbudowanymi tabletami. Sprawdziłam tabliczki przy drzwiach. Pokój 124, 126, 128... i korytarz skończył się schodami.

„Pokój 203” – przypomniałam sobie i weszłam po schodach.

Na pierwszym piętrze panowała cisza. Staralam się iść miękko, ale podeszwy moich butów wybijały ciężki rytm. Pokój 226, 224, 222.

Oddychałam teraz szybciej i płycej.

A jeśli ona nie uwierzy, kim jestem? Jeśli nie będzie chciała mnie znać?

„Dlaczego miałaby się o ciebie troszczyć? Nawet jeżeli ci uwierzy, zorientuje się, jakim jesteś zerem. Dowie się, że wyrzuciła cię twoja własna załoga. Pojmie, że aby zasłużyć na taki los, musiałas zrobić coś okropnego”.

Staralam się odepchnąć od siebie ten głos Modrie Reller, ale podążył za mną korytarzem. Z każdym krokiem serce biło mi coraz szybciej.

Pokój 216, Pokój 214, Pokój 212.

„Jesteś nikim. Jesteś łajnem. Jesteś dla nas martwa”.

Pokój 210. Pokój 208. Pokój 206.

„Nie zasługujesz na łaskę. Nie zasługujesz na litość. Jesteś bezwartościowa”.

Pokój 204. Przystanęłam. Pokój 203 znajdował się naprzeciwko, po drugiej stronie korytarza. Drzwi były otwarte. Kobieta w chustce na głowie siedziała przy biurku tyłem do mnie i wpatrywała się w szeroki jaskrawy ekran. Oddychałam głośno i ciężko, miałam wrażenie, że płuca wypełnia mi ogień.

Pokój 203, Gmach Wadla Nauk Lingwistycznych. To tutaj. Muszę tylko zapukać we framugę i wymówić imię mojej modrie.

Więc dlaczego nie mogę unieść ręki?

Soraya odsunęła się z krzesłem do tyłu i wstała. Teraz lada mgnienie się odwróci. Zobaczy mnie. Moja modrie Soraya mnie zobaczy, a wtedy będę musiała się wytłumaczyć. Będę musiała wyjawic jej wszystko – moje zbrodnie, mój wstyd, moją klęskę. Nie potrafiłam tego zrobić. Odwróciłam się na pięcie i uciekłam korytarzem, w dół po schodach, przez hol, a potem obok nowych i zabytkowych budynków i pięknych bezużytecznych róż.

Gdy dotarłam z powrotem do Salt, niebo było już fioletowe. Nade mną latarnie zapłonęły z brzęczeniem, jedna po drugiej, łagodnym pomarańczowym światłem, gdy lawirowałam między grupkami ludzi pijących na rogach ulic i opierających się o sklepowe witryny. Z jasno oświetlonych, szeroko otwartych drzwi sklepów ryczała brzękliwa muzyka. Zaburczało mi w brzuchu. Od wschodu słońca nic nie jadłam. Większość dnia spędziłam, jeżdżąc bez celu pociągami. Wstydziłam się wrócić do doku i spojrzeć w twarz Miyole, ale też bałam się wrócić do Kaliny i raz jeszcze spróbować spotkać się z moją modrie. Lecz teraz słońce zachodziło i nie było już czasu na wstyd. Miyole jest głodna i zaniepokojona, czeka na mnie. Uskoczyłam przed mężczyzną jadącym na rowerze, który trzymał kierownicę jedną ręką i rozmawiał przez ręczniak. Zanurkowałam w najbliższe drzwi, z których dochodził zapach jedzenia.

Przed kontuarem była kolejka. W pozostałej części niewielkiej salki rodziny i robotnicy siedzieli stłoczeni przy stolikach. Wszyscy jeden przez drugiego przekrzykiwali zgiełk. Stałam na końcu kolejki i mocno ścisnęłam w dłoni monety, które dał mi tamten chłopiec w Kalinie.

Na świecącej tablicy nad kontuarem pełzały ciasne szeregi liter i cen, ale i tak wszyscy zamawiali to samo danie.

– Poproszę curry – powiedziałam, gdy dotarłam do kontuaru, naśladując to, co mówili ludzie przede mną.

Kobieta za ladą wrzuciła moje monety do słoja. Napelniła dno tekturowego pojemnika ryżem, a potem polala go pysznie pachnącą mieszanką mięsa, warzyw i bulionu. Zamknęła pojemnik i pchnęła go ku mnie.

– Następny! – krzyknęła.

Gdy wyszłam ze sklepu, obok przemknął jakiś chłopak, niemal mnie przewracając, i pognął dalej, omijając stragan sprzedawcy kruszonego lodu. Przypłaszczyłam się do ściany budynku.

– Zatrzymajcie go! To złodziej! – zawołała biegnąca za nim zasapana kobieta. – *Rukho! Chor!*

Wszyscy na ulicy przystanęli, gdy pędziła za nim w spódnicach podciągniętych do kolan, wzbijając kłęby pyłu. Chłopak zniknął za rogiem i przechodnie ruszyli dalej.

Przebyłam resztę drogi do doku, mocno trzymając pojemnik z jedzeniem. Gdyby ktoś mi go wyrwał, nie wiem, czy znalazłabym w sobie dość energii i determinacji, by pogonić za złodziejem. Może po prostu osunęłabym się na ziemię i już tam została. Kiedy zamykałam za sobą bramę, spostrzegłam Rushila na dachu przyczepy majstrującego przy jednym z talerzy anten. Pomachał do mnie i zajął się znowu naprawą. Pala przygalopował do mnie, powęszył przy curry i oblizał się.

– Przykro mi – powiedziałam do niego. – Nie tym razem.

Przysiadł na tylnych łapach i zaskomlił.

– Pala! – zawołał Rushil i gwizdnął na niego. – Zostaw Ave w spokoju.

Podeszłam do słupa i łokciem wgniotłam przyciski uruchamiające klapę wjazdu. Zaczęła się otwierać z miarowym warkotem, lecz po chwili wewnątrz coś zagrzechotało. Pneumatyczny podnośnik zadygotał i znieruchomiał z przenikliwym zgrzytem. Z na wpół otwartej klapy rozszedł się swąd spalonych chemikaliów.

– Miyole! – zawołałam w ciemne wnętrze.

Nie odpowiedziała.

– Miyole!

Nadal cisza. Ostrożnie postawiłam pojemnik z curry na ziemi i zakręciłam korbą, by ręcznie otworzyć wjazd. Klapa opadła z głośnym metalicznym łomotem.

– Miyole!

Już miałam się wdrapać do ciemnej ładowni, gdy dziewczynka pojawiła się we władzie jak duch. Miała potargane włosy i zmięte ubranie po śnie, a oczy rozgorączkowane.

– A więc jesteś – powiedziałam i spróbowałam się do niej uśmiechnąć. – Zgłodniałaś? Po drodze kupiłam dla nas trochę curry.

– Ty je zjedz – odparła, wbijając pusty wzrok w ziemię za mną. – Nie jestem głodna.

Odwróciła się i zniknęła w mroku ładowni.

– Miyole, zaczekaj! Wróć! – zawołałam za nią.

Chciałam ją przeprosić. Chciałam, żeby znów była dawną sobą.
Ale zniknęła, pochłonęło ją ciemne wnętrze.

Odeszłam od statku i z całej siły kopnęłam stertę kawałków gumy.

– Niech to dziewięć piekieł! – zakląłam.

– Coś się stało?

Uniosłam głowę. Rushil stał w ostrożnej odległości paru metrów.
W jego okularach odbijał się pomarańczowy blask ulicznych latarni.

– Nie. – Objęłam się ramionami, nagle zmieszana. – Tylko że... –
Wskazałam za siebie na statek. – Ona nie chce jeść.

– Wiele ostatnio przeszła, co? – rzucił tylko na poły pytająco.

– Tak – przyznałam.

– Zamknęła się w statku na cały dzień – powiedział Rushil,
marszcząc brwi. – Musi tam być gorąco bez włączonej klimatyzacji.
Pomyślałem, że może chcesz ją upiec – dodał.

Za tą żartobliwą uwagą krył się wyrzut – niezbyt ostry, ale jednak.

– Tak, wiem – powiedziałam i ze znużeniem potarłam oczy. – Nie
zamierzałam oddalić się na aż tak długo.

– Odnalazłaś ją? – zapytał Rushil. – Swoją ciotkę?

Miałam już przygotowane kłamstwo.

– Nie. – Westchnęłam i dorzuciłam coś bliższego prawdy: – Nie
wiem, czy stać mnie na to, by dalej jej szukać. Musimy coś jeść.

Pomyślałam o tamtym mężczyźnie zebrzącym na stacji i o chłopcu
w Kalinie, który wcisnął mi do ręki monety. Nie chciałam stać się taka,
żyć z rzucanych mi ochłapów.

– Mogę ci w tym pomóc, wiesz – wymamrotał Rushil ze
spuszczonym wzrokiem i szurnął stopą po ziemi.

– Nie – odparłam szybko.

Już i tak wystarczająco mi pomagał, godząc się poczekać na zapłatę
za dokowanie.

Drgnął i zdałam sobie sprawę, że moja odmowa zabrzmiała ostrzej,
niż zamierzałam.

– Chodziło mi o to, że nie chcę być niczym dłużnikiem –
wyjaśniłam.

Skinął głową.

– Rozumiem. – Popatrzył na parking. – Nawet nie wiesz, jak

bardzo rozumiem.

Usłyszałam za sobą sapanie i szuranie. Odwróciłam się i zobaczyłam Palę obwąchującego pojemnik z curry.

– Pala! – krzyknęliśmy jednocześnie Rushil i ja.

Pies odskoczył i rzucił nam skruszone, proszące spojrzenie.

– Nie ma mowy – powiedział chłopiec, potrząsając głową, i wskazał na przyczepę. – Masz tam swoje jedzenie.

Pała podwinął ogon i odbiegł, zniknął w mroku. Podniosłam pojemnik.

– Czy ty... to znaczy, czy chciałbyś trochę curry?

– Naprawdę chcesz mnie poczęstować? – spytał, unosząc brwi.

– Tak jest – wyjąkałam.

Czułam, że się czerwienię, i byłam zadowolona, że po ciemku tego nie widać. Nie chciałam, aby Rushil pomyślał, że chodzi mi o coś więcej niż odwdzięczenie się za uprzejmość, jaką mi okazywał.

– Chodzi o to, że Miyole nie chce jeść, a jest tego za dużo dla mnie samej.

– Nigdy nie odmawiam darmowego jedzenia. – Zerknął przez ramię na przyczepę. – Zaczekaj, tylko przyniosę łyżki.

Patrzyłam, jak tam potruchtał, a potem wdrapałam się do wnętrza słupu. Miyole leżała skulona w kącie na stercie zimowych kurtek, które Perpétue przechowywała w ładowni. Uklękłam przy niej i odgarnęłam jej z twarzy włosy wilgotne od potu. Nigdy dotąd nie wydawała mi się taka drobna.

– Miyole – szepnęłam. – Jesteś chora?

Wcisnęła się jeszcze głębiej w kurtki.

– Miyole...

– Nie. – Obróciła się, otworzyła oczy i spojrzała na mnie gniewnie.

– Nie jestem chora. Daj mi spokój.

Usiadłam, urażona.

– Przepraszam – powiedziałam i wtedy zauważyłam, że dłonie ma owinięte świeżymi białymi bandażami. – Kto ci opatrzył ręce?

– Rushil. – Zamknęła oczy. – Czy mogę już znowu pójść spać?

– Oczywiście – odrzekłam.

„Rushil”. Najpierw nas nakarmił, potem zgodził się zaczekać na

pieniądze, a teraz to. Jak zdołam kiedykolwiek mu się odwdzięczyć, skoro wciąż wyświadcza nam nowe przysługi?

Zeskoczyłam z włazu na ziemię. Rushil przytargał dwa składane krzeselka i ustawił je jedno tuż przy drugim pod skrzydłem słupu.

– Czy z nią wszystko dobrze? – zapytał.

Podaliśmy mu pudełko z curry i osunęłam się ciężko na krzesło.

– Nie wiem.

Rushil usiadł na drugim krzeselku.

– Powiedziała mi, że jej mama umarła.

Spojrzałam na niego i na mojej twarzy musiało się odbić to, co czułam, bo rzucił:

– Przepraszam. To nie moja sprawa.

Otworzył pojemnik z curry.

– Pachnie cudownie. Gdzie to kupiłaś?

– W jednym z tych małych lokali naprzeciwko stacji.

– U Chander? We Wspaniałym Smaku? – Zjadł łyżkę curry i szeroko otworzył oczy. – Mniemam. Nie u Durgi, prawda?

– Chyba nie było tam szyldu z nazwą. – Obróciłam łyżkę w dłoniach. – Nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy... no wiesz... porozmawiali o Miyole.

Rushil milczał przez chwilę, gmerając łyżką w curry.

– Moja mama porzuciła mnie, kiedy byłem mniej więcej w wieku Miyole – rzekł w końcu. Włożył łyżką do ust dużą porcję, przeżuł i podał mi pojemnik. – Właśnie wtedy przyjechałem tutaj i zamieszkałem u wujka.

– Tego, który potem zmarł?

Rushil przełknął curry i kiwnął głową.

– Przykro mi. – Zjadłam kęs i oddałam mu pudełko. – A więc nie masz zbyt wielkiej rodziny?

Wzruszył ramionami i zjadł następną porcję curry.

– Radzę sobie – rzekł. Znów podał mi pudełko. – A co z tobą? Zaskoczona niemal upuściłam łyżkę.

– Jak to: co ze mną?

– Czy masz jeszcze jakąś rodzinę oprócz tej ciotki?

Moje spojrzenie powędrowało ku niebu, ale miasto rzucało tak

silny blask, że nie mogłam zobaczyć gwiazd.

– Myślisz, że gdybym miała, byłabym tutaj?

Rushil postawił pojemnik na ziemi.

– No tak, jasne – mruknął.

– Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Ja po prostu... –

Popatrzyłam na statek. – Mam tylko Miyole.

Położył rękę na oparciu mojego krzesła. Minę miał poważniejszą, niż kiedykolwiek dotąd u niego widziałam.

– Mówiłem serio. Pomogę ci w każdy sposób, w jaki zdołam.

Spoglądałam o jedno uderzenie serca za długo na jego dłoń, na te kostki palców ze szramami, a potem uniosłam głowę i odchrząknęłam.

– Naprawdę potrzebuję pracy. Gdyby ten słup nie był taki zdezelowany, mogłabym latać w rejsy... – urwałam, potrząsnęłam głową i westchnęłam.

– Mógłbym pomóc ci go połatać – powiedział Rushil.

Obrócił głowę i wyciągnął szyję. Przyjrzał się skrzydłu nad nami, poprawił okulary i skrzywił się.

Roześmiałam się.

– Aż tak źle to wygląda?

– Co? Nie! Wcale nie – zapewnił, a gdy z powątpiewaniem uniosłam brwi, dodał: – No dobrze, może jest trochę pokiereszowany. Ale na pewno ma mocny szkielet.

– Potężny – rzekłam z uśmiechem.

Spojrzał mi w oczy. Jego były czarno-brązowe, w intensywnym kolorze ziemi, w jakiej na „Æther” rosły drzewa cytrynowe. Przez mgnienie coś przepłynęło między nami, błysk energii. A potem zniknęło, pozostawiając we mnie niepewność i niepokój. Co to było? Spojrzeliśmy na siebie z zakłopotaniem w świetle lamp na obrzeżach doku. Nie pojmowałam zasad panujących w tym świecie. Co jest bezpieczne? Co jest stosowne? Na Gyre miałam wrażenie, że uczę się sposobu działania tego świata, ale w Mumbaju wiele spraw wyglądało tak odmiennie.

Musiałam zacząć całkiem od nowa.

Przypomniałam sobie propozycję Rushila.

– Nie – odrzekłam. – Sama potrafię sobie z tym poradzić. Dzięki.

– Och, daj spokój – powiedział i szturchnął mnie łokciem,

powracając do żartobliwego tonu. – Nie bądź taka. To byłaby świetna zabawa.

– Nie, naprawdę. Nie mogę się na to zgodzić.

Przechylił głowę na bok, jakby się zastanawiał, czy żartuję.

– Mówię poważnie – dodałam.

– W porządku, więc co powiesz na to? – Pochylił się do przodu na krześle. – Pokażę ci, gdzie znaleźć pracę, a ty przyniesiesz do domu trochę więcej tego curry i podzielimy się nim. Ponieważ, *chaila*, to najlepsze curry, jakie od dawna jadłem.

Przygryzłam usta i popatrzyłam w górę na skrzydło słupu. Zastanowiłam się. Im szybciej znajdę pracę, tym szybciej będę mogła sama o sobie zdecydować. A im wcześniej naprawię statek, tym wcześniej zacznę utrzymywać z rejsów siebie i Miyole, bez względu na to, czy Soraya nam pomoże, czy nie. A na razie zdołam chyba zarobić na jedzenie. Poza tym dzisiejszego wieczoru uśmiechnęłam się po raz pierwszy, odkąd Perpétue i ja zobaczyłyśmy burzę nad Gyre. Dobrze jest z kimś porozmawiać. Dobrze jest porozmawiać z Rushilem. Wolałabym czuć inaczej, ale nic nie mogłam na to poradzić.

– Eee, to był kiepski pomysł – rzekł Rushil. – Nieważne, zapomnij o tym. Nie powinnaś słuchać tego, co mówię.

– Nie. To znaczy mnie się on podoba.

– Naprawdę? – spytał z uśmiechem.

Dziwny był ten uśmiech. Całkiem zmienił wyraz twarzy Rushila.

– Tak – potwierdziłam.

Rushil wrzucił swoją łyżkę do pustego pojemnika po curry i rozsiadł się wygodniej na krześle.

– Jakiego rodzaju pracę byś chciała?

– Nie wiem – odrzekłam. Znowu popatrzyłam na statek. – Może związaną z lataniem?

– Jasne, o ile masz licencję.

– Licencję?

– Tak, licencję pilota.

Przecząco potrząsnęłam głową.

– A więc nie masz licencji pilota. – Pochylił się do przodu i westchnął. – No dobrze, co jeszcze potrafisz robić? Prowadzić

buchalterię? Wprowadzać dane do sieci?

– Potrafię naprawiać różne rzeczy – powiedziałam niepewnie. –
I zajmowałam się żywym inwentarzem.

Rushil popatrzył na mnie zdezorientowany.

– Kurczakami i kozami – wyjaśniłam.

Nie wyglądał na zachwyconego.

– Coś jeszcze?

– Chyba... umiem sprzątać – powiedziałam i skrzywiłam się. Kto
chciałby wracać do takiej ciężkiej harówki, skoro już doświadczył
ekscytacji podczas pilotowania statku? – I trochę gotować.

– Może być. – Rushil się ożywił. – W pobliżu stacji Sion jest urząd
zatrudnienia. Musisz tylko pokazać im swój dowód tożsamości i... –
przerwał. – Nie masz też dowodu tożsamości, co?

– Czy to jest to samo co papiery? – zapytałam, przypomniawszy
sobie, jak dużo kosztowało wydostanie się z portu lotniczego bez nich.

Rushil skinął głową.

– Niech to dziewięć piekieł! – zaklęłam.

Miałam ochotę kopnąć pusty pojemnik po curry, tak żeby
przeleciał przez cały parking.

– Czy nie da się w żaden sposób pracować bez formalnej plakietki?
– spytałam.

Tak byłoby lepiej. Żadnych zarejestrowanych danych na mój
temat, żadnego zagrożenia, że mój ojciec i Jerej znajdą choćby
najcieńszą nitkę prowadzącą tutaj.

Rushil popatrzył na mnie. Pogodny nastrój całkiem go opuścił.

– Uwierz mi, nie chciałabyś takiego rodzaju pracy – odrzekł.

Uwierzyłam i zrozumiałam, widząc chłód, jaki przemknął przez
jego twarz.

Rushil wstał, przespacerował się do pobliskiego płotu
i z powrotem. Zmarszczył brwi, usiadł, znowu wstał i spoglądał tak
długo na ulicę, że pomyślałam, że o mnie zapomniał.

– Rushil? – zagadnęłam niepewnie.

Milczał jeszcze chwilę, a kiedy wreszcie się odezwał, zmusił się do
uśmiechu. Nie takiego beztroskiego, jaki widziałam u niego przed
kilkoma minutami. Ten uśmiech nie objął jego oczu.

– Nie martw się – rzekł, lecz coś w jego głosie powiedziało mi, że właśnie powinnam się martwić. – Znam kogoś, kto potrafi rozwiązać twój problem.

– Po prostu wejdziemy i wyjdziemy – powiedział Rushil.

Rzucał szybkie spojrzenia na dachy domów. Nic się tam nie poruszało oprócz prania suszącego się w upalnym słońcu środka dnia. Budynki w tej części Salt tworzyły pozbawiony okien korytarz o ścianach z przerdzewiałej blachy falistej, upstrzonych nabazgranymi słowami i symbolami. Na ulicach panowała upiorna cisza. O tej porze dnia, gdy wszędzie indziej w Salt jest mnóstwo przechodniów, przekupniów zachwalających głośno swoje towary oraz małychdziewczynek sprzedających kwiaty na stacji, ta okolica sprawiała wrażenie całkiem opustoszałej i martwej.

– Wejdziemy i wyjdziemy – powtórzył Rushil. – Prosta sprawa.

Przyśpieszyłam, by za nim nadążyć, i ustąpiłam przed rozklekotaną zamiatarką. Wzdłuż drogi obok nas biegł rów kanalizacyjny wypełniony ściekami. Już po raz dziesiąty chciałam powiedzieć Rushilowi, żeby się mną nie przejmował, że nie chcę, by wypłynęły jakiegokolwiek dane o mnie i że znajdę inny sposób zarobienia pieniędzy i spłacenia długów wobec niego. Ale potem pomyślałam, jaki mam inny wybór. Przypomniałam sobie żebraka z poranionymi nogami, kobiety pod latarnią, złodzieja – i znowu zacisnęłam usta.

– Skąd znasz tego... Jak on się nazywa? Panaj? – zapytałam tylko.

– Pankaj – odrzekł Rushil. – Znam go od dawna. Jeszcze zanim...
– urwał.

– Zanim co?

Rushil nie odpowiedział.

Westchnęłam.

– Znowu zachowujesz się cudacznie – powiedziałam, używając określenia, które przejęłam od niego.

– Wiem. Czy przestaniesz mi to mówić, jeśli obiecuję, że przestanę zachowywać się cudacznie, kiedy tylko już się stąd wydostaniemy?

– Może – rzuciłam.

Przystanęliśmy przed bramą, na której były namalowane stykające się ze sobą zygzakowate linie w kształcie diamentu. Rushil spojrzał w górę na jedną z czarnych kul umieszczonych na szczycie muru.

– Pankaj! – zawołał. – To ja, Rushil Vaish.

Żadnej reakcji.

– Może wyszedł do pracy? – podsunęłam, zerkając przez ramię.

– Bardziej prawdopodobne, że jeszcze śpi. Pankaj! – Rushil znowu pomachał do kul. – Daj spokój, stary, wiem, że mnie słyszysz. Otwórz. Mam do ciebie interes.

Zabrzmiał brzęczyk, potem metaliczny trzask i brama rozsunęła się na tyle, że mogliśmy wejść jedno za drugim.

W porównaniu z podwórzem Pankaja dok Rushila wydawał się porządnie utkanym materiałem. Plastikowe torebki i inne śmieci zaścielały błotnisty teren oddzielający budynek z pustaków od ogrodzenia. Tu i ówdzie pleniły się chwasty, częściowo przesłaniając rozbite szklane butelki i strzępy celofanu. Okna domu były zabite deskami, a przy ścianie stał dwugąsienicowy ciągnik z wybebeszonymi zbiornikami paliwa i chromowanym silnikiem. Ostatnio widziałam takie w Mirnem. Nie sądziłam, że tutaj też je mają.

Gdy mijaliśmy ciągnik, Rushil zerknął na niego.

– Nie widzieliśmy go – rzucił.

– Tak jest – zgodziłam się.

Drzwi domu się otworzyły i stanął w nich żyłasty mężczyzna, starszy o kilka obrotów od Rushila.

– Rushil Vaish – powiedział i oparł się niedbale o framugę. – Nie myślałem, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

– Witaj, Pankaj – rzekł Rushil.

– Co to ma być? – spytał mężczyzna, mierząc mnie spojrzeniem. – Prezent na pojednanie?

Rushil zacisnął szczęki.

– Klientka – wycedził.

Pankaj uniósł ręce.

– W porządku, w porządku. Bez urazy, tylko zapytałem. Czego potrzebujesz, *chikni*? – zwrócił się do mnie.

Zerknęłam na Rushila, nagle spięta.

– Dowodu tożsamości. Do pracy.

Pankaj też spojrział na Rushila.

– Dlaczego nie pracuje po prostu na czarno?

– Bo nie chce.

Pankaj odwrócił się znowu do mnie.

– W takim razie mam nadzieję, że masz kupę szmalu.

Siedemdziesiąt pięć za zwykłą plakietkę, dwieście pięćdziesiąt za cały zestaw – wpis w bazie danych, fałszywe akta, wszystko.

– Dwieście pięćdziesiąt? – powtórzyłam.

Zrobiło mi się słabo. Jak głęboko wpadnę w długi? Czekanie, aż zapłacę za dokowanie, to jedno, ale teraz musiałabym mieć naprawdę kupę forsy.

Rushil dotknął mojego ramienia. Odsunęłam się gwałtownie, zanim zdałam sobie sprawę, że chciał mnie tylko uspokoić, tak jak ja niegdyś uspokajałam Lifil czy kozy, kładąc im dłoń na plecach.

– Tylko zwykła plakietka – powiedział. – Wystarczy, by ona przeszła przez sito urzędu zatrudnienia. – Rushil... – zaprotestowałam.

Przecież on wie, że nie mam pieniędzy.

Pankaj wzruszył ramionami.

– Pokażcie parę plastików.

Rushil sięgnął do buta i wyjął plastikowy kwadrat płatniczy.

Pankaj wziął go, postukał nim w ekranik swojego ręczniaka i przyjrzał się Rushilowi.

– Uczciwa droga popłaca, co?

Chłopiec poruszył się z zakłopotaniem.

– Radzę sobie.

Twarz Pankaja wykrzywił uśmiezek.

– Gdzie moje dobre maniery? – powiedział i cofnął się do ocienionego wejścia. – Wejdźcie do mojej pracowni.

W pomieszczeniu było tak zimno, że pomyślałam, że mój oddech zadymi. Z sufitu zwieszały się nisko kable, a urządzenia zapełniające bezładnie dwa szeregi stołów rozświetlały mrok zimną niebieskawozieloną poświatą.

Pankaj zapalił lampę skierowaną na nagą niebieską ścianę.

– Stań tam – polecił mi.

Uśledzałam i stanęłam, gdzie kazał. Jaskrawe światło na wpół mnie oślepiło, ale dostrzegłam, że Pankaj uniósł swój ręczniak.

– Wiesz, mógłbym dobić z tobą targu na pełen zestaw – rzucił przez ramię do Rushila. – Gdybyś przystał na transakcję wymienną.

Nawet z drugiego końca pokoju wyraźnie usłyszałam napięcie w głosie Rushila, gdy zapytał:

– Jakiego rodzaju?

– Nic wielkiego. Tylko drobne zlecenie kurierskie. – Pankaj odwrócił się znowu do mnie. – Stój nieruchomo, *chikni* – polecił i jego ręcznik wydał ciche piśnięcie.

Rushil przez chwilę milczał.

– Nie – odparł wreszcie. – Nie jestem zainteresowany.

Pankaj westchnął i potrząsnął głową.

– Twoja strata. – Zgasił lampę i przez chwilę błyskały mi przed oczami powidoki żarówki. – Zrobione, *chikni*.

Przeszłam spod ściany bliżej Rushila, tak że staliśmy ramię w ramię. Zerknęłam na drzwi i wymieniliśmy spojrzenia.

– Co teraz? – spytałam.

Pankaj trzasnął stawami kłykci.

– Teraz zaczekacie, a ja będę odprawiał moje czary.

Rushil i ja czekaliśmy na zewnątrz na zaśmieconym podwórzu.

– Nie musiałeś tego dla mnie robić – powiedziałam. – To mnóstwo pieniędzy, Rushil.

Wzruszył ramionami.

– Przecież nie załatwiłem ci pełnego zestawu dokumentów.

– Ale jednak... – zaczęłam.

– Wiem, że mi zwrócisz. – Błysnął do mnie przelotnym uśmiechem. – Jesteś uczciwa i odpowiedzialna.

Uniosłam brwi.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem – odrzekł.

– Skąd?

Kopnął w chwasty plastikową butelkę.

– Od Miyole.

– Od Miyole? – Zamrugałam zaskoczona. – Co ona ma z tym wspólnego?

– Opiekujesz się nią. – Wsadził ręce w kieszenie i odwrócił wzrok.

– Nie porzuciłaś jej. Dlatego wiem, że można na tobie polegać.

Zaśmiałam się, ale bez cienia wesołości.

– Oczywiście, że się nią opiekuję. Co innego miałabym zrobić?

Zostawić ją samą w takim miejscu jak to?

Zamilkłam, uświadomiwszy sobie, co powiedziałam.

Rushil spojrział na mnie tak, jakbym poraziła go prądem elektrycznym. Przez jakiś czas się nie odzywaliśmy. Chodził tam i z powrotem po podwórzu, kopiąc śmiecie.

„Jesteś głupia, Avo, głupia – pomyślałam. – Wsadzasz palec w rany jedynej osoby, która próbuje ci pomóc”. Popatrzyłam prosto przed siebie na płot Pankaja. Tutaj też był namalowany ten zygzakowaty diamentowy kształt, a po bokach dwa tygrysy wspinające się na zadnie łapy.

– Co to właściwie jest? – spytałam bez namysłu.

Rushil przystanął.

– Co?

– Te linie. – Wskazałam głową. – W kształcie diamentu.

– To litery W i M. – Powiódł po nich palcem. – Widzisz, jedna na drugiej.

Przechyliłam głowę na bok. Teraz, kiedy mi je pokazał, rozróżniałam każdą z nich, ale inaczej chyba nigdy bym na to nie wpadła.

– Co oznaczają? – zapytałam.

– Wyjców Marathi. – Rzucił gniewne spojrzenie na zamknięte drzwi domu Pankaja. – On jest jednym z nich.

– I to źle? – domyśliłam się.

Drzwi się otworzyły, ucinając odpowiedź.

– Fałszywy dowód tożsamości, jeszcze gorący, aż parzy. – Pankaj rzucił mi plakietkę. – Masz, *chikni*. Powinien wystarczyć, o ile trafisz w urządzenie na niezbyt dokładnego kontrolera. Przyjdź, jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebowała.

Wsadziłam kartę do kieszeni, nie patrząc na nią. „Nigdy, nigdy” – pomyślałam i ruszyłam do bramy. Rushil szedł kilka kroków przede mną.

– Hej, Rushil! – zawołał Pankaj.

Chłopiec zatrzymał się z ręką na zamku bramy.

– Jeżeli kiedyś zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć – powiedział z uśmiechem Pankaj i zamknął się w domu.

Rushil i ja milczeliśmy, póki nie znaleźliśmy się z powrotem w ciżbie i zgiełku głównej ulicy w pobliżu stacji Sion.

– No dobrze – powiedział Rushil i wziął głęboki wdech. – Jestem już gotowy, by przestać zachowywać się cudacznie.

Zaśmiałam się.

– Myślę, że ty byłeś z tego wszystkiego najmniej dziwny.

– Staralem się. I na plus trzeba zaliczyć to, że nas nawet nie obrabowano.

– Prawdopodobnie dlatego, że wyglądasz tak groźnie.

– Myślę, że rabusie w gruncie rzeczy bali się ciebie – rzekł. – Jesteś przerażająca.

– Staram się – powiedziałam, naśladując go.

– A skoro o tym mowa, co sądzisz o dziele Pankaja?

– Nie wiem – odparłam.

Wyjęłam plakietkę. Ze zdjęcia spojrzała na mnie dziewczyna o znużonym wyglądzie. Miała podkrążone, zapadnięte oczy i okropnie potargane włosy.

Zmarszczyłam brwi.

– Tak wyglądam?

Rushil zajął mi przez ramię i popatrzył na fotografię.

– Ani trochę.

Zmrużyłam oczy i przyjrzałam się uważnie cienkim złotym liniom pojawiającym się na karcie, gdy przechylałam ją ku światłu. Miałam nadzieję, że ta rzecz jest warta ryzyka, jakie ponieśliśmy.

– Czy jednak ta fotografia nie powinna być podobna do mnie?

– Nie, wszystko jest idealnie – powiedział. – Na dowódzie tożsamości ma się wyglądać jak heroinista. Właśnie stąd wiadomo, że jest prawdziwy.

– Ha, ha – rzekłam sucho.

Nie wiedziałam dokładnie, kto to jest heroinista, ale z tonu Rushila wywnioskowałam, że to nic dobrego.

– Nie, naprawdę – zapewnił. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął swój

dowód tożsamości. – Widzisz?

Wzięłam tę jego plakietkę.

– O rany – powiedziałam.

Ten Rushil na zdjęciu wyglądał, jakby mógł bez wahania połamać mi rzepki. Włosy miał krótsze, prawie całkiem wygolone, a ponieważ się nie uśmiechał, jego zrosnięte brwi nadawały mu wygląd bandziora.

– Mówiłem – rzekł i wyrwał mi plakietkę. – Jesteśmy podejrzaną parą.

Skryłam uśmiech.

– Powinniśmy już wracać. A przynajmniej ja powinnam. Muszę sprawdzić, co z Miyole.

– Nie chcesz wypróbować swojej nowej plakietki? – zapytał.

– Teraz?

– Dlaczego nie? – Wskazał kciukiem za siebie na niepozorny przysadzisty budynek. – Możesz przynieść Miyole dobrą wiadomość.

Pochmurnie przyjrzałam się tablicy nad drzwiami. AGENCJA ZATRUDNIENIA W OLD DHARAVI. Z napięcia poczułam suchość w ustach.

– Pankaj powiedział, że karta zadziała tylko, jeśli kontroler będzie nieuważny...

– Nie martwiłbym się tym. – Rushil znowu pogrzebał w kieszeni. Wyjął trzy monety i wcisnął mi do ręki. – Nawet jeśli urzędnicy uważnie przyglądają się dokumentom, zawsze można ich skłonić, żeby przymknęli oczy.

– Masz na myśli... – Marszcząc brwi, spojrzałam na monety, a potem gwałtownie wciągnęłam powietrze, gdy dotarło do mnie, o czym mówił. – Och, rozumiem.

– Zaczekam tu na ciebie.

– Nie musisz – odrzekłam i ścisnęłam w dłoni monety.

I tak już zrobił wystarczająco wiele. A nawet więcej.

Rushil uniósł brew.

– Ale może chcę.

Oblałam się rumieńcem.

– Ja... niedługo wrócę – wyjąkałam i pośpiesznie weszłam do urzędu, nie oglądając się za siebie.

– Dowód tożsamości – rzuciła kobieta za biurkiem w urzędzie pośrednictwa pracy.

Stukała w klawiaturę tabletu i nawet nie podniosła na mnie wzroku. Czarne włosy miała zaczesane z czoła do góry w puf zaprzeczający prawu grawitacji.

Przesunęłam ku niej moją nową plakietkę po metalowym kontuarze, który sięgał mi do ramion, chociaż stałam.

– Masz jakąś dokumentację wcześniejszego zatrudnienia? – spytała, wciąż nie odrywając wzroku od ekranu.

Popatrzyłam na blat powalany odciskami palców wielu ludzi, którzy stali w tym miejscu przede mną.

– Nie, czcigodna naj.

Odsunęła moją plakietkę na odległość ramienia, zmrużyła oczy i przeniosła spojrzenie z niej na mnie. „Dziewięć piekieł!” – zakląłam w duchu. Oczywiście musiałam trafić akurat na jedyną uważną kontrolerkę!

– Proszę, czcigodna naj. – Obniżyłam głos i nachyliłam się do niej tyle, ile zdołałam. Moje serce przyśpieszyło do niezdrowo szybkiego rytmu. – Mam pod opieką małądziewczynkę.

Kobieta spojrzała na mnie, marszcząc brwi. Widziałam, że usiłuje ocenić mój wiek, odczytać z twarzy i ubrania historię mojego życia i że nie spodobało się jej to, co zobaczyła. Czy to już odpowiedni moment? Obróciłam w dłoni monety. A jeśli nie wystarczą? Albo jeśli ona uzna to za nieuczciwość i podniesie krzyk, jak tamta kobieta ścigająca złodzieja? Ona ma moją plakietkę. Będę musiała ją zostawić i uciec stąd, a potem utknę bez pracy i jeszcze bardziej zadłużona wobec Rushila.

Położyłam monety na kontuarze i przesunęłam do niej.

– Musi coś dla mnie być – powiedziałam.

Spojrzała na mnie ostro, zgarnęła monety z blatu i schowała. Wypuściłam wstrzymywany oddech.

– Doskonale – rzekła. Popatrzyła znowu na ekran urządzenia. – Zajęcia dla początkujących, nisko wykwalifikowanych pracowników. Mam posadę pomocnicy praczki w państwowym hospicjum. Sortowaczki w zakładzie recyklingu sprzętu elektronicznego. Firma Powell-Gupta Dynamics potrzebuje czajarki, a wytwórnia syntetycznych

diamentów we wschodniej części miasta szuka pracownika do oczyszczania chemicznego.

– Która praca jest najlepiej płatna? – spytałam.

– Oczyszczanie chemiczne – odpowiedziała. Spojrzała wprost na mnie i dodała nieco mniej oficjalnym tonem: – Ale chemiczne opary wyżrą ci płuca. W tej pracy w miesiąc postarzejesz się o dwadzieścia lat. Na twoim miejscu bym jej nie brała, zwłaszcza że masz pod opieką małe dziecko.

– A którą by pani wzięła? – spytałam ostrożnie.

– Czajarki – odrzekła bez wahania. – Nie płacą zbyt dużo, ale firma mieści się w dobrej dzielnicy w południowej części miasta i będziesz tam bezpieczna. Ta posada pomoże ci zyskać dokumentację zatrudnienia – dodała, spoglądając na mnie znacząco.

– Tak jest – powiedziałam, chociaż nie miałam pojęcia, czym zajmuje się czajarka. – Przyjmę tę pracę.

Urządzenie kontrolerki trzasnęło cicho i wypluło cienką plastikową kartę.

– Zacznieś pojutrze. Zeskanuj ją swoją mandaryną, a ona skieruje cię do firmy Powell-Gupta. Włóżysz kartę do zewnętrznego urządzenia systemu blokady i budynek wskaże ci, dokąd masz dalej pójść.

– Mandaryną? – wyjąkałam.

Niewiele z tego, co powiedziała urzędniczka, miało dla mnie sens, ale tej części kompletnie nie rozumiałam.

Kobieta podniosła swój ręczniak, lśniący, jagodowego koloru aparat wielkości dłoni.

– Twoją mandaryną – powtórzyła tonem, jakim mówi się do kogoś tępego. Zmierzyła mnie wzrokiem. – I postaraj się włożyć jakieś lepsze ubranie. Wyglądasz, jakbyś wypadła ze śmieciarki.

– Tak jest – odrzekłam i wzięłam kartę.

– Witamy w gronie pracujących, panno Parastrata.

– Dziękuję – powiedziałam.

Przycisnęłam mocno do piersi moją plakietkę identyfikacyjną i kartę zatrudnienia, minęłam szybko ludzi czekających w kolejce na pracę i wyszłam na zewnątrz w popołudniowe słońce.

Spostrzegłam Rushila. Siedział w cieniu drzewa i przeglądał swój

ręczniak – to znaczy mandarynę. Mimo woli się uśmiechnęłam.
Ponieważ plakietka podziałała. Ponieważ będę mogła go spłacić.
Ponieważ nareszcie, nareszcie coś poszło dobrze.

Okazało się, że czajarka to rodzaj służącej, która roznosi herbatę pracownikom firmy piastującym zbyt ważne stanowiska, by opuszczali swoje miejsca pracy. Było to trochę podobne do zajęcia tamtego mężczyzny z tacą, którego widziałam w pociągu wkrótce po przybyciu z Miyole do Mumbaju. Ale nie obsługiwałam wszystkich urzędników firmy Powell-Gupta mieszczących się w wieżowcu z czarnego szkła na obrzeżu południowej części miasta. Każde piętro miało swoją czajarkę ubraną w białe spodnie, wściekle zieloną bluzkę i szafranową apaszkę, kolory logo przedsiębiorstwa. Kobieta w biurze zatrudnienia przynajmniej myliła się co do konieczności sprawienia sobie nowego stroju. Wetknęłam wisiołek identyfikacyjny pod chustę i zostawiłam swoje codzienne ubranie w wąskim korytarzu, w którym my, pracownicy, mogliśmy przechowywać nasze rzeczy w ciągu dnia.

– Zaparzasz herbatę, umieszczasz ją na wózku i rozwozisz – powiedział Ajit, główny czajarz, prowadząc mnie przez pomieszczenia kuchenne w suterenie. Był zapewne o niewiele obrotów starszy ode mnie, ale wszystkie zęby miał zbrązowiałe. – Pytasz, czy potrzebują czegoś jeszcze, a jeśli tak, dostarczasz im to jak najszybciej.

Dayo, starsza kobieta o ciemnej skórze i śpiewnej intonacji głosu, podniosła wzrok znad swojego wózka.

– Ajitowi idzie o to, żebyś robiła wszystko, co ci każą, i niczego nie sknociła.

Mężczyzna spiorunował ją wzrokiem.

– Chcesz prowadzić szkolenie zamiast mnie?

– Mówię tylko, jak się sprawy mają – odparła i uniosła ręce w geście udawanej kapitulacji.

– A może byś tak pojechała na czternaste i zajęła się swoją pracą, zamiast próbować zastępować mnie w mojej?

Dayo potrząsnęła głową i powróciła do ustawiania na wózku szklanek z grubego szkła.

Ajit dał mi taki sam wózek zaopatrzony w srebrzysty termos bufetowy, szklanki oraz podgrzewany pojemnik z wilgotnymi ręcznikami, żeby ludzie, którym usługuję, mogli umyć ręce. Wręczył mi

też notes elektroniczny, w którym miałam zapisywać wszystkie zamówienia.

– Przydzielam ci piętro dwudzieste siódme – rzucił do mnie, gdy pchając wózek, podążałam za nim do windy towarowej. – To na łatwy początek. Kiedy tam skończysz, sprawdzę, ile czasu ci to zajęło, i zobaczę, czy jesteś gotowa na trudniejsze wyzwanie.

Zatrzymałam się w pół kroku. Koła wózka zapiszczały w cichym proteście.

– Będzie pan kontrolował mój czas pracy?

– Oczywiście. – Ajit odwrócił się do mnie. – Wysokość twojej płacy zależy od stopnia efektywności. Nie powiedziałem ci o tym?

Popatrzyłam na niego nieufnie.

– Nie.

Ajit wzruszył ramionami.

– Więc do roboty, migiem! Czas ucieka.

Wjechałam z wózkiem windą towarową na dwudzieste siódme piętro. Cyfry u dołu ekranu mojego elektronicznego notesu rosły z każdą sekundą. Zbyt długo to ile czasu? Nie cierpiałam zostawiać Miyole samą, chociaż trochę już do tego przywykła. To miasto wydawało się całkiem odmienne od Gyre i miałam wrażenie, że mogłoby ją pożreć, kiedy jej nie pilnuję. Ale potrzebowałyśmy pieniędzy. Nie mogłyśmy wciąż być na utrzymaniu Rushila. Nie stać mnie na ociążanie się.

Drzwi windy otworzyły się na jaskrawe światło i powiew chłodnego powietrza. Ujrzałam obszerne pomieszczenie z wieloma oknami sięgającymi od podłogi do sufitu, wypełnione bezładnym labiryntem biurek i przepierzeń z matowego szkła o wysokości człowieka. Mężczyźni i kobiety siedzieli na swoich miejscach pracy nad ekranami serwerów komputerowych, przebiegając szybko palcami po klawiaturach, albo mówili do urządzeń z wyświetlaczami zamontowanych pionowo przy każdym stanowisku.

– Nareszcie. – Jedna z kobiet odwróciła się na krześle i popatrzyła na mój wózek. Kiwnięciem ręki przywołała mnie bliżej. – Panienko! Panienko!

Podtoczyłam do niej wózek.

– Herbaty, czcigodna?

– Oczywiście, że chcę herbatę. A po co tu jesteś? – rzuciła i zmierzyła mnie spojrzeniem idealnie umalowanych oczu.

– Tak jest, czcigodna – odrzekłam.

Napełniłam szklankę herbatą z termosu i podałam jej.

Spojrzała na mnie tak, jakbym oferowała jej garść słomy zapaskudzonej kozim łajnem.

– Czy nie zapomniałaś o czymś?

Zerknęłam w bok na wózek.

– Ręcznik. – Prychnęła z irytacją. – Nie uczą was podstaw etykiety?

– Och – westchnęłam urywanie. Odstawiłam szklankę na jej biurko, odsunęłam pokrywę podgrzewanego pojemnika i wyjęłam wilgotny, porządnie złożony lniany ręcznik. – Proszę.

Delikatnie wytarła smukłe palce i rzuciła mi ręcznik. Trafił mnie w klatkę piersiową.

– Życzy sobie pani coś jeszcze, czcigodna? – zapytałam.

– Teraz wypiję herbatę – oświadczyła.

– Tak jest... to znaczy oczywiście, czcigodna – powiedziałam i wskazałam szklankę z herbatą czekającą już na jej biurku.

– Nie – rzekła ostro. – Ta już wystygła. Chcę nową szklankę.

Wzięłam tę już napełnioną. Nie miałam gdzie jej postawić, jak tylko na wózku. Wcisnęłam ją więc obok czystych szklanek, rozchlapując przy tym lepką mętną herbatę. Czułam skurcz w żołądku i drżały mi ręce od wzbierającej we mnie dziwnej mieszaniny lęku i złości. Napełniłam drugą szklankę i spytałam ponownie:

– Życzy sobie pani coś jeszcze, czcigodna?

– Nie. – Odprawiła mnie machnięciem ręki i przez chwilę przypominała mi Modrie Reller. Brakowało jej tylko wachlarza. – Chwilowo to wszystko.

Pchałam wózek wokół sali, zatrzymując się przy każdym stanowisku. Żadna z pozostałych osób nie okazała się tak okropna, ale wszystkie czegoś chciały:

– Zabierz te filizanki na dół, dobrze?

– Czy mogłabyś kupić mi napój mango lassi w tym *tapri* za rogiem?

– Po drodze na dół będziesz mijała dział księgowości, prawda? Czy mogłabyś zwrócić ten skaner Dipakowi i podziękować mu ode mnie?

– Czy masz przy sobie tabletki kofeinowe?

– Mogłabyś przynieść mi kilka pakor?

Staralam się, jak mogłam, zapisać wszystkie te zamówienia, ale gdy dotarłam do ostatniego biurka, mój wózek był zarzucony brudnymi szklankami, papierowymi opakowaniami, zużytym bandażem z palca i niedojedzonymi przypalonymi skórkami chleba, a wszystko to pływało w płytkiej kałuży letniej herbaty.

– Wiesz, nie powinnaś była zaczynać od Nandity – rzekł do mnie ostatni mężczyzna, jakiego obsługiwałam, gdy nalewałam mu herbatę. – Ona jest tutaj dopiero od siedmiu miesięcy. Należało zacząć od starszych stażem pracowników.

– Postaram się to zapamiętać, naj – odpowiedziałam uprzejmym tonem, chociaż w tym momencie byłam już bliska wrzaśnięcia z frustracji.

Potoczyłam wózek z powrotem do windy i zjechałam nią do kuchni, gdzie czekał na mnie Ajit.

– Jesteś – powiedział. Sprawdzał właśnie dwa wózki, które dopiero co zwrócono. – Następnym razem postaraj się trochę przyspieszyć. Twoje tempo nie było złe jak na pierwszy dzień, ale jednak postaraj się je zwiększyć.

W tym momencie zobaczył mój wózek.

– Co to jest?

– Ja...

Porywczo podniósł brudną szklankę ociekającą herbatą.

– Dlaczego nie schowałaś jej do szuflady na zużyte naczynia? – Wziął w dwa palce skórkę chleba. – I dlaczego nie wrzuciłaś tego do pojemnika na kompost?

– Ja... ja nie... – wyjąkałam.

Poczułam, że znowu się skuliłam, że opuściła mnie cała siła i pewność siebie, jakie zyskałam w Gyre. Znowu byłam jedną z załogi „Parastraty”, kornie pochylającą głowę, nieśmiałą, przestraszoną. Nie potrafiłam zdobyć się na to, by spojrzeć Ajitowi w twarz.

– Nie wiedziałam, że są takie – powiedziałam cicho.

Ajit się roześmiał.

– Żartujesz, prawda?

Przycisnął złącze z boku wózka. Otworzyła się ścianka, odsłaniając wysuwaną szufladę z przegródkami na brudne szklanki. Nacisnął guzik na ręczce wózka i z tyłu wysunął się lej na odpadki kompostowe.

– Teraz już wiesz – powiedział.

Żałowałam, że podłoga nie jest wodą, pod którą mogłabym się zanurzyć, schować.

Ajit odwrócił się do mojego elektronicznego notesu.

– Przynajmniej przyjęłaś tam na górze kilka zamówień. – Zmrużył oczy i przyjrzał się notesowi, a potem podetknął mi go pod nos. – Co tu jest napisane? M-A-G-O-L-A-S-I? Magolasi?

– Mango lassi? – wymamrotałam niepewnie.

– Nie jesteś zbyt lotna, co?

Odeszłam. Oczy zaszyły mi łzami, gdy wypadłam przez drzwi kuchni na korytarz, gdzie wcześniej zostawiłam moje rzeczy pośród mandaryn i pojemników śniadaniowych innych czajarzy. Osunęłam się na wąską metalową ławeczkę przyśrubowaną do ściany i ukryłam twarz w dłoniach.

Po kilku chwilach skrzypnęły drzwi. Ktoś przeszedł przez korytarz i usiadł obok mnie.

– Nic ci nie jest, kochana?

Uniosłam głowę. Doya uśmiechnęła się do mnie.

– Wszystko zawałam – powiedziałam.

– Nie martw się. – Pogłaskała mnie po plecach. – Dopiero tutaj zaczynasz. Nikomu pierwszego dnia pracy nie udaje się wszystko doskonale.

– Obsłużyłam ich tam na górze nie w takiej kolejności, jak należało, a jedna z kobiet mnie skrzyczała i używałam niewłaściwie wózka, a Ajit nawet nie mógł odczytać mojego pisma...

Głos mi się załamał. Z jakiegoś powodu najbardziej zraniło mnie właśnie to, że moja z takim trudem zdobyta umiejętność pisania nie okazała się wystarczająco dobra.

– Coś ci powiem. – Doya oparła się plecami o ścianę. – Wiesz, dlaczego nas tu zatrudniają?

– Nie – odrzekłam w moje dłonie zakrywające twarz.

– Wszystkim tym ludziom na górze, tym, którym usługujesz, nie wolno odejść od ich biurka na dłużej niż kilka minut. Oni też mają normy efektywności, którym muszą sprostać. Ich szefowie zatrudniają nas, żeby oni nie mogli opuścić biura i zbiec na dół na ulicę, by napić się smacznego piwa albo herbaty. Rozumiesz?

Skinęłam głową.

– Dlatego za każdym razem, gdy któreś z nich na mnie wrzeszczy, myślę sobie: „Tkwicie tu przez cały dzień, a ja za jakąś minutę będę mogła wyjść”.

Znowu kiwnęłam głową.

– Racja.

Przez chwilę milczałyśmy.

– Skąd jesteś? – spytała Doya.

Zawahałam się.

– Dlaczego pytasz?

– Ten twój zabawny sposób mówienia – wyjaśniła. – Wiem, że gdzieś już go słyszałam, ale nie potrafię określić gdzie.

– Urodziłam się na statku dalekiego zasięgu – wyrwało mi się, zanim zdołałam dobrze się zastanowić.

– Ach! – Doyi rozbłysły oczy. – Jednym z tych, które dostarczają zapasy odległym koloniom i pogranicznym placówkom?

– Tak – potwierdziłam.

– Wiedziałam. – Zmarszczyła brwi. – Ale nie wyglądasz jak większość ludzi z załóg, których spotkałam. I zawsze widywałam tylko chłopców.

– Chłopców? – powtórzyłam.

Przytaknęła.

– Moja córka jest nauczycielką w państwowej szkole z internatem. W całym jednym skrzydle mieszkają chłopcy z załóg statków, których wyrzucono na stacji Bhutto albo tam pozostawiono. Wyglądają dziwnie. Są tacy bladzi. – Przyjrzała mi się. – Na pewno jesteś jedną z nich?

– Tak jest – odrzekłam. – Ale... ich się porzuca?

– Aha. Córka mówi, że ich starzy ludzie na statkach poślubiają wszystkie dziewczyny i żadne nie zostają dla młodych chłopców,

zwłaszcza tych pochodzących z mniej znaczących rodzin. Więc załogi wyrzucają ich tutaj. To okropne. – Zerknęła na mnie. – Bez urazy.

Potrząsnęłam głową. Kilku znanych mi chłopców zmarło podczas swojej pierwszej wyprawy na powierzchnię, ale Ziemia i jej pograniczne placówki bywają niebezpiecznymi miejscami, jak zawsze mawiali Modrie Reller i mój ojciec. A kiedyś Soli opowiedziała mi o chłopcu, którego wygnano z „Æther”, po tym jak opanowała go zła materia i zmusiła, żeby pchnął nożem swojego przyjaciela. Ale na „Parastracie” nigdy nie zdarzyło się nic takiego. My z pewnością nigdy nikogo nie wygnaliśmy. A może jednak?

Przeniknęło mnie mdlące uczucie.

– Czy któryś z nich... – Z wysiłkiem przełknęłam ślinę. – Żaden z nich nie ma rudych włosów, prawda?

– Och, oczywiście, że tak. – Doya wzruszyła ramionami. – Włosy wszelkich kolorów. Rude, brązowe, białe, żółte, czarne.

Zawirowało mi w głowie. Oparłam się plecami o ścianę. Na jedno uderzenie serca znalazłam się znowu na pokładzie „Parastraty”, dziesięć obrotów młodsza, i patrzyłam, jak matka Llell pada na kolana przed Modrie Reller i mówi błagalnym tonem: „Mój Niecein. Czy nie mogli przywieźć tu jego ciała?”. Tamtej nocy nie potrafiłam usnąć. Myślałam o duszy Nieceina, która obróciła się w proch, i dziękowałam Miłosiernym, że to mężczyźni stawiają czoło Ziemi, a nie ja. Ale teraz... Czy wszyscy ci rzekomo zmarli chłopcy przez cały czas byli tutaj?

W tym, co powiedziała Doya, było też coś jeszcze, co nie dawało mi spokoju. „Włosy rude, brązowe, białe, żółte, czarne”.

Czarne. Moje włosy zjeżyły się na głowie.

Usiadłam prościej.

– Czy któryś z nich jest w moim wieku?

Doya ściągnęła brwi i odchyliła się do tyłu, jakby chciała lepiej ogarnąć mnie wzrokiem.

– Może – powiedziała z wahaniem. – Przeważnie są młodszy. Mniej więcej w wieku od dwunastu do piętnastu lat.

– Ale tylko przeważnie, tak? Powiedziałaś „przeważnie”?

Doya przekrzywiła głowę.

– Chyba. To znaczy, wiesz, odwiedzam Holi tylko raz na rok.

– Więc może być też kilku starszych? – naciskałam.

Miałam wrażenie, że przez skórę przebiega mi elektryczny prąd.

Doya znowu zmarszczyła brwi.

– Nigdy żadnego takiego nie widziałam, ale...

– Ale może od czasu twojej ostatniej wizyty odnaleźli więcej chłopców.

Wydeła wargi, a potem powoli skinęła głową.

– Córka mówi, że stale znajdują nowych, więc przypuszczam, że to możliwe. Chyba.

– Gdzie jest ta szkoła? – zapytałam. Wychyliłam się ku Doyi. – Ta, w której pracuje twoja córka.

– W Khajjiar, w Himachal Pradesh.

„Khajjiar, Himachal Pradesh. Khajjiar, Himachal Pradesh” – usiłowałam wryć to sobie w pamięć.

– Czy to daleko?

– Dlaczego pytasz? – Doya uniosła brew. – Chyba nie zamierzasz tam pojechać, co?

– Nie – odparłam szybko. Chociaż Doya była bardzo uprzejma i miła, nie chciałam wylewać przed nią wszystkich moich smutków i wstyłów. – To znaczy... ja nie... Po prostu się zastanawiałam. Pomyślałam, że może kiedyś mogłabym pojechać. Zobaczyć, czy znam któregoś z nich.

– Aha. – Doya wzruszyła ramionami. – Podróż pociągopociągiem zajmuje prawie cały dzień. Chyba nie byłoby źle, gdybyś przez jakiś czas nie opuszczała tutaj dni pracy.

– Dziękuję, Doya – powiedziałam, ścisnęłam jej rękę i wstałam.

– Jesteś już gotowa wrócić do obowiązków? – zapytała.

Nie byłam. Chciałam wybiec stąd natychmiast i wsiąść do pociągopociągiu. Ale nie mogłam. Musiałam zostać tutaj, pracować szybciej, lepiej. Ajit i ci ludzie na górze mogą na mnie wrzeszczeć, ile zechcą, ponieważ jak tylko zwrócę pieniądze Rushilowi i dopilnuję, żeby Miyole miała wszystko, czego potrzebuje, pojedę tym pociągiem do Khajjiar przekonać się, czy pośród tych porzuconych chłopców jest Luck.

Rushil ukucnął przy mnie pod brzuchem słupa ze skrzynką narzędzi pod ręką.

– Czy to ta? – zapytał, wskazując jedną z osmalonych płyt pancernia, i poprawił okulary na nosie.

– Chyba tak – odrzekłam.

Prześlizgnęłam się obok niego i przesunęłam palcami po nitach płyty. Moje usiłowania, by trzymać Rushila z dala, kiedy będę naprawiała statek, kompletnie się nie powiodły.

– Masz coś, czym dałoby się ją wyjąć? – spytałam.

Pogrzebał w skrzynce i wyjął narzędzie uniwersalne z płasko zakończonym prętem z jednej strony i gniazdem elektrycznym z drugiej.

– Proszę – powiedział i pchnął je do mnie.

Odkręciłam bolce, wsadziłam płaski koniec narzędzia w cienką szczelinę między łuskami statku i wyważyłam pancerną płytę. Z otworu natychmiast trysnął lepki strumień płynu chłodzącego, obryzgując betonowe podłoże doku, a w powietrzu rozszedł się duszący swąd spalonego plastiku. Rushil zdążył w porę odskoczyć, ale mnie to paskudztwo ochlapało nogi.

– Fuj – prychnęłam i starłam tłustą plamę z nogawki spodni.

Rushil wyjął z tylnej kieszeni szmatę, nieudolnie usiłując powstrzymać śmiech.

– Teraz przynajmniej wiesz, co wykończyło silniki kłapy wjazdu.

Rzuciłam mu udawane gniewne spojrzenie, sięgnęłam ręką w górę i starłam szmatą maź chłodziwa ze złączy. Rushil miał rację. Wyciek płynu chłodzącego przerwał niemal wszystkie połączenia pomiędzy pomocniczym akumulatorem a silnikami poruszającymi kłapę. Wszystkie złącza były uszkodzone, osmalone i wydzielały gryzący smród spalonej elektroniki. Zasłoniłam nos ramieniem i dokończyłam czyszczenie złączy najlepiej, jak potrafiłam. Rushil przyglądał się, jak wyciągnęłam złącza, które nie wtopiły się w spodnią płytę, a potem wyrwałam te pozostałe, wtopione. Kiedy się z tym uporałam, zostały tam tylko spopielone kontury złączy i postrzępione pęki drutów sterczące ze swych zbrojonych cylindrycznych osłon.

Odsunęłam płytę osłaniającą przewody płynu chłodzącego. Wyciekło jeszcze więcej tego kleistego paskudztwa. „Może pęknięcie rury” – pomyślałam. Pstryknęłam przełącznik narzędzia uniwersalnego, tak że zaświeciło białobłękitnym światłem, i wcisnęłam się górną połową ciała we wnętrze statku.

– Co tam się stało? Możesz to zobaczyć? – Z drugiej strony kadłuba dobiegł mnie stłumiony głos Rushila.

Powiodłam promieniem światła wzdłuż rur. Na całej ich długości widniały długie szczeliny i pęknięcia, z których wyciekało chłodziwo. Mimo woli wydałam urywane westchnienie, a potem jęk.

– Co się dzieje? – dopytywał się Rushil.

Znowu przesunęłam promieniem światła po rurach, ledwie wierząc własnym oczom. Nigdy jeszcze nie widziałam aż tak poważnych uszkodzeń. Pęknięcia spowodowane zmęczeniem materiału rozłupały rury, jak ciosy mieczem rozcinają ludzkie plecy. Przyczyną były niewątpliwie zbyt gwałtowne i zbyt częste zmiany temperatury elementów wewnętrznej maszyneryi statku. Przypomniałam sobie mgliście, jak Perpétue mówiła, że trzeba będzie wkrótce wyłożyć sporą sumę, by je wymienić.

– Pękły przewody płynu chłodzącego! – krzyknęłam do Rushila.

– Daj mi spojrzeć – powiedział.

Wycofałam się z otworu w pancerzu i podałam Rushilowi latarkę. Jego głowa i tułów zniknęły we wnętrzu statku. Po jakimś czasie odezwał się:

– To wygląda źle, Avo.

– Wiem – odrzekłam i parsknęłam krótkim histerycznym śmiechem.

Rushil wypełził ze slupu i przykucnął obok niego.

– Miałaś szczęście, że kiedy leciałaś tu z portu lotniczego, silniki się nie zadławiły i nie wpadłaś w śmiertelny korkociąg. – Podrzucił i złapał latarkę. – Potrafisz to naprawić?

Przygryzłam wargę i rozważyłam sytuację.

– Może bym potrafiła, ale to trwałoby wieczność. A pieniądze na nowe części...

Popatrzyłam na Miyole siedzącą w cieniu przyczepy Rushila.

Grzebała w ziemi patykiem. Obok niej spał Pala. Zdołałam dotrzymać mojej części umowy dotyczącej curry i nawet zwróciłam Rushilowi trochę pieniędzy, ale jeden bilet na pociągopocisk do Khajjiar kosztuje więcej niż mój fałszywy dowód tożsamości. A uświadomiłam sobie, że potrzebuję nie jednego, lecz dwóch biletów. Już wystarczająco złe było to, że zostawiałam Miyole samą w czasie mojej pracy. Niemal zabijała mnie myśl o tym, o ile dłużej potrwa zarobienie na dwa bilety, ale nie mogłam zostawić Miyole na całe dwa dni, podczas gdy pojedę ścigać widmo Lucka.

– Może znajdę tu u siebie kilka zapasowych rur – oświadczył Rushil.

Zamknęłam oczy.

– Przestań. Wiesz, że nie mogę przyjąć od ciebie niczego więcej.

– To naprawdę drobiazg, Avo. – Wskazał ręką bezładne sterty części statków w pobliżu. – Połowa mojego biznesu to rozbieranie starych statków na części i odsprzedawanie ich. I znam jedną dziewczynę, Zarinę. To moja przyjaciółka. Handluje nowymi częściami i sprzedawałaby nam po uczciwej cenie wszystko, czego nie udałoby się wyszperać tutaj.

Spojrzałam na niego nieufnie. Chciałam naprawić mój statek. Oczywiście, że chciałam, bo wtedy mogłabym zapomnieć o pociągu i po prostu polecieć do Khajjiar. Mogłabym dotrzeć tam w ciągu popołudnia, a Luck zobaczyłby na trawie cień mojego lądującego słupa i przybiegłby do mnie. Wtedy nie musiałabym już wcale zebrać o pomoc u mojej modrie, bo Luck i ja sami zaopiekowalibyśmy się Miyole. I może wtedy wreszcie przestałabym się czuć, jakby serce mnie dławiło.

– Nie dostaję dużo za zdezelowane rury. W gruncie rzeczy wyświadczyłybyś mi przysługę – przerwał Rushil moje fantazje. Przyjrzał się swoim dłoniom, kucając w cieniu statku Perpétue, a potem, mrużąc oczy, podniósł wzrok na mnie. – Chcę, żebyś miała ten statek.

Pogładziłam kciukiem mój wisiołek identyfikacyjny. Myśl o Lucku biegnącym ku mnie przeniknęła moje ciało bólem – tak bardzo tego pragnęłam. Ale potem policzyłam moje długi: dokowanie i dokument tożsamości, monety dla urzędniczki w biurze zatrudnienia, pomoc przy naprawach i setki innych drobnych uprzejmości ze strony Rushila, takich

jak herbata, koce i bandaże. Przeciągnęłam dłonią po płytach pancerza słupu.

– Pozwól mi to przemyśleć.

Z twarzy Rushila spęzł uśmiech.

– Jasne. – Wychynął spod statku i zerknął na czas na ekraniku swojej mandaryny. – Pewnie. Wiesz, mam... sprawy do załatwienia. Remonty. Poza tym...

– Rushil, zaczekaj.

Zatrzymał się i odwrócił do mnie. Spoglądaliśmy na siebie z rosnącym zakłopotaniem. Nie wiedziałam, jak powiedzieć to, co chciałam – że jego uprzejmość mnie krępuje, nawet jeśli wynika z dobrych chęci.

– Mogę ci coś pokazać?

Wspięłam się do ładowni słupu, a potem weszłam po drabinie do kabiny pilota. Rushil w milczeniu podążył za mną.

Na przyrządach pulpitu sterowniczego osiadł kurz, a powietrze było duszne i nieruchome. Odsunęłam się na bok, żeby Rushil mógł zobaczyć ściany kabiny pokryte od podłogi do sufitu metalowymi figurkami, dziełami Miyole. Kobiety z rybimi ogonami, koguty i statki połyskiwały w popołudniowym słońcu. Ich brunatnoszare metalowe powierzchnie barwiły przygaszone kolory, jak tęcza na plamie oleju.

Rushil przystanął z otwartymi ustami w drzwiach kabiny. Rozpoznawałam emocje przemykające przez jego twarz – zaskoczenie, konsternacja, rodzący się powoli zachwyt. Ja czułam to samo, kiedy pierwszy raz zobaczyłam te figurki zgromadzone razem.

– Co to jest? – zapytał.

– Robi je Miyole. – Przełknęłam gulę w gardle. – Robiła. Dawniej. Ostrożnie dotknął jednej z nich, płomiennie czerwonego serca.

– Są piękne. Mogłaby je sprzedawać na stacji.

Potrząsnęłam głową.

– Robiła je dla swojej matki.

– Och. – Rushil się skrzywił. – Przepraszam, głupio palnąłem.

– Kiedy ją utraciliśmy... – Przerwałam i odchrząknęłam. –

Mówili, że tam nigdy nie ma burz, ale nadeszła burza. I matka Miyole kazała mi sterować statkiem, a sama opuściła się na szczyt dachu...

Wpatrywałam się prosto przed siebie w figurkę przedstawiającą słońce z falistymi promieniami.

– Czasami myślę: „To ja powinnam była to zrobić”. Powinnam była zejść po Miyole, a wtedy Perpétue by przeżyła, a Miyole nie stałaby się taka jak teraz. Obie by żyły.

– Ale ty byś nie żyła – rzekł cicho Rushil.

Wzruszyłam ramionami.

– Jaką różnicę by to zrobiło?

Gdybym zniknęła z tego świata, kogo w ogóle by to obeszło? Czyż z żywej Perpétue nie byłoby o wiele więcej pożytku niż ze mnie?

– Nie mów tak – powiedział cicho Rushil drżącym głosem. – Nawet nie wiesz... nie wiesz, jak wielka by to była różnica.

– Przepraszam. – Osunęłam się na fotel kapitański. – Ja tylko... nie chcę, żeby ona dalej była taka. Chcę, żeby stała się znowu sobą.

– Wiem – rzekł Rushil. Zajął miejsce w drugim fotelu, tak że siedzieliśmy kolano przy kolanie. – Tylko że... nigdy nie wiadomo, kto będzie cię potrzebował. Albo chciał, żebyś tu była.

Wyciągnął rękę i lekko ścisnął moją dłoń.

Zamarłam pod wpływem tego dotyku – przecież on jest chłopcem, mężczyzną, obcym mężczyzną – a potem to delikatne dotknięcie mojej dłoni przeniknęło mnie czułym ciepłem od serca do czubków palców. Niemal od tego zadrżałam. Jak często ktokolwiek dotykał mnie tak miło?

Napotkałam jego spojrzenie. Nigdy nie sądziłam, że to właśnie chłopiec – mężczyzna – mnie zrozumie albo przynajmniej będzie próbował. Rushil nachylił się, jakby chciał coś powiedzieć.

„Ale jest przecież Luck” – pomyślałam. Zamknęłam oczy. Jak mogłam zapomnieć o Lucku, choćby na mgnienie? Uwolniłam rękę z uścisku Rushila.

Odchrząknął zmieszany.

– Więc jak ona je robiła? – zapytał i obrócił się wokół, przyglądając się kolekcji figurek Miyole.

– Ze złomu, który cięła palnikiem do metalu – odpowiedziałam.

– Może jednak mogłaby wykonać kilka nowych. – Odwrócił się znowu do mnie. – Miałaby się czym zająć, zamiast leżeć ponuro przez cały dzień.

Przecząco potrząsnęłam głową.

– Straciłyśmy jej palnik.

– Phi. – Rushil zbył to lekceważącym machnięciem ręki. – Możesz kupić taki tanio od któregoś z handlarzy starzyzną przy stacji.

Zacząłam protestować, ale uciszył mnie, unosząc dłonie.

– Przecież nie próbuję niczego więcej ci kupić. Mówię tylko, gdzie możesz zdobyć palnik, jeśli zechcesz.

Uśmiechnęłam się.

– Dziękuję.

– Ale jeśli potrzebowałabyś trochę metalowego złomu...

Jęknęłam.

– Rushil!

– Co? – spytał z uśmiechem.

– Przestań być dla mnie taki miły! – powiedziałam tylko w połowie żartem.

– Dobrze. – Przycisnął dłoń do serca. – Uroczyście przyrzekam, że odtąd będę kompletnym *gandu*.

Nie mogłam się powstrzymać. Roześmiałam się i żartobliwie uderzyłam go pięścią w ramię.

– Chodź. Jestem ci winna curry za dzisiejsze popołudnie. Możesz być tym... *gandu*, kiedy będziemy jeść.

Wczesnym wieczorem wysiadłam z pociągu na stacji Sion. W kieszeni brzęczały mi monety za dzień pracy w firmie Powell-Gupta. Stawałam się coraz lepszą czajarką. Potrafiłam już zaparzyć herbatę prawie tak samo szybko jak Doya i nauczyłam się nazwisk wszystkich pracowników z dwudziestego siódmego piętra – piętra, nie poziomu – a także ich indywidualnych upodobań. Korniszony w słodkiej marynacie dla pana Darzi. Nikotynowa guma do żucia dla panny Nervy, którą Rushil zwykł nazywać panną Wnerwioną z powodu jej nieustannego zniecierpliwienia. I tabletki kofeinowe dla panny Chaudhri, która ma w domu dwoje maleństw. Zaczynałam nawet przestawać się już przejmować, kiedy Ajit na mnie wrzeszczał. A najlepsze ze wszystkiego było to, że miałam już dość pieniędzy, by kupić Miyole palnik do metalu.

Naprzeciwko stacji dziesiątki handlarzy siedziało na ulicy przed szeregiem sklepów i *tapris*, rozłożywszy wokół siebie towary na kocach. Minęłam stoiska z okularami trochę podobnymi do tych Rushila, modnymi, jak się zdaje, w niektórych częściach Mumbaju, tanią plastikową biżuterią w krzykliwych landrynkowych kolorach, belami drukowanych tkanin i w końcu dotarłam do tego, po co przyszłam: wiader pełnych używanych mandaryn, akumulatorów i rozmaitych części.

– Szukasz czegoś konkretnego? – zagadnęła do mnie handlarka, dziewczyna starsza ode mnie o kilka obrotów, z licznymi neonowo jaskrawymi bransoletami brzęczącymi na rękach. Podeszła, by przejrzeć razem ze mną zawartość wiadra. – Wszystko tutaj jest po piętnaście rupii za sztukę. Nigdzie nie znajdziesz lepszej ceny.

Odgarnęłam na bok garść samoprzylepnych żaróweczek ledowych i zobaczyłam to, czego szukałam. Ten palnik był mocno uszkodzony i miał większy, bardziej nieporęczny uchwyt niż dawny palnik Miyole, ale jej dłoń przywyknie do niego. I byłam pewna, że zdołam go naprawić. Wprawdzie ten wydatek trochę opóźni spłacenie przeze mnie Rushila, ale bardziej niż wyrównania z nim rachunków pragnęłam dobra Miyole.

Do moich uszu dobiegł męski głos:

– Podziękowania ode mnie i moich żon.

Te słowa przebiły się przez przyjazny gwar targowiska i sprawiły, że zamarłam. „To niemożliwe” – pomyślałam. Zmusiłam się, by podnieść wzrok znad wiader.

Kilka kroków ode mnie stała grupa mężczyzn o wyblakłej bladej skórze rozmawiających z rdzennym mieszkańcem Mumbaju ubranym w szary garnitur z wystającą z górnej kieszonki pomarańczową chusteczką. Na pierwszy rzut oka wyglądali identycznie – takie same długie, proste, białe włosy pod kapeluszami o szerokich rondach chroniących ich przed słońcem, takie same gumowane białe kombinezony wyróżniające się mocno na tle rudawej ziemi pobocza jezdni, takie same kredowobiałe rękawice. Cień rzucany przez nakrycia głowy skrywał ich twarze, ale ich rozpoznałam. Członkowie załogi statku „Nau”. Tutaj, w Mumbaju, w Salt. Co ludzie z „Nau” tu robią?

– Podoba ci się? – Dziewczyna wskazała głową palnik, który przyciskałam do piersi. – To dobre urządzenie. Trzeba je tylko trochę wypucować i znowu będzie działać.

– P-pewnie – wyjąkałam.

Spojrzałam na palnik, a potem znowu na tę załogę. Powinnam odpowiedzieć handlarce, stargować trochę cenę, ale oni stali tak blisko. Nie mogłam oddychać. Czy zaraz mnie rozpoznają? Jeśli tak, to niewątpliwie powiadomią ojca i brata, gdzie jestem, a wtedy będę musiała znowu uciekać.

Ich przywódca, najprawdopodobniej kapitan statku, uklonił się szorstko człowiekowi w szarym garniturze i skinął na swoich towarzyszy, żeby podążyli za nim. Szli ulicą w moim kierunku. Pochyliłam głowę i udałam, że znowu przeglądam zawartość wiadra.

– *Kamari?* – Handlarka dotknęła mojego ramienia. – Dobrze się czujesz?

Usłyszałam własny oddech – głośny, ciężki, rwany – i spróbowałam go uspokoić.

– Doskonale – odrzekłam, zbywając machnięciem ręki jej zatroskanie.

„Oni mnie nie rozpoznają” – powiedziałam sobie. Wyglądałam

teraz mocno inaczej, niż kiedy opuściłam moją załogę. Szukałoby rudowłosej dziewczyny o ziemistej cerze. Ale moje serce nie chciało słuchać głosu rozsądku. Ludzie z „Nau” zbliżali się wolno, oglądając towary przekupniów. Co kilka kroków przystawali, wskazywali coś i mamrotali między sobą.

Zakręciło mi się w głowie, a przed oczami zaczęły wirować szare plamki.

Zatrzymali się przy sąsiednim kocu rozłożonym na ziemi. Stopy mężczyzny stojącego najbliżej znalazły się w odległości dłoni od miejsca, w którym klęczałam przy wiadrze z częściami. Przez chwilę naradzali się szeptem. Potem jeden z nich, wysoki i chudy, wystąpił naprzód i odezwał się głosem bardziej młodzieńczym niż męskim.

– Mój ojciec pyta, ile to kosztuje – rzekł, wskazując bele materiału oparte o ścianę za handlarzami.

– Która? – Mężczyzna sprzedający sukna sięgnął ręką za siebie i poklepał bele. – Każda ma inny ciężar i inną cenę.

– Ta złota – powiedział chłopak, wskazując gruby zwój tkaniny z wyhaftowanymi lecącymi żurawiami.

„Na ślubną suknię” – uświadomiłam sobie. Wszystkie moje modries mówiły, że ludzie z „Nau” ubierają swoje wychodzące za mąż córki w stroje koloru słońca. Co dziewczyna, która włoży tę suknię, pomyśli o wyhaftowanych ptakach? Czy będzie wiedziała, czym są, czy może popatrzy ze zdumieniem na ich wyszyte skrzydła? Czy zatęskni do czegoś z bezkresu na zewnątrz kadłuba jej statku?

Mocno ścisnęłam w dłoni palnik do metalu. Los tamtej dziewczyny to już nie mój los. Może jestem wyrzutkiem, ale jestem też wolna. Sama decyduję o sobie i tak pozostanie.

Chłopak z „Nau” odwrócił się w moim kierunku. Moje mięśnie się napięły, gotowe do walki lub ucieczki. Przez krótką chwilę nasze spojrzenia się spotkały.

„Uciekaj” – krzyknęło moje ciało.

Ale potem wzrok chłopaka ześlizgnął się ze mnie i spoczął na czymś za moimi plecami. Odwróciłam się i popatrzyłam tam gdzie on – na konia uwiązanego przed zakładem obcinacza włosów. Dla tej załogi byłam nikim, jedynie kolejnym powtarzającym się kształtem ze wzoru

na ozdobnej tkaninie – brudną dziewczyną z powierzchni, taką jak wszystkie inne na tym targowisku. I cieszyło mnie to. Przyglądałam się, jak ludzie z „Nau” płacili za materiał i poszli dalej ulicą.

Wsunęłam sprzedawczyni do ręki piętnaście rupii, zbyt wstrząśnięta, by się z nią targować, i pośpieszyłam do domu. Po drodze zatrzymałam się tylko, by kupić worek ryżu dla Rushila. Późne popołudniowe słońce oświetlało kłęby pyłu wzbijanego przez przechodniów i przejeżdżające pociągi i rozpuszczało niebo w pomarańczowej mgle. Kiedy zrobiło się tak późno?

Na terenie stoczni w oknach przyczepy Rushila paliły się światła, ale mój slup był ciemny. Zajrzałam do ładowni.

– Miyole!

Wdrapałam się do wnętrza statku i mrugałam, aż moje oczy przywykły do mroku. Tam. Leżała nieruchomo, skulona przy ścianie, jak zwykle.

Ukucnęłam obok niej.

– Miyole! – powiedziałam, czując narastające we mnie zniecierpliwienie i bezsilność. – Miyole, obudź się. Nie możesz bez przerwy spać.

Poruszyła się, zamrugła i spojrzała na mnie.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Mam coś dla ciebie. Niespodziankę.

Miyole popatrzyła pustym wzrokiem na palnik.

– Teraz jeszcze nie działa, ale jestem pewna, że uda mi się go naprawić – ciągnęłam. Podałam jej palnik, nadal mając na twarzy uśmiech. – Będziesz mogła zacząć znowu robić swoje figurki.

Wzięła ode mnie palnik, obróciła go w rękach, a potem znów przekręciła się do ściany.

– Miyole! – Potrząsnęłam ją za ramię. – Nie chciałabyś obejrzeć tego metalu, który Rushil obiecał ci dać?

Rzuciła mi znużone, gniewne spojrzenie, dźwignęła się na nogi i sztywno jak automat wyszła ze statku.

– Miyole...! – zawołałam i podążyłam za nią do wylotu ładowni.

Nie obejrzała się, tylko weszła głębiej w mrok zapadającego zmierzchu.

„Próbuję tylko ci pomóc” – chciałam jej powiedzieć. Ale była już za daleko, by mnie usłyszeć. Patrzyłam, jak znika w labiryncie dokujących statków i ich cieni.

Osunęłam się na pochylnię załadowniczą słupu. Byłam taka pewna, że się uda. Pewna, że gdy zobaczy spawarkę, przez mgnienie ujrzę dawną Miyole. Wstałam, dźwignęłam worek ryżu i zarzuciłam sobie na ramię. Najprawdopodobniej wróci do nas ugotowany i podany w okrągłych cynowych miskach, ale czułam się zbyt zmęczona i przygnębiona, by kłócić się z Rushilem o mój dług wdzięczności wobec niego. Zastukałam w cienkie drzwi przyczepy. Światła nadal się paliły, ale on nie odpowiedział.

Wzdłuż boku parkingu wychodzącego na ulicę zapłonęły kolejno uliczne lampy. Powinnam odszukać Miyole, upewnić się, że nic jej nie jest. Powinnam raz jeszcze spróbować z nią pomówić, wyjaśnić, że nie zamierzałam na nią krzyczeć, że po prostu się o nią martwię.

– Trzeba było pójść ze mną, *chikni!* – krzyknął do mnie Shruti ze szczytu statku na sąsiednim parkingu.

Jego twarz oświetlił złocistoczerwony ogień papierosa. Tym razem Shruti usadowił się na większym statku, który miał rząd ośmiu silników i lśniące białe płyty pancerza. Chłopak zaciągnął się i wypuścił dym w niebo.

– Zostaw mnie w spokoju, Shruti – powiedziałam.

– Mówię tylko, że przyjąłbym cię u siebie za same twoje usługi. – Strząsnął popiół z papierosa za burtę statku. – I nie próbowałbym też wyciągać od ciebie ryżu.

– To nie tak – odparłam. Skrzyżowałam ramiona na piersi. – On wcale nie...

– Może jeszcze nie – przerwał mi Shruti. – Ale możesz być pewna, że wkrótce zacznie. Rushil Vaish to twardziel. Widziałaś jego tatuaże? Tego tygrysa? To symbol Wyjców Marathi. Zanim przyjmą do siebie nowego i wytatuują mu ten znak, zmuszają go, żeby kogoś pochlastał.

Poczułam nagle, że nie mogę oddychać.

– Jak to? – wydusiłam.

– Wyjce. – Shruti wskazał na przyczepę Rushila. – On jest jednym z nich. Jeszcze się tego nie domyśliłaś?

Pankaj. To stąd Rushil go znał. Co tamten powiedział o uczciwej drodze? I ten wizerunek tygrysa. Widziałam go gdzieś jeszcze oprócz bramy Pankaja. To jeden z symboli na ramieniu Rushila. Za moimi oczami zaczął pulsować ból. Odkąd poszliśmy zdobyć dla mnie plakietkę identyfikacyjną, Rushil ma zawsze spuszczone rękawy koszuli, zakrywa swoje ramiona. Nie chce, żebym znowu zobaczyła ten tatuaż i skojarzyła jedno z drugim.

– Podobno oni stale szukają dziewczyn do swoich burdeli – mówił dalej Shruti. – Może właśnie dlatego nie uczynił jeszcze żadnego kroku wobec ciebie. Chce cię zwerbować. Może także Miyole, na później.

– Przestań – powiedziałam, ale głos mi drżał.

Nie Miyole. W żadnym razie Miyole. Ściemniło się. Jak mogłam nie dostrzec wszystkich oznak? Jak mogłam być taka głupia, taka ślepa?

– Tak to wygląda – rzekł Shruti. Cisnął niedopałek papierosa za płot, na parking Rushila. – Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

– Ja...

Drzwi przyczepy się otworzyły i wychylił się z nich Rushil. Uśmiechnął się do mnie.

– Cześć, przepraszam. Pukałaś? – powiedział. Potem zobaczył wyraz mojej twarzy i rzucił ponure, gniewne spojrzenie w górę na Shrutiego. – Czy on znowu ci dokucza?

Shruti szeroko otworzył oczy z miną niewiniątka. Wytrząsnął z paczki następny papieros i wsadził do ust. Czy to możliwe, że on ma rację? Dług, przysługi, uprzejmości – czy Rushil chce omamić mnie tym wszystkim, żebym mu zaufała? Czy to pułapka?

– Nie, nie, on... nie – wyjąkałam.

Rushil posłał Shrutiemu ostrzegawcze spojrzenie. Miał już wyjść z przyczepy, ale spostrzegł worek z materiału oparty o najniższy schodek.

– Czy to ryż? – spytał.

– Tak – odrzekłam.

Ciemność jeszcze bardziej zgęstniała, jakbym widziała wszystko przez welon splamiony krwią.

– Wspaniale. Dzięki – rzekł Rushil. Podniósł worek i otworzył dla mnie drzwi. – Chcesz wejść?

– Ja...

Usiłowałam pomyśleć pomimo dudnienia krwi w uszach. Zmagały się we mnie strach i gniew: „Uciekaj, walcz, uciekaj, walcz”.

Rushil uśmiechnął się tymi swoimi zabawnymi krzywymi ustami. Czy Shruti skłamał o nim? Kiedy Rushil patrzył na mnie tak jak teraz, nie potrafiłam sobie wyobrazić, by mógł wyrządzić komukolwiek krzywdę. „Ale ten tygrys”. I on zna Pankaja. I wie o Wyjcach. Ale jeżeli jest jednym z nich, dlaczego jeszcze nie zatrzasnął swojej pułapki? Dlaczego nie oddał mnie Pankajowi, kiedy byliśmy na jego terenie?

Nie wiedziałam. Ale jeśli ucieknę, nigdy się nie dowiem.

– Oczywiście – odrzekłam.

Ostentacyjnie popatrzyłam gniewnie w stronę Shrutiego i weszłam po schodkach do przyczepy.

– Ja... ee... – zaczął mówić Rushil, ale wtedy zobaczyłam, czym się przed chwilą zajmował i dlaczego nie otworzył od razu, kiedy pukałam.

Wnętrze przyczepy było czyste. A raczej nie czyste, ale mocno wysprzątane. Łóżko zasłane, kubki umyte i wiszące na hakach nad piecem, a wszystkie świstki papieru i metalowe rupiecie ułożone w pojemnikach. Rushil nawet wytarł stół ze wszystkich lepkich plam. Ściągnęłam brwi. Nie pojmowałam, jak to się może wiązać z intrygą mającą na celu przekazanie Miyole i mnie Wyjcom.

– Wcześniej rzadko ktoś u mnie bywał – powiedział.

Spuścił wzrok na cienki wytarty dywan. Nadal leżało tam sporo okruchów i piasku, ale teraz mogłam dostrzec wzór na jego obwodzie: wyblakłe niebieskie słońce, każdy spleciony nosem z ogonem poprzednika.

– Ładnie tu – powiedziałam, okręcając się w miejscu.

Rushil wydał westchnienie ulgi.

– Podoba ci się?

– Tak – potwierdziłam.

Weszłam do kuchni. Piec nadal pokrywała warstwa lepkiego tłuszczu, ale Rushil wytarł blaty na tyle, by móc ich używać.

– Jesteś głodna? – Podniósł worek ryżu. – Zamierzałem przyrządzić kolację.

– Tak – odpowiedziałam, krzyżując ramiona na piersi.

– Świetnie. – Napełnił garnek wodą z dzbanka i postawił z hukiem na piecu, nie zauważając chłodu w moim głosie. – Gdzie Miyole? Znalazłaś dla niej palnik?

Zesztywniałam, a potem skinęłam głową. Co ma znaczyć to wypytywanie o Miyole? Kolejne udawanie uprzejmości i fałszywej troski? Usypianie mojej czujności, żebym poczuła się bezpieczna? Pożałowałam, że w ogóle pokazałam mu jej metaloplastykę.

– Szkoda, że nie potrafisz wykonywać takich przedmiotów jak ona – rzekł Rushil, mieszając ryż w garnku. – Umiem tylko składać z powrotem do kupy rzeczy wytworzone przez innych ludzi.

Przyglądałam się, jak jego mięśnie napinają się pod spraną koszulą w kratę. Gdy mieszał w garnku, spod rękawa wystawał ogon tygrysa wytatuowanego na ramieniu. Tak, widać go było wyraźnie. Może Shruti ma rację. Czyż to wszystko – gotowanie, pomoc przy naprawie statku, zdobycie dla mnie pozwolenia na pracę – nie jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe? Uchwyciłam się kurczowo blatu za sobą. Nikt nie robiłby tego dla mnie, nie za darmo.

– Myślisz, że mogłaby wykonać dla mnie jedną figurkę? – zapytał Rushil. – To znaczy oczywiście zapłaciłbym...

– Dlaczego jesteś taki uprzejmy? – wyrwało mi się. – Dlaczego robisz to wszystko dla mnie i Miyole?

Podniósł na mnie wzrok.

– Ja... – Potarł kark. – O co ci chodzi?

– Musisz chcieć czegoś. Shruti tak powiedział.

– Shruti – powtórzył i z trzaskiem nakrył garnek przykrywką.

– Czy on ma rację?

– Avo...

– Czy ma rację?

Rushil stał zaledwie krok ode mnie w ciasnej kuchni.

– Nie chcę „czegoś” – rzekł. – Chcę ciebie.

Moje serce znowu przyśpieszyło szaleńczo. „Uciekaj, walcz, uciekaj, walcz”. A więc Shruti miał rację. Wszystkie te uprzejmość i zrozumienie były tylko na pokaz.

Rushil spostrzegł wyraz mojej twarzy.

– Ale to nie... Ja mam na myśli tylko... *Chaila*...

Odwrócił wzrok i walnął pięścią w ladę tak mocno, że zagrzechotały kubki na hakach.

– A co z tym? – Wskazałam ruchem głowy jego prawe ramię. – Z tym tatuażem, który starasz się przede mną ukryć. Shruti powiedział mi, co oznacza.

Ręka Rushila poderwała się, by zasłonić tatuaż.

– Chodzi ci o to?

– Właśnie. – Skrzyżowałam ramiona. – Sądziłeś, że się nie domyślę? Że będziesz mógł stale to przede mną ukrywać?

Twarz mu zszarzała.

– To było dawno temu, Avo.

– A więc już nie zaprzeczasz?

– Nigdy nie zaprzeczałem – zaprotestował. – Nie pytałaś o to.

– Zapytałam, skąd znasz Pankaja – odparowałam.

Rushil milczał. Wbił wzrok w podłogę między nami.

Potrząsnęłam głową.

– Okłamałeś mnie.

– Ponieważ wiedziałem, że mnie znienawidzisz, jeśli się dowiesz!

– Jego głos wzniosł się gwałtownie, a potem załamał. Rushil odchrząknął i zaczął jeszcze raz, spokojniej: – Pomyślałem, że jeśli będziesz miała trochę czasu, by najpierw lepiej mnie poznać... Od lat nie jestem z nimi związany.

Złagodniałam, ale tylko odrobinę.

– Gdybyś od razu mi powiedział...

Przeciągnął dłonią po twarzy i odwrócił wzrok.

– Przepraszam.

Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale zrezygnował.

Wsparł się rękami o blat i zwiesił głowę.

Ryż w garnku zaczął kipieć.

– Zrozumiem, jeśli postanowisz odejść. – Rushil mówił, spoglądając w dół na małe buteleczki z olejem do smażenia i przyprawami, stojące rzędem obok pieca. – Nie jesteś mi nic dłużna. Zresztą przypuszczalnie masz już dość pieniędzy, by zadokować statek w jakimś miłszym miejscu.

Przyjrzałam mu się nieufnie. Czy na jego miejscu usiłowałabym utrzymać tę sprawę w tajemnicy? Przecież ja nie powiedziałam mu o Lucku, o moim własnym wstydzie. A skoro Rushil tak po prostu kasuje mój dług, Shruti myli się co do jego planów wobec mnie. Czy na nas obojgu już zawsze będą ciążyć nasze błędy? Czy nie zdołamy ich nigdy przewyciężyć? Wyciągnęłam drżącą rękę i położyłam na jego ramieniu.

– Rushil...

Odwrócił się do mnie. Zanim zdążyłam wciągnąć oddech, jego wargi były na moich i brzeg blatu wbił mi się w plecy, gdy Rushil przywarł do mnie. Przez chwilę moje usta działały bez mojej woli, poddając się jego pocałunkowi, jak poddałyby się pocałunkowi Lucka. Szorstka dłoń Rushila musnęła mój policzek. A potem przypomniałam sobie, gdzie jestem i z kim. Kim on jest.

– Rushil – spróbowałam powiedzieć. Nasze zęby otarły się o siebie. Odwróciłam głowę. – Rushil, przestań.

Cofnął się. Spoglądaliśmy na siebie, oddychając ciężko.

– Avo, przepraszam. Myślałem...

Ale nie dałam mu dokończyć. Zataczając się, wybiegłam z przyczepy w gorącą ciemną noc. „Byłam głupia. Dziecinna i głupia. Ufając Rushilowi, myśląc, że niczego ode mnie nie chce...”. Przebiegłam jak burza obok słupu, wzbijając kłęby pyłu, i zniknęłam między cichymi statkami i stertami odzyskanych części. „Właśnie tego chcą oni wszyscy”. Nagle naszła mnie myśl: „A Luck? Czy jemu też chodziło tylko o to? Czy jestem aż tak naiwna i łatwowierna? Czy on w ogóle kiedykolwiek mnie kochał?”.

Pobiegłam dalej, obok jachtów cumujących na jeden dzień i wybebeszonych promów pochylonych w mrocznym cieniu. Zostawiłam z tyłu za sobą światła ogrodzenia. Okrążyłam paletę z płytami pancerza i niewielką piramidę beczek. Omijając w ostatniej chwili bezładny stos prętów zbrojeniowych, skręciłam w lewo i wskoczyłam na stertę ścinków gumy. Zaczęłam niezdarnie z niej schodzić. Potknęłam się o porzucony pneumatyczny wysięgnik, upadłam do przodu i runęłam w dół. Uderzyłam o zbitą ziemię tak mocno, że wydusiło mi powietrze z płuc.

Leżałam bezwładnie w pyłe, aż odzyskałam oddech. Po chwili

usiadłam. Moje kolano było pokryte czymś wilgotnym i ciemnym, ale poza tym nie ucierpiałam. Brzęcząca pomarańczowa lampa rzuciła wyraźny cień ogrodzenia. Poza jej elektrycznym buczeniem dobiegał cichszy miarowy szmer płynącej wody. Musiałam być na zachodnim krańcu stoczni, w pobliżu miejsca, gdzie Salt przecina jedna z licznych rzek Mumbaju.

Dokuśtykałam do płotu. Poniżej wolno płynęła rzeka, w jej czarnej wodzie odbijały się światła ulicznych latarni i pobliskich domów. Na drugim brzegu jarzyło się miasto, zmieniając niebo w pasmo o barwie zmatowiałej lawendy, a ziemię w pole usiane gęsto gwiazdami elektrycznych świateł.

W moim polu widzenia pojawił się jakiś migotliwy pomarańczowy błysk. Spojrzałam w dół i zobaczyłam ogarek świecy w papierowej łódce płynącej po rzece. Z zapartym tchem przyglądałam się, jak żegluje samotnie i pewnie, niesiona powolnym rzeczonym prądem. Po chwili z za łagodnego zakola wyłonił się następny płomyk, a potem kolejne, aż rzekę rozjaśniła flota maleńkich kruchych łódeczek przewożących swoje ogniki przez wodę.

– To żeby pamiętać o śmierci – zabrzmiał w mroku za mną głos Rushila.

Zacisnęłam dłoń na rękojeści noża Perpétue i poluzowałam go za pasem. Nie pozwolę, by Rushil znowu mnie dotknął.

Staął obok mnie i spojrzał w dół na światełka.

– Ludzie idą w górę rzeki i zapalają je. Jedno dla każdego zmarłego bliskiego.

W blasku świeczek bruzdy wokół jego ust wydawały się głębsze. Nie zrobił żadnego ruchu świadczącego, że zamierza przysunąć się bliżej. Czego ode mnie chce? Powiedział, że niczego, ale potem mnie pocałował, a to może oznaczać tylko, że oczekuje czegoś więcej. Tak? Żałowałam, że nie ma tu Perpétue. Mogłabym ją zapytać, co on zamierza i co to wszystko znaczy. Dotknęłam palcem wytartej rękojeści noża. Przecież nie chciałam, żeby Rushil mnie pocałował, prawda?

– Przepraszam, Avo. Ja nigdy... – Przeczesał dłonią włosy. –

Chaila.

W pamięci przemknął mi widok obandażowanych rąk Miyole.

Rushila słuchającego moich opowieści z pracy o urzędnikach pijących herbatę. Siedzącego ze mną przed domem Pankaja. Ściskającego moją dłoń w kokpicie słupu. Puściłam rękojeść noża i spojrzałam na Rushila.

– Naprawdę, Avo. Kiedy mnie dotknęłaś, ja... pomyślałem, że może tego chcesz. Inaczej nigdy bym...

Pragnęłam mu uwierzyć, ale moje serce stwardniało. Potrzebowałam prawdy. Będę twarda, jak Perpétue, a nie jak jakieś łagode dziewczątko.

– Czego ode mnie chcesz, Rushil? Powiedz mi szczerze.

Otworzył usta, zaskoczony.

– Niczego. Ja...

– Daj spokój. – Podeszłam do niego. Czułam się ciężka, otępiała, zatruta wszystkim, co spotkało mnie, co spotkało Miyole. – Nie jestem jakimś naiwnym niewiniątkiem. Jeśli chodzi ci o to, o czym mówi Shruti, przynajmniej powiedz mi to prosto w oczy.

– Nie, ja nie...

– Więc dlaczego przez cały czas jesteś wobec mnie taki miły i uprzejmy? Dlaczego przyrządzasz dla nas jedzenie? Pomagasz mi naprawiać statek? – Podeszłam jeszcze bliżej. Moja głowa sięgała mu zaledwie do podbródka, ale się cofnął. – Dlaczego Wyjec Marathi miałby robić to wszystko z dobroci serca?

– Powiedziałem ci, już do nich nie należę.

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

– I to twoim zdaniem ma wszystko naprawić?

Popatrzył na rzekę.

– Nie. Ale oznacza, że nigdy bym cię nie skrzywdził. – Opuścił bezwładnie ręce. – Chcę, żebyś mi uwierzyła. Nie zadaję się z nimi od pięciu lat. Odkąd przestałem być głupim szczeniakiem. Odkąd zamiast nich mam tę stocznię. Ale to stale mnie prześladowuje.

– Więc dlaczego mnie pocałowałaś?

– Bo... – zamknął oczy – lubię cię, Avo.

Oparłam się o płot. Światelka na rzece już prawie zniknęły w oddali.

– Och.

– Pomyślałem, że może ty też mnie lubisz – dodał. – Przepraszam.

Nie próbowałem zmusić cię do...

– Och – westchnęłam ponownie.

Popatrzyłam w świetle lamp ogrodzenia na moje brudne połamane paznokcie. Coś wilgotnego stoczyło się po moim policzku. Podniosłam rękę i wytarłam to.

Odchrząknęłam i skupiłam się na wydłubywaniu brudu z za paznokci.

– Kiedy dorastałam, moje modrie powiedziały mi, że kobieta całuje w życiu tylko mężczyznę, któremu oddano ją za żonę.

„A oto ja pocałowałam już dwóch mężczyzn i nie poślubiłam żadnego z nich”.

Rushil szeroko otworzył oczy.

– Nigdy nie zamierzałem... Tutaj u nas pocałunek to tylko coś, co się robi, by dać komuś poznać, że się go lubi.

Zacisnęłam pięść tak mocno, że paznokcie wbiły mi się w dłoń.

– Wierzę ci.

Rushil usiadł obok mnie na ziemi.

– Myślisz, że też mogłabyś mnie polubić? – spytał.

To pragnienie było na jego twarzy tak wyraźne, że aż bolesne.

– Nie wiem – odrzekłam.

Wyciągnęłam rękę i zahaczyłam palec o pęknięte ogniwo siatki u dołu ogrodzenia. „Luck, Luck”. Czułam ukłucie w sercu przy każdym jego uderzeniu. Jak mogłabym kiedykolwiek pokochać kogoś, kto nie jest Luckiem? To wydawało się zdradą, nawet jeśli wiedziałam, że mogę nie znaleźć go w Khajjiar, że on może już nie żyć.

– M-może, ale... – zająknęłam się.

Lecz to było zbyt wiele. Nie potrafiłam dokończyć tego zdania, nawet o nim myśleć. Odwróciłam się i ukryłam twarz w dłoniach. Nie mogłam pozwolić, żeby Rushil zobaczył, jak zalewam się łzami. Nie mogłam pozwolić, żeby zobaczył mnie słabą. Przygryzłam język, aby nie załkać.

– Ava. – Przynął się do mnie bliżej. Jego dłoń musnęła włosy nad moim uchem. Starłam się za wszelką cenę nie poddać się temu dotknięciu. – Wybacz mi. Cokolwiek cię spotkało, cokolwiek złego ludzie wyrządzili ci wcześniej, ja nie zamierzam niczego takiego.

Przysięgam. Czy pozwolisz mi tego dowieść?

Usiadłam, wciąż zakrywając dłońmi twarz.

– Pozwól, żebym dzisiejszego wieczoru przyrządził dla ciebie kolację – mówił dalej Rushil. – Nie musisz nawet jeść jej ze mną. Nie musisz dawać mi niczego ani robić niczego, czego nie chcesz. Proszę tylko, pozwól mi znowu być twoim przyjacielem. Chcę, żeby między nami było jak dotychczas, nic więcej.

Usiadłam wyprostowana i mocno potarłam nadgarstkami oczy.

– Dobrze – powiedziałam.

Wróciłam do doku z dwunastogodzinnej zmiany w firmie Powell-Gupta i zastałam słup pusty. Ogarnął mnie paniczny lęk. Pobiegałam do przyczepy Rushila i walnęłam w drzwi.

– Miyole! – Uderzyłam jeszcze raz. – Rushil!

Gdzieś zza przyczepy zaszczekał Pala.

– Avo! – dobiegło mnie stłumione wołanie Rushila. – Jesteśmy tutaj.

Obeszłam przyczepę od tyłu i znalazłam Miyole i Rushila pośrodku niewielkiego ogrodu, którego nigdy dotąd nie zauważyłam. Siedzieli pochyleni nad starym drewnianym kołowrotem do wybierania wody odwróconym na bok. Za tym prowizorycznym stołem pnącza ogórków pięły się po skleconej kratce. Między Miyole i Rushilem leżała kupka złomu, a dziewczynka trzymała palnik, który dla niej naprawiłam.

– Musisz to robić powoli – powiedziała. Podniosła kawałek metalu ku Rushilowi, żeby lepiej go widział, i przesunęła nad jego powierzchnią rozżarzony do białości koniuszek palnika. – W taki sposób.

– Aha, rozumiem – odrzekł Rushil. Spozrzegł mnie i usiadł prosto. – Cześć, Avo. – Uśmiechnął się. – Miyole uczy mnie posługiwać się palnikiem do metalu.

Przykuśtykał Pala i machnął ogonem w moją nogę. Z roztargnieniem poklepałam go po grzbiecie.

– Robię ważkę – oznajmiła Miyole. W zamyśleniu przygryzła wewnętrzną część wargi i przez mgnienie oka wyglądała jak jej matka. Spojrzała na mnie. – Czy ty też chcesz się nauczyć używać palnika?

Zalała mnie ulga. Miyole wyszła ze słupu. Znowu robi swoje figurki. „Dzięki, Miłosierne”.

– Popatrzę – powiedziałam.

Oparłam się o bok przyczepy, żeby móc zaglądać Miyole przez ramię. Uformowała już z grubsza kształt ważki i teraz wycinała misterny wzór we wnętrzu skrzydeł. Metal mienił się odcieniami turkusowego i różu.

– Och – westchnęłam. – Miyole, to takie piękne.

Odwróciła głowę ku mnie i przyjrzała mi się badawczo, jakby nie była pewna, czy ma mi uwierzyć.

– Naprawdę – zapewniłam ją.

Uścisnęłam jej ramię i zamrugalam, powstrzymując łzy. Nie chciałam zaniepokoić Miyole płaczem.

Rushil odchrząknął i wstał.

– Czy ktoś chce herbatę? Miyole?

– Tak – rzekła.

Przysunął swoje krzesło.

– Ava?

– Ja też poproszę.

Otworzył niewielkie drzwi z boku przyczepy, których wcześniej nie zauważyłam, i wszedł do kuchni. Miyole znowu ujęła palnik.

Oparłam się o framugę drzwi i patrzyłam, jak Rushil stawia czajnik na płycie piecyka.

– Nakłoniłeś ją, żeby zaczęła rozmawiać.

– No tak – przyznał, wsypując suche listki herbaty do starego mosiężnego dzbanka.

– Dziękuję.

Rzucił mi spojrzenie i wzruszył ramionami.

– To nic takiego.

– Ja tego nie potrafiłam.

Popatrzyłam przez ramię za siebie. Miyole, w skupieniu marszcząc brwi, wycinała oczy ważki. Pala ułożył się pod jej krzesłem i dziewczynka, pracując, głaskała go stopą po grzbiecie.

– No cóż – rzekł Rushil – muszę umieć rozmawiać z dziećmi, jeśli zamierzam zostać ich doradcą.

Zaskoczona uniosłam brwi.

– Doradcą?

Rushil spochmurniał. Spuścił głowę, wbił wzrok w trzymane w rękach kubki i powiedział:

– No tak. Dzieciaków, które są... takie jak ja. Jaki byłem. Które chcą wyrwać się od Wycjów i im podobnych gangów.

Weszłam do kuchni.

– Naprawdę? – spytałam.

Nie byłam pewna, czym dokładnie zajmuje się taki doradca, i nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć.

Dotknął tygrysa wytatuowanego na ramieniu.

– Miałem trzynaście lat, kiedy się tego dorobiłem. Kilka miesięcy później złapano mnie, gdy dostarczałem heroinę dilerowi działającemu w pobliżu hoteli, i wysłano na południe do obozu dla młodocianych przestępców. – Wzruszył ramionami. – Spędziłem tam trzy lata, zanim odesłano mnie z powrotem do mojego wuja.

Odwróciłam wzrok.

– Przykro mi.

Zagotowała się woda w czajniku, który zaczął żałośnie gwizdać.

– Nie musisz mi współczuć – powiedział Rushil i zdjął czajnik z ognia. – Spotkałem tam doradcę, który był w gangu Kere Haavu, zanim wszedł na uczciwą drogę. Namówił mnie, żebym podczas pobytu w obozie się uczył, skończył szkołę. Teraz ja chcę spróbować robić to samo.

Umilkliśmy. Pomyślałam, jak bardzo Rushil był spięty i przygnębiony podczas naszej wizyty u Pankaja i jak wszystko to minęło, gdy tylko stamtąd wyszliśmy. Nie chciał do niego iść, ale jednak mnie tam zabrał. Nie chciał tam iść, ale to był jedyny sposób znalezienia dla mnie legalnej pracy, która uchroni mnie przed mężczyznami takimi jak Pankaj i chłopakami, jakim był kiedyś Rushil.

Patrzyłam, jak nalał herbatę i zaniósł tacę Miyole. Udał, że zamierza wrzucić do jej kubka całą zawartość cukiernicy, i w ostatniej chwili cofnął rękę. Dziewczynka zachichotała i usiłowała dosięgnąć cukiernicy, którą trzymał wysoko nad jej głową. Przyglądałam się im, widziałam Miyole śmiejącą się naprawdę po raz pierwszy, odkąd przebiliśmy pokrywę burzowych chmur nad Gyre.

Rushil podniósł na mnie wzrok. W tym momencie uświadomiłam sobie, że ja też się uśmiecham, i zakryłam usta dłonią.

Rushil zapukał delikatnie w kadłub słupa. Odłożyłam jedną ze starych papierowych książek, na których ćwiczę się w czytaniu, i jak najciszej wygramoliłam się z koi.

– Ona śpi – szepnęłam.

– Przepraszam – rzekł cicho Rushil i umilkł, jakby nie był pewien, co dalej powiedzieć.

Odeszliśmy od statku, żeby nie musieć nadal szeptać.

– O co chodzi? – spytałam.

– Zamierzałem wybrać się dziś wieczorem do Filmów Dźwiękowych TaTa – powiedział, nie patrząc na mnie, tylko na swoje stopy. – Pomyślałem, że może... Czy chciałabyś pójść ze mną?

– Co to są te dźwiękowe...?

– To dawne kino przy nadmorskich wałach. Z czasów kiedy Mumbai był filmową stolicą świata. Zachowali pomieszczenie na pierwszym piętrze urządzone jak zabytkowa sala kinowa, z projektorem światła i wszystkim innym. Na pokazie o północy są zawsze tłumy. Zaczekaj. – Wyjął z kieszeni swoją mandarynę. – Dziś jest nocny Maraton Musicali. Chcesz pójść?

– Ja... ee... – Zawahałam się. Nie chciałam się przyznać Rushilowi, że właściwie nie mam pojęcia, co to jest maraton czy musical. – Nie mam pieniędzy.

To była prawda. Dlaczego miałabym wydawać na muzykę tę drogocenną drobną sumę, jaką zarobiłam?

– Pracuje tam mój przyjaciel Ankur – oznajmił Rushil. – Może nas wpuścić za darmo.

– Ale Miyole... – zaczęłam i obejrzałam się na słup.

– Będzie bezpieczna – powiedział. – Możesz zamknąć statek, a ja włączę alarm przy bramie.

Zacisnęłam usta i zastanowiłam się. Widywałam małodziejczynki i chłopców mocno młodszych od Miyole, jak całymi dniami biegają sami po ulicach, a ona będzie bezpiecznie zamknięta. Nawet gdyby włamali się tutaj rabusie statków, nasz słup z wypalonym silnikiem i brakującymi płytami pancerza byłby ostatnim, na który zwróciliby uwagę. Zapragnęłam być tak beztroska, jaki wydawał się teraz Rushil. Choćby przez jeden wieczór.

– No, dalej. – Rushil z uśmiechem szturchnął mnie żartobliwie w ramię. – Należy ci się trochę rozrywki. Miyole nic się nie stanie. Poza tym oglądanie musicali samotnie to żadna frajda.

Przygryzłam wargę i znowu popatrzyłam za siebie na słup.

– Jak długo nas tu nie będzie?

– Dwie godziny – odrzekł. – Może trzy.

Codziennie wychodzę do pracy na mocno dłużej. Zresztą Miyole

śpi. Nawet się nie dowie, że wyszłam.

– Dobrze – powiedziałam z niepewnym uśmiechem. – Chyba pójdę.

Nagryzmołam na kartce, że niedługo wrócę, na wypadek gdyby Miyole się obudziła. Chwyciłam kurtkę Perpétue. Było za gorąco, żeby ją włożyć, ale czułam się lepiej, mając ją przy sobie, choćby tylko zarzuconą na ramię.

Poszliśmy na stację Sion i stamtąd przejechaliśmy pociągiem przez całe śródmieście. Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu olbrzymich nadmorskich wałów w zachodniej części miasta, pomiędzy sąsiednimi domami zaśnił rozległy biały budynek z kopułą zakończoną iglicą. Nad jego dachem, na tle gigantycznej pustej ściany wałów jarzył się szyld z milionów maleńkich lampek: FILMY DŹWIĘKOWE TATA. Popatrzyłam obok niego na okrągłe domy skupione ciasno na szczycie muru wałów. Wyglądały jak migotliwe latarnie unoszące się na nocnym niebie.

– Chodź, to nasz przystanek – powiedział Rushil i pociągnął mnie za rękaw w kierunku drzwi wagonu.

Podeszliśmy do frontowych schodów budynku. Przystanąłam przed tryskającym z niego potokiem światła i przyjrzałam się ludziom wlewającym się tłumnie do środka. Ich błyszczące koszule bez rękawów, luźne spodnie i cienkie niczym pajęczyny szarfy odbijały jaskrawy blask padający z holu. Wchodzili z wdziękiem po stopniach schodów w wygodnych, dopasowanych pantoflach i sandałach. Poczułam się przy nich niezgrabna i obdarta w moich ciężkich butach, wyblakłej bawełnianej koszuli zapinanej na guziki i połatanych spodniach z Gyre. Oprócz mojego uniformu z pracy miałam tylko to jedno ubranie i nie wyprałam go już od trzech dni.

Odwróciłam się do Rushila.

– Może to był błąd?

– Co się stało? – zapytał.

– Nie... nie wiem. Ja... chyba tu nie pasuję – powiedziałam i pokazałam gestem rąk na siebie, na moje ubranie, na splątane, nierówno obcięte włosy.

– Nikt nie zwróci na to uwagi. Poza tym nie wejdziemy tędy –

rzekł, wskazując głową jaskrawo oświetlone frontowe drzwi.

– Nie? – spytałam, marszcząc brwi.

– Nie – potwierdził z szerokim uśmiechem. – Ankur da nam swoją zniżkę pracowniczą.

Ominęliśmy tłum i poszliśmy aleją wzdłuż lewej strony budynku. W górę ściany biegły zygzakiem metalowe schody pożarowe.

Zwolniłam kroku.

– Mamy tam wejść?

Ale Rushil już wbiegał z tupotem po stopniach. Cały ciąg schodów zakołysał się lekko, jakby przestały już być solidnie przymocowane do budynku.

– Rushil! – zawołałam najciszej, jak potrafiłam. Weszłam po kilku pierwszych stopniach i poczułam, że zachybotwały pod moim ciężarem. – Rushil!

– Chodź! – krzyknął do mnie w dół ze szczytu schodów. – Nie bój się. Wchodziłem tędy milion razy.

Przełknęłam nerwowo ślinę i zaczęłam ostrożnie wchodzić po schodach. Trzęsły się i kołysały, ale dotarłam do szczytu.

– Widzisz? – rzekł Rushil. – To nic takiego.

Zerknęłam przez popękane drzwi na korytarz rzęsiście oświetlony dziesiątkami żyrandoli ozdobionych szklanymi koralikami. Tłum napływał powoli od strony głównych schodów, wypełniając tę ciasną przestrzeń cichym gwarem podekscytowanych szeptów.

– Może powinniśmy wrócić? – powiedziałam niepewnie.

– Tam w środku jest ciemno. – Rushil wychylił się nad moim ramieniem i przyjrzał się tłumowi. – Nikt nie zwróci na nas uwagi.

Przytknęłam oko do szczeliny w drzwiach i znowu popatrzyłam na ciżbę ludzi. Może on ma rację. Może w półmroku nie wydam się tak bardzo nie na miejscu, gdy wszyscy będą skupieni na musicalu.

– Tak jest – rzekłam, a potem poprawiłam się: – To znaczy dobrze.

Chciałam już otworzyć drzwi, lecz Rushil powstrzymał mnie, szarpiąc za rękę.

– Dlaczego to robisz? – rzucił.

– Co robię?

– Przymuszasz się, żeby mówić po naszymu. Nie ma niczego złego

w tym, jak to powiedziałaś. To jest *atranji*.

– Co takiego?

Zmarszczył brwi i popatrzył na wał, szukając odpowiednich słów. Blask jarzącego się szyldu i wszystkich świateł Mumbaju nadawał niebu mdły stalowoszary odcień.

– To jakby... no, dziwne, ale właściwie nie to mam na myśli – powiedział.

– Dzięki! – parsknęłam.

– Nie, to znaczy... – urwał i westchnął z frustracji. – Zadziwiające. O, właśnie o to mi chodziło.

Uśmiechnęłam się lekko. „Zadziwiające”.

– Tak jest? – rzuciłam.

– Tak jest – powiedział i nie potrafiłam powstrzymać śmiechu z tego, jak zabawnie zabrzmiał w jego ustach ten zwrot używany przez moją załogę.

Wślizgnęliśmy się przez drzwi i dołączyliśmy do kolejki posuwającej się wolno korytarzem. Przez tłum przeciskali się czajarze oraz przekupnie, którzy sprzedawali ciemne piwo i sok. Podawali szklanki z tac zawieszonych na szyjach i skanowali zapłaty z mandaryn klientów.

W końcu przebiliśmy się do wąskiej sali z nachyloną podłogą, sklepionym sufitem i wieloma rzędami wyściełanych krzeseł wznoszącymi się ku tylnej ścianie.

– Tam u szczytu – powiedział Rushil, wskazując na czarne drzwi za ostatnim rzędem.

Gdy wchodziliśmy, w półmroku ledwie widziałam swoje stopy, chociaż nad nami wisiał olbrzymi żyrandol, ojciec tych małych w korytarzu. Kiedy dotarliśmy do drzwi, obejrzałam się i zobaczyłam biały kwadrat zajmujący całą przednią ścianę sali. Ekran elektroniczny? Ale nie, one, gdy wyłączone, są szarawe, a ten był jaskrawobiały, chociaż bez śladu połysku. Wszystkie krzesła były zwrócone w jego kierunku. Salę z wolna wypełniał tłum ludzi, a ich podekscytowane szepty przyprawiały mnie o miły dreszczyk.

Czarne drzwi otworzyły się nagle.

– Cześć, stary.

Drgnęłam i podniosłam wzrok. W drzwiach stanął przystojny chłopak o ciemnej skórze, olśniewająco białych równych zębach i gładko zaczesanych włosach.

– Wchodźcie, wchodźcie – powiedział, zachęcając nas machnięciem ręki.

Podążyliśmy za nim. Znaleźliśmy się w niskim pomieszczeniu pełnym jakichś urządzeń i półek z małymi metalowymi cylindrami. Drugi koniec długiego pomieszczenia nikał w mroku.

Rushil uśmiechnął się szeroko, przybił piątkę z chłopakiem, a potem udał, że chce go szturchnąć w żebra.

– Cześć, Ankur. Dzięki, że nas wpuściłeś.

– Nie ma sprawy. Bai też tu jest. – Ankur machnął ręką w kierunku tłumu. – Później idziemy do Zarine. Chodź z nami, nadrobisz zaległości towarzyskie.

Rushil zerknął do tyłu na mnie.

– Może. Nie wiem.

Ankur dopiero teraz zwrócił na mnie uwagę.

– Och, cześć. Jesteś dziewczyną Rushila?

– Ja... nie... – zaczęłam.

Jednocześnie Rushil powiedział:

– Nie. To po prostu przyjaciółka.

– W porządku. – Ankur uniósł ręce w geście udawanego poddania się. – *Chaila*.

Rushil rzucił na mnie zaniepokojone spojrzenie i skrzywił się, jakby chciał powiedzieć: „Przepraszam”.

– Ava jest tu od niedawna – rzekł. – Pokazuję jej miasto.

– Jestem Ankur – powiedział chłopak, wyciągając do mnie rękę.

Kiedy ją ujęłam, uniósł moją dłoń do ust. – Powiedz Rushilowi, żeby cię nie ukrywał, hę? Zawsze chowa te ładne dla siebie.

Poczułam na twarzy gorący rumieniec. Pochyliłam głowę, usiłując skryć się za moimi włosami.

– Skończ ze swoimi *bhankas*, stary – rzekł Rushil i wymownie przewrócił do mnie oczami. – Nie przejmuj się nim. Czuje się w obowiązku flirtować z każdą dziewczyną.

Ankur znowu klepnął go w ramię.

– Muszę zacząć pokaz. Kłapnijcie, gdzie chcecie.

Wróciliśmy do sali i znaleźliśmy wolne miejsca w ostatnim rzędzie. Rozejrzałam się, nadal spięta, ale nikt mi się nie przyglądał.

– Skąd się dowiedziałeś o tym miejscu? – szepnęłam do Rushila.

– Ankur i ja pracowaliśmy tu dawniej razem, sprzedając napoje, po tym jak ja... ee... po tym, jak wyszedłem. On teraz kieruje całą nocną zmianą.

W tym momencie żyrandol ściemniał. Z tylnej ściany trysnął snop światła i pusty kwadrat przed nami eksplodował tumanem barw i wirujących świetlnych rozbłysków. Z sufitu nieoczekiwanie zagrzmiała muzyka, gwałtowna i potężna jak mosiądz, pełna bębnów i rogów, a na ekran wyskoczyło jedno długie słowo, w którym rozpoznałam alfabet hindi. Do instrumentów dołączył kobiecy głos i w tej samej chwili ta kobieta wbiegła tanecznym krokiem w pole widzenia i pomknęła w rytm muzyki po literach – bapa-bapa-bapa-bapa. Kiedy dotarła do końca słowa, pojawił się mężczyzna i chwycił ją za rękę. Zatańczyli razem, przeskakując przez litery, a potem zeskoczyli do jakiejś restauracji i wylądowali na stoliku. Kucharze, kelnerzy i wszyscy goście siedzący przy stolikach poderwali się i przyłączyli do tańca.

Tego było dla mnie za wiele. Wcześniej widywałam urywki ziarnistych transmisji wideo pomiędzy statkami, a także, już w Mumbaju, migoczące ruchome reklamy na ścianach budynków. Ale w tym tutaj było coś odmiennego. Kolory wydawały się zbyt intensywne i jaskrawe, jakby ożyły postaci z utkanego barwnego gobelinu. Zasłoniłam oczy i oszołomiona pochyliłam się do przodu.

– Dobrze się czujesz? – szepnął Rushil.

Przytaknęłam i usiadłam prosto.

– Chcesz wyjść? – spytał.

Przecząco potrząsnęłam głową. Odchyliłam się do tyłu w fotelu najdalej, jak zdołałam, i znowu spojrzałam na ekran. Teraz ta kobieta siedziała sama przy oknie i obrywała płatki z wściekle pomarańczowego kwiatu, jakie widywałam sprzedawane na targu przy stacji Sion. Wokół oczu miała proszek antymonowy, ale kiedy po jej policzku popłynęła pojedyncza łza, nie pozostawiła za sobą ciemnej smugi. Kobieta znowu zaczęła śpiewać i chociaż nie rozumiałam słów, mogłam się

zorientować, że to piosenka o złamanym sercu. Ale nie zadowolila się wysiadaniem i niszczeniem kwiatów. Gwałtownie otworzyła drzwi rodzinnego domu i wyciągnęła na podwórze siostry i matkę, a potem także służbę, żeby razem z nią zaśpiewali jej ojcu, jaki jest okrutny, że trzyma ją z dala od ukochanego.

– Nic mi nie jest – wyszeptałam. – To tylko... Nie wiedziałam, czego się spodziewać.

Ale teraz to widziałam. To było jak opowieści mojej matki, tylko że z żywymi, mówiącymi ludźmi. Chwytałam trochę słów. Połowę mówiono w hindi, połowę po angielsku. Zorientowałam się, że chodzi o dwie rodziny pary kochanków, które nie pozwalają im się połączyć. Mężczyzna zarabiał na życie jako pilot samolotu pasażerskiego – w wąskim przejściu między rzędami foteli znowu tańczono i śpiewano piosenkę, w której chodziło chyba o to, że jedni pasażerowie chcą kawę, a inni herbatę – ale dziewczyna była spadkobierczynią rodzinnej firmy elektronicznej i rodzice nie chcieli, żeby opuściła dom. Potem było mnóstwo ukrywania się w szafach i śpiewania, ale w końcu się pobrali i kobieta kierowała firmą ze statku powietrznego, i wszyscy – ona, mężczyzna i pasażerowie – na koniec zatańczyli razem radośnie na skrzydłach samolotu.

Złapałam się na tym, że nucę melodię tej piosenki o kawie i herbacie, gdy wymknęliśmy się z kina bocznymi drzwiami i zbiegaliśmy z hurgotem schodami pożarowymi. Rushil przyłączył się do mojego śpiewu, kiwając głową na boki i trzepocząc rzęsami jak ta kobieta z pokazu, i po chwili tak się zaśmiewałam, że nie mogłam dalej śpiewać.

Lekkim krokiem obeszlśmy front budynku, gdy tłum wylewał się z niego i rozpraszał w nocnym mroku. Pognaliśmy promenadą i zatrzymaliśmy się bez tchu przy marmurowym murze z widokiem na jedną ze sztucznych zatok miasta. Woda pluskała w niej poniżej, odgradzona od morza wałem. Ciąg *gaats* prowadził w dół do powierzchni wody, gdzie migotały światła statków wycieczkowych płynących z pasażerami w głąb zatoki. Echo niosło ku nam po wodzie ich głosy i śmiechy.

– To Brama Indii. – Rushil wskazał na olbrzymi kamienny łuk po

drugiej stronie zatoki, oświetlony blaskiem księżyca, a potem na jeszcze wspanialszy budynek za nim. Ta budowla miała czerwone wieże zwieńczone kopułami, narożne pokoje i rzęsiście oświetlone okna. – A to jest Taj.

– Czy to pałac? – zapytałam; kolejne słowo, jakiego nauczyłam się z książek Miyole.

Rushil się zaśmiał.

– Prawie trafiłaś. To hotel.

– Jest piękny – powiedziałam.

Wzdłuż zakola wału lśnił Mumbaj. Czułam się radośniejsza, bardziej beztroska niż kiedykolwiek od... może od zawsze. Wciągnęłam się na mur i pozwoliłam, by oceaniczna bryza lekko rozwiewała mi włosy. Rushil usiadł obok mnie. Spojrzałam w dół na napis wydrapany w kamieniu: VEER + JIHAN NA ZAWSZE. Powiodłam palcem po literach. Uniosłam głowę i zobaczyłam, że Rushil mi się przygląda.

– Czy miałaś kogoś? – zapytał. – Tam, skąd pochodzisz.

Skinęłam głową. Powinnam powiedzieć mu o Lucku, o tym, co zrobiliśmy, i wszystkich kłopotach, jakie z tego wyniknęły. Ale słowa uwięzły mi w gardle. Przełknęłam z wysiłkiem.

– A ty? Czy kiedykolwiek... To znaczy...

Urwałam. Twarz oblał mi gorący rumieniec, gdy pomyślałam o tamtym popołudniu w ciasnej kuchni, o ustach Rushila na moich.

Wzruszył ramionami.

– Raz. Zanim wysłano mnie do obozu, była jedna dziewczyna, Shama. Byliśmy tylko dziećmi, ale... – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się smutno. – Pierwsza dziewczyna, którą pocałowałem. W każdym razie, zanim wróciłem, znalazła sobie kogoś innego. Ma teraz dziecko... – urwał i zapatrzył się w dal na miasto.

– Przykro mi – powiedziałam.

– Wiesz, nic nie można na to poradzić. – Przeniósł spojrzenie w dół na wodę, a potem uniósł głowę i posłał mi nikły uśmiech. – Przynajmniej jesteśmy tutaj.

– Tak – przyznałam.

Zapadła cisza. Znów przesunęłam palcem po imionach wyrytych w kamieniu.

– Dziękuję – powiedziałam, nie podnosząc wzroku. – Za dzisiejszy wieczór.

– Po prostu cieszę się, że udało mi się namówić cię, żebyś choć na chwilę oderwała się od pracy – rzucił kpiąco.

Wzruszyłam ramionami.

– Muszę pracować. Dla Miyole.

– Rozumiem – przytaknął. – Ale powinnaś zatroszczyć się też o siebie.

Popatrzyłam na niego, usiłując dociec sensu tego, co powiedział.

– Co takiego? – zapytał i na jego ustach pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Nic – odparłam i odpowiedziałam mu uśmiechem. – Jestem szczęśliwa, to wszystko. Cieszę się, że tu dziś przyszłam.

– Ja też. – Zeskoczył z muru na chodnik i wyciągnął rękę, by pomóc mi zejść. – Wracajmy do domu.

Dwie przecznice od doku minęła nas duża grupa chłopaków pędzących na pełen gaz. Jeden pchnął Rushila na siatkowe ogrodzenie obok jezdni i zapiał z radości.

Rushil odzyskał równowagę i rzucił:

– Pankaj?

Starszy chłopak odwrócił się i w jego oczach błysnęła złośliwa satysfakcja. Pokazał nam ten sam gest palca, którego Perpétue nauczyła mnie na stacji Bhutto, i pognął dalej w nocną ciemność. Rushil stał bez ruchu, spoglądając za nim.

Ujęłam go za ramię.

– Co on tu robił?

Rushil nie odpowiedział, tylko chwycił mnie za rękę i zmusił do biegu.

– Chodź.

Już w chwili, gdy ujrzeliśmy stocznię, wiedziałam, że dzieje się coś złego. Paliły się wszystkie reflektory, oblewając ogrodzenie światłem jaskrawszym i zimniejszym niż dzienne, a dym zasnuwał powietrze. Sygnał alarmowy rozbrzmiał długim zawodzącym wyciem, urwał się i odezwał ponownie. Ten dźwięk przeniknął mnie do szpiku kości. Wymieniłam spojrzenia z Rushilem.

„Miyole”.

Puściłam jego rękę i rzuciłam się do ogrodzenia. Odcinek w pobliżu bramy był rozerwany. Na szczycie wciąż znajdowały się zwoje drutu kolczastego, ale niżej metalową siatkę przecięto i jej dwie osmalone części wepchnięto do wewnątrz, tworząc wyrwę wystarczająco szeroką, by mógł przez nią przejechać niewielki pojazd. Zatrzymałam się przy niej. W powietrzu unosiła się ostra gryząca woń ozonu i jeszcze jakiś inny, mdląco słodki zapach.

– Miyole! – zawołałam, usiłując przekrzyczeć ryk syreny alarmowej.

Przy przyczepie Rushila leżała na boku metalowa beczka. Wokół niej płonęły małe kałuże jakiejś cieczy. Ogień lizał zewnętrzne deskowanie przyczepy. W górę unosiły się wstrętne gęste kłęby dymu.

– *Chaila!* – zaklął Rushil i podbiegł do płomieni, zrywając z siebie kurtkę.

Pognałam za nim. Poczułam jeszcze mocniejszy mdląco słodki swąd spalenizny. „Miłosierne, proszę, niech ona będzie w slupie. Proszę, niech będzie bezpieczna”. Ściągnęłam koszulę przez głowę i pobiegłam dalej.

Nasz statek wyłonił się z kłębow dymu, wydobyty z mroku rozbłyskiem lamp ogrodzenia, a potem znowu zanurzył się w nocną ciemność. Popędziłam do włazu.

– Miyole! – zawołałam. Alarm wył ogłuszająco. Rąbnęłam pięścią w kadłub slupu i znowu krzyknęłam: – Miyole, to ja, Ava!

Kłapa pozostała szczelnie zamknięta. Obróciłam się szybko, wypatrując Rushila, lecz niczego nie widziałam poprzez dym zasnuwający drózkę do jego przyczepy. Nie powinnam była w żadnym razie zostawić Miyole samej, nawet na kilka godzin. Nie wobec tego, co wiedziałam o Wyjcach i złodziejach. „Miłosierne, proszę, niech ona okaże się bystrzejsza ode mnie. Niech będzie bezpieczna w statku!”.

– Miyole! – spróbowałam ponownie, waląc pięścią w klapę włazu. – To... – Nagle światła przestały błyskać i syrena alarmowa umilkła. W ciszy mój głos rozbrzmiał donośnie, gdy dokończyłam: – ...ja, Ava. Jesteś tam?

Z wnętrza statku dobiegł stłumiony hałas, a potem właz otworzył się ze szczęknięciem. Ujrzałam Miyole przykucniętą przy mechanizmie otwierającym klapę. Miała szeroko rozwarte, przestraszone oczy i ramieniem obejmowała mocno kark Pali.

– Dzięki, Miłosierne! – zawołałam i podbiegłam do niej.

Przywarła do mnie, milcząca i rozdygotana. Ogarnęła mnie bezbrzeżna ulga, a potem poczucie winy. Nie powinnam nigdy zostawić jej samej dla czegoś tak głupiego jak pójście na musical. Co ja sobie myślałam?!

„W ogóle nie myślałaś. Jesteś wciąż taką samą samolubną dziewczyną jak zawsze”.

– Nie mogłam cię znaleźć, Avo – powiedziała cicho Miyole z twarzą wtuloną w moje ramię. – Na zewnątrz byli jacyś ludzie, próbowali dostać się przez bramę, a ja nie mogłam cię znaleźć, więc

zabrałam Palę, wróciłam tutaj, zamknęłam klapę i siedziałam cicho.

– Dobrze zrobiłaś. – Objęłam ją mocniej. – Ogromnie cię przepraszam. Tak się cieszę, że nic ci nie jest.

– Co się stało? – spytała.

Puściła moją szyję i spojrzała na mnie.

– Nie mam pojęcia. Ale Rushil chyba wie.

Powlokłam się ciężko przez kłęby dymu i ostry blask lamp, niosąc Miyole. Pala biegł przed nami. Natknęliśmy się na Rushila. Wykopywał rowek wokół małych kałuż płomieni obok przyczepy, żeby zapobiec rozprzestrzenieniu się ognia. Postawiłam Miyole na ziemi. W pobliżu wyłomu w ogrodzeniu zebrała się garstka ludzi. Dostrzegłam wśród nich Shrutiego. Rozmawiał ze śmiechem z właścicielką doku znajdującego się po drugiej stronie drogi. Przypuszczalnie nieszczęście ich konkurenta oznaczało zysk dla nich.

Rushil stękając z wysiłku, ustawił prosto beczkę i cofnął się, by się jej przyjrzeć.

– Wygląda na to, że do wysadzenia płotu użyli termitu, ale to tutaj to tylko benzyna. Dała mnóstwo dymu i ognia, lecz nie spowodowała żadnych poważniejszych szkód.

Uniósł głowę i spostrzegł mnie i Miyole, która miała twarz pobrudzoną popiołem tam, gdzie tarła oczy.

– Och, Boże. – Zrobił krok ku nam. – Nic jej nie jest, prawda?

Ruszyłam do niego. Przepęłniały mnie strach i wściekłość.

– Co się stało? – rzuciłam. Pchnęłam go w pierś. – Powiedziałeś, że z nimi skończyłeś. Dlaczego się tu zjawili?

Moja napaść go zaskoczyła. Upadł w kałużę benzyny. Przez jego twarz przemknął wyraz konsternacji, a potem błysk gniewu. Przez mgnienie myślałam, że zerwie się z ziemi i zamierzy na mnie.

– Bo rzeczywiście skończyłem. – Dźwignął się na nogi. – Gdybym nadal z nimi trzymał, czy próbowaliby wysadzić bramę i podpalić mi dom? – rzekł i gwałtownie wskazał ręką na poskręcaną siatkę ogrodzenia.

– Więc dlaczego to zrobili?

Teraz już krzyczałam. Wiedziałam, że to bez sensu, ale nie potrafiłam się powstrzymać.

– Bo chcą, żebym do nich wrócił. – Rushil kopnął metalową beczkę tak mocno, że przewróciła się na ziemię z głuchym dudnieniem. – Próbują mnie zastraszyć, pokazać, co mogą mi zrobić, jeśli się nie zgodzę. *Chaila*.

– I nic mi o tym nie powiedziałaś? – Trzęsłam się ze złości. – Wiedziałaś, że cię prześladowają, i mimo to pozwoliłaś, żebym zostawiła Miyole tutaj samą?

Przeczesał dłońmi włosy powalane sadzą.

– Stale mi grozili, jasne? Ilekroć się na nich natknąłem i przypominali sobie o moim istnieniu, zaczynali na nowo.

Zamilkliśmy. Oboje wiedzieliśmy, że tym razem powodem, dla którego tamci przypomnieli sobie o nim, byłam ja i moja chęć zdobycia zezwolenia na pracę.

Rushil popatrzył na Miyole. Zacisnął zęby i pięści.

– Nic ci nie jest? – zapytał. – Nie skrzywdzili cię, prawda?

– Nie – odpowiedziałam za nią. – Jest tylko wystraszona. Kiedy usłyszała, że tamci nadchodzą, zamknęła się z Palą w slupie.

– Bystry dzieciak – rzekł.

Usiadłam ciężko na schodku przyczepy i wsparłam głowę na rękach. Sama bystrość nie pomoże Miyole. Tu jest zbyt niebezpiecznie. Mogła zginąć, kiedy Wyjce wysadzali bramę. Mogli ją porwać.

Wszystko przez to, że pozwoliłam, by Rushil zabrał mnie na wypad do miasta. Pozwoliłam mu mówić bzdury o tym, że powinnam się trochę zabawić, pomyśleć o sobie, i przez to znowu niemal straciłam Miyole.

– To nie jest dość dobre – powiedziałam

Potrząsnęłam głową. Perpétue się myliła. Nie wystarczy starać się postępować dobrze. Liczy się też ostateczny rezultat.

– Co? – zapytał Rushil.

– To. – Ogarnęłam gestem ręki zadymioną stocznię. – To miejsce nie jest dość dobre. Nie dla niej.

– Avo... – zaczął miękko, błagalnie.

Wstałam.

– To twoja wina – rzekłam głosem ostrym jak drut kolczasty.

Na twarzy Rushila odbiła się rozpacz, ale nie zważałam na to. Chwyciłam Miyole za rękę i poszłyśmy z powrotem do slupu przez

roziewający się dym. Koniec ze słabością. Koniec z czekaniem. Koniec z odwlekaniem decyzji. Muszę zrobić to, co jest najlepsze dla Miyole. Pora stanąć twarzą w twarz z moją modrie.

Kiedy drugi raz zobaczyłam Sorayę, siedziała na niskim murku z pustaków w niewielkim parku pod drugiej stronie ulicy, naprzeciwko uniwersytetu, i jadła lunch. Przez całe popołudnie czaiłam się na pełnym zieleni ocienionym terenie kampusu Kalina, wyczekując odpowiedniego momentu, by z nią porozmawiać. Wcześniej Miyole i ja wślizgnęłyśmy się do mrocznej wnęki z tyłu sali wykładowej, gdy w przedniej części Soraya stała w potoku światła i mówiła o językach angielskim i hindi oraz o tym, jak obecnie splatają się ze sobą. Miała cytrynowożółtą chustę zarzuconą luźno na czarne włosy. Stałyśmy tam, póki mężczyzna w mundurze ochroniarza nie ruszył w naszym kierunku.

Teraz wydawała się jeszcze bardziej realna, gdy strzepywała z rąk okruszki dla gołębi gruchających łagodnie przy jej nogach. Była ubrana w ciemnogrnatowe luźne spodnie o kroju powszechnym w Mumbaju, białe pantofle i białą jedwabną koszulę zapiętą ciasno przy nadgarstkach na szklane guziki. Chusta spływała jej z głowy do tyłu na plecy. Wyglądała nie całkiem tak, jak ją zapamiętałam. Dotąd sądziłam, że będzie się wyraźnie wyróżniać spośród wszystkich, jak niegdyś na „Parastracie”. Jednak tutaj, pomiędzy tymi kobietami z powierzchni w ich papuzio barwnych koszulach, szalach i sari przetykanych złotymi nićmi, mogłaby zniknąć równie łatwo jak gałęzie drzew w górze tworzące jedną gęstą liściastą kopułę.

Miyole i ja siedziałyśmy na kamiennej ławce, częściowo ukrytej za straganem sprzedawcy soku. Pomiedzy nami a Sorayą starzy mężczyźni, pary młodych i matki z niemowlętami odpoczywali pod długimi konarami drzew. Przy murku z pustaków ciasno zbита gromada chudych chłopców kopała piłkę.

Soraya zamknęła z trzaskiem pokrywkę metalowego pojemnika na lunch, sprawdziła, czy butelka z wodą jest mocno zakręcona, i schowała obie te rzeczy do torby. Wstała i wygładziła zagniecenia na nogawkach spodni.

– Zaczekaj tutaj – szepnęłam do Miyole.

Miałam wrażenie, że z trudem wlokę swoje ciało, gdy stawiałam wolno kolejne kroki. Obeszłam stragan sprzedawcy soku i stare

gruzłowate drzewo deszczowe. Z napięcia ledwie mogłam oddychać. Byłam coraz bliżej niej – pięć metrów, potem dwa, wreszcie na wyciągnięcie ręki. Przystanęłam. W twarzy Sorai widać było mocne podobieństwo do mojej matki. Tylko że matka nigdy nie miała pasm srebrzystych włosów. Nie dożyła tego.

Soraya spojrzała w górę na mnie.

– W czym mogę ci pomóc? – Zmarszczyła brwi. – Czy ty byłaś na moim porannym wykładzie? Nie, nie mów mi. Jesteś Pakshi?

„Nie rozpoznała mnie”.

Opanowałam się z trudem. Ależ oczywiście, nie mogła mnie rozpoznać. Na pokładzie „Parastraty” nigdy mnie nie widziała. Modrie Reller się o to postarała. A nawet gdyby mnie wtedy zobaczyła, spodziewałaby się teraz bladej dziewczyny o bursztynowych włosach ubranej w spódnicę, a nie mnie takiej jak obecnie, osoby z powierzchni, o ciemniejszej cerze i w takich butach.

– Nie, czcigodna. – Głos ugrzązł mi w gardle. – Jesteś... jesteś Soraya Hertz?

– Tak – odrzekła.

Przyjrzała mi się podejrzliwie i na wszelki wypadek zarzuciła torbę na ramię.

– Najdoktor? – pytałam dalej, chcąc zyskać absolutną pewność. Jej twarz wykrzywił grymas zaskoczenia.

– Co powiedziałaś?

– Zapytałam... – Popatrzyłam przez ramię na Miyole i nagle poczułam się niepewnie. – Jesteś Soraya Hertz, tak jest? Najdoktor? – Potrząsnęłam głową i poprawiłam się: – Doktor Soraya Hertz?

– Kim jesteś? – spytała wysokim, napiętym głosem.

Rzuciła okiem na nóż Perpétue przy moim pasku, a potem na sprzedawcę soku i na maleństwa bawiące się przy fontannie.

– Jestem... jestem Parastrata Ava, czcigodna naj. Moja matka Ete była twoją siostrą. Jesteś moją rodzoną modrie.

Zdawało się przez chwilę, że popołudnie zawisło nieruchomo wokół nas. Konni i piesi na pobliskiej ulicy. Daleko za drzewami, po drugiej stronie parku rozbrzmiał jakiś trzask i odgłos wiwatów.

– Nie – rzekła Soraya i odwróciła się. – Moja siostra nie żyje.

Nigdy nie miała dzieci.

Wstała, mocno chwyciła torbę i oddaliła się szybkim drobnym krokiem.

– Czcigodna, proszę! – zawołałam i poszłam za nią. – Nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym pójść. Ja...

Natarła na mnie:

– Nie wiem, kim jesteś ani kto cię na to namówił, ale to wstrętne, słyszysz? Nikczemne.

Zatrzymałam się na środku alejki. Ona mi nie uwierzyła. Odeszła pośpiesznie; jej pantofle stukały po kamiennym bruku. Gdybym tylko miała jakiś dowód, gdybym mogła jakoś ją przekonać... Sięgnęłam ręką do szyi. Wisiorek identyfikacyjny, moi przodkowie przedstawieni wiele pokoleń na pokoleniach wstecz. Czułam na skórze ciepły dotyk tego krążka, nadal wiszącego na skórzanym rzemyku.

– Proszę, czcigodna naj – powiedziałam.

Zdjęłam rzemyk przez głowę i pobiegłam za Sorayą. Krążek obrócił się i błysnął w promieniach południowego słońca.

– Wzywam policję, słyszysz? – Uniosła swoją mandarynę. – Mówię serio.

– Czcigodna, błagam. – Wyciągnęłam do niej rękę z wisiorkiem. – Spójrz na to. Nie proszę o nic więcej.

Znieruchomiała w połowie wybierania numeru i uniosła głowę. Zobaczyła krążek. Poczulałam ucisk w gardle.

– Czy to jest...? – zaczęła.

Jej ręka trzymająca mandarynę opadła. Soraya sięgnęła i ujęła w dłoń wisiorek. Jego delikatny zwój obwodów elektrycznych zalsnił w słońcu. Soraya wypuściła powietrze z płuc i powoli, ociężale podniosła wzrok. Spojrzała mi w oczy.

Bawiące się w berka dzieci przebiegły obok nas i pognały między drzewami.

– Jeśli to obejrzysz, czcigodna naj, przekonasz się, że mówię prawdę – powiedziałam. – Musisz tylko spojrzeć. Jedyne o to proszę.

– Nie – rzekła schrypniętym głosem. Szarpnęła chustę owiniętą wokół jej szyi i ramion. – Nie muszę.

Ałasowa tkanina rozchyliła się, odsłaniając wiszący na jej szyi na

srebrnym łańcuszku wisiołek identyfikacyjny bliźniaczo podobny do mojego.

W pełnym ludzi *tapri* panował gwar, ale Soraya znalazła dla nas ciche miejsce przy stoliku wciśniętym między ścianę i okno.

– Chyba cię już widziałam – powiedziała, przyglądając się uważnie mojej twarzy. – Kiedy przybyłam na pokład statku na pogrzeb twojej matki. Widziałam małą czarnowłosą dziewczynkę. Biegałaś z innymi dziećmi, ale nie zwracałam na ciebie uwagi. Powiedziano mi, że Ete nigdy nie miała dzieci, że była przeklęta.

„Przeklęta”. Z wysiłkiem przełknęłam ślinę.

– Ja też cię widziałam. Ale chłopcy dokuczali mi, mówiąc, że jesteś olbrzymką, która przybyła, żeby mnie porwać, więc się schowałam.

Miyole spojrzała na mnie z zaciekawieniem znad swojego napoju jogurtowego.

Soraya potrząsnęła głową.

– Ale nie rozumiem, dlaczego mnie okłamano co do ciebie.

„Ja rozumiem” – pomyślałam, lecz nie powiedziałam tego głośno. Ludzie z mojej załogi myśleli: Co dobrego przyjdzie z poinformowania o mnie tej zdeprawowanej obcej kobiety, która bruka nasz czysty świat brudnymi śladami Ziemi? Niewątpliwie chcieli, żeby ona wyjechała i żeby wszelkie więzy między nami zostały zerwane.

Soraya uniosła swój wisiołek do światła.

– Ten należał do twojej matki. Iri i twoja prababka Loral dały mi go, kiedy ją pochowaliśmy. – Twarz Sorai zmieniła się nagle, przybrała bolesny wyraz. – Gdybym wiedziała, że miała córkę, nigdy nie zabrałabym tego wisiora.

„Iri”. Odsunęłam moją herbatę, czując nagle mdłości.

Soraya ściągnęła brwi i pochyliła się nad swoją filiżanką.

– A więc, czy jesteś mężatką? – spytała cichym głosem, jakby mówiła do kogoś chorego.

Zacisnęłam dłoń na wisiorze.

– Nie.

Soraya spochmurniała.

– Nie?

– Nie – powtórzyłam stanowczo.

Nie potrafiłam o tym mówić, nie teraz, nie z nią, ani z nikim, nigdy.

Wyprostowała się na krześle.

– A więc przyleciałaś tutaj?

– Tak jest – potwierdziłam.

– Sama pilotowałaś statek? – zapytała. Zerknęła na Miyole, wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła jogurt, którym dziewczynka ochlapała sobie całą koszulę. – Tutaj, kochanie.

Skinęłam głową.

– Nauczyła mnie matka Miyole – wyjaśniłam.

Wymówienie teraz imienia Perpétue wydawało mi się niewłaściwe, jakby jego brzmienie było wciąż zbyt głośne dla ludzkich uszu.

– Biedna dziewczyno – rzekła do mnie Soraya, nadal wycierając kołnierzyk Miyole. – Trzeba było przyjechać do mnie wcześniej. Od razu.

– Nie mogłam. – Spuściłam wzrok na moją filiżankę. – To znaczy, nie byłam pewna...

– Oczywiście – powiedziała.

Niezręcznym gestem położyła rękę na moim ramieniu i zaraz szybko ją cofnęła.

– Iri powiedziała coś, zanim oni... zanim ona... kiedy opuszczałam statek – płątałam się. – Powiedziała, że pomogłaś jej w czymś... w czymś gorszym niż... to znaczy w czymś sekretnym.

Soraya w zadumie wyduła wargi.

– Tak, Iri. A także Loral. To one pokazały mi zwłoki twojej matki. Powiedziały mi, że była moją siostrą.

Moja prababka Loral? Zobaczyłam znowu jej martwe ciało czekające spokojnie, aż przyjmie je Próżnia. Jej białe jak kość włosy splecione w ślubne warkocze, jej skórę cienką i żółtą jak stary papier ryżowy.

– Ale w czym im pomogłaś? – zapytałam.

– W pochowaniu twojej matki – odrzekła Soraya. – O tym wiesz. Ale pochowaniu nie w taki sposób, o jakim myślisz. Twój pradziadek Harrah nie chciał, by pochowano ją *ad astra*. Chciał, żebym przywiozła

jej ciało tutaj i pogrzebała je w ziemi albo spaliła, jak to robimy...

Z gardła wyrwał mi się cichy jęk. Pomimo wszystkich zbrodni, jakie na mnie ciążyły, moja załoga zamierzała jednak oddać mnie Próżni. Nigdy nie zrobiliby mi czegoś tak strasznego jak zagrzebanie pod ziemią.

– Ale Iri i Loral nie pozwoliły na to – ciągnęła Soraya. – Odszukały mnie i sprowadziły na statek. Powiedziały mi, jakie to ma znaczenie, i razem pochowałyśmy ją pośród gwiazd.

Otworzyłam usta i znowu zamknęłam.

– Ale... dlaczego? – wydusiłam wreszcie. – Dlaczego mój pradziadek miałby chcieć jej to zrobić?

Soraya strzepnęła z kolana jakiś kłaczek.

– Harrah powiedział, że była przeklęta. Jej odmienny wygląd utrudnił wydanie jej za mąż, a później miała kłopoty z zajściem w ciążę. Powiedział, że jej duch podążyłby za waszym statkiem i sprowadził na wszystkich nieszczęście.

Słowa Sorai uderzyły mnie jak cios w pierś. Dotknęłam moich włosów. „Ależ z ciebie zła materia”. Wszystko splatało się w całość. Modrie Reller farbująca mi włosy. Moi ojciec i brat usiłujący wydać mnie za mąż poza naszym statkiem. Moje krewne tak chętne, by wysłać mnie w Próżnię. „Oni starali się zerwać więzy także ze mną. Najpierw mój dziadek, a potem cała reszta. Czy nikt nas nie chciał?”.

– Najważniejsze, że jesteś teraz tutaj – rzekła Soraya. – Nie musisz się już martwić.

Te słowa sprawiły, że podniosłam na nią wzrok.

– Pomożesz nam?

Skinęła głową. Postukała łyżeczką o brzeg filiżanki – brzdęk, brzdęk, brzdęk.

– Musicie obie zamieszkać u mnie.

– Mówisz poważnie? – wyjąkałam.

Siedziałam oszołomiona, zapomniawszy o herbacie. „A więc jednak tym razem tak łatwo...”.

– Oczywiście. – Soraya odchyliła się do tyłu na krześle. – Możemy zapisać was obie do Akademii Revati. Jej dyrektorka jest moją przyjaciółką. Z pewnością zdołamy coś wymyślić, żebyście nie musiały

czekać do początku następnego semestru.

– Dziękuję ci, czcigodna naj. To mocno uprzejma propozycja, ale ja nie będę mogła tam pójść – odrzekłam. – Mam pracę, której nie mogę porzucić.

Miyole z radością się zgodzi, ale ja?

– Pracę? – Soraya zamrugła zaskoczona. – Ile masz lat?

– Szesn... Nie – zreflektowałam się. Kiedy Modrie Reller oznajmiła mi, że zostanę żoną, zaledwie kilka miesięcy dzieliło mnie od dnia moich urodzin. – Siedemnaście – odpowiedziałam.

Soraya parsknęła.

– W wieku siedemnastu lat nie musisz pracować. Powinnaś chodzić do szkoły. – Sprawdziła czas na swojej mandarynie. – Jutro możesz złożyć u nich wymówienie.

– Ale jak zwrócę pieniądze Rushilowi? – wykrzyknęłam z paniką w głosie. – I co ze statkiem?

– Statkiem?

– Slupem, którym tu przyleciałyśmy – wyjaśniłam. – Dokujemy go w pobliskiej stoczni i nadal jestem winna Rushilowi opłatę za kilka tygodni.

– Ile?

– Sto pięćdziesiąt – odpowiedziałam. – Plus kolejne dwieście, jeśli zatrzymamy go tam przez następny miesiąc.

– Och, to drobiazg – rzekła Soraya i lekceważąco machnęła ręką. – Nie martw się tym. Ja będę regulować opłaty za dokowanie, dopóki nie zdecydujemy, co zrobić z tym statkiem. Czy ma obecnie wartość rynkową?

– Rynkową? – powtórzyłam niepewnie.

– Czy da się go sprzedać, czy może wymaga remontu?

Sprzedać slup? Być może jednak popełniłam straszny błąd, przychodząc do Sorai. Przecież ona nawet mnie nie zna. Jak może żądać ode mnie, żebym rzuciła pracę, sprzedała slup i poszła do szkoły? A jeśli sprawy z nią mi się nie ułożą albo coś się jej stanie? Zostanę z niczym.

– On... on wymaga remontu – odrzekłam niepewnie.

– Cóż, możemy później zlecić jakiemuś fachowcowi, żeby go obejrzał – powiedziała Soraya. Uśmiechnęła się do Miyole. – Czy

dostawałaś dość jedzenia?

Dziewczynka wysiorbała resztę napoju i uśmiechnęła się promiennie.

– Aha.

„Miyole”. Nie robię tego dla siebie. Jeżeli będę musiała sprzedać statek, by zapewnić jej bezpieczeństwo, to sprzedam.

Gdy opuszczaliśmy *tapri*, słońce schowało się już za szczyty dachów. Chociaż nadal byłam mocno zła na Rushila, zamierzałam opowiedzieć mu, dokąd się udałyśmy i co się wydarzyło. Ale kiedy przyszłyśmy do stoczni zabrać nasze rzeczy, nie zastałyśmy w przyczepie ani jego, ani Pali. Nawet tutejsze koty gdzieś się pochowały. Dziurę ziejącą w ogrodzeniu zakrywała prowizoryczna łąta z plastiku i metalu. Soraya weszła z nami, lecz zaraz za bramą zatrzymała się niepewnie. Ścisnęła kurczowo swoją torbę na ramieniu i rzucała niespokojne spojrzenia na każdego psa szczekającego z ulicy. Ja w tym czasie spakowałam nasz skromny dobytek i starannie zamknęłam statek.

– Nie pożegnamy się z Rushilem? – spytała Miyole, gdy kręciłam ręczną korbą, zamykając właz ładowni.

Rushil i ja nie skończyliśmy jeszcze wymiany spalonych kabli akumulatora biegnących do silnika kłapy. Zamierzaliśmy najpierw naprawić rury płynu chłodzącego, ale teraz nie wiedziałam, czy w ogóle kiedykolwiek do tego dojdzie. Przywykłam spędzać z Rushilem moje wolne dni i wieczory na wrywaniu starych przewodów i zeskrobywaniu zaskorupiałych resztek chłodziwa z wewnętrznych części kadłuba. Ale napaść Wyjców położyła koniec temu wszystkiemu.

– Nie – odparłam, zerkając na Sorayę. – Nie możemy czekać.

– Ale ja mam dla niego prezent – oznajmiła Miyole. Poszperała z brzękiem w worku po ryżu i wydobyła ważkę, którą zrobiła tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy wstała z koi i zastałam ją poza słupem. – Nie będzie wiedział, dokąd poszłyśmy.

– Możesz mu to zostawić – powiedziałam. – Napiszemy mu notkę, żeby się nie martwił.

Nagryzmołam kilka zdań na skrawku tektury: „znalazłam moją modri. odchodze. przyśle opłate za dokowanie statku. miyole hce żebyś

to miau” – i zostawiłam ją razem z figurką na progu przyczepy. Gdy wstawałam, łzy piekły mnie w oczy. Gdyby nie Rushil, Miyole być może nadal leżałaby skulona na koi w ciemnościach, słabnąc i mizerniejąc. Nie chciałam, żeby między nami tak się skończyło. Pragnęłam nocy takich jak ta, kiedy śpiewaliśmy nad zatoką piosenkę o kawie i herbacie. Pragnęłam, żeby Miyole bawiła się z Palą. Pragnęłam godności zarabiania na swoje utrzymanie. Ale jednak zmusiłam się, żeby odejść.

„To wszystko jego wina – przypominałam samej sobie, z furią ocierając oczy. – Gdyby nie wyciągnął mnie z domu, gdyby mnie nie przekonał, że mogę zostawić Miyole samą, gdyby nigdy nie zadał się z Wyjcami...”

Pociąg, który zawiózł nas do domu Sorai, był mniejszy i mniej zatłoczony niż te, jakimi dotychczas jeździłam. Z nieskazitelnie białej stali, z nieporysowanymi oknami. Mijaliśmy ciche, spokojne domki, niektóre z głębokimi ocienionymi werandami, sprawiające wrażenie dawnych, inne nowe, okrągłe, z ogródkami na dachach. Domyślałam się, że moja modrie musi być dość bogata, skoro mieszka na wyżej położonych terenach w północnej części miasta. Wątpliwe, by tutaj powodzie kiedykolwiek zalewały tory kolejowe.

Miyole mocno trzymała mnie za rękę, gdy wysiadliśmy z pociągu i szliśmy do domu Sorai. Był jednym ze starszych, wąski i długi, z cegieł i drewna. Na pierwszym piętrze miał oszklony taras pełen paproci w donicach. Na wąskim skrawku ziemi między domem a ulicą rósł palisander.

Gdy Soraya wprowadzała nas frontowymi drzwiami, we wnętrzu cicho zapaliły się światła. Czułam na skórze powiew chłodnego powietrza, a ściany tłumiły wszelkie miejskie odgłosy. Przeszliśmy przez salon z wyściełanymi krzesłami, lśniącym drewnianym parkietem i wbudowanymi w ścianę półkami na papierowe książki. Cała tylna ściana była szklana, a za nią widniał ogród otoczony ceglanym murem. Kąt podwórza ocieniało drzewo z liśćmi w kształcie gwiazd, tak ciemnofioletowymi, że wydawały się prawie czarne.

– Może chciałybyście się umyć? – zapytała Soraya, splatając dłonie. – Chyba że... wciąż jesteście głodne?

Ja byłam, ale Miyole ciążyły powieki i chwiały się na nogach ze

zmęczenia.

– Dziękuję, czcigodna – odrzekłam. – Ale gdyby znalazło się miejsce, gdzie ona mogłaby położyć się spać...

– Oczywiście – powiedziała Soraya.

Wzięłam Miyole na rękę, a ona położyła głowę na moim ramieniu. Soraya poprowadziła nas drewnianymi wywoskowanymi schodami na górę, na korytarz prowadzący do pięciu pokoi. Każdy miał zasuwane drzwi, dywany wyściełające podłogę i okna z grubych podwójnych szyb.

Soraya zatrzymała się przed ostatnim po prawej. Łóżko przykrywała narzuta w kolorach blad różowym, zielonym i niebieskim, a przy najbliższej ścianie stało długie biurko. Mosiężny teleskop na statywie ślepił w okna zasłonięte żaluzjami, a w kącie stała pusta klatka dla ptaków.

– To mój Pokój z czasów, kiedy byłam młodą dziewczyną – oznajmiła Soraya, ścierając z biurka grubą warstwę kurzu. – To dom mojej rodziny. Chciałam powiedzieć naszej – poprawiła się. – Naszej rodziny. Naprawdę powinnam wynająć kogoś, żeby tu odkurzył.

W pokoju pachniało stęchlizną, ale był czysty. Ułożyłam Miyole na łóżku i przykryłam kocami, a potem wyszłam za Sorayą na korytarz.

– Łazienka jest tam. – Wskazała drzwi naprzeciwko. – Używaj jej, kiedy tylko chcesz. Możesz spać w sąsiednim pokoju. To był gabinet mojej matki, kiedy jeszcze wszyscy tu mieszkaliśmy. Teraz to Pokój gościnny.

Powiedziała to smutno i domyśliłam się, że jej matka też już nie żyje.

Uśmiechnęła się lekko.

– Czujcie się tu jak u siebie. Będę na dole, gdybyś mnie potrzebowała. Mój Pokój jest na parterze, pierwszy po prawej.

I zostałam sama w tym olbrzymim cichym domu. W tutejszym pokoju oczyszczeń był boks z kafelków, zamknięty grubymi szklanymi drzwiami, w którym znajdował się kran. Kiedy tam weszłam, by go dokładniej obejrzeć, z góry lunęła gorąca woda. Rzuciłam się do tyłu w kąt, w zmoczonym ubraniu. Rushil nie miał w swojej stoczni bieżącej wody, więc gdy chcieliśmy się wykapać, schodziliśmy w dół do rzeki.

Manewrowałam rączkami kranu, aż uznałam, że rozgryzłam, na

czym polega ten trik, i woda trysnęła w dół do moich stóp jak ciepły deszcz. Rozebrałam się i stanęłam pod tym strumieniem. Sądziłam dotąd, że pojmuję, czym jest luksus, ale to przeszło moje wszelkie wyobrażenia. Na półeczce wewnątrz tej wyłożonej kafelkami kabiny stały słodko pachnące mydła i kremy w buteleczkach z pompkami. Podnosiłam każdą do nosa i wąchałam, pozwalając, by ciepła woda zmywała kurz i pot z moich włosów i ciała. Czułam się jednak mocno nieswojo na myśl o tym, jak dużo musi kosztować taka ilość wody znikającej w odpływie przy moich stopach, jak jest cenna. Zakręciłam więc kurek, namydliłam ciało, a dopiero potem znowu puściłam wodę i szybko się opłukałam.

Później owinięłam się grubym miękkim ręcznikiem i poszłam cicho korytarzem do pokoju, który Soraya nazwała moim. Taras, który widziałam z ulicy, znajdował się właśnie tutaj i przez jego otwarte szklane ściany wpadał jaskrawy pomarańczowo-fioletowy blask słońca zachodzącego nad Mumbajem. Większą część pokoju zajmowało szerokie łóżko z wieloma poduszkami i stertą ciemnognatowych koców, miękkich jak puszysty ryż. Przy łóżku leżały starannie złożone nocna koszula i szlafrok w tych samych kolorach. Widocznie Soraya je tu zostawiła. Zachowały delikatną woń jej perfum.

Przebrałam się, usiadłam na łóżku i zanurzyłam się głęboko w ciszę tego domu. Soraya widocznie miała tu rodzaj ekranów chroniących przed hałasem, bo przecież nawet ta luksusowa okolica leżała w zasadzie w obrębie miasta. Wstałam. Szklana ściana oddzielająca Pokój od tarasu rozsunęła się przede mną. Wyszłam i owionęło mnie cieplejsze powietrze. Daleko za szczytami dachów błyszcząły światła Mumbaju. Mogłam nawet dostrzec pociągi pełznące zakolem w miejscu, gdzie wysoki nadmorski wał stykał się z wodą. Lśniące gładkie budynki odbijały się jeden w drugim, aż wreszcie w oddali miasto rozplywało się we własnej rozjarzonej poświacie. Gdzieś tam był Rushil. Czy znalazł notkę ode mnie? Czy zastanawia się, co się z nami stało?

Potrząsnęłam głową. Już nie muszę się nim martwić. Soraya zajmie się opłatami za dokowanie statku i wszelkimi innymi sprawami związanymi z Rushilem. I może nawet, skoro te opłaty są dla niej taką

drobnostką, mogłaby pomóc mi w kupnie biletu kolejowego do Khajjiar. Mogłam znowu pozwolić sobie na myślenie o Lucku. Mogłam sobie pozwolić na nadzieję.

Obudziłam się, gdy poranne słońce świeciło już pełnym blaskiem. Zeszłam na dół. Miyole siedziała na tylnych schodkach, twarzą do fioletowego drzewa. Miała na sobie jedną z rozpinanych koszul Sorai, którą nosiła jak sukienkę. Ktoś – zapewne Soraya – rozczesał jej włosy i splótł w cztery sprężyste warkoczyki. Na kolanach trzymała otwartą książkę. Nie usłyszała moich kroków zza grubych szklanych drzwi.

Kuchnia była pusta i panowała w niej cisza zakłócana jedynie szmerem jakiegoś urządzenia na blacie.

– Halo! – zawołałam. – Sora... czcigodna naj!

Odpowiedziała mi tylko cisza. Zerknęłam za siebie w głąb korytarza, gdzie wedle słów Sorai był jej pokój. Na końcu znajdowały się czarne drewniane drzwi.

– Czcigodna naj – odezwałam się znowu, tym razem ciszej.

Moje bose stopy zapadały się w gęsty dywan, gdy ostrożnie szłam korytarzem. Czy to są drzwi do jej pokoju? Nie pamiętałam połowy z tego, co mówiła mi ubiegłej nocy. Wszystkie pozostałe drzwi w domu Sorai rozsuwały się i niknęły w wąskich szczelinach, kiedy się otwierały, ale te były z ciężkiego drewna, miały wiekową mosiężną klamkę i małe szklane oczko umieszczone na wysokości głowy. Nacisnęłam klamkę.

– Avo!

Odrzuciłam się szybko. Soraya stała u wylotu korytarza i spoglądała na mnie.

– Ja... – zająknęłam się i splonęłam gorącym rumieńcem.

„Drzwi po prawej” – przypomniałam sobie nagle. Ona mówiła o drzwiach po prawej.

– Niczego tam nie ma – rzekła ostro. Podeszła i szarpnięciem zatrzasnęła drzwi. Potem spytała łagodniejszym tonem: – Jesteś głodna? Śniadanie już gotowe.

Podążyłam za nią zawstydzona. Co jest w tamtym pokoju? Przypuszczalnie coś prywatnego. Coś, czego nie pokazujesz dziewczynie, którą znasz dopiero niespełna dzień, nawet jeśli jest córką twojej przyrodniej siostry.

Soraya podała mi talerz złocistych ziemniaków zmieszanych

z ryżem i miseczkę papai. Siadła przy stole naprzeciwko mnie i popijała herbatę, gdy jadłam.

– Dobrze spałaś? – zagadnęła.

– Tak je... to znaczy owszem, dziękuję – odrzekłam.

Nigdy w życiu nie spałam lepiej. To było jak zasypianie na obłoku.

– Chcesz herbaty? – spytała, wskazując karafkę na środku stołu. – Miyole i ja wypiliśmy już wcześniej cały dzbanek.

– Tak, dziękuję – powiedziałam i sięgnęłam po karafkę, lecz Soraya powstrzymała mnie machnięciem ręki.

– Siedź i jedz. Pozwól, że ja ci naleję.

Przyglądałam się, jak napełniała moją filiżankę. Czy powinnam ją zapytać o Khajjiar? Zeszłej nocy wszystko wydawało się takie proste i sądziłam, że poproszenie jej o bilet przyjdzie mi z łatwością, ale teraz już sama nie wiedziałam, co myśleć. Byłam tutaj obca, żyłam na jej koszt. Nie mogłam sobie pozwolić na proszenie jej o zbyt wiele, zwłaszcza że od tego zależało również, czy Miyole będzie miała dach nad głową. A co jeśli będę nalegać na pojechanie do Khajjiar, a Lucka tam nie ma?

Soraya nalała mi herbatę i rozsiadła się wygodnie na krześle.

– Kiedy skończysz jeść, wyruszymy. Czeka nas mnóstwo pracy nad przygotowaniem cię do wstąpienia do Akademii Revati i załatwieniem ci prawa stałego pobytu.

– Tak jest, czcigodna – odrzekłam i uśmiechnęłam się.

Zrobię, cokolwiek ona zechce, byle tylko zapewnić bezpieczeństwo Miyole.

– Proszę, mów mi Soraya – powiedziała moja modrie.

Skinęłam głową.

– Soraya.

Miyole przysła z ogrodu, położyła książkę na stole i przytuliła głowę do mojego ramienia. Włosy miała miękkie i czyste.

Uświadomiłam sobie, jak marnie się nią opiekowałam. Kiedy ostatni raz zadbałam, żeby miała umyte włosy i porządnie wyprane ubranie?

Oparłam swoją głowę o jej.

Soraya odsunęła krzesło i zaniósła naczynia do kuchni.

– Muszę wstąpić do mojego prawnika i rozpocząć starania o prawo

do opieki nad tobą i Miyole – zawołała przez ramię. – I pomyślałam, że potem mogłybyśmy kupić wam ręczniki, bo zdaje się, że ich nie macie.

– Naprawdę? – spytała z ożywieniem Miyole.

Soraya wyjrzała zza rogu.

– Tak, naprawdę. – Uśmiechnęła się i w tym uśmiechu bardziej niż w słowach mogłam zobaczyć jej radość z załatwiania tych spraw. – Będziecie ich potrzebować, przebywając przez cały dzień w szkole.

– Mandaryna-mandaryna-mandaryna, moja własna mandaryna – zaśpiewała do siebie Miyole. – Moja całkiem własna mandaryna.

Soraya się roześmiała.

– Jakaż z ciebie gaska! – powiedziała. Potem spojrzała na mnie i zmarszczyła brwi. – Avo, co się stało?

– Nic – odparłam i przywołałam z powrotem na twarz uśmiech. – Zupełnie nic.

Soraya zaprowadziła nas najpierw do lekarki, która kazała nam włożyć papierowe koszule szpitalne i pokłuta nas mnóstwem zastrzyków. Zadawała mi wiele rozmaitych pytań o moje życie w Gyre i na „Parastracie”, a potem chciała wiedzieć, czy jestem zamężna i czy jakiś mężczyzna kiedykolwiek dotknął mnie albo skrzywdził. Dobrze, że nie zagadnęłam Sorai o Khajjiar, gdyż wtedy musiałabym opowiedzieć jej albo tej obcej kobiecie o Lucku i o tym, co zaszło między nami. Nie chciałam wyjawiać nikomu mojego wstydu. A jeśli idzie o Khajjiar, znajdę inny sposób dostania się tam. Tak więc kłamałam i kłamałam, aż wreszcie lekarka zmarszczyła brwi i oświadczyła, że mi wierzy.

Potem Soraya zabrała nas do samego serca Mumbaju, żeby kupić nam ubrania.

– Nie potrzebuję niczego więcej, czcigodna naj – usiłowałam ją przekonać.

– Nie możesz pójść w tym do Revati, Avo – odparła. Potrząsnęła głową nad moją spłowiałą koszulą z Gyre, znoszonymi butami i nożem Perpétue zatkniętym za pasek. – Może twój strój nie raził w Salt, przez które przewija się tylu cudzoziemców, ale teraz mieszkasz w samym mieście i musisz się stosownie do tego ubierać. I powiedziałam ci, nie nazywaj mnie czcigodną.

Wsiadliśmy do pociągu magnetycznego i po kilku przesiadkach

dojechałyśmy do końcowej stacji wciśniętej w samo serce śródmieścia. Wyszłyśmy do jednego z zatłoczonych kanionów między drapaczami chmur. Firma Powell-Gupta znajduje się w jednej ze starszych dzielnic, toteż dotychczas widywałam centrum miasta tylko przejazdem. Na ulicach roiło się od ludzi, krów, rowerów, koni, słoni i rikszy napędzanych energią słoneczną. Wszystko to lawirowało w ścisłości z nieomylną precyzją. Intensywny zapach przypraw i placków smażonych na oleju, dochodzący od wózków sprzedawców jedzenia, mieszał się w powietrzu ze smrodem zwierzęcego łajna i nikłą cierpką, metaliczną wonią pozostawianą przez przejeżdżające pociągi. Za krowami i końmi toczyły się gromady mechanicznych zamiatarek świergoczących i zatrzymujących się z trzaskiem, gdy zwierzęta przystawały.

Wpadłyśmy w nurt ulicznego ruchu. Miyole gapiała się na wieżowce, gdy weszłyśmy za Sorayą z poziomu ulicy na pomost przerzucony wdzięcznym łukiem nad kanałem kolei biegnącym środkiem jezdnii. Kolejne poziomy gładkich mostków łączyły budynki stojące po przeciwnych stronach ulicy, a zabudowane schodnie prowadziły do sklepów. Nad nami następne pomosty wspinały się do coraz wyżej położonych pasażów dla pieszych, a z ich spodów zwieszały się winorośle i kwiaty. Szklane kapsuły pełne pasażerów sunęły do góry wzdłuż ścian budynków i zatrzymywały się łagodnie, zawieszane nad ulicą, a ludzie wysiadali z nich do wnętrza domów.

Soraya poprowadziła nas mostkiem w górę na trzeci poziom do sklepu z wysokim sufitem na najwyższym piętrze jednego ze starszych budynków.

– Zepsuła się klimatyzacja. Przepraszam! – zawołała do nas kobieta za kontuarem, wachlując się grubym arkuszem aluminiowej folii.

W sklepie było tylko trochę goręcej niż na zewnątrz, ale zaczynałam się już orientować, że bogaci mieszkańcy Mumbaju uznają za punkt honoru nieokazywanie, że się pocą.

Soraya uśmiechnęła się i lekceważąco machnęła ręką, dając do zrozumienia sprzedawczyni, że się tym nie przejmuje. Ruszyła naprzód, lawirując między stojakami z wyszywanymi tunikami i sari z surowego jedwabiu w intensywnych kolorach błękitu i persymony. Tylna część

pomieszczenia była zapchana od ściany do ściany identycznymi koszulami, spodniami i spódnicami o barwnych smugach.

– Chodźcie, przymierzcie to – powiedziała Soraya.

Wyciągnęła dwie szafranowe spódnice do kolan i czarne bluzki z płytkimi owalnymi dekolami, zapinane na plecach. Bluzki miały wyhaftowany na piersi złocisty herb z jakimś rogatym ptakiem i okręgiem. Pod nogami ptaka był napis: AKADEMIA REVATI.

Miyole się wykrzywiła. Mnie też te stroje wydawały się mocno drętwe, ale jeśli musimy je nosić, żeby zasłużyć na pomoc Sorai, jakoś to wytrzymam. Wzięłam ubranie i pozwoliłam Sorai zagonić mnie do przebieralni w głębi sklepu. Miyole schowała język i poszła za nami.

Włożyłam bluzkę w parnej przebieralni i natychmiast poczułam na skórze chłód. Roztarłam tkaninę w palcach. Jakim cudem zdołano wpleść w ten materiał zimne powietrze? Moja załoga oddałaby za ten sekret całą swoją miedź i byłam pewna, że ludzie z Gyre zrobiliby to samo.

Wyszłam z przebieralni, wciąż spoglądając w dół na mój nowy uniform.

– Podoba ci się? – zapytała Soraya.

Podniosłam na nią wzrok.

– Jest cool!

Roześmiała się.

– Oczywiście. Nie nosiłaś wcześniej ubiorów z inteligentnych włókien?

Przecząco potrząsnęłam głową.

– Cuda cywilizacji – powiedziała Soraya. – No dalej, przebierz się. Kupimy ci też trochę codziennych ubrań. Nie możesz chodzić przez cały dzień, pocąc się jak koń.

Gdy wykladałyśmy nowe stroje na kontuar, Miyole obeszła obracając się powoli karuzelę z sari barwnymi jak klejnoty.

– Mogę dostać jedno takie? – spytała nieśmiało Sorayę.

Soraya zmiękła.

– Oczywiście – odrzekła. Przynęła do twarzy Miyole lawendowe sari ozdobione strzałkami wyhaftowanymi srebrną nicią. – Jak myślisz, Avo? Czyż to do niej nie pasuje?

Zamarłam zakłopotana.

– Och, ależ czcigodna, nie musisz...

Soraya westchnęła.

– Doprawdy, Avo, wolałabym, żebyś mnie tak nie nazywała. Nie odnoś się do mnie tak oficjalnie.

Ruszyłyśmy do domu z naręczem sari. Miyole nawet miała na sobie jedno w pociągu – błękitne jak niebo, ze złotymi końmi paradyjącymi po lamówce. Ten niebieski kolor wyglądał pięknie przy jej cerze. Wydawała się w tym stroju inną dziewczynką. Młodszą, bogatą, taką, której nigdy nie zdarza się spędzać nocy w alejce ani ranić sobie dłoni, wspinając się na drabinkę podczas szalejącego huraganu. Soraya mnie też kupiła sari, ciemnogranatowe z odcieniem kapryfolium. Próbowałam odmówić, lecz to ją tylko zirytowało. Jak mogę kiedykolwiek poprosić ją o bilet do Khajjiar, skoro już zawdzięczam jej górę pięknych strojów?

„Powinnam być teraz w doku i naprawiać statek – pomyślałam, gdy Mumbai przemykał za oknami pociągu. – Powinnam pracować, odkładać pieniądze na niepewną przyszłość. A nie przymierzać stroje”. Dotknęłam rękojeści mojego noża. Powinnam być gotowa, na wypadek gdyby coś tutaj poszło źle. Tak jak poszło źle na pokładzie „Æther”, a później w Gyre. Nic tak dobrego nie może długo trwać.

Jak się okazało, Akademia Revati mieściła się w starym kamiennym budynku w pobliżu college'u, w którym wykładała Soraya. Miyole i ja stanęliśmy obok siebie przed rozsuwanymi drzwiami głównego wejścia. Pociłam się pomimo ubioru z inteligentnych włókien. Czułam mdłości z zakłopotania na myśl, że w torbie na ramieniu mam nową błyszczącą mandarynę, którą Soraya uparła się mi kupić. Kupiła nam również tablety, ale były tak ładne, że nie potrafiłam się zmusić, by wziąć swój ze sobą. Zostawiłam go w dolnej szufladzie komody w pokoju gościnnym. „Twoim pokoju” – jak mówiła mi Soraya.

Obok nas przepchnęła się do drzwi grupa dziewcząt w identycznych uniformach. Były piękne, wszystkie. Zaczynałam już pojmować, że to bycie bogatym daje każdemu taki blask urody – ładne stroje, równe białe zęby, lśniące włosy, subtelnie umalowane usta i oczy oraz delikatną, nieskazitelną cerę w odcieniach brązowym, brzoskwińowym bądź perłowym. Nikomu tutaj nie brakowało oczu czy zębów, nikt też nie miał włosów matowych i łamliwych wskutek złego odżywiania. Przyglądałam moje nierówno obcięte kosmyki i mocno chwyciłam dłoń Miyole. Żałowałam, że nie mam mojego noża. Rano próbowałam wetknąć go za pasek, ale Soraya przyłapała mnie i zmusiła, żebym go zostawiła.

Natomiast Miyole porwał ten wir i blichtr. Usiłowała zaciągnąć mnie na górę frontowymi schodami. Zaparłam się. Pomimo wszystkiego, co Soraya mówiła mi o nauczycielach zatwierdzanych i kontrolowanych przez zarząd szkoły, zaawansowanych zajęciach i indywidualnym ocenianiu postępów w nauce, miałam jedynie mętne wyobrażenie o tym, co czeka mnie wewnątrz tego budynku. Czy dziewczęta uczą tam jedne drugie, jak Miyole uczyła mnie liter i rachowania, czy może zostawi się nas, żebyśmy radziły sobie same? Czy mają tam książki? Albo tablety? A może jedne i drugie? Co takiego zdarzy się w tych murach, co nie groziłoby mi w domu Sorai, gdzie mogłabym na osobności zmagać się z własną ignorancją?

W końcu pozwoliłam, by Miyole wciągnęła mnie przez frontowe drzwi. Gdy weszliśmy do środka, dopadła nas kobieta

w bladoniebieskim kostiumie, z włosami związanymi z tyłu w luźny węzeł.

– Miyole? Ava? – zapytała.

– Tak – odpowiedziałam piskliwie.

– Oczekujemy was. Jestem doktor Lata, dziekan opiekująca się nowymi uczennicami Akademii Revati. Proszę tędy.

Poszłyśmy za nią przez szeroki frontowy hol, a potem wzdłuż niewielkiego dziedzińca z mnóstwem paproci i fontanną. Dziewczęta siedziały w grupkach na obrzeżu wodotrysku. Jedna z nich, wysoka brunetka z kamieniem jubilerskim w nosie i złotą siateczką na włosach, rzuciła na nas spojrzenie z ukosa, a potem nachyliła się bliżej do przyjaciółek i coś do nich szepnęła. Przeszył mnie nagły ból. „Soli Llell”. Niegdyś też miałam przyjaciółki. Gdzie one teraz są? Soli urodziła już dziecko. A Llell, jak miałam nadzieję, znalazła męża, jakiego pragnęła. Chociaż chciała mojej śmierci, jak reszta załogi, przecież kiedyś się przyjaźniłyśmy.

Doktor Lata zaprowadziła nas do oświetlonego elektrycznymi lampami pomieszczenia bez okien na drugim piętrze. Stał tam długi stół sięgający niemal od ściany do ściany. W drewniany blat były wmontowane w dwóch rzędach tablety cieńsze i bardziej przezroczyste nawet od tych kupionych nam przez Sorayę.

– Usiądźcie, proszę – powiedziała doktor Lata.

Zajęłyśmy miejsca obok siebie przy długim stole, naprzeciwko niej.

– Doktor Hertz poinformowała mnie o waszej... hm... niezwyklej sytuacji – rzekła doktor Lata. – Zapewniam was, jedną z zalet studiowania w Revati są zindywidualizowane korepetycje, jakie otrzymacie, abyście doszłusowały do bieżącego toku nauczania. Młode damy, które kończą naszą akademię, w ogromnej większości przypadków dostają się do czołowych placówek szkolnictwa wyższego na świecie. Wskaźnik ten wynosi dziewięćdziesiąt osiem procent.

Zerknęłam na Miyole. Patrzyła na doktor Latę i kiwała głową, jakby rozumiała, więc skinęłam razem z nią. Jednocześnie czułam, że w piersi wzbiera mi panika.

– Ale najpierw musimy oszacować wasze edukacyjne luki –

ciągnęła doktor Lata. Wskazała na nowiutkie tablety przed nami. Urządzenia zamigotały i ożyły. Już po chwili wypełniły je bloki tekstu i równania. – Kiedy skończycie ten wstępny egzamin, dyrektorka akademii i ja przejrzymy rezultaty i pod koniec dnia poinformujemy was, jakie zajęcia wam przydzielimy. Tymczasem, Avo, umieścimy cię w przedostatniej klasie, a ty, Miyole, możesz dołączyć do dziewcząt w trzeciej klasie.

– Ale ja chciałabym zostać z Avą – oświadczyła Miyole.

– Możecie się spotkać na lunchu i w wolnym czasie przeznaczonym na naukę – powiedziała doktor Lata.

– Proszę, czcigodna naj, byłoby lepiej, gdybyśmy mogły zostać razem – odezwał się nieśmiało.

Doktor Lata cierpliwie splotła dłonie i milczała chwilę, zanim przemówiła:

– Chcemy, aby nasze uczennice utrzymywały możliwie jak najwięcej kontaktów ze swoimi rówieśnikami z klasy. Uważamy, że to ułatwia każdej z nich odnalezienie się w środowisku szkolnym i buduje ich umiejętność funkcjonowania w grupie. Tak więc gdybyśmy umieścili was obie w tej samej klasie, nie posłużyłoby to zbytnio rozwojowi waszego potencjału emocjonalnej aklimatyzacji i zdolności kognitywnych, nieprawdaż?

Wydało mi się, że najlepiej będzie przytaknąć.

Doktor Lata uśmiechnęła się do nas ciepło.

– Cieszę się, że to rozumiecie – powiedziała i wstała. – Będę na końcu korytarza, gdybyście mnie potrzebowały. Avo, ufam, że pozwolisz Miyole samej rozwiązywać zadania i nie udzielisz jej żadnych podpowiedzi, prawda?

Patrzyłam za nią, gdy cicho zamykała drzwi. Miyole zachichotała i przewróciła oczami. Jakby to ona potrzebowała podpowiedzi!

Tablety zadźwięczały cichutko, przypominając nam, że pora zacząć test.

– Życzę ci powodzenia – wyszeptałam i ujęłam cienki rysik przymocowany z boku tabletu.

– Ja tobie też – odrzekła Miyole.

Spojrzałam na ekran przede mną. Odkąd Rushil nakłonił Miyole,

by znowu zaczęła rozmawiać, uczyła mnie rachowania, objaśniając pojęcia takie jak „liczba całkowita” i język symboli. Przychodziło mi to łatwiej i bardziej naturalnie niż nauka czytania, ale nie posunęliśmy się zbyt daleko. Teraz lewą stronę ekranu wypełniały równania mocno podobne do tych, jakie dawniej polecała mi ćwiczyć.

$$6^2 + b^2 = 144$$

$$a|-1| + 12(3 \times 4a) / 5 = 1,729$$

$$z(144/2^2 + ^3 - 24) = 45$$

Przebrnęłam przez nie, a potem przez inne polecenia żądające podania procentowej ilości składników surowicy oraz prawdopodobnego przyrostu populacji przy założonym dwuprocentowym wskaźniku śmiertelności w skali roku. Ale wkrótce w zadaniach pojawiły się słowa takie jak „macierz” oraz „sinus” i „cosinus”. Wymagano, abym przedstawiła równanie w postaci krzywej na wykresie, i poczułam się kompletnie zagubiona.

Przeszłam do drugiej kolumny, do pytań dotyczących czytania i słów.

*Jego pstr... pstroke upierzenie zapewnia mu ka... kam...
kamufaż przed...*

Tutaj poszło mi jeszcze gorzej, chociaż nie sądziłam, że to możliwe. Potarłam kciukiem gładką powierzchnię mojego wisiorka i próbowałam czytać:

*...był pierwszym, który prowad... prowadził ek... ekspl...
eksplorację na poziomie Głębinowych Sondowań wyk... wykorz...
wykorzystując tech... technologie neo... neoakcel... neoakceleracyjne...*

Te słowa, które jednak znałam, mięchały się ze sobą albo traciły sens obok tych, których nigdy nie słyszałam. Ich znaczenia robiły mi się w głowie rozmiękle i śliskie, toteż mogłam jedynie w ciemno dźgać w odpowiedzi, których jak sądziłam, oczekuje doktor Lara. W końcu odłożyłam rysik, zamknęłam oczy i oparłam głowę na rękach.

Zerknęłam przez palce. Miyole pochylona nad tabletem, z rozchylonymi ustami, przebiegała wzrokiem ekran. Mniej więcej co minutę przerywała, by zaznaczyć odpowiedź w tablecie, a potem wracała

do czytania, przyciskając rysik do dolnej wargi.

Znowu ujęłam swój rysik i wlepiłam wzrok w pytanie.

Rozwój Indii stał się kat... katal... katalizatorem wzrostu gospodarczego i poprawy standardu życia w sąsiad... nie... sąsiednich krajach...

Przewinęłam w dół. Zrobiłam zaledwie jedną trzecią zadań z rachunków i prawie żadnego z tych wymagających czytania. Czego ode mnie oczekują? I dlaczego nie potrafię temu sprostać? Dlaczego nie pozwolą mi zamiast tego pokazać wszystkiego, co potrafię zrobić rękami? Umiem tkać, przeprowadzać naprawy i całkiem sama pilotować statek. Czy to się wcale nie liczy?

Miyole starannie przymocowała swój rysik do boku tabletu.

– Skończyłam – oznajmiła i uśmiechnęła się do mnie promiennie.

Poczułam na języku coś żrącego, jakby z mojego serca wyciekała gorzka żółć. „Jak to możliwe, że ona już skończyła, chociaż jest tylko małądziewczynką, a ja jestem niemal dorosłą kobietą? Co jest ze mną nie tak?”. Pohamowałam chęć, by powiedzieć Miyole coś szorstkiego i pokazać, gdzie jej miejsce. Zamiast tego odpowiedziałam jej wymuszonym uśmiechem.

– Powinnaś pójść powiadomić doktor Latę – rzekłam. – Ja już prawie kończę. Za mgnienie będę gotowa.

Ześlizgnęła się z krzesła i zniknęła za drzwiami. Jeszcze raz przeleciałam zadania, stuknęłam w rozwiązania, naściboliłam gromadkę słów, które znałam, i wybrałam na chybił trafił cyfry, żeby zrobić cokolwiek z tymi pytaniami.

Wróciła Miyole. Tuż za nią weszła doktor Lata.

– Skończone? – zapytała wesoło.

Kiwnęłam głową, czując ze zdenerwowania większe mdłości, niż kiedy siadałam przy tym stole.

– Doskonale – powiedziała doktor Lata. – Miyole, zejdź na dół i odszukaj swoją klasę. Zdaje mi się, że twoja grupa jest w sali Cywilizacji na parterze. Avo, ty masz chyba zajęcia hippiczne przy stajniach. Kiedy przejrzymy rezultaty waszych testów, wezwę was do mojego gabinetu.

– Tak jest – odrzekłam, ale nerwowe mdłości podchodziły mi już do gardła.

Nigdy nie słyszałam o niczym takim jak zajęcia hippiczne, więc to z pewnością coś mocno skomplikowanego. Chociaż gdyby tak było, dlaczego odbywałyby się w stajniach? Może to trochę jak hodowla zwierząt, tylko bardziej o tym, dlaczego zwierzęta działają tak, jak działają. Chciałam zapytać, ale coś w doktor Lacie sprawiło, że głos ugrzązł mi w gardle.

Odprowadziłam Miyole na dół do jej sali lekcyjnej. Zerknęła przez szklane drzwi na inne dziewczęta z trzeciej klasy i przygryzła wargę. Wyglądały jak z reklam na budynkach – miały gładkie czyste twarze, starannie zaplecione warkocze, wyprasowane bluzki. Założyłabym się o wszystkie rupie, jakie zarobiłam w firmie Powell-Gupta, że żadna nigdy nie była głodna. Miyole popatrzyła na mnie ze strapioną miną.

Moja małostkowa zazdrość rozviała się jak para.

– Nie martw się, Mi – powiedziałam. – Jesteś bystrzejsza od nich wszystkich.

Uśmiechnęła się do mnie nerwowo.

– Idź – rzekłam i uściśniłam ją przelotnie. – Spotkamy się na dziedzińcu, kiedy nas wypuszczą.

– Dobrze – powiedziała.

Wyprostowała się, poprawiła torbę na plecach i pchnęła drzwi.

Podążyłam za znakami kierującymi do stajen. Moje kroki rozbrzmiewały echem w pustym korytarzu. Dotarłam na tył szkoły i wyszłam na dwór przez rozsuwane drzwi. Alejką wybrukowaną płaskimi kamieniami okrążyłam szklarnię, której szyby były zamglone pomimo upalnego dnia. Minęłam boisko, na którym dziewczęta grały płaskimi kijami w jakąś grę, i doszłam do otoczonego płotem kręgu dobrze udeptanej ziemi za ceglany budynkiem. Z ostrego odoru nawozu wywnioskowałam, że dotarłam do stajen. Podeszłam do ogrodzenia i głęboko wciągnęłam powietrze. Gęsty zapach gospodarskiego podwórza mocno uspokoił mi nerwy, powiedział mojemu ciału, że jestem w domu.

Nagle ze stajni wypadł olbrzymi zwierz i ruszył na mnie. Jego oczy lśniły czarno w długim łbie. Podbite metalem kopyta wzbijały strugi

ziemi, gdy gnał ku mnie. Do jego grzbietu przywierała dziewczyna. „Koń – zdążyłam jeszcze pomyśleć, gdy odskoczyłam od płotu i potknęłam się. – Mówiłam Rushilowi...”. Upadłam ciężko na ziemię i niezdarnie poczołgałam się do tyłu na łokciach, a bestia przeszarżowała obok mnie ze świstem powietrza.

Ze stajni wybiegły inne dziewczyny oraz starsza kobieta w groszkowozielonym sari i podbiegły do mnie. Kilka z nich pomogło mi się podnieść, a pozostałe otrzepały mi plecy i ramiona z ziemi.

– Nic ci nie jest?

– Czy ona jest ranna?

– Pani Advani, proszę tu szybko przyjść!

– Co ona robiła obok płotu?

– Nie, nic mi nie jest, nic – powiedziałam.

Potałam łokieć. Twarz mi płonęła. Konie. Oczywiście. Znowu konie!

Dziewczyna dosiadająca konia poprowadziła go wolnym krokiem z powrotem do ogrodzenia. Na jej bladą twarz wypłynął rumieniec.

– Przepraszam – wyjąkała. – Nie widziałam jej tam. Myślałam, że wszystkie są wewnątrz.

Starsza kobieta klasnęła w dłonie.

– Dostyc tego zamieszania. Wszystkie dziewczęta niech wrócą do stajni. Panno Labhsha, chyba teraz twoja kolej na jazdę. – Spojrzała na mnie. – Ty jesteś Parastrata, prawda?

– Tak.

Zacisnęłam zęby. Gdybym wiedziała, że Soraya zamierza polecieć, aby wpisano mnie w akademii jako Parastratę, błagałabym ją, by zamiast tego pozwoliła mi użyć jej nazwiska. Tego jeszcze brakowało, żeby zostawiła ojcu i bratu ślad prowadzący do mnie.

– Doktor Lata powiedziała, że tu przyjdiesz. Jestem Shushri Advani, instruktorka jazdy konnej.

– Miło mi panią poznać – rzekłam.

Soraya, zanim dziś rano wypuściła mnie z domu, nauczyła mnie tego zwrotu.

– Nigdy dotąd nie miałaś do czynienia z końmi? – zapytała Shushri Advani.

– Nie. – Potrząsnęłam głową. – Doiłam kozy – dodałam i natychmiast uświadomiłam sobie, jak głupio to zabrzmiało.

– Nie sądzę, by przy koniach przydała ci się ta umiejętność – powiedziała. Wyciągnęła szyję, spojrzała obok mnie i zawołała: – Chennapragada!

Od grupki przy płocie odłączyły się dwie identyczne chude dziewczyny z prostymi czarnymi włosami sięgającymi do ramion. Może bliźniaczki? Na „Parastracie” nigdy nie mieliśmy bliźniaczek, ale podobno w załodze Makkaram jest ich bardzo wiele.

– Prita, Pia, proszę, pokażcie pannie Parastracie sznury – poleciła instruktorka.

– Dobrze, pani Advani – odrzekła jedna z dziewcząt.

Jej siostra wskazała mi głową stajnię.

– Chodź tędy.

Poszłam za nimi, otrzepując pył ze spódnicy i usiłując ignorować spojrzenia, które czułam na plecach. Po upadku zapewne będę jutro miała kilka paskudnych siniaków w okolicach kości ogonowej.

Jedna z dziewcząt odwróciła się do mnie i powiedziała, idąc tyłem:

– Jestem Prita. – Kiwnęła głową ku dziewczynie obok niej. – A to Pia.

– Cześć – rzekła Pia i posłała mi przez ramię uśmiech.

– Jesteście bliźniaczkami? – spytałam.

– Nie – odparła Prita śmiertelnie poważnym tonem.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – dorzuciła Pia.

– Naprawdę nie? – upewniłam się, marszcząc brwi.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia i wybuchnęły śmiechem. Spochmurniałam i wbiłam wzrok w ziemię.

– Przepraszam – powiedziała Prita i znowu zachichotała. – Każdy nas o to pyta.

– Och – westchnęłam, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. – Przykro mi.

– A jak ty masz na imię? – zapytała Pia. – A może mamy cię nazywać... Parastrata? – Wymówiła moje nazwisko przeciągle, parodiując Shushri Advani.

– Ava – odrzekłam. – Po prostu Ava.

– Więc naprawdę nigdy jeszcze nie jechałaś konno? – chciała wiedzieć Prita.

– Naprawdę.

Pia obróciła się i też szła teraz tyłem, jak jej siostra.

Przemierzyłyśmy wąskie przejście między ceglanyimi ścianami stajen.

– Nawet na koniach twojej rodziny? – dopytywała się Pia.

Konie przyglądały mi się ze swoich ciemnych wnęk. Spojrzenia ich zimnych czarnych oczu przyprawiły mnie o ciarki na skórze.

– My... ee... nie mieliśmy... Mieliśmy kozy – wyjąkałam.

Prita się skrzywiła.

– Kozy?

Pia przewróciła oczami.

– Boże, Prito, przecież pani Advani mówiła, że ona nie jest stąd, nie pamiętasz? Oni prawdopodobnie przywiązują wszystkie swoje konie do wozów czy czegoś w tym rodzaju. – Spojrzała na mnie. – Czy tak właśnie robicie? Przywiązujecie je do wozów?

– Ja... ee...

Ale Pia nie czekała na moją odpowiedź.

– Chcesz, żebyśmy ci pokazały, jak się je szcnotkuje? A może wolałabyś zacząć od czyszczenia boksów?

– Od boksów – odrzekłam szybko.

Może mogłabym przekonać Sorayę albo doktor Latę, żeby pozwolono mi uczyć się czegoś innego. Przecież i tak nigdy nie będę na tyle bogata, by móc jeździć po mieście na jednym z tych potworów. Nawet Soraya takiego nie ma, chociaż jest mocno zamożna.

Prita wyglądała na rozczarowaną, ale poprowadziła nas do pustego boksu, pilnie potrzebującego wysprzątania. Pia rozdała widły i miotły. Obie siostry jęczały, chichotały i robiły do siebie miny, gdy zaczęłyśmy czyścić podłogę. Starłam się oddychać ustami, dopóki mój nos nie przywykł do zapachu koni, a serce przestało tłuc się w piersi. Przynajmniej potrafiłam sprzątać.

– A więc skąd się tu przeprowadziłaś? – zapytała Prita, wrzucając stertę brudnej słomy na taczki stojące w kącie boksu.

– Mieszkałam w mocno wielu różnych miejscach – odpowiedziałam wymijająco.

– Na przykład gdzie? – dopytywała się Prita, opierając się na widłach.

– Po przyjeździe tutaj byłam przez jakiś czas w Salt.

– W Salt! – wykrzyknęła podekscytowana Prita. – *Chaila*, dziewczyno, trzeba było od razu to powiedzieć. Musimy kiedyś wybrać się tam razem. Wszystkie najlepsze kluby są w Salt. Och, i nasz brat remontuje tam stary magazyn na wzgórzu. Chce go przerobić na apartamenty.

– Och, Pri-to – zaśpiewała Pia. Zatoczyła się na siostrę z widłami pełnymi brudnej słomy. – Mam dla ciebie prezent.

Prita wrzasnęła i upuściła swoje widły, które z brzękiem upadły na podłogę. Koń w sąsiednim boksie położył uszy płasko na łbie, parsknął, tupnął kopytem i zezował na nas.

„To w gruncie rzeczy maładziewczynki – pomyślałam. – Są mojego wzrostu, w moim wieku, ale nawet Miyole jest wewnątrz starsza od nich”.

Z kieszeni Prity dobiegł przerywany świergot.

– Przyniosłaś swoją mandarynę? – spytała ją Pia.

Prita wyjęła zgrabny niebieski aparat i posłała siostrze miazdzące spojrzenie.

– Jakbym nigdy tego nie robiła! – Przerwała, pochłonięta czytaniem wiadomości z ekranu. – Teraz kolej na jazdę Lali. Chce, żebym to sfilmowała i przesłała do jej strony.

– Boże, ta dziewczyna ma obsesję.

Prita wsunęła mandarynę do kieszeni i ruszyła do drzwi.

– Avo, idziesz?

Boks był tylko w połowie sprzątnięty. Przeniosłam spojrzenie z bliźniaczek na wrota uwalane gnojem. Gdyby Modrie Reller to zobaczyła, wysmagałaby mnie drutem po łydkach albo kazałaby mi czyścić resztę gołymi rękami.

– Czy nie wpadniemy przez to w kłopoty?

– W kłopoty? – Prita się roześmiała. – Dlaczego?

– Nie dokończyliśmy...

– Och, resztę zrobią maszyny – odparła Prita i lekceważąco machnęła ręką. – Pani Advani idzie jedynie o to, żebyśmy w praktyce

zapoznały się z historycznymi aspektami zajmowania się końmi.

– Chodź, Avo. – Pia chwyciła mnie za rękę, a potem ujęła pod ramię. – Lali uwielbia mieć tłum widzów.

Wyszłam z nimi z powrotem na wybieg. Dziewczyna, którą wcześniej widziałam, ta z diamentem w nosie, siedziała wysoko w siodle, sztywno wyprostowana. Inna z dziewcząt sprawdzała wodze i strzemiona, a instruktorka przypatrywała się temu z uśmiechem.

Prita wspięła się na płot, wyjęła mandarynę i wycelowała ją w dziewczynę na koniu.

– W porządku, Lali, mam cię! – zawołała.

Lali kopnięciem ponagliła konia do biegu. Jego kopyta uderzały głośno w miękki grunt, gdy zatoczył koło na wybiegu i znowu przemknął obok, obsypując nas ziemią. Lali pochyliła się do przodu nad jego szyją i poruszała się z nim w jednym rytmie, gdy przeszedł w pełny galop.

Usiadłam na płocie obok Prity i Pii. Wszędzie wokół mnie dziewczęta śmiały się i wiwatowały na cześć Lali, kiedy nakłoniła konia do wysokiego klusa. Byłam pośród dziewczyn, które przez całe życie miały konie i mnóstwo czasu, by doskonalić się w jeździe na nich, które nie obawiały się zostawić nieukończonej pracy.

„Chcę też być taka – pomyślałam, gdy Pia odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiewała się z czegoś, co powiedziała jedna z jej towarzyszek. – Jak ona to robi? Jak potrafi być tak swobodna?”

Spojrzałam gniewnie na płot. Może dziewczyny takie jak ja nie są stworzone do bycia lekkimi i beztroskimi jak piórko. Jestem tą, która sprząta po kozach, sama parzy sobie herbatę i naprawia maszyny, jakich te dziewczęta z Akademii Revati nawet by nie tknęły. Albo przynajmniej taką byłam. Teraz jestem... kim? Kimś, kto udaje jedną z nich? Udaję, że moje dotychczasowe życie wcale się nie wydarzyło? Dla nich cały ten świat koni, ładnych strojów i zmyślnych urządzeń nigdy się nie skończy. Nie znają innego i nigdy nie poznają. Ale w moim przypadku wystarczy jeden błędny ruch i wszystko może rozpruć mi się w rękach.

Doktor Lata posadziła mnie w pluszowym fotelu naprzeciwko jej biurka. Sama stanęła po drugiej stronie, opierając palce o szklany blat.

– Zmartwiłaś mnie, Avo – rzekła.

Milczałam, czekając na dalszy ciąg.

Przesunęła dłonią po panelu dotykowym na biurku i ekran tabletu obok ożył. Pojawiły się na nim niewątpliwie rezultaty mojego nieudanego wstępnego egzaminu. Doktor Lata usiadła, spojrzała na nie i westchnęła.

– Twoje wyniki testów z czytania... no cóż, uważam je za zatrważająco słabe jak na dziewczynę w twoim wieku.

Nie zaprzeczyłam temu.

– A twoje wyniki zadań matematycznych są nierówne. – Podniosła wzrok na mnie. – Rozumiem, że pozostawiłaś bez odpowiedzi pytania z trygonometrii, ale jak to się stało, że opanowałaś algebrę na poziomie średnio zaawansowanym, natomiast nigdy nie nauczyłaś się geometrii?

– Ja... – Przełknęłam z wysiłkiem, czując mdłości. – Ja nie wiedziałam...

Doktor Lata zbyła mnie lekceważącym machnięciem ręki, mylnie biorąc moją odpowiedź za przejaw żalosego infantylizmu.

– Kto odpowiadał za twoją edukację?

– Miyole – odrzekłam. – I ja sama.

– Miyole? – Znowu popatrzyła na moje wyniki na ekranie. – Twoja ciotka mówi, że większość życia spędziłaś na statku transportowym.

Przytaknęłam.

– Z pewnością na pokładzie był wykwalifikowany nauczyciel?

Przecząco potrząsnęłam głową.

– Instruktor na stażu?

Ponownie zaprzeczyłam.

– Zatem jak poznałaś choćby te podstawy? Dodawanie? Mnożenie? Ktoś musiał cię tego nauczyć.

Otworzyłam usta, lecz znowu je zamknęłam. Obawiałam się, że jeśli zacznę opowiadać o moim życiu na „Parastracie”, będę musiała także wyjawić, dlaczego się skończyło.

– Avo?

– Nie wiem – odrzekłam. Ale zobaczyłam na jej twarzy wyraz rosnącej irytacji, więc dodałam pośpiesznie: – Z początku uczyłam się sama. A potem Miyole pokazała mi symbole i zadawała zagadki, takie jak te – powiedziałam, wskazując na ekran.

– Avo, chcemy tego, co dla ciebie najlepsze. Wiesz o tym, prawda?

– Tak, czcigodna naj.

– Dlatego postaramy się, żebyś miała możliwie jak najwięcej kontaktów towarzyskich ze swoimi rówieśniczkami, ale wyznaczymy ci tymczasowe akademickie zajęcia wyrównawcze, do czasu, aż nadrobisz braki.

Puknęła w panel dotykowy i wyniki mojego egzaminu zniknęły z ekranu.

„Tymczasowe zajęcia wyrównawcze”. Nie wiedziałam, co to znaczy, ale ze sposobu, w jaki doktor Lata to powiedziała, domyślałam się, że to coś złego. Jestem śmieciem, wyrzutkiem.

– Nie może mnie pani umieścić w jednej klasie z Miyole? – spytałam. – Mogłabym tam nadrobić braki.

– Ach. – Doktor Lata starła z blatu biurka niewidzialny kłębek kurzu. – No cóż, Miyole. To kolejna kwestia.

– Jaka kwestia?

– Miyole jest... – Popatrzyła obok mnie przez okno na Mumbai zalany blaskiem słońca i na statki przelatujące spokojnie nad miastem. Uśmiechnęła się. – Niewiele mamy uczennic takich jak ona. – Uśmiech zniknął z jej twarzy. – Obawiam się, że nie będzie możliwe umieszczenie cię w tej samej klasie.

– Ale dlaczego? Jestem jej... jej... – Zawahałam się. Jej kim? Siostrą? Krewną? – Przyjaciółką – dokończyłam nieprzekonująco.

– Właśnie – rzekła doktor Lata. – Edukacja Miyole to sprawa jej legalnej opiekunki, twojej ciotki Sorai, i moja. Potrzebujesz trochę czasu, Avo, żeby dojść do ładu ze sobą. Skup się na swojej szkolnej nauce. Nie martw się tak bardzo o Miyole. Ona świetnie sobie poradzi. Nawet lepiej niż świetnie.

Wyszłam z gabinetu doktor Lata, wpadłam jak burza do najbliższej łazienki i kopnięciami otworzyłam drzwi wszystkich kabin, by się

upewnić, że są puste. Ukryłam twarz w dłoniach i wrzasnęłam. Ona świetnie sobie poradzi, mówią, chociaż nic o niej nie wiedzą oprócz jej umiejętności czytania i rachowania; nie wiedzą niczego o tej dziewczynce, która niegdyś puszczała latawiec nad Gyre, która z zakrwawionymi dłońmi przetrwała huragan, która musiała się chować przed Wyjcami Marathi.

Nagle zaćwierkała moja mandaryna. Westchnęłam urywanie i niemal ją upuściłam. Zapomniałam, że mam ją przy sobie, ukrytą w wąskiej kieszeni wszytej zmyślnie w spódnicę, na biodrze.

W końcu zdołałam ją otworzyć.

– Co? – rzuciłam.

– Ava?

To była Soraya. W jej głosie usłyszałam nieufność, podejrzliwość. Mimo woli pomyślałam, że głos Perpétue nigdy by tak nie zabrzmiał. Ona mnie rozumiała. Nigdy nie wysłałaby mnie tutaj, żebym doznała upokorzenia.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś nie czekała po szkole na Miyole – rzekła Soraya. – Zadzwoiła do mnie doktor Lata i powiadomiła, że Miyole zostanie po lekcjach. Chcą, żeby napisała jeszcze kilka zaawansowanych testów, więc przyjdę spotkać się z jej nauczycielami. Później przywiozę ją do domu – zakończyła; w jej głosie dźwięczało teraz zadowolenie.

– Czy właśnie tego chce Miyole? – niemal warknęłam.

– Jestem pewna, że tak. Możesz sama z nią porozmawiać, jeśli to ma cię uspokoić.

– Może tak zrobię – burknęłam i z trzaskiem zamknęłam mandarynę, zanim Soraya zdołała powiedzieć coś jeszcze.

Poszłam ciężkim krokiem w kierunku klasy Miyole. Chodziłam przed drzwiami tam i z powrotem, aż wreszcie lekcja się skończyła i na korytarz wypłynął strumień małychdziewczynek. Miyole mnie spostrzegła.

– Ava! – zawołała podekscytowana.

– Cześć, Miyole – powiedziałam i mój gniew nieco stopniał.

– Uczę się dialektu mandaryńskiego – oznajmiła. – A panna Sarangapani powiedziała, że później w tym roku wybierzemy się na

wycieczkę edukacyjną do laboratoriów bioelektronicznych w Bangalore.

– To wspaniale – rzekłam i poprawiłam jeden z jej warkoczyków, który się przekrzywił. – Soraya mówi, że masz po szkole napisać jeszcze kilka testów. Chcesz tego?

– Och, tak! – wykrzyknęła, niemal podskakując z podniecenia. – Doktor Lata powiedziała, że jeśli moje wyniki okażą się dobre, będę mogła się uczyć inżynierii biochemicznej ze starszymi dziewczętami.

– To cudownie. Chcesz, żebym na ciebie zaczekała?

Miyole zastanowiła się, marszcząc czoło.

– Czy Soraya po mnie przyjdzie?

– Tak jest – odrzekłam.

– Więc nie musisz czekać. Soraya może się mną zaopiekować.

Cofnęłam się.

– Jesteś pewna?

Miyole przytaknęła.

– Już z nią rozmawiałam. Powiedziała, że w drodze powrotnej możemy wstąpić na kulfi. Zapytałam Vishwę, co to takiego, a ona powiedziała, że to jest słodkie, ale zimne. – Miyole była tak podekscytowana, że niemal zapominała mrugać. – Muszę już iść. Vishva i Aziza powiedziały, że na zajęciach z biomimetyki będziemy budować własnego szybującego ptaka.

Wyszłam z Akademii Revati sama. Pociąg, w którym tłoczyła się masa ludzi i był duszny upał, wydał mi się teraz mniej obcy i luksusowy. Już nie wyglądałam przez okno. Zamiast dojechać nim aż do domu Sorai, wysiadłam wcześniej w Salt.

Ogrodzenie stoczni Rushila było już całe. Rozerwany odcinek załatano metalowymi arkuszami. Jego przyczepa stała w rogu parkingu, otoczona z obu stron statkami, które dokowały tutaj, by je naprawiono albo rozebrano na części. Wyobraziłam sobie jego ogródek z pnączami ogórków, Rushila i Miyole siedzących razem i wypróbowujących palnik do metalu. Zamknęłam oczy i oparłam się o bramę. To nie była jego wina, że tamtej nocy zjawili się Wyjce, ani trochę nie bardziej niż moja, że potrzebowałam zezwolenia na pracę.

– Hej! – zawołałam.

Pała zaszczekał gdzieś w głębi parkingu. Usłyszałam nierówny

łopot jego łap, jeszcze zanim wyłonił się z za małego stateczku i dokuśtykał do płotu, żeby mnie obwąchać. Czekałam ze wzrokiem utkwionym w rząd statków, lecz nigdzie nie dostrzegłam Rushila. Wiedziałam, że powinnam oddalić się ukradkiem, ale teraz, kiedy byłam tak blisko słupu, pragnęłam nade wszystko wpełznąć do kabiny pilota i posiedzieć w ciszy. Może Rushil znalazłby dla mnie kilka rur do systemu chłodzącego. Przepraszę go za to, że go obwiniałam i że tak się ulotniłam z Miyole, a potem będziemy mogli znowu razem reperować statek.

– Hej! – zawołałam ponownie.

Ale nikt nie odpowiedział, nawet Shruti. Powietrze nad białym betonem i ziemią doku drgało od upału. Gdzieś kilka stoczni dalej zaczął szczekać pies, a potem kolejno dołączyły inne.

„Jakby nigdy mnie tu nie było”.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, ale zanim mogłabym się zastanowić, rozwiązałam rzemyk na szyi z wisiorkiem identyfikacyjnym. Zdjęłam wisior i schowałam do kieszeni, a rzemyk zawiązałam na kokardkę wokół wspornika bramy.

„Byłam tu – pomyślałam. – Może on zobaczy to i przypomni sobie o mnie. Może pojmie, że wróciłam i że go przepraszam”.

Kiedy szłam z powrotem do stacji Sion, nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł. „Khajjiar”. Zatrzymałam się gwałtownie. W dolnej szufladzie mojej komody jest elegancki nowy tablet. Jeśli sprzedam go ulicznemu handlarzowi, dostanę tyle, że starczy mi aż nadto na bilet. Czy ktoś w ogóle zauważyłby moją nieobecność? Miyole już mnie nie potrzebuje, a Soraya i Rushil jeszcze mniej. W Revati jestem bezwartościowa, „tymczasowa”. Nie mogłam już dłużej czekać. Jeżeli istniała choćby najmniejsza szansa, że Luck jest w Khajjiar, musiałam spróbować go odszukać.

Moja mandaryna przez ostatnie dwie godziny ćwierkała niemal bez przerwy. Wyjęłam ją z kieszeni i spojrzałam na ekran. SORAYA. Za oknem pociągu drzewa i małe wioski przemykały w resztkach dziennego światła. Mężczyzna siedzący naprzeciwko mnie po drugiej stronie przejścia między rzędami foteli podniósł wzrok znad tabletu i spojrzał gniewnie na moją mandarynę, jakby chciał wepchnąć mi ją do gardła.

Wzięłam głęboki wdech i otworzyłam ją. I tak prędzej czy później będę musiała odebrać.

– Halo – powiedziałam.

– Ava? Dzięki Bogu! Miyole i ja niepokoiłyśmy się o ciebie. Gdzie jesteś?

– W pociągu.

– W pociągu? – powtórzyła zdezorientowana Soraya. – Wracasz do domu? Kiedy tu dotrzesz?

– Nie wiem. – Popatrzyłam na drugą stronę przejścia. Tamten mężczyzna wbijał wzrok w swój tablet, udając, że nie słucha. – Muszę coś zrobić, coś ważnego. Przepraszam, że nic nie powiedziałam, zanim wyjechałam, ale obiecuję, opowiem ci po powrocie.

– A o której wrócisz?

Skrzywiłam się.

– Jutro.

– Jutro? Dokąd jedziesz, Avo? Co jest tak ważne, że musiałaś zniknąć bez uprzedzenia?

– Do Khajjiar – powiedziałam.

– Khajjiar – powtórzyła. – To aż w Himachal Pradesh. Co ty wyprawiasz? Czy przynajmniej wzięłaś płaszcz?

Płaszcz? Wyjrzałam przez okno. Teren był płaski i piaszczysty. Pewnie nie będę potrzebowała nawet starej kurtki Perpétue, a co dopiero płaszcz.

– Poradzę sobie. Wyjaśnię wszystko, kiedy wrócę. Obiecuję.

– Ava...

– Powiedz Miyole, żeby się nie martwiła – rzuciłam i zatrasnęłam mandarynę, zanim Soraya zdążyła odpowiedzieć.

Kiedy niebo poczerniało, w pociągu zapaliły się lampy i widok krajobrazu za oknem zastąpiło niewyraźne odbicie wnętrza wagonu. Mężczyzny z tabletem, starej kobiety śpiącej w tłumiących hałas nakładkach na uszach, moich postrzępionych włosów i wpadniętych oczu. Wyglądałam jak duch samej siebie. Gdyby Rushil był tu ze mną! Wymyśliłby jakieś strasznie złośliwe i zabawne przezwisko dla tego mężczyzny po drugiej stronie przejścia, pomógłby mi przestać zamartwiać się Luckiem, rozmawiając ze mną o statku i o tym, jak go naprawimy. Zgasiałam lampkę nade mną, owinęłam się kurtką i skuliłam w kłębek, z głową opartą o szybę. Za oknem rozwijała się noc, gęsta i czarna, dziurawiona tylko rozsianymi w oddali światłami, a pociąg wiozł nas do Khajjiar.

Obudziłam się i zamrugałam na widok wzgórz, zamglonych i błękitnych w świetle wczesnego ranka. W czole czułam ból z zimna w miejscu, gdzie opierałam je o lodowate szkło. Usiadłam prosto. Wzdłuż horyzontu ciągnęły się poszarpane białe góry, tak wysokie, że przebijały obłoki. Drzewa i doliny były zielone, ale pokryte szronem. Mój oddech zamglił szybę.

Minęliśmy skupisko domów z panelami słonecznymi na dachach, błyszczącymi jaskrawo w promieniach wschodzącego słońca, a potem zgrabne białe turbiny wiatrowe na wierzchołkach wzgórz. Światło roztapiało się na ośnieżonych zboczach gór jak klarowane masło.

– Herbaty, panienko? – zapytała kobieta pchająca wózek przejściem.

Zatrzymała się przy moim fotelu i nachyliła blisko, żeby nie obudzić innych pasażerów.

– Tak, poproszę – powiedziałam.

Podaliśmy jej plastikowy kwadrat płatniczy i siedziałam, popijając herbatę. Pociąg zwolnił, przejeżdżając przez górską przełęcz.

Wjechaliśmy na stację. Za budynkiem dworca leżało miasteczko na łagodnym zboczu wzgórza, otoczone z trzech stron gęstym zielonym lasem. Większość pasażerów zbierała swoje bagaże i chowała tablety. Otuliłam się szczelniej kurtką Perpétue i wyszłam na peron.

Dął ostry, przenikliwy wiatr, ale gdy wchodziłam do miasteczka, słońce wypaliło już sporo porannego chłodu. Wstąpiłam do sklepu

sprzedającego pakory i usiadłam przy kontuarze, by zjeść kilka.

– Czy słyszałaś o domu dla chłopców w tej okolicy? – zapytałam białowłosą właścicielkę sklepu. – O państwowej szkole z internatem?

Kobieta spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

– Hę?

– Dom dla chłopców bez rodzin – wyjaśniłam. – Pochodzących z przestrzeni.

Kobieta powiedziała coś w języku, którego nigdy dotąd nie słyszałam. Nie był to hindi czy marathi ani żaden z innych dialektów, jakie zdarzało mi się słyszeć w Salt. Zmrużyłam oczy i pochyliłam się do przodu, jakby to mogło pomóc mi zrozumieć jej mowę.

– *Kyaa aap hindi boltii hein?* – zapytałam ją łamanym hindi. „Czy mówisz w hindi?”

– Zaczekaj – powiedziała po angielsku i uniosła guzowaty palec.

Stałam przy kontuarze, czując się głupio, a ona wyszła, kuśtykając. Wróciła z dziewczyną starszą ode mnie o kilka obrotów, która wycierała ręce w ścierkę do naczyń.

– Mówisz po angielsku? – zapytała ta młoda kobieta.

Nosiła koszulę w kratę z rękawami podwiniętymi do łokci i szal owinięty luźno wokół szyi.

– Tak jest – przytaknęłam.

Kiwnęła głową.

– No, mów. Znam język.

Odchrząknęłam.

– Słyszałam, że jest gdzieś tutaj państwowy dom dla chłopców z przestrzeni, których porzucono. Czy któraś z was wie, gdzie dokładnie on się znajduje?

– Och, bladzi chłopcy. – Dziewczyna szeroko otworzyła oczy. – Przy farmie banku nasion. To jakaś godzina drogi pieszo stąd szlakiem na zachód.

Właścicielka sklepu przerwała jej klepnięciem w ramię i coś wtrąciła.

– To jedyny budynek na tym szlaku po tej stronie jeziora – powiedziała dziewczyna. – Nie można go przeoczyć.

– Dziękuję – rzekłam do niej, a potem powiedziałam to samo do

właścicielki sklepu: – *Dhanyavad*.

Wyszłam szlakiem z miasteczka w kurtce zapiętej aż do szyi. Moje buty chrzęściły na żwirze. Pod kołnierz wsączało się zimne wilgotne powietrze, ale wiedziałam, że rozgrzeję się, idąc. Za ledwie godzinę marszu i być może znowu zobaczę Lucka. Za ledwie godzinę i może dotknę go, obejmę. Na ścieżce osiadała późnoporanna mgła. Kiedy go ujrzę, podbiegnę do niego albo stanę, przyglądając mu się i odliczając sekundy do chwili, aż on mnie spostrzeże. Czy mnie rozpozna, taką zmienioną? Gdzieś spomiędzy drzew zawołał ptak, cicho i smutno. A jeśli Lucka tam nie ma? Jeśli Doya miała rację i wszyscy ci chłopcy są młodszy? Jeśli nigdy go tam nie było i pozostanie mi tylko jego widmo? Czy Soraya przyjmie mnie z powrotem, po wszystkich kłopotach i zmartwieniach, jakie jej sprawiłam, zwłaszcza jeżeli wrócę z niczym? Spróbowałam truchtu, ale powietrze było tu rzadkie i już po kilku krokach zabrakło mi tchu w piersi. Poprzestałam więc na jak najszybszym marszu.

W końcu wspięłam się na wzgórze i spojrzałam w dół na wiejski dom na pofałdowanym zielonym pastwisku. Naprzeciwko domu obok małej sadzawki stała stajnia, mocno podobna do tej w Revati. Za domem kompleks szklarni oraz lśniące białe budynki bez okien tworzyły sześciokąt pośrodku doliny. Jakaś postać szła od stajni ku jednej ze szklarni, coś dźwigając.

Ruszyłam w dół zbocza, na poły idąc, a na poły potykając się i zataczając. „Och, Miłosierne, proszę, niech...”. To był mężczyzna, mogłam to już rozpoznać. Zarzucił niesiony ciężar na ramię, a drugą ręką sięgnął do drzwi.

– Zaczekaj! – krzyknęłam bez tchu, mokra od potu.

Mężczyzna się odwrócił i zobaczyłam jego twarz. Był wysoki. I blady. Ale nie był Luckiem.

Miał brązowe oczy, piegowaną skórę w kolorze herbaty ze śmietanką i wyglądał na starszego o sporo obrotów od Lucka. Miał dwadzieścia kilka, może nawet trzydzieści. Zatrzymałam się gwałtownie w pół kroku, jakbym wpadła na mur.

– Och – westchnęłam urywanie.

– Mogę ci w czymś pomóc? – Podszedł o krok bliżej. –

Zabłądziłaś?

– To państwowa szkoła z internatem, tak jest? Ta dla chłopców porzuconych przez ich załogi?

– Owszem – odrzekł. Przerzucił niesioną skrzynkę na drugie ramię i zapytał podejrzliwie: – Czego od nas chcesz?

Wzięłam głęboki wdech. Nie miałam nic do stracenia.

– Szukam kogoś. Kogoś z załogi „Æther”.

– Z załogi „Æther”. – Zmarszczył brwi. – Mówisz, że skąd się o nas dowiedziałaś?

– Od jednej kobiety, z którą kiedyś pracowałam – odpowiedziałam i natychmiast sama usłyszałam, jak mętnie to zabrzmiało.

– Kobiety, z którą kiedyś pracowałaś – powtórzył. – Uhm.

Po plecach pociekła mi strużka zimnego potu.

– Proszę, naj, gdybym tylko mogła wejść do środka...

Wytrzeszczył oczy i wyraz jego twarzy zmienił się z pełnej rezerwy podejrzliwości w kompletne zszokowanie.

– Kim jesteś?

– Ja... – Zawahałam się. – Ja tylko szukam...

– Czy jesteś... – Urwał i potrząsnął głową. – Ale przecież oni nie porzucają dziewczyn. A ty nie wyglądasz na...

Wyprostowałam się.

– Jestem Parastrata Ava.

To nazwisko dziwnie zabrzmiało mi na języku. Kiedy ostatnio je wypowiedziałam? Pół obrotu temu? Dawniej?

– Parastrata. – Przyjrzał mi się uważnie. – Czy to nie ci z rudymi włosami?

– Mój dziadek był z powierzchni – wyjaśniłam. – Stąd. Właśnie dlatego... – Wskazałam na swoje włosy i skórę.

Przez chwilę w zamyśleniu ssął dolną wargę.

– Proszę, naj – powtórzyłam. – Nie zabiorę wam dużo czasu. Chcę się tylko dowiedzieć, czy jest tu ktoś, kogo szukam, a potem pójdę swoją drogą.

– Zaczekaj – rzekł. Wygrzebał z kieszeni starą mandarynę i podniósł do ust. – Hena?

– No, mów – zabrzmiał kobiecy głos.

– Mam tu gościa, dziewczynę, która mówi, że szuka jakiegoś chłopaka z „Æther”. Czy Vina jest w domu?

Przez chwilę na linii panowała cisza. Potem kobieta powiedziała:

– Gościa? Bardzo śmieszne, Howe.

Mężczyzna zerknął na mnie z ukosa.

– Zazwyczaj nie widzimy tu nikogo oprócz pracowników opieki społecznej lub inspektorów rządowych – wyjaśnił. Znowu uniósł mandarynę. – Nie żartuję, Heno. Naprawdę mamy gościa. Czy Vina może się spotkać z tą dziewczyną?

– Wiesz, że ona nie lubi, kiedy się jej przeszkadza – odparła kobieta.

Howe popatrzył na mnie.

– Myślę, że z nią będzie chciała pomówić.

Hena westchnęła.

– Jestem teraz południowo-zachodnim biomie. Przyjdę do budynku i zobaczę.

– Na razie, Heno. Rozłączam się. – Wsunął mandarynę z powrotem do kieszeni i otworzył drzwi szklarni. – Chodź ze mną. Hena poszła się dowiedzieć, czy dyrektor cię przyjmie.

– Dziękuję – odrzekłam i weszłam za nim.

Powietrze natychmiast zmieniło się z mroźnie wilgotnego w parne i duszne. W pomieszczeniu stały ciasno stoły sięgające mi do pasa. Znajdowały się na nich rzędy delikatnych zielonych pędów ogórków, pomidorów, żółtych kabaczków, ketmii i młodej marchewki pnących się ku zaparowanemu szklanemu sufitowi. Rozpięłam kurtkę i obróciłam się wokoło, przyglądając się otaczającemu mnie morzu zieleni. A to tylko jedna ze szklarni, które widziałam ze szczytu wzgórza.

– Czym się tu zajmujecie? Dlaczego macie tyle roślin? – zapytałam.

Howe postawił skrzynkę na półce i otrzepał rękawy koszuli z ziemi.

– Jesteśmy samowystarczalną placówką. Część z tego zjadamy. Ale prowadzimy też bank nasion, najstarszy w Himachal Pradesh. – Otworzył drzwi na korytarz wyłożony białymi kafelkami i przytrzymał je dla mnie. – Tędy.

Przeszłam przez próg.

– Bank nasion? – rzekłam pytającym tonem.

Kobieta w miasteczku użyła tej samej nazwy.

– Hodujemy rozmaite rośliny, a potem zbieramy ich nasiona i rozdajemy farmerom. – Zamknął drzwi i skinął na mnie, żebym poszła za nim. – Wiesz, po to, żeby zaraza nie zniszczyła na przykład wszystkich upraw pomidorów. Jeśli jeden ich rodzaj zaatakuje śnieć czy coś podobnego, staramy się, żeby farmerzy mieli w zapasie inne odmiany.

– Ach tak – powiedziałam, choć nie byłam pewna, czy wszystko zrozumiałam.

Prawa strona korytarza wychodziła na ogród ograniczony z drugiego krańca kolejnymi szklarniami. Lewą stronę stanowiła gładka ściana z szeregiem identycznych białych drzwi i okien ze zbrojonego szkła. W milczeniu minęliśmy sterylne czystą sypialnię, następną szklarnię oraz salę treningową pełną przyrządów tego samego rodzaju, jakich mężczyźni na „Parastracie” używali do utrzymania kondycji fizycznej. Uderzyło mnie, jak bardzo to całe miejsce przypomina statek transportowy, i zastanawiałam się, czy urządzono to celowo, żeby chłopcy czuli się tutaj bardziej swojsko.

– Muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem, by jakaś załoga wyrzuciła dziewczynę – odezwał się Howe.

Wyjrzałam na ogród, w którym grusze zaczynały już owocować.

– To się zdarza.

– Pracuję tu siedem lat i nigdy nie widziałem dziewczyny z załogi. Vina będzie chciała, żebyś jej wszystko o sobie opowiedziała.

Przystanęliśmy przed schodami prowadzącymi w górę do zielonych drzwi ze staroświecką klamką, taką jak ta w domu Sorai.

Howe znów wyjął mandarynę.

– Hena? – rzucił.

– Vina tam jest. Mówi, żebyście wchodzili, jak tylko będziecie gotowi.

– Dziękuję, Heno – powiedział.

Kobieta prychnęła.

– To twój kłopot.

Przez zielone drzwi weszliśmy oboje do kuchni. Wzdłuż ścian biegły półki, a wszystkie blaty ciasno zapełniały paczuszki nasion, klamerki do bielizny, książki i kolorowe słoiki z dżemami, czatniami i marynatami. Na podłodze przy ścianach stały worki ziemniaków i gruszek. Przy zlewie suszyła się sterta talerzy.

– Vina? – zawołał Howe.

– Tutaj – odpowiedział kobiecy głos z sąsiedniego pokoju.

Poszliśmy w kierunku, skąd dobiegł. Vina siedziała przy olbrzymim biurku zarzuconym kablami, brudnymi kubkami i karteluszkami. Były tam też lampa na wysięgniku, tablet i skaner. Za nią widniały pożółkłe tomy rejestrów na półkach sięgających do sufitu. Wyciągnęłam szyję, by przeczytać napis wydrukowany na jednym z grzbietów. OCENY PSYCHOLOGICZNE A-B.

– Lepiej niech to będzie dobra wiadomość, Howe – rzuciła, nie podnosząc wzroku znad tabletu.

– Vino, to jest Parastrata Ava – powiedział. – Przyjechała tutaj, bo poszukuje pewnych danych.

Kobieta uniosła głowę i przyjrzała mi się przenikliwie.

– Mój dziadek pochodził z powierzchni – wyjaśniłam ponownie. – Właśnie dlatego... – Nie dokończyłam, tylko wskazałam ręką na swój wygląd.

Vina skinęła głową i wsparła podbródek na splecionych dłoniach.

– Szukam kogoś z innej załogi – ciągnęłam. – Chłopca nazywającego się Æther Luck.

– Pomyślałem, że będziesz chciała z nią porozmawiać, Vino – wtrącił Howe. – Kiedy zobaczyłem jak...

– Dziękuję, Howe – przerwała mu kobieta i kiwnęła głową. – Sama to widzę.

Howe westchnął z ulgą i wyszedł. Zostałam sama z Viną.

– No dobrze. – Odchyliła się do tyłu w fotelu i spojrzała na mnie, unosząc brwi. – Może usiądziesz? – zaproponowała, wskazując zniszczone krzesło w kącie pokoju.

– Dziękuję, czcigodna naj – odrzekłam i usiadłam niepewnie.

Przemknęłam spojrzeniem po książkach za nią. DOSTAWY ZIARNA ZBÓŻ MAJ – GRUDZIEŃ. FORMULARZE DLA

PORĘCZYCIELI ZWOLNIEŃ WARUNKOWYCH DO PRACY. SPIS WYCHOWANKÓW.

Vina odchrząknęła.

– A więc szukasz kogoś?

– Tak jest. – Poruszyłam się nerwowo na krześle. – Æthera Lucka.

– W jakim jest wieku? – spytała, przyglądając mi się niewzruszenie.

– Teraz? – Usiłowałam przestać się wiercić i usiąść prosto. – Ee... chyba dziewiętnastu albo dwudziestu obrotów... lat.

– Aż tylu? – Vina zmarszczyła brwi. – I kiedy według ciebie miałby się tu zjawić?

Policzyłam w myśli wstecz.

– Gdzieś w ciągu ostatnich ośmiu decyob... miesięcy.

Skrzywiła się i cmoknęła.

– Nie przypominam sobie, by w ciągu minionego roku przybył tu ktokolwiek w takim wieku. Większość chłopców, których przyjmujemy, jest znacznie młodsza. – Okręciła się z krzesłem i sięgnęła po rejestr oznaczony nazwą SPIS WYCHOWANKÓW. – Wiesz, mogłaś uzyskać informację, jakiej potrzebujesz, przez sieć. Nie musiałaś przyjeżdżać aż tutaj.

Przeniknęło mnie gorąco, a potem chłód. Dlaczego o tym nie pomyślałam? Mogłabym już od dawna wiedzieć. Mogłabym już kilka miesięcy temu odnaleźć Lucka.

– Ja... nie wiedziałam o tym.

– Proszę. – Położyła gruby rejestr na biurku i przekartkowała go. – Æther... Æther. Tak, tutaj.

Serce skoczyło mi w piersi.

Vina zaczęła wyczytywać nazwiska:

– Æther Talent, Æther Mercy, Æther Far. – Przewracała strony. – Æther Till. Æther Keep.

Podniosła na mnie wzrok i na jej twarzy pojawił się wyraz rutynowego współczucia.

– Przykro mi, to wszyscy chłopcy z załogi Æther, jakich odnaleźliśmy w ciągu ostatniego roku.

Przez chwilę siedziałam bez ruchu, oszołomiona.

– Proszę, czy... czy mogłabym zobaczyć tę książkę? – wyjąkałam wreszcie.

– Oczywiście – rzekła Vina i podała mi ją.

Przebiegłam wzrokiem stronice i ujrzałam te same nazwiska, które przed chwilą odczytała. Każde znajdowało się na osobnej stronie wraz z danymi. Data przyjęcia, wzrost, przybliżony wiek.

– Ale... – Mój umysł pracował gorączkowo, usiłując znaleźć jakieś uzasadnienie tego, że Vina się myli. – Czy są inne miejsca... domy takie jak ten... w których on mógłby być?

– Właściwie nie – odparła i wyjęła mi z rąk rejestr. – My przyjmujemy wszystkich chłopców znalezionych tu, w kraju, i na stacji Bhutto, ale większość państw nie chce wydawać pieniędzy na rehabilitację bandy nieletnich bezdomnych włóczęgów.

Otworzyłam usta, by zaprotestować.

– Mówię tylko, jak tam ich postrzegają – wyjaśniła szybko. – W większości tych zacofanych krajów ci chłopcy zaczynają w końcu kraść jedzenie, wdają się w bójki, żebrzą. Wielu z nich łąduje w zakładach dla młodocianych przestępców. Tylko nieliczni szczęściarze są odszukiwani i przysyłani tutaj. A my w gruncie rzeczy możemy funkcjonować tylko dlatego, że jesteśmy niemal samowystarczalni. Nie otrzymujemy dużego wsparcia finansowego ze strony rządu.

– Rozumiem – powiedziałam, wpatrując się pustym wzrokiem w stertę papierów na jej biurku.

Vina zamknęła rejestr i odłożyła na półkę.

– Przykro mi. Nie lubię być brutalnie szczerą, ale jeżeli on nie trafił tutaj, szansa, że go odnajdziesz, jest bliska zeru. – Odwróciła się z fotelem z powrotem do mnie. – Czy jesteś absolutnie pewna, że jego załoga go porzuciła?

Przygryzłam usta. „Twarz Lucka krwawiąca po tym, jak ojciec uderzył go pięścią z pierścieniami na palcach. Stalowe spojrzenie oczu Æathera Fortune’a”.

– Nie – odparłam i to słowo miało gorzki smak miedzi.

– A więc to dobrze – rzekła Vina z uśmiechem, lecz wyglądała na zmęczoną. – W istocie to najlepsze, na co możemy mieć nadzieję: że jego załoga jednak go nie porzuciła.

– Tak jest – powiedziałam cicho.

Ale w rzeczywistości ona nie rozumiała. Jeżeli załoga Lucka nie porzuciła go, to może oznaczać tylko, że on nie żyje.

– A teraz, kiedy już odpowiedziałam na twoje pytania, liczę, że ty będziesz tak miła, by odpowiedzieć na moje – rzekła Vina, po czym sięgnęła po swój tablet i puknęła w niego.

„Nagrywanie rozpoczęte” – oznajmił mechaniczny głos.

Vina pochyliła się do przodu nad biurkiem i splotła palce.

– Nigdy jeszcze nie zjawiała się tutaj dziewczyna z którejś z załóg. Jesteś dla nas cennym odkryciem.

– Dziękuję, czcigodna naj, ale muszę już wracać, by zdążyć złapać pociąg. Czekają na mnie w domu.

Vina zmarszczyła brwi.

– Najwyraźniej zaadaptowałaś się znacznie lepiej niż większość naszych chłopców. Twoje doświadczenia mogłyby się okazać nieocenione i przyczynić się do udoskonalenia naszych metod resocjalizacji.

Ugryzłam się w język. Mówiła jak doktor Lata, usiłowała zawładnąć mną poprzez słowa. Dlaczego miałabym opowiedzieć jej o sprawach, których nie wyjawiałam nawet Rushilowi ani Sorai?

– Dziękuję, czcigodna naj – powtórzyłam, tym razem ostrzej. – Ale nie.

– No cóż, pozwól mi przynajmniej poczęstować cię herbatą, zanim odejdziesz – powiedziała z wymuszonym uśmiechem i odsunęła do tyłu fotel. – Czeka cię długa droga powrotna do miasta.

– Dziękuję – wybąkałam.

Vina zakrzętnęła się w kuchni. Nalała wodę do czajnika i rozerwała torebkę z woskowanego papieru zawierającą liście herbaty.

– Wiesz, możemy tyle nauczyć się od siebie nawzajem – zawołała, przekrzykując szum wody płynącej z kranu. – Mogłabyś udzielić nam wielu cennych informacji o stosunkach panujących pośród załóg statków. A my moglibyśmy wykorzystać twoją ładną buzię do przekonania parlamentu, by zwiększył nasz budżet.

Zapłonął we mnie gniew. Ta kobieta prosi mnie o pomoc? Mnie? Dopiero co powiedziała mi pośrednio, że Luck nie żyje, a teraz chce się

mną posłużyć?

Vina wróciła z kuchni z herbatą na tacy, cała w uśmiechach.

– Zastanów się nad tym, Avo. Pomyśl, jak wiele dobrego mogłybyśmy razem zdziałać.

Potałam czoło między brwiami.

– Sama nie wiem – powiedziałam. Zerknęłam w kierunku zielonych drzwi. Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł. – Czy mogłabym pomówić z tymi chłopcami?

Było to ryzyko, ale niezbyt wielkie. Żaden z nich raczej nie pozna z mojego wyglądu, kim jestem, a nawet gdyby któryś zdołał się domyślić, komu mógłby o tym powiedzieć?

– Z chłopcami? – Z twarzy Viny zniknął uśmiech. Postawiła filiżankę na brzegu biurka przede mną i napełniła ją bursztynową herbatą. – Dlaczego chcesz z nimi rozmawiać?

– Może któryś z nich coś wie. – Podniosłam filiżankę. – O tym, co się stało z Luckiem.

– Być może. – Vina przerwała, nalewając sobie herbatę. Jej uśmiech powrócił. – Tak, myślę, że dałoby się to załatwić. A właściwie, dlaczego nie miałabyś zostać tu na noc?

Zesztywniałam.

– Muszę wrócić. Pociąg...

– Następny pociąg odjeżdża za... – rzuciła okiem na swoją mandarynę – za dziewięćdziesiąt minut. Sądziłam, że chcesz mieć więcej czasu na rozmowę z chłopcami.

– Owszem, ale...

– A zatem zostań na noc. – Vina z wdziękiem wzruszyła lekko ramionami, co miało oznaczać: „Przecież to takie proste”. – Jutro Howe odwiezie cię na stację. I kto wie, może kiedy się wyśpisz i wypoczniesz, nabierzesz ochoty na coś więcej niż tylko jedną rozmowę.

Zacisnęłam zęby.

– Dobrze – wycedziłam. Spokojnie odstawiłam filiżankę na biurko. – Ale chyba wolałabym zobaczyć się z nimi teraz.

Vina uniosła brew.

– Muszę cię ostrzec. Oni niezbyt lubią rozmawiać z kobietami.

Niemal się roześmiałam.

– Myślę, że potrafię sobie z tym poradzić.

– Oczywiście. – Skinęła głową i podniosła swoją mandarynę. –

Howe?

– Tak, słucham.

– Zaprowadzisz pannę Parastratę na warsztaty szkolenia zawodowego? Chciałaby wypytać kilku naszych podopiecznych.

– Tak, oczywiście. Już idę.

– Widzisz? – rzekła do mnie Vina. – Mówiłam ci, że możemy pomóc sobie nawzajem.

Howe otworzył drzwi sali szkolenia zawodowego – długiego pomieszczenia bez okien, oświetlonego jaskrawym sztucznym światłem. Chłopcy o ziemistej cerze i włosach czarnych, rudych bądź białoblond siedzieli przy stołach rozstawionych w całej sali, każdy zajęty wykonywaniem innego zadania. Dwaj wymizerowani chłopcy pracowali ze spawarkami, naprawiając elektronikę, inni wpatrywali się w ekrany tabletów albo dyskutowali w niewielkich grupkach. Dopiero po mgnieniu czy dwóch zdałam sobie sprawę, co jest nie w porządku w tej scenie. Niczego nie słyszałam. Ani jękliwego wycia spawarek, ani stukania palców w panele dotykowe, ani szmeru głosów. Pomieszczenie musiało mieć jakiś rodzaj ekranów dźwiękowych podobnych do tych, które chronią dom Sorai przed miejskim hałasem.

– Więc z jakiej załogi jest ten gość, którego szukasz? – zapytał Howe.

– Æther – odpowiedziałam i ruszyłam do przodu, wyciągając szyję, by przyjrzeć się twarzom chłopców przy tabletach. Kiedy podeszliśmy bliżej, działanie ekranów dźwiękowych osłabło i usłyszałam stukanie palców. – Nazywa się Æther Luck.

– Chyba mamy kilku chłopaków Æther na zajęciach z socjalizacji – oznajmił Howe i wskazał głową grupę skupioną wokół stołu w kącie.

U szczytu stołu siedział mężczyzna ze starannie przystrzyżoną czarną brodą, być może nauczyciel. Gestykulował i mówił do nich. Gdy się zbliżyliśmy, z uśmiechem podniósł na nas wzrok.

– Och, spójrzcie – zwrócił się do chłopców przy stole. – Mamy gości. Znaście instruktora Howe'a. – Posłał mi uśmiech. – A oto nadarza się wam doskonała sposobność wyćwiczenia umiejętności konwersacji. Kto chciałby zapytać tę młodą damę o jej imię?

Chłopcy zerkali na mnie z ukosa, lecz żaden się nie odezwał.

– Keep? A może Darrad? – Nauczyciel przeniósł spojrzenie z chudego ciemnowłosego chłopca na nieco starszego, z krótko przystrzyżonymi włosami koloru persymony.

„Darrad”. Przez pół oddechu byłam pewna, że mnie rozpozna. Był synem jednej z farbiarek na naszym statku. Cztery obroty temu

oznajmiono, że nie żyje, zginął w wypadku podczas swojej pierwszej wyprawy na powierzchnię. Pamiętam, że wszystkie żony trzymały jego matkę za ręce, kiedy szlochała z rozpaczy.

Chłopcy nadal milczeli, ramiona mieli skrzyżowane na piersiach, spojrzenia wbite w stół. Żaden z nich nawet na mnie nie patrzył.

Nauczyciel westchnął.

– Amon? – zaproponował.

Spojrzał na cherlawego chłopca z białymi włosami, który siedział obok niego i obgryzał paznokcie. Chłopiec był młody, młodszy niż pozostali.

Amon zerknął nerwowo najpierw na nauczyciela, a potem na swoich towarzyszy. Popatrzył w moim kierunku, ale jego spojrzenie poszybowało gdzieś nad moją głową.

– Miłociępoznaćpanienko.

– Bardzo dobrze – skomentował nauczyciel. – I co dalej?

– JestemAmonatyjakmasznaimię?

– Ava – odrzekłam.

Darrad poderwał głowę. Na jego twarzy odbiły się dezorientacja i podejrzliwość, ale się nie odezwał.

– W czym możemy ci pomóc, Avo? – odpowiedział nauczyciel, uśmiechając się nieco zbyt szeroko.

– Szukam kogoś – oświadczyłam. Spoglądałam kolejno na chłopców, ale wszyscy mieli spuszczone wzrok, nawet Amon. – Nazywa się Æther Luck. Miałby teraz około dziewiętnastu obrotów. Czarne włosy, niebieskie oczy.

Żaden mi nie odpowiedział, chociaż z tego, jak ci dwaj ciemnowłosi poruszyli się niespokojnie na krzesłach i zerknęli na mnie ukradkiem, zorientowałam się, że doskonale wiedzą, o kim mówię. Przecież Luck był pierwotnym synem ich kapitana. A kim ja dla nich jestem? Obcą. Dziewczyną.

Nauczyciel poskrobał się po podbródku.

– Obecnie nie mamy tu nikogo w takim wieku. – Spojrzał na Howe'a. – Zabrałeś ją do Viny, żeby obejrzała rejestry?

– To pierwsze, co zrobiłem. Ona...

– Proszę – przerwałam mu, zwracając się do chłopców. To

niemożliwe, żeby moje poszukiwania miały się tutaj skończyć. – Jeśli któryś z was wie cokolwiek... jeżeli kiedyś usłyszeliście coś o Lucku... błagam, pomóżcie mi.

Chłopcy wymienili spojrzenia, a potem znowu wpatrzyli się w swoje dłonie albo w blat stołu. Żaden z nich nic nie powiedział.

Utkwiłam przeszywający wzrok w chłopcach Æther.

– Proszę.

Jeden z nich nieznacznie potrząsnął głową.

– Chodźmy – rzekł Howe i dotknął mojego ramienia. – Oni nie są dziś zbyt rozmowni.

Cofnęłam się.

– Chłopcy, zobaczymy się dziś po południu w biomie pięć – zawołał, prowadząc mnie do drzwi.

Ekrany dźwiękowe zamknęły się za nami. Kilka miesięcy wcześniej być może kipiałabym gniewem z powodu tego, że ci chłopcy tak mocno trzymają się zwyczajów swoich załóg, że żaden nie raczył ze mną porozmawiać. Ale teraz, patrząc na nich, odczuwałam tylko smutek. Jak kiedykolwiek odnajdą swoją drogę w tym świecie, jeśli nie potrafią się zmusić do rozmawiania z nikim oprócz mężczyzn? Ja mam przynajmniej Miyole i Sorayę, a może też Rushila.

Leżałam w łóżku w kwaterze gościnnej banku nasion. Nie mogłam usnąć, szarpałam nerwowo brzeg szorstkiego koca. Kilka godzin wcześniej z głośników rozbrzmiał głos Howe'a: „Godzina dziesiąta. Gasimy światła”.

Czy jest coś, czego ci chłopcy Æther nie chcieli mi powiedzieć? Czy coś przegapiłam?

„Niebieskie oczy, czarne włosy” – powiedziałam do siebie. Ale nie potrafiłam ożywić w pamięci obrazu Lucka tak jak dawniej. Nie umiałam już sobie wyobrazić, że leży obok mnie.

Wygramoliłam się z łóżka i zaczęłam chodzić tam i z powrotem po niewielkim pokoju. Może w kartotece Viny jest coś więcej? Może czegoś nie zauważyła. Albo postanowiła coś przede mną ukryć. Może chce najpierw dostać coś ode mnie, może chodzi jej o rodzaj handlu wymiennego. Moja twarz i historia mojego życia w zamian za wiadomość o Lucku? Ale jeśli tak, dlaczego nie powiedziała tego

wprost?

Przygryzłam usta. Perpétue spróbowałaby skłonić Vinę do mówienia błyskiem swojego noża i groźnym ściągnięciem brwi. Rushil by ją przekupił. Soraya zaapelowałaby do jej rozsądku, a gdyby to nie dało rezultatu, wezwałaby swojego prawnika. Ale co ja mogę zrobić? Nie mam adwokata Sorai ani jej daru wymowy. Nie sądziłam, by nóż w tym przypadku poskutkował, a jedyna rzecz, jaką Vina zdaje się ode mnie chcieć, to ostatnie, co chciałabym jej dać.

Wciągnęłam buty i ruszyłam do drzwi. Rozsunęły się przede mną szybko, odsłaniając pogrążony w mroku korytarz. Nikt tutaj nie zamknął mnie na klucz. Blask księżycy padał ukośnie na ściany i osrebrzał drzewa gruszy za szklaną szybą.

Skradałam się korytarzem w kierunku gabinetu Viny. Przy każdym mijanych drzwiach przystawałam i nasłuchiwałam. Ale słyszałam tylko ciszę. Chłopcy i cały personel od dawna spali. Przynajmniej tak sądziłam. Jednak to miejsce pod wieloma względami naśladowało statek towarowy, więc mogło mieć również Strażników i reperów patrolujących w nocy teren.

Wkrótce dotarłam do zielonych drzwi. Ukłękłam i przytknęłam ucho do ich drewnianej powierzchni. Nie usłyszałam żadnych głosów, muzyki, brzęku filiżanek i talerzy ani nawet cichego popiskiwanie tabletu czy świergotu mandaryny. Sięgnęłam do góry i nacisnęłam klamkę. Bez skutku. Drzwi były zamknięte.

„Niech to dziewięć piekieł!”.

Musi być jeszcze jakiś sposób dostania się do środka. W mieszkaniu Viny z pewnością są inne pokoje, ale ja widziałam tylko kuchnię i gabinet, wychodzące na ogród i szklarnię...

„Ogród”.

Przekradłam się z powrotem korytarzem, obok kwater gościnnych, sal treningowych i sypialń z chłopcami śpiącymi w kojach. Dotarłam do miejsca, w którym jedna ze szklarni łączyła się z resztą kompleksu. Wewnątrz szklarni lampy rzucały z góry jaskrawe białe światło na rzędy roślin.

Byłam już prawie przy drzwiach na drugim końcu szklarni, gdy otworzyły się gwałtownie i do środka wpadli Hena i Howe.

Zanurkowałam pod najbliższy stół, chowając się przed nimi.

– Nie mogłem się już doczekać, kiedy cię zobaczę – usłyszałam głos Howe’a. A potem... odgłos pocałunku? – Myślałem o tobie przez cały dzień.

Hena się zaśmiała.

– A ja o tobie. Bałam się, że nie ujdiesz z życiem z gabinetu Viny. Zawadzili o jeden ze stołów i Hena krzyknęła stłumionym głosem:

– Uważaj!

– Nie, to ty uważaj – odparł Howe i żartobliwie warknął.

Rozejrzałam się, szukając jakiejś drogi ucieczki. I wtedy ją zobaczyłam. Długie niskie okno wbudowane w ścianę szklarni na poziomie podłogi. Pchnęłam zasuwkę.

– Co to było? – spytała Hena, gdy wypelzałam w nocne powietrze. Z cichym trzaśnięciem zamknęłam za sobą okno.

– Pewnie to tylko któryś z kotów – dobiegł mnie stłumiony szklaną ścianą głos Howe’a.

Dźwignęłam się na nogi. W trawie ćwierkały i cykały jakieś nocne stworzenia. Świecił księżyc w pełni, rzucając ostre, wyraźne cienie. Przemykałam od drzewa do drzewa.

W oknie gabinetu Viny paliło się światło – słabe, żółtawe, całkiem niepodobne do jaskrawego blasku lamp w szklarni. Przywlokłam pod okno jedno z drewnianych krzeseł i weszłam na nie. Vina siedziała przy biurku, pochylona nad tabletem. Od czasu do czasu coś w nim zaznaczała. W pewnym momencie przerwała i przetarła oczy.

Zeskoczyłam z krzesła i przykucnęłam przy bocznej ścianie domu, obejmując rękami kolana. Po jakimś czasie światło zgasło.

Policzyłam do tysiąca i znowu wlażłam na krzesło. Bez trudu podsunęłam do góry okno przy biurku Viny. Dzięki za to Miłosiernym. Podciągnęłam się do otworu okiennego i znieruchomiałam, nasłuchując. Cisza.

Wślizgnęłam się do środka głową naprzód i udało mi się wylądować na podłodze jedynie z cichym stuknięciem. Znowu zaczekałam bez ruchu, ukryta za biurkiem, i policzyłam do pięciuset. Nadal żadnego odgłosu. Wyjrzałam zza biurka do salonu we frontowej części domu. Po jednej stronie były schody na pierwsze piętro. Po

drugiej stronie drzwi zamknięte na zasuwkę prowadziły na zabudowaną werandę, a za nią widniał dziki gąszcz zalany blaskiem księżyca.

Dobrze. Najpierw tablet Viny. Znalazłam go na biurku, na wpół przykryty kartonową teczką z napisem DODATKOWE ŚRODKI FINANSOWE. Pod moim dotknięciem urządzenie ożyło z cichym brzękiem. Zamarłam i zerknęłam w stronę salonu. Nic się tam nie poruszyło.

Odwróciłam się z powrotem do ekranu. W jego centrum rozblyskiwał niewielki prostokąt z napisem HASŁO DOSTĘPU.

„Auć”. Podniosłam wzrok znad ekranu. Czego Vina użyłaby jako hasła? Nie wiedziałam o niej nic oprócz tego, czym się zajmuje zawodowo.

Spróbowałam „Khajjar”.

BŁĘDNE HASŁO.

Poszukałam pierwszej litery z nazwy „Æther”, lecz jej nie znalazłam. Zamiast tego wpisałam więc „Parastrata”.

BŁĘDNE HASŁO.

„Nau”. „Makkaram”.

BŁĘDNE HASŁO. BŁĘDNE HASŁO.

„Bank nasion” – próbowałam zdesperowana.

BŁĘDNE HASŁO, DOSTĘP ZABLOKOWANY Z POWODU WIELOKROTNEGO NIEUDANEGO LOGOWANIA.

Stłumiłam jęk. Musi tutaj coś być, jakiś ślad, cokolwiek. Skoro nie udało mi się wejść do tabletu Viny, mogę przynajmniej przejrzeć dokumenty wypełniające półki za jej biurkiem.

Zdjęłam tom SPIS WYCHOWANKÓW i podsunęłam pod światło księżyca wpadające przez otwarte okno. Zaczęłam od początku i przebiegałam wzrokiem każdą stronę, szukając jakiegokolwiek wzmianki o statku „Æther”. Jego załoga porzuciła wielu chłopców, ale żadnego w ciągu minionego obrotu. Zatrzymałam się dłużej przy nazwisku ostatniego z nich, Æthera Keepa. Wiek trzynaście lat, porzucony nieco ponad obrót temu. Czy Luck go znał? Czy się zastanawiał, gdzie zniknął ten młodszy od niego chłopiec? Czy należał do grupy, która po wylądowaniu porzuciła Keepa, czy może przebywał wtedy na statku?

A jeżeli był w grupie, która wylądowała wtedy na powierzchni, czy

to oznacza, że wiedział o porzucaniu chłopców?

Nie. Nie Luck. Gdyby wiedział, nigdy by na to nie pozwolił.

„Ale nawet gdyby wiedział, co mógłby na to poradzić? – zapytała inna część mnie. – Nie zdołał nawet powstrzymać swojego ojca przed wyrzuceniem go albo czymś jeszcze gorszym...”

Nie pozwoliłam sobie na dokończenie tej myśli. Nie wolno mi myśleć o Lucku jako o martwym, nie teraz, gdy mogę natrafić tutaj na jego ślad w papierach Viny. Zostawiłam rejestr otwarty na biurku i wzięłam z półki następną stertę dokumentów. TRANSFERY Z BHUTTO. KRYTERIA SOCJALIZACJI. ZWOLNIENIA WARUNKOWE DO PRACY I NAUKI. SZKOLENIA ZAWODOWE.

Niczego w nich nie było. A w każdym razie niczego o Lucku.

Zdjęłam z półek następne tomy. SKIEROWANIA NA KONSULTACJE. TERAPIA BEHAWIORALNA. DIAGRAMY REHABILITACJI FIZJOLOGICZNEJ.

Nic, nic, nic.

Biurko Viny było już zarzucone stertami tomów i teczek. W desperacji wzięłam z półki rejestr DOSTAWY ZIAREN ZBÓŻ, chociaż z góry wiedziałam, co w nim znajdę. Nic oprócz kolumn liczb. Upuściłam ten ostatni tom na biurko. Ale w tym momencie spostrzegłam cienką książeczkę, niemal zagrzebaną pod bezładnym stosem papierów. Trudno było ją nawet nazwać książką. Była to cienka papierowa broszura, jeszcze mniejsza od tych, jakie Miyole wydobywała dla mnie w Gyre ze stert śmieci, żebym ćwiczyła się na nich w czytaniu. Wyciągnęłam ją spod innych i przesyłabizowałam tytuł. „Specy...ficzne cechy kulturowe plemion między...plane...tarnych kupców”. Autor: Dr Vikram Hertz.

„Vikram Hertz”. Tak się nazywał mój dziadek.

Książki i teczki ze sterty, którą poruszyłam, wyciągając broszurę, zaczęły się ześlizgiwać poza krawędź biurka. Przyskoczyłam do nich, ale spadły na podłogę z głośnym plaskaniem, jak ryby uderzające o pokład.

U szczytu schodów zapaliło się światło.

– Kto tam jest? – usłyszałam. To Vina. Znieruchomiałam, a potem rzuciłam się do frontowych drzwi. Szarpnięciem odciągnęłam zasuwę i wypadłam na dwór w mroźny mrok. Strach krążył w mojej

krwi ponaglał mnie do coraz szybszego biegu. Minęłam szklarnie, sadzawkę i wspięłam się na wzgórze, w zupełną ciemność lasu. Dopiero kiedy pokonałam już sporą część drogi do miasteczka, przestałam biec i zorientowałam się, że wciąż trzymam w ręku książkę mojego dziadka.

Soraya wyszła po mnie na peron. Miała na głowie skromną chustę w brązowo-niebieskie paski. Niebo poza obrębem blasku świateł dworca było mgliście czarne.

– Khajjiar – powiedziała. – Jest tam państwowy ośrodek dla chłopców porzuconych przez ich załogi.

– Tak jest – potwierdziłam.

Pokiwała głową. Przez chwilę patrzyła niewidzącym wzrokiem na pociągi za mną, a potem znów skupiła spojrzenie na mnie.

– Nigdy więcej tego nie rób.

– Nie zrobię – odrzekłam.

Chciałam teraz tylko spać i spać. Luck zniknął. Nie pozostała we mnie ani odrobina energii czy woli walki.

– Strasznie się o ciebie niepokoiłyśmy – powiedziała Soraya i przytrzymała chustę, żeby nie porwał jej podmuch wiatru.

– Wiem. Przykro mi, naprawdę.

Jej twarz miała bezbronny, bezradny wyraz.

– Jeżeli nie chcesz u mnie mieszkać, Avo...

– Chcę. Ja tylko... chciałam odnaleźć...

Urwałam gwałtownie, zatrzymując się na skraju wyrzucenia z siebie wszystkiego, opowiedzenia Sorai o Lucku, komorze chłodniczej i Iri z krwią na zębach.

Twarz Sorai złagodniała.

– Czy on tam był? Ten, kogo szukałaś?

Nie mogła wiedzieć o Lucku, ale znała zarys sytuacji – wiedziała, że jestem tutaj, o wisiorku identyfikacyjnym i co znajduje się w Khajjiar.

– Nie – odrzekłam. – Nie było go.

Wyciągnęła rękę i objęła mnie. Potem odwróciłyśmy się i ruszyłyśmy do domu.

– Kto z was potrafi wymienić co najmniej dwie spośród niezamierzonych konsekwencji Podziału? – zapytał pan Pallavi, nasz wykładowca zajęć poświęconych związkom historii i literatury, i wskazał ekran elektroniczny na przodzie sali lekcyjnej, na którym naszkicowany przez niego nieregularny trójkąt z podpisem INDIE zygzakowata linia oddzielała od nazwy PAKISTAN.

Nikt nie odpowiedział. Udałam, że notuję w nowym tablecie, który Soraya kupiła mi po moim wypadzie do Khajjiar. Musiałam jej obiecać, że będę codziennie chodzić do Akademii Revati i wracać do domu przed zmrokiem.

Powinnam tylko pisać na ekranie tabletu, ale Miyole pokazała mi, jak można na nim również rysować. Coraz częściej myślałam o wyremontowaniu słupa. To byłoby o wiele bardziej sensowne niż te lekcje, więc spędzałam czas w klasie na szkicowaniu schematów odmiennego poprowadzenia przewodów instalacji chłodzącej. Nie mogłam sprawić, żeby te rury w ogóle przestały przeciekać, ale może jeśli je zaizoluję, wyciek płynu chłodniczego nie uszkodzi innych elementów statku...

Pan Pallavi westchnął.

– Zostawmy tę kwestię. Avo...

Uniosłam głowę i z lęku serce załomotało mi w piersi. Doktor Lata poprosiła wszystkich moich nauczycieli, żeby nie wzywali mnie do odpowiedzi na lekcjach, dopóki nie podciągnę się w czytaniu, ale pan Pallavi czasami o tym zapominał.

– W którym roku doszło do Podziału? – zapytał.

– Ja... ee...

Ze ściśniętym gardłem wbiłam wzrok w tablet. Miyole i ja czytałyśmy o tym wczoraj wieczorem. Pamiętałam, czym był Podział, wiedziałam, że Indie i Pakistan oddzieliły się wtedy od siebie, i znałam wszystkie krwawe zamieszki, jakie miały miejsce przed tym wydarzeniem i po nim. Dlaczego więc nie potrafiłam przypomnieć sobie daty?

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym – wyrwała się

Prita.

„Wiedziałam to. Dlaczego nie potrafiłam tego z siebie wydusić?” – pomyślałam i mocno zacisnęłam zęby.

– Dobrze – rzekł pan Pallavi. – Chennapragada znowu pośpieszyła z odsieczą.

Klasa się roześmiała, a ja skuliłam się za tabletem. Doktor Lata, Soraya i wszyscy nauczyciele wciąż mówią o formowaniu mojego umysłu i pielęgnowaniu zdolności, jakbym była kawałkiem gliny albo grządką roślin gotowych wydać owoce, podczas gdy w rzeczywistości jestem raczej plastikiem, który już zastygł i stwardniał w swoim kształcie.

Spuściłam głowę i czekałam na lekcję geometrii. To jedyna część moich codziennych szkolnych obowiązków, na której nie mam ochoty wrzeszczeć z desperacji. Odbywam te zajęcia w słonecznej klasie na najwyższym piętrze budynku Akademii, razem z Miyole i garstką dziewcząt w wieku pomiędzy jej a moim. To rachowanie, ale zastosowane do rzeczy mających znaczenie w realnym świecie. Wysokość budynków i objętość paliwa, kwestia, ile metrów rur potrzeba, żeby poprowadzić je wokół owalnego zbiornika. Nasza nauczycielka pozwala, żebyśmy Miyole i ja siedziały razem i pomagały sobie nawzajem przy rozwiązywaniu łamigłówek, jakie nam zadaje.

Ale pod koniec dnia Miyole zostaje w szkole na specjalistycznych zajęciach z doktor Latą i Kołem Biomimetyki, a ja jestem porzucona sama w mieście. Kilka razy w drodze do domu mijałam stocznię, ale nigdy nie widziałam się z Rushilem. Nie potrafiłam zdobyć się na odwagę, by wejść i go przeprosić.

Tego wieczoru przy kolacji Soraya miała rozpuszczone włosy, spływające czarnymi falami na żółtą bluzkę. Odstawiła szklanę i popatrzyła nad stołem na Miyole.

– Rozmawiałam dziś o tobie z doktor Latą, moja mała – rzekła z udawaną surowością.

Miyole przestała żuć i popatrzyła na nas, czerwona jak pomidor. Pochyliłam głowę, skrywając uśmiech.

– Powiedziała, że przydzielono cię do przyśpieszonego programu nauczania. W wieku piętnastu lat ukończysz już Akademię Revati

i będziesz miała zaliczonych kilka przedmiotów z college'u. – Soraya uniosła brwi i z żartobliwą powagą wycelowała widelec w Miyole. – Mam nadzieję, że zastanawiałaś się już nad tym, jaki college zamierzasz wybrać, młoda damo.

– Owszem – odrzekła Miyole.

– Ach, tak? – Soraya spojrzała na mnie ukradkiem, mrugnęła i żeby to ukryć, wypila łyk herbaty.

– Tak – potwierdziła z powagą Miyole. – Chcę zostać bioinżynierem Głębinowych Sondowań.

Soraya niemal zakrztusiła się herbatą.

– Naprawdę?

Głębinowymi Sondowaniami ludzie w Revati nazywają wyprawy dalekiego zasięgu w Próżnię, takie, jakie odbywa moja załoga.

– Och, Miyole! – westchnęła. – Jesteś tego pewna?

– Tak – oświadczyła dziewczynka. – Czytałam o nich, a Shushri Veer powiedziała, że potrzebują tam osób takich jak ja. Wiedziałyście, że pszczoły wypuszczone w atmosferę na Tytanie natychmiast popadają w stan hipostazy? I och, czy wiedziałyście, że można zmodyfikować genetycznie pająka, tak żeby snuł samouszczelniające się nici, które da się w Głębinach zastosować w kombinezonach i kadłubach statków? Na naszych zajęciach wyhodowałyśmy całe mnóstwo takich pajaków.

Soraya się wzdrygnęła.

– Poza tym w Głębinach wcale już nie jest niebezpiecznie – dodała Miyole i spojrzała na mnie. – Prawda, Avo?

Znieruchomiałam ze szklanką osłodzonego soku cytrynowego w połowie drogi do ust. Co miałam odpowiedzieć? Próżnia jest niebezpieczna, pełna burz słonecznych i strumieni meteorytów. Czają się tam także rabusie w swoich dziwacznych statkach, którzy tylko czekają, by zaatakować nieostrożnych podróżników, a potem sprzedać załogę i ładunek. Ale z drugiej strony na powierzchni też jest niebezpiecznie. Tu również są burze, a także susze i wojny. Poza tym jeżeli Miyole zostanie kimś w rodzaju inżyniera, najprawdopodobniej poleci jednym z tych statków badawczych dalekiego zasięgu, przy których „Parastrata” wydawała się mała i niepozorna, ilekroć nas mijały. Jej statek będzie miał solidny kadłub, a może nawet żołnierzy lub wyszkolonych

strażników na pokładzie, co zapewni jej bezpieczeństwo.

– To zależy – odpowiedziałam.

Na twarzy Miyole odbił się niepokój.

– Ale nie jest zbyt niebezpiecznie, jeżeli jest się bystrym –
dodałam. Sięgnęłam przez stół i żartobliwie uszczypnęłam ją w ramię. –
A ty nie masz problemu z byciem bystrą, prawda?

Uśmiechnęła się promiennie i potrząsnęła głową.

– No cóż, w każdym razie mamy jeszcze mnóstwo czasu na
przemyślenie tego. – Soraya uniosła szklankę. – Za naszą uczoną.

Miyole i ja trąciłyśmy się z nią szklankami. – Szkoda, że mam
dziś wieczorem zajęcia – powiedziała z westchnieniem Soraya.

Odgarnęła Miyole z oczu kosmyk włosów, a potem udała, że chce
ją złapać za nos. Dziewczynka zachichotała i mrugnęła do niej.

Nieoczekiwanie widok ich obu, tego, jak bliskie się sobie stały,
przejął mnie gorzką słodyczą. Jakże bardzo Soraya lubi Miyole. Jak
bardzo dziewczynka otwiera się przy niej. Ale ta myśl była podszyta
smutkiem z powodu tego wszystkiego, co Miyole utraciła, zanim
znalazła się tutaj, oraz świadomości, że Soraya musiała przeżyć tyle
samotnych lat, zanim nas spotkała. A ja? Jak wyglądałoby moje życie,
gdyby matka nadal żyła albo gdyby mój dziadek pozostał z nami? Co by
było, gdyby mnie i Lucka nie przyłapano? Albo gdyby Iri uciekła razem
ze mną? Ciężar tego smutku był zbyt wielki. Odciągał mnie od naszego
obecnego szczęścia w krainę duchów.

Wstałam i zaniósłam moje naczynia do kuchni. Soraya zjawiała się
tam kilka chwil później, wkładając kurtkę.

– Czy mogłabyś ułożyć Miyole do snu?

Skinęłam głową, skupiona na ostrożnym wkładaniu naczyń do
zmywarki.

– Avo – powiedziała takim tonem, że podniosłam na nią wzrok. –
Dobrze się czujesz?

Ponownie kiwnęłam głową. Z jakiegoś powodu wolałam zostać
sama z moimi duchami. Jakbym się obawiała, że jeśli komuś o nich
powiem, mogłyby zniknąć, umknąć z mojej pamięci.

– Tak – odrzekłam. Wsunęłam dłoń do kieszeni i pogładziłam
kciukiem mój wisiołek identyfikacyjny. – Jestem tylko zmęczona.

Soraya objęła mnie niezgrabnie jedną ręką. Był to mocny, ale krótki uścisk, jakby się obawiała, że gdyby dotykała mnie zbyt długo, mogłaby się sparzyć.

– Wróć o dziesiątej – powiedziała, po czym cofnęła się i spróbowała uśmiechnąć.

– Tak jest.

Położyłam Miyole do łóżka i poćwiczyłam czytanie jej z tabletu. Robiłam postępy. Już się prawie nie zdarzało, abym utykała na jakimś słowie i musiała ją prosić o pomoc. Skończyłam czytać artykuł o sztormach w okolicy arktycznej stacji badawczej, przyciemniłam światło machnięciem ręki i włączyłam oczyszczacz powietrza, który Soraya przyniosła, żeby usunął zapach stęchlizny. Urządzenie wypełniło Pokój miarowym szumem.

– Ava – odezwała się Miyole.

Odwróciłam się do niej. Moje oczy jeszcze nie przywykły do półmroku i nie widziałam jej.

– Będziesz na górze czy na dole? – zapytała, jak robiła każdego wieczoru.

– Na dole – odpowiedziałam. – Przynajmniej dopóki nie wróci Soraya. Zamierzam jeszcze trochę poćwiczyć czytanie.

– Dobrze – rzekła uspokojona i zobaczyłam niewyraźny zarys jej głowy, gdy kładła ją z powrotem na poduszce.

Wymknęłam się z pokoju. Odległy warkot pomp tłoczących powietrze przewodami wentylacyjnymi i wszystkie ciche trzaski i szmery we wnętrzu budynku przejęły mnie lękiem. Ten dom był taki wielki. Ilekroć zostawałam sama, zaczynałam sobie wyobrażać, że ktoś się za mną skrada, przez okna zaglądają członkowie mojej załogi o bladej skórze, a w cieniach czają się mężczyźni z nożami.

Poszłam cicho do swojego pokoju, sięgnęłam pod materac i wyjęłam książkę mojego dziadka. Przeszyło mnie poczucie winy. Czekałam na noc taką jak ta, kiedy Soraya wyjdzie z domu, a Miyole zaśnie, żeby spróbować ją przeczytać.

Wróciłam do kuchni, umieściłam moją mandarynę w ładowarce i stanęłam przy tylnym oknie. Wsłuchiwałam się w szum zmywarki do naczyń i wyglądałam przez okno na ciemne liście drzewa Sorai

poruszane lekkim wietrzykiem. Miyole sfotografowała drzewo swoją mandaryną i poleciła jej, żeby nam powiedziała, co to za gatunek. Klon japoński. Ocalony z jednej z zatopionych wysp na zachód stąd, zanim wszystkie znalazły się pod wodą.

Zamierzałam zapalić światła i usiąść z nogami podwiniętymi pod siebie na którejś z pluszowych sof, ale gdy szłam korytarzem na parterze, mój wzrok przykuły ciężkie dębowe drzwi na jego końcu. Nigdy nie rozmawialiśmy o tych drzwiach, nawet tylko ja z Miyole. Soraya udawała, że ich tam nie ma, więc postępowaliśmy tak samo.

Podeszłam do nich cicho. Jedną rękę miałam wyciągniętą przed siebie, w drugiej ścisnęłam książkę dziadka. Wizjer błysnął ku mnie, a mosiężna klamka była zimna w dotyku.

Nieznacznie uchyliłam drzwi. W powietrzu wisiała woń stęchlizny. Posunęłam się powoli przed siebie w mrok. Nie wiedziałam, czego się mogę spodziewać. Zamkniętego pokoju pełnego rzadkich książek, a może zimnych warkoczących maszyn, jak te w domu Pankaja. Ale gdy mój wzrok przystosował się do ciemności, zobaczyłam tylko szerokie biurko z ciemnego drewna stojące na środku olbrzymiego białego dywanu. Za panoramicznym oknem po prawej widać było ogród i klon. Wzdłuż pozostałych ścian biegły puste półki.

Zatrzasnęłam drzwi, obeszłam biurko i przysunęłam sobie skórzany fotel. Skóra zachrzęściła cicho, gdy na nim siadałam. Tutaj panowała cisza. Przez grube drzwi nie docierał żaden z odgłosów domu. Pstryknęłam włącznik lampy i Pokój zalało żółtawe światło. Po drugiej stronie stał pusty fotel z obiciem w czerwone i złote kropki. Przesunęłam dłońmi po drewnianym blacie biurka. Wyczuwałam słoje, ziarniste nierówności i miejsca, w których fornir stał się w ciągu wielu lat.

Czyje to było biurko? Nie Sorai. Ona nigdy tu nie przychodziła. Ale potrafiłam czytać ze zniszczonego blatu tego biurka jak z odwrotnej strony gobelinu. Ktoś codziennie siedział przy nim, pisał, czytał. Mój dziadek Vikram, którego książkę teraz trzymałam? Poglądziłam palcem miejsce na skraju blatu wytarte do żółtego drewna. Pasowało idealnie do szerokości mojego palca. Czy dziadek tarł je codziennie nieświadomie, pochłonięty lekturą? Czy pił tu herbatę? Czy myślał tutaj o mojej matce? O mojej babce?

Otworzyłam jedną z szuflad biurka. Uniosła się z niej intensywna, głęboka woń, dymna i słodka, ale sama szuflada była pusta. Pachniała nieokreśloną starością, jak gdyby źródło tego zapachu było tu uwięzione przez lata. Zajrzałam do następnej szuflady. Także nic. Kolejne dwie po drugiej stronie również okazały się puste.

„Soraya miała rację – pomyślałam. – Niczego tu nie ma”. Pozostała jeszcze tylko jedna cienka szuflada nad moimi kolanami. Zacięła się, ale pociągnęłam ją, szarpnęłam i w końcu ustąpiła z rozdzierającym skrzypieniem.

Było w niej tylko, po prawej stronie, gładkie urządzenie wielkości dłoni. Czarne jak kamień, zimne, przyjemnie ciężkie, jakby przeznaczone do spoczywania w ręku lub na dnie kieszeni. Przesunęłam kciukiem po jego powierzchni, a wtedy zamigotało i ożyło. Barwne światło utworzyło obraz. Dość jeszcze młody mężczyzna z czarną brodą przetykaną cienkimi szarymi pasmami nachylał się, obejmując ramieniem uroczą czarnowłosą kobietę o ciepłej brązowej cerze, noszącą różową kraciastą chustę, bardzo podobną do chusty Sorai. Na jego kolanach siedziała maładziewczynka o wielkich czarnych oczach i ciemnych lokach, ubrana w żółtą sukienkę. Za nimi widniały fioletowo-czarne liście drzewa Sorai. Pochyliłam się bardziej nad ekranem. „Kto to?”. Ale po chwili dotarło do mnie. Mój dziadek. On, jego pierwszażona i... Soraya. Soraya jako maładziewczynka.

Musnęłam palcem jej policzek. Od tego dotknięcia obraz zadrgał i przepłynął w inny. Dziewczyna mniej więcej w moim wieku o włosach jak jasny płomień i białych niczym muszla policzkach pożyłkowanych włoskowatymi naczyniami krwionośnymi pólleżała w łóżku porodowym, piastując w ramionach niemowlę o różowej skórze. Rozpoznałam Pokój i łukowe drzwi za łóżkiem. To sala porodowa „Parastraty”. Poznałam też ciemne włosy niemowlęcia. Takie same jak małej Sorai, jak moje. Młoda dziewczęca matka uśmiechała się do mnie, upojona miłością, która przenikała przez ekran i przez cały ten długi czas między tamtą chwilą a obecną.

„Moja babka Maram. I moja matka Ete jako niemowlę”.

Umieściłam zdjęcie na kolanach. Ostrożnie wyjęłam spod pachy książkę dziadka i położyłam na porysowanym blacie biurka. Papier

zaszeleścił, gdy ją otwierałam.

SŁOWO WSTĘPNE

W trakcie moich studiów nad plemieniem międzyplanetarnych kupców Parastrata czy załogą, jak wolą być nazywani, musiałem się uciec do niezwykłych środków, by pozyskać ich zaufanie i współpracę. Niektórzy twierdzą, że wykroczyłem poza granicę poprawnych, ściśle naukowych badań. Odpowiadam im: Czymże jest poprawność wobec poszukiwania wiedzy? We współczesnych badaniach socjologicznych trzeba niekiedy odłożyć na bok własne normy społeczne po to, by zgromadzić możliwie najprecyzyjniejsze dane. Bez przekroczenia przez mnie naszych dość zaściankowych tabu obowiązujących w społeczności naukowców fascynująca kultura plemienia Parastraty pozostałaby dla nas po dziś dzień zagadką.

Zmarszczyłam brwi. Najprecyzyjniejsze dane? Fascynująca kultura? Czytałam dalej, zadowolona z praktyki, jaką zdobyłam w Revati. Nie znałam wszystkich słów użytych w tym fragmencie, ale chwyciłam sens wyводу mojego dziadka. Może jednak nie całkiem zmarnowałam czas, chodząc do szkoły.

W trakcie mojego pobytu na pokładzie tego statku jego kapitan Parastrata Harrah wymógł na mnie, żebym poślubił jego najmłodszą córkę Maram. Gdybym odmówił, moje badania zostałyby zagrożone. Zażądano by, abym opuścił statek na jednej z ziemskich placówek granicznych lub stacji orbitalnych leżących na trasie naszej podróży. Wówczas nie ukończyłbym z załogą jej tradycyjnego dwuipółletniego rejsu. Tak więc wszedłem w społeczność załogi kupców nie jako zwykły obserwator, lecz jako uczestnik jej wyjątkowego, ekscytującego kulturowego życia. Z tej uprzywilejowanej pozycji mogłem udokumentować osobliwości i przesady stanowiące elementy codziennych interakcji członków załóg kupców, jak również ich najbardziej uświęcone rytuały, które zazwyczaj pozostają niedostępne dla postronnych. Dzięki mojemu małżeństwu z córką Harraha, narodzinom dziecka oraz wkrótce potem nieszczęśliwemu zgonowi mojej młodej żony mogłem być świadkiem unikalnych obrzędów towarzyszących zaślubinom, narodzinom i śmierci. W razie gdyby moi

krytycy zarzucili mi bezduszość, niech zważą, że chociaż zakończyłem mój okres obserwacji na pokładzie „Parastraty”, nadal utrzymuję kontakt z jej załogą i wspieram potomstwo będące owocem mojego krótkotrwałego małżeństwa poprzez regularne przysyłanie prezentów.

„Potomstwo mojego krótkotrwałego...?”. Szeroko otworzyłam oczy. Moja matka. Miał na myśli moją matkę. Wiedziałam już wcześniej, że była jego córką, ale zszokowało mnie, że ujął to tak zimno.

Postanowiłem pozwolić, aby moja córka zrodzona ze związku z Maram pozostała ze swoją załogą. Chociaż osobiście być może byłbym skłonny w interesie dociekań naukowych zmodyfikować moje kulturowe fundamenty, nie chciałem jednak zakłócić wzorców życia obiektów moich badań. Dlatego gładko wszedłem w rytm życia załóg i równie gładko go opuściłem, powodując minimum zakłóceń. Moje metody mogą wydać się nieortodoksyjne, ale działałem, uwzględniając z moralnego punktu widzenia dobro przedmiotów moich studiów, toteż zachowuję przekonanie o słuszności obranej przeze mnie metodologii. Zawsze postępowałem, mając na uwadze przede wszystkim poszerzenie naszej wiedzy.

Opuściłam książkę na kolana. W uszach wciąż brzmiały mi słowa dziadka: „Obiekty moich badań. Gładko... mając na uwadze przede wszystkim poszerzenie wiedzy”. „Gładko”? A co z moją matką? Co ze mną? I z Sorayą, tak samotną w tym domu, dopóki nie zjawiłyśmy się ja i Miyole? Jego decyzje nadal odbijały się na nas, nawet tyle pokoleń później. Czy nie powinnyśmy znaczyć dla niego więcej niż wiedza? Wszystko, co wiedziałam dotąd o moim dziadku – prezenty dla mojej matki, to, jak był dobry i miły dla mojej babki, jak z oddali wspomagał naszą załogę, jak taktownie postępował wobec nas – legło teraz w gruzach. Na policzki wystąpiły mi gorące rumieńce. Znowu podniosłam książkę, przekartkowałam ją i zatrzymałam się na przypadkowej stronie.

...odkryłem, że role związane z płcią są na pokładach statków międzyplanetarnych handlarzy ściśle rozdzielone. Kobiety dźwigają na swoich barkach brzemień najcięższych, najniezbędniejszych prac, całymi dniami farbują tkaniny, gotują, sprzątają, piorą ubrania, a także zajmują się zwierzętami i dziećmi. Mają ręce zawsze pełne roboty. Nawet

w wolnych chwilach stale tkają albo cerują. Dziewictwo jest wysoko cenione, toteż dziewczęta wydaje się za mąż nawet już w wieku trzynastu lat, aby zagwarantować ojcostwo i maksymalnie wykorzystać okres płodności każdej kobiety.

Wiedziałam, że powinnam przestać czytać, ale nie potrafiłam. Wsunęłam rękę do kieszeni i mocno ścisnęłam mój wisiołek identyfikacyjny, nie odrywając wzroku od stronicy.

Natomiast dla mężczyzn zarezerwowane są nawigacja, naprawy elektronicznych i mechanicznych elementów statku, a także negocjacje handlowe. Te ostatnie często są prowadzone na powierzchniach planet. Dlatego dla mężczyzn konieczne jest utrzymanie kondycji fizycznej, aby mogli znieść zwiększone ciśnienie grawitacyjne panujące na wielkich ciałach planetarnych. Aby przeciwdziałać bolesnym i potencjalnie katastrofalnym skutkom przenoszenia się ze statków załogowych o relatywnie słabym polu grawitacyjnym do środowiska o wysokiej grawitacji, mężczyźni i chłopcy odbywają codziennie trening siłowy, a okresowo korzystają z komór kompresyjnych, w których symuluje się siłę pełnego G, równą ziemskiemu ciśnieniu grawitacyjnemu.

Po zapoznaniu się – w trakcie moich przygotowań do terenowych prac badawczych – z archiwami pierwszych załóg, stało się dla mnie jasne, że na wczesnym etapie swojej historii w załogach wymagano odbywania grawitacyjnego treningu aklimatyzacyjnego (GTA) zarówno od mężczyzn, jak i kobiet. Kapitan Harrah i inni mężczyźni zajmujący kluczowe stanowiska na pokładzie „Parastraty” utrzymywali, że to nieprawda i że jednym z powodów, dla których załogi nigdy opuściły Ziemię, była chęć uchronienia ich kobiet przed kontaktem z „nieczystym światem”. Należy sądzić, że praktyka zezwalania kobietom na uczestniczenie w GTA zmieniała się stopniowo z biegiem lat i w końcu została włączona do wspólnej pierwotnej mitologii załóg. Długoterminowy wpływ tego procesu na zdrowie kobiet należących do załóg jest niejasny i wymaga przeprowadzenia dalszych badań.

Wzięłam gwałtowny wdech. „On wiedział”. Odłożyłam książkę i zamrugałam w żółtawym świetle. Wiedział, co się stanie z moją matką i ze mną, jeśli pozostaniemy na „Parastracie”. Wiedział, że będziemy spędzać dni na tkaniu, pieczeniu i sprzątaniu, aż pęcherze pokryją nam

ręce, że wydadzą nas za mąż, żebyśmy rodziły dziecko po dziecku. Wiedział, co się stanie z naszymi ciałami, jeżeli kiedykolwiek spróbujemy opuścić statek. A jednak nas tam zostawił.

– Domyślałam się, że prędzej czy później tu trafisz.

Usłyszawszy te słowa, drgnęłam i sięgnęłam po nóż.

W drzwiach stała Soraya. Weszła, usiadła w fotelu naprzeciwko biurka i wyciągnęła rękę po książkę.

Puściłam rękojeść noża i pchnęłam do niej broszurę po blacie. Na mojej dłoni odcisnął się czerwony półksiężyc w miejscu, gdzie wisiołek identyfikacyjny wbił się w skórę.

– Gdzie ją znalazłaś? – zapytała.

– W Khajjiar – powiedziałam.

Westchnęła ciężko.

– Prawdę mówiąc, dziwię się, że nie natknęłaś się na nią wcześniej.

– Czy ona... – Nie byłam pewna, jak ująć to, co chciałam powiedzieć. – Czy wielu ludzi ją przeczytało?

Soraya skinęła głową.

– Mój ojciec, twój dziadek, zyskał reputację dzięki tej książce, tym badaniom. – Odłożyła ją ostrożnie na skraj biurka. – Był człowiekiem kontrowersyjnym, z powodu tego, co zrobił, a nie sposobu przeprowadzenia badań. Jego małżeństwo z Maram wywołało skandal, przez nie moja matka go porzuciła, więc oczywiście każdy chciał przeczytać tę książkę.

– Czy właśnie tym jestem? – Spojrzałam na książkę. – Czy tylko tym byliśmy dla niego my wszystkie, moja matka, moja babka i ja? Obiektem badań?

Przypomniałam sobie, jak Modrie Reller wychwalała najdoktora za to, że przysłał nam kiedyś parę kotów – Królową i Toma – żebyśmy mogli je rozmnożyć i sprzedać ich młode innym statkom czy pogranicznym placówkom nękanym przez szczury. „Jest taki hojny” – zgodziły się wszystkie starydziewczyny. Mogliśmy dzięki temu zarobić sporo pieniędzy. Teraz, poznawszy ten bogaty, luksusowy dom – wody tu tyle, że możemy używać jej do kąpieli, a gotowaniem i praniem zajmują się maszyny – pojęłam jasno, że tamten gest był dla niego niczym. Te koty były prawdopodobnie bezpańskie. Zgarnął je z ulicy

albo co najwyżej kupił za cenę filiżanki herbaty.

„Powinnaś być wdzięczna, że w ogóle o was myślał” – zrugął mnie głos Modrie Reller w mojej głowie. Ale on wcale o nas nie myślał. Nie przyszło mu do głowy, by się zastanowić, co się stanie z moją matką i ze mną. Dotychczas wierzyłam, że było inaczej, że troszczył się o nas z oddali. Ale w rzeczywistości znaczyłyśmy dla niego tyle co te koty. Nie żył już, kiedy moja matka umierała młodo ani kiedy mój ojciec starał się przehandlować mnie Ætherowi Fortune’owi. Ale wiedział, czym stanie się nasze życie, kiedy nas porzucił, i nawet nie kiwnął palcem, by temu zapobiec.

Odsunęłam fotel do tyłu i odwróciłam się do okna. Do tej pory nie rozumiałam, że zwykle znaki na stronicy czy ekranie mogą tak zranić i ugodzić rykoszetem. Nie pojmowałam, jaką mogą mieć moc. Nagle przebywanie w tym miłym uporządkowanym miejscu wydało mi się zbyt niebezpieczne, skoro w każdej chwili mogłam wybuchnąć płomieniem, zniszczyć cały ten dom, cały ten świat wokół mnie.

– Muszę iść – wydusiłam.

– Ava – powiedziała Soraya i wstała, zagradzając mi drogę do drzwi.

– Proszę. Nie chcę tu teraz być.

– Ale jest późno – rzekła z wahaniem. – Dziewczynie samej w nocy grozi niebezpieczeństwo.

– Soraya, proszę.

Usłyszałam w swoim głosie drżącą, jękliwą nutę rozpacz, ale nie mogłam nic zrobić, by to powstrzymać. Nikogo nigdy nie obchodziło, co się ze mną stanie, a teraz ja też o to nie dbałam. Wiedziałam tylko, że muszę znaleźć się jak najdalej od tego domu, sama. Rzuciłam się do drzwi. Soraya odstąpiła na bok w ostatnim mgnieniu, inaczej bym na nią wpadła. Porwałam z kuchennej ładowarki moją mandarynę, wsadziłam ją do kieszeni skórzanej kurtki Perpétue, którą szczelnie się owinęłam, i pchnęłam frontowe drzwi.

– Avo, zaczekaj! – zawołała Soraya, gdy popędziłam obok palisandrów.

Ale nie usłuchałam. Zatrzasnęłam się w sobie, przyśpieszyłam i pognałam na oślep w wilgotną noc Mumbaju.

Powlokłam się ciężko cichymi alejkami, przy których stały rezydencje. Ich światła migotały za gęstymi krzakami żywopłotów. Doszłam do stacji kolei magnetycznej. Wsiadłam do pociągu, a kiedy dojechałam na skraj miasta, wyskoczyłam na przypadkowej stacji. Ulice roiły się od ludzi. Otoczył mnie blask neonów i kolorowych szyldów – JUICY POW! GET SOME NOW!; RAM’S DREAM – HOT, HOT, HOT! Przechodziłam się wąskimi uliczkami. Ominęłam bandę dzieciaków toczących bitwę na wodne pistolety oraz grupę kobiet, na której czele paradowała dwudziestokilkuletnia dziewczyna z dłońmi pokrytymi wzorami namalowanymi henną, w podkoszulku z napisem POCAŁUJ PANNE MŁODĄ. Kobiety śpiewały ile sił w płucach. Światła pobliskich domów i mglista poświata ulicznych latarni rozmywały czerń nieba i zalewały wszystko blaskiem niczym w środku dnia.

Potem domy się odsunęły. Weszłam na kładkę dla pieszych i nagle ujrzałam Salt z jego rurami wodociągowymi i wzgórzem nabijanym światłami, wznoszącym się nade mną jak olbrzymi wirujący rój lamp, ludzi i budynków. Nie wiedziałam, dokąd idę, dopóki się tu nie znalazłam.

Ruszyłam szybkim krokiem, po części po to, żeby uniknąć mężczyzn kopających papierosy w bocznych alejkach i pijaków zataczających się na chodnikach, a po części dlatego, że nie mogłam znieść bezruchu. Emanowałam całym płonącym we mnie gniewem, strachem i nienawiścią. Pijacy ustępowali mi z drogi, a palacze papierosów omijali mnie wzrokiem, wypatrując innych dziewczyn, od których nie bije taki żar furii.

Dotarłam do ogrodzenia stoczni Rushila. Zgrabny statek Perpétue – mój – stał na drugim końcu parking, przykryty kilkoma warstwami płacht ochronnych. Przystanąłam przy bramie płotu. Teraz czułam się tylko wypalona i stara, przepełniona tęsknotą za czymś znajomym. Wbiłam kod cyfrowy, wślizgnęłam się do środka i przebiegłam przez ciemny parking do chłodnego znajomego kadłuba słupa.

Jedno ostre szarpnięcie i płachty ochronne zsunęły się do moich nóg. „Mój statek. Mój dom”. Wstukałam już połowę kodu otwierającego

właz, zanim przypomniałam sobie, że Rushil i ja nigdy nie podłączyliśmy nowego sprzęgu ani zregenerowanego akumulatora, który wymontowaliśmy ze starego dwuosobowego stateczku napędzanego energią atomową. Mogłabym otworzyć klapę ręcznie, ale jej zgrzyt obudziłby całą okolicę.

„Auć”. Walnęłam pięścią w burtę statku i rozejrzałam się po placu. Obok czarnego klipra stała zwykła stalowa drabina. Przywlokłam ją, oparłam o słup i wspięłam się po szczeblach na jej szczyt.

Na pancerzu widniały wypalone smugi po licznych wejściach w atmosferę, lecz stalowe płyty nadal chroniły przed dziennymi upałami. Wciągnęłam się przez otwór do wnętrza słupa i usiadłam na podłodze. Mogłam stąd widzieć całe Salt i sterczące za nim w oddali co wyższe iglice miasta, spowite mgiełką słonej wody i blasku światła. Żałowałam, że nie ma przy mnie Perpétue, żeby mogła to zobaczyć. I że nie ma też Lucka. Widok miasta rozmazały mi łzy w oczach. Myliłam się. To nieprawda, że nigdy nikogo nie obchodziłam. Tyle tylko, że wszyscy, którym na mnie zależało, już nie żyją.

Usłyszałam ciche stukanie w podbrzusze słupa.

– Ava? – dobiegł mnie stłumiony głos.

Rushil. Pośpiesznie otarłam oczy i wychyliłam się za burtę.

– Tak, to ja – powiedziałam. – Tutaj.

Wyszedł spod statku, nerwowo ściskając w rękach kij do krykieta i lampę z osłoną.

– Co tu... Nic ci nie jest? – zapytał.

Oparł kij o burtę i zaczął wchodzić po drabinie, wciąż z lampą w ręku.

Zaczekałam, aż dotrze na górę, i dopiero wtedy odpowiedziałam:

– Nie... nie wiem.

Nie wiedziałam nawet, od czego zacząć, tyle tego było.

Rushil zsunął osłonę lampy i postawił ją na krawędzi burty. Jej światło odbiło się w jego okularach.

– Zobaczyłem kogoś na górze. Miałem nadzieję, że to ty.

– I dlatego wziąłeś ze sobą ten kij?

Wiedziałam, że Rushil miał na myśli tylko to, że zabrał go na wypadek, gdyby zakradł się tu jakiś złodziej statków, jednak mimo to

przebiegł mnie dziwny, nikły dreszcz lęku.

Uśmiechnął się szeroko.

– Tak. Pomyślałem, że to może jeden z tych superinteligentnych szcurów, które podobno żyją w rurach kanalizacyjnych. Ankur jest przekonany, że to prawda.

Zaśmiałam się.

– Przepraszam, nie zamierzałam cię przestraszyć. Ja po prostu... chciałam pobyc trochę sama. Nie wiedziałam, dokąd indziej mogłabym pójść.

Rushil chwycił najwyższy szczebel drabiny.

– I nadal chcesz być sama?

– Co? Nie. – Zabrzmiało to trochę jak śmiech, a trochę jak płacz. – Nie, już nie.

Wgramolił się do środka i usiadł obok mnie.

– Rany, miło tu na górze. Teraz rozumiem, dlaczego Shruti spędza tyle czasu na szczytach statków.

Znowu się roześmiałam i smutek we mnie trochę się rozproszył.

Rushil przysunął stopę do mojej. Z początku pomyślałam, że to przypadek, ale potem zaczął delikatnie wybijać rytm o bok mojego buta. Wciąż czułam się przygnębiona i pusta, ale uśmiechnęłam się i odpowiedziałam podobnym stukaniem. Rushil położył dłoń na mojej i poczułam, że skórę musnęło mi coś miękkiego. Spojrzałam w dół. Miał owinięty podwójnie wokół nadgarstka zniszczony wąski skórzany pasek. „Mój rzemyk”. Z rozchylonymi wargami spojrzałam chłopcu w oczy. „Dowiedział się, że przyszłam go odszukać. Dowiedział się, że mi przykro”.

Nic nie mówił, ale ciepły dotyk jego szorstkiej dłoni sprawił, że do oczu znów napłynęły mi łzy.

– Nie jestem z Gyre – wyrwało mi się.

– Nie? – Zamrugął zaskoczony. – Ale Miyole... mówiłaś...

– Ona tak. Jej matka krótko przed śmiercią wzięła mnie do siebie. To ona nauczyła mnie pilotować ten statek. Ale ja pochodzę stamtąd, z góry.

Podniosłam wzrok ku niebu. Nawet najjaśniejsze gwiazdy nie przebijały się przez miejską mgiełkę.

– Z... masz na myśli... z przestrzeni? – spytał i spojrzał na mnie badawczo zza szkieł okularów, jakby był przekonany, że musiałam się pomylić.

Przytaknęłam.

– Ale twoja ciotka... powiedziałaś, że jest stąd...

– To skomplikowane. – Zacerpnięłam tchu. Musiałam mu o tym powiedzieć. – Rushil, ty mnie nie chcesz.

Uniósł brwi.

– Czyżby?

– Tak. Myślisz, że chcesz, ale ja nie jestem... – Słowa ugrzęzły mi w gardle. – Ja jestem mocno złą materia. Tylko ranię wszystkich wokół siebie. I... i zrobiłam coś tak złego, że moja załoga, moi ludzie, nie chcieli mnie już u siebie. Dlatego tu jestem.

– Avo – rzekł i przewrócił oczami. – Co takiego mogłabyś zrobić?

– Był... był Luck.

Kiedy wymówiłam jego imię, coś we mnie pękło i wylały się wszystkie te sprawy z mojej przeszłości, które dotąd tak starannie ukrywałam. Opowiedziałam o Soli, Iri i trybie życia żon. O tym, jak oddałam się Luckowi, jak nas przyłapano i jak zostawiłam go pokrwawionego i zawstydzonego. I na koniec o wyroku, jaki na mnie wydano, i o tym, jak Iri mnie ocaliła i odesłała na Ziemię zamiast w bezdenną Próżnię

Zapadło między nami napięte milczenie.

– Oni... oni zamierzali wyrzucić cię na zewnątrz żywą? – zapytał wreszcie Rushil.

Skinęłam głową i włosy opadły mi na twarz. Nie odgarnęłam ich.

– Och, Avo... – rzekł i jego dłoń zacisnęła się na mojej.

– Przepraszam – powiedziałam. – Ale teraz rozumiesz?

– Tak.

Westchnęłam.

– To dobrze.

Zahaczył kciukiem o mój.

– Nie obchodzi mnie, że byłaś z kimś innym.

Milczałam przez chwilę zaskoczona.

– Nie?

– Nie – potwierdził. – Tak czy owak, Avo, to nadal jesteś ty.

Po moim ciele powoli rozlało się ciepło. Z popiołów zgliszczy, pośród których leżało moje serce, przebił się przez mrok mały zielony kielek.

Bez namysłu nachyliłam się poprzez niewielką dzielącą nas odległość i ustami odszukałam usta Rushila. Zesztywniał, ale po chwili jego wargi zmiękły, dotknął mojej twarzy i wtulił się we mnie. To w niczym nie przypominało całowania się z Luckiem. Było odmienne – powolny żar, który stopniowo narastał, jakby nasze usta wzmacniały elektryczne napięcie między nami, im dłużej były ze sobą złączone. Nie sądziłam, że ktokolwiek jeszcze tak mną poruszy, nie sądziłam, że moje serce pomieści to napięcie. Zanurzyłam się głębiej w ten pocałunek, zatraciłam się w jego nieoczekiwanym żarze.

Kiedy w końcu oderwaliśmy się od siebie, wyrwał mi się nerwowy śmiech.

Rushil, bez tchu, wpatrzył się we mnie otwartymi szeroko oczami.

– Avo, ja nie...

Ale przerwałam mu następnym pocałunkiem.

Oparliśmy się plecami o ciepłe płyty statku. Rushil miał oddech słodki od goździków i kardamonu, ale w tę parną noc jego ciało emanowało też przyjemną wonią świeżego potu. Kiedy odgarnął mi włosy z karku, jego dłoń była szorstka, lecz dotyk delikatny. Nie pragnęłam niczego, tylko zatopić się w całowaniu z Rushilem.

Po jakimś czasie odsunęliśmy się od siebie i leżeliśmy ramię przy ramieniu, wpatrując się w niebo.

– Już późno – rzekł. – Musisz wrócić do domu?

– Nie.

– Chcesz pójść ze mną do Zarine? – spytał, obracając ku mnie głowę. – Powiedziała, że zdobyła kilka zapasowych rur, które mógłbym wykorzystać w slupie.

Usiadłam.

– W moim slupie?

Rushil też się podniósł.

– Nie. Słyszałem, że te superinteligentne szczury zakładają własny Instytut Głębinowych Sondowań. – Uśmiechnął się i szturchnął mnie

w żebra. – Oczywiście, że w twoim. A w czym?

Poczułam pod skórą mrowienie energii. Czułam się silna. Młoda. Spokojna i pewna. Nie chciałam wracać do domu, jeszcze nie teraz. Pragnęłam wyjść z Rushilem, stać się z nim częścią tej nocy.

– Dobrze. Chodźmy.

Ulica Rushila była niemal pusta, ale w miarę jak zbliżaliśmy się do wzgórza, spotykaliśmy coraz więcej ludzi. Grupy dziewcząt szły razem, roześmiane, ich wysokie obcasy stukwały na jezdni. Chłopcy w wieku Rushila stali w kręgach pod ulicznymi latarniami, pijąc i udając, że się ze sobą boksują. Pary spacerowały pod rękę. Rushil sięgnął do tyłu i chwycił moją dłoń.

– Wiesz, tu dawniej były slumsy – powiedział. – Ale potem zbudowano sieć linii kolejowych i powstały tu głównie składy i magazyny. A obecnie...

Nawet z oddali z budynków na wzgórzu dobiegały gwar głosów, stłumione dźwięki muzyki i brzęczenie generatorów słonecznych. Powędrowaliśmy głębiej w Salt. Tutaj nie było jak na południowym krańcu miasta, pełnym ekscytujących jaskrawych szyldów wabiących do wnętrz lokali. Tutaj trzeba było wiedzieć, dokąd chce się pójść. Każdy budynek był jakby małym oknem umożliwiającym wejrzenie w inny świat. Tapri rozbrzmiewające brzękiem filiżanek, z kelnerami krążącymi powoli wokół stolików. Sala zalana niebieskim światłem, pełna tańczących ludzi, wijących się razem do niezmiennego rytmu. Jakiś mężczyzna podniósł na nas wzrok znad basenu fontanny wypełnionego po brzegi czarną wodą. Dziesiątki cieni sylwetek kłębiły się za zasłonami z gazy w lofcie na piętrze.

Wszystkie tutejsze uliczne zamiatarki jakoś przerobiono. Jedna przetoczyła się obok nas przykryta pancierzem udającym skorupę żółwia. Inna wyglądała, jakby pomalowano ją henną. Jeszcze inna, pędząc ulicami, rozbrzmiewała brzękliwą muzyką. Szliśmy zakolami pod górę, coraz bliżej szczytu Salt. Od czasu do czasu w wąskich prześwitach między budynkami na obrzeżach wzgórza dostrzegaliśmy przelotnie w dole miasto i jego gęsto utkany dywan świateł.

Kiedy pokonaliśmy dwie trzecie drogi na szczyt, Rushil się zatrzymał.

– To tutaj – powiedział, wskazując na stary magazyn znajdujący się na wysokości mniej więcej trzech pięter nad nami.

Połowa budynku wystawała nad zboczem wzgórza i biegnącą w dole linią kolei magnetycznej, podtrzymywana grubymi metalowymi podporami wyrastającymi z gołej ziemi stoku poniżej. Z oświetlonych okien dochodził do nas odległy szmer głosów i muzyki.

– Tutaj? – spytałam.

Rushil przytknął złożone dłonie do ust i zawołał:

– Hej, Zarine! Zarine!

Ktoś – ale nie Zarine, tylko jakiś mężczyzna – wychylił głowę z okna.

– Cześć! – krzyknął do niego Rushil. – Wpuść nas na górę.

Nad nami rozległy się ciche szczęknięcia i ujrzelśmy opuszczającą się powoli platformę zawieszoną na metalowych linach. Wylądowała obok nas, wzbijając kłęb pyłu. Rushil wskoczył na nią, a ja zrobiłam to samo.

– Jak my... – zaczęłam pytanie, ale Rushil już chwycił ręczną korbę wbudowaną w bok platformy i zakręcił nią powoli, płynnie.

Platforma zadygotała i uniosła się nad ziemią.

– Zarine i kilkoro jej przyjaciół wyłożyli wewnątrz gipsowymi płytami dekoracyjnymi, zamontowali instalację wodno-kanalizacyjną i wszystko inne. Są tu teraz mieszkania – wyjaśnił Rushil, spoglądając w górę na spód magazynu i jednocześnie kręcąc korbą wciągarki.

Wjechaliśmy na poziom budynku i szmer wzmógł się do stałego gwaru głosów i dźwięków muzyki. Gdy Rushil zablokował platformę i przymocował ją do ściany, gwałtownie otworzyły się drzwi, wypuszczając falę światła lamp i przenikliwej brzękliwej muzyki.

– Rushil, dotarłeś tu!

Wysoka kobieta o bujnych kształtach, potrząsając burzą włosów, wychyliła się nad szczeliną między platformą a framugą drzwi i uściskała Rushila. Miała na sobie czarną sukienkę opinającą ciasno biodra, a z jej uszu zwisały okrągłe mosiężne kolczyki wielkości pięści. Wszystko w niej było jakby na gigantyczną miarę: włosy, oczy, nogi. Za nią kuchnia oddzielała nas od cieplejszego pokoju, w którym niewielki tłum ludzi wylegiwał się na poduszkach rozłożonych na podłodze,

sofach i owalnych, podobnych do muszli fotelach, rozmawiając i sącząc ze szklanek piwo albo herbatę. Na oparciu najbliższej sofy przysiadł przystojny ciemnoskóry mężczyzna z sitar. Podtrzymywał czule gryf instrumentu i w roztargnieniu trącał struny, rozmawiając z parą siedzącą naprzeciwko niego. „To Ankur” – uświadomiłam sobie.

– Witaj, Zarine – powiedział Rushil i też ją objął.

– A ty pewnie jesteś tą dziewczyną, o której mówił Rushil – rzekła. Wzięła mnie za rękę i pomogła mi przekroczyć szczelinę. – Ava, tak? Ta, która uratowała tamtą małą dziewczynkę?

Te jej ostatnie słowa zawstydziły mnie i zakłopotwały. Czy miała na myśli Miyole? Ale przecież w istocie to nie ja ją uratowałam.

– Och, nie, ja... ja nie... – usiłowałam wyjaśnić, lecz zagłuszył mnie wzmożony gwar głosów w sąsiednim pokoju.

„Czy właśnie taka jestem?” – pomyślałam. Spojrzałam na Rushila. „Czy on tak mnie postrzega?”

– Chcesz piwo? – krzyknęła do mnie Zarine. – A może herbatę?

– Herbatę – powiedziałam.

– Śmiało, częstuj się. – Machnęła ręką z bransoletami w kierunku stołu-ławy zastawionego bezładnie szklankami i dzbankami. – A ty, Rushil?

– Dziękuję, nic mi nie trzeba – odparł. Rzucił spojrzenie na mnie. – Mówiłem Avie, że masz dla nas kilka rur...

Zarine westchnęła z udawaną urazą.

– Odwiedziłeś mnie tylko ze względu na te zapasowe części?

Musisz obiecać, że potem posiedzisz i przynajmniej napijesz się herbaty.

Rushil uśmiechnął się szeroko.

– Obiecuję.

Zarine też błysnęła znowu zębami w uśmiechu.

– Chodź, mam te rury na dole w pomieszczeniu gospodarczym.

Nachylił się do mnie.

– Chcesz iść z nami?

Z salonu za mną dobiegł wybuch śmiechu. Obejrzałam się przez ramię. Młodzi mężczyźni i kobiety, wszyscy w moim wieku albo tylko trochę starsi, siedzieli razem, czując się ze sobą całkiem swobodnie. Nigdy jeszcze nie byłam w takiej sytuacji.

Odwróciłam się z powrotem do Rushila.

– Chyba zostanę tutaj.

– Wrócę za chwilę – powiedział.

Przelotnie ścisnął mi ramię i podążył za Zarine. Okrążyli tłumek ludzi i wyszli innymi drzwiami. Bez niej Pokój wydał się nagle ciemniejszy, jakby zgasła jakaś lampa.

Nalałam sobie szklankę herbaty i usiadłam ze skrzyżowanymi nogami na podłodze na obrzeżu grupy w salonie. Wszyscy wokoło byli głęboko pogrążeni w rozmowie. Rozprawiano o muzyce, o tym, kto urządza pokaz w galerii, a kto wybrał się na którąś z planet. Tylko że nie znałam żadnej z tych osób, o których mówiono.

– Cześć, Avo. – Ankur klapnął obok mnie z sitar w rękę. – Fajnie cię tu spotkać. Skąd znasz Zarine?

– Nie znam – odparłam. Wypiłam łyk herbaty. – Rushil mnie przyprowadził.

Ankur wskazał ręką drzwi, za którymi zniknęli Rushil i Zarine.

– Straciłem moją muzę. Chcesz ze mną zaśpiewać?

Niemal zakrztusiłam się herbatą.

– Nie wiem. – Przełknęłam, żeby zyskać na czasie. – Nie jestem stąd. Nie sądzę, żebym znała którąkolwiek z waszych piosenek.

– Nawet *Roztop to?*

Przecząco potrząsnęłam głową.

– Ani *Płoń, sito, płoń?*

Ponownie zaprzeczyłam.

– A *Powódź?* Każdy zna *Powódź*.

Po raz trzeci pokręciłam głową.

Ankur szarpnął struny sitar.

– No więc może zaśpiewaj coś z twoich stron, a ja spróbuję ci akompaniować.

Przeszył mnie nerwowy dreszcz lęku.

– Nie mogę.

– Daj sPokój – rzekł Ankur, ukazując w uśmiechu nieskazitelnie białe zęby. – Nikt cię tutaj nie zje. Powiem im, żeby nie nagrywali tego na swoje strony.

– Nie chodzi o to – powiedziałam i odstawiłam pustą szklankę na

podłogę.

– Jesteś jedną z tych nieśmiałych dziewcząt, które zawsze tylko przysłuchują się rozmowom innych? – zakpił dobrodusznie.

– Nie – odparłam, chociaż prawdopodobnie miał rację. – Tylko że... nie powinnam.

– Nie powinnaś czego? – zapytał.

– Śpiewać – wyjaśniłam.

Czułam się dziwnie, mówiąc to, zwłaszcza tutaj, teraz.

Ankur spojrział na mnie zdumiony, jakbym powiedziała, że nie powinnam oddychać albo pozwalać, by rosły mi paznokcie.

– Dlaczego? Czy kiedy cię usłyszymy, rzucimy się wszyscy pod pociąg? Aż tak okropnie śpiewasz?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, lecz uświadomiłam sobie, że w istocie nie wiem, co się stanie, jeśli zaśpiewam. Coś złego, coś, co dotrze do uszu złych ludzi – a przynajmniej tak było w historii o Mikim i korsarzach. Ale teraz już nie wiedziałam. Miyole miała rację. Obecnie, gdy lepiej poznałam działanie wszechświata, historia o Mikim miała dla mnie mocno mało sensu. A poza tym wszystkie te wersety ze *Słowa Niebios* o tym, co spotka kobietę, która dostanie się w okowy Ziemi, są tylko częściowo prawdziwe. Może i ucierpiałam, ale nadal jestem tu w jednym kawałku. Może więc nie stanie się nic złego, jeśli zaśpiewam. Może wcale nie wyniknie z tego żadna tragedia.

– Dobrze – wychrypiałam. Odchrząknęłam i powtórzyłam mocniejszym głosem: – Dobrze.

– A więc w porządku – rzekł Ankur. Nastroił struny. Kilka osób wokół nas ucichło, potem inni odwrócili głowy w naszym kierunku. – Zaczynaj, kiedy będziesz gotowa.

Zagrał pojedynczą cichą wibrującą nutę. Następna grupka ludzi ucichła. W tym momencie spostrzegłam Rushila. Stał w drzwiach, trzymając pod pachą pęk plastikowych rur. Zamknęłam oczy, by odgrodzić się od wszystkich tych twarzy zwróconych ku mnie. Zarzuciłam kotwicę głęboko w siebie i zaśpiewałam jedną z pieśni, którą usłyszałam kiedyś przez ściany i którą śpiewałam potem nocą w głowie na mojej koi, mając po bokach ciepłe ciała moich sióstr. Pieśń żałobną Saeleas, którą śpiewała przez łzy, gdy Ziemia znikła w oddali, tysiąc

ileś tam obrotów temu.

- Żegnajcie, skało, dolino i rzeko,
- Żegnajcie, ptaki, co w chmurach fruują,
- Gdyż obowiązek wzywa mnie daleko,
- Więc wyśpiewuję me serce, wzdychając.

Ankur brzdąkał na sitar, towarzysząc mojemu głosowi, z początku cicho, potem głośniej, gdy rozeznał się już w melodii. W całym pokoju zapadła cisza.

- Uchwyc tę nić jakże ciężką, o uchwyc,
- Ucisz swój śmiech, moje dziecię kochane,
- Bo musimy ten świat nasz opuścić,
- I na wieczne wyruszyć wędrowanie.

Otworzyłam oczy. Rushil stał bez ruchu nad morzem głów i patrzył na mnie tak, jakby moja pieśń przejęła go do głębi. Podniosłam głos i zaśpiewałam wersy odpowiedzi Candora jego żonie. Ankur zdwoił tempo, by mi dorównać, i szybko szarpał struny. Jego gra i mój śpiew utworzyły razem coś nowego, coś jednocześnie z tego i nie z tego świata.

- Nie myśl o skale, rzece i obłokach,
- Nie myśl o ptakach, co w chmurach fruują.
- Nasza wolność nas wzywa tam wysoko,
- Gdyż tutaj nasze serca umierały.

Głos mi się załamał, a Pokój się rozmazał, ale wymrukałam sól z oczu i utkwiłam spojrzenie w Rushilu.

- Ukochana, nie oplakuj utraty,
- Nie myśl o tym, co na zawsze porzucasz.
- Uchwyc mocno swym sercem i myślą
- To nowe życie, którym teraz oddychasz.

Z mojej piersi wybrzmiał ostatni wers, a ja porzucałam – Lucka, moją załogę i to, co mogłoby być. Wpatrywałam się w Rushila. Stałam pusta i czysta, gotowa, by wypełniło mnie to, czym moje życie może się jeszcze stać.

Wślizgnęłam się z powrotem do domu Sorai w mdłym, szarym świetle poranka. Dom przywitał mnie cichym elektronicznym dźwiękiem i trzaśnięciem, gdy drzwi zamknęły się za mną. Zdjęłam buty i na palcach poszłam do schodów. Myślałam tylko o miękkich poduszkach i ciemnym przyjaznym wnętrzu mojej sypialni. Ale gdy skręcałam za róg, by wejść na górę, wpadłam prosto na Sorayę. Wypuściła ciężki metalowy dzban, który trzymała w objęciach. Potykając się, rzuciłam się naprzód i zdążyłam go złapać, nim upadłby z brzękiem na podłogę, ale zimna woda z niego chlusnęła mi na przód koszuli. Znieruchomiałam, przemoczona do suchej nitki.

– Przepraszam – wyjąkałam.

Soraya spoglądała na mnie z ustami rozchylonymi ze zdziwienia i zaskoczenia. Miała na głowie bladoniebieską chustę, którą włożyła przed porannymi modlitwami. Wyglądała jak jakaś święta, w czystym wyprasowanym ubiorze, świeża i wyspana. Byłam aż nadto świadoma tego, że moje ubranie jest sztywne od pyłu i zaschniętego potu, a w ustach mam kwaśny smak nieprzespanej nocy. Zaczerwieniłam się, gdy sobie przypominałam, że wybiegłam z domu, wrzeszcząc jak rozpuszczona maładziewczynka.

Uniosłam dzban.

– Chcesz, żebym ci go zaniósła?

– Tak, proszę – szepnęła Soraya.

Nie widziałam wcześniej, jak go używa, ale wiedziałam, że obmywa wodą dłonie, twarz i stopy przed porannymi modlitwami. Widywałam wieczorami ten dzban, dopiero co opróżniony do zlewu na zużytą wodę do użytku gospodarczego, stojący przy jej łóżku. Zaniósłam go teraz w kąt salonu, gdzie Soraya trzymała zrolowany dywanik do modlitw, i nalałam wodę do miednicy.

– Dziękuję – powiedziała. Rzuciła spojrzenie na moją mokrą koszulę. – Może pójdź się przebrać, a potem porozmawiamy.

Skinęłam głową i oddaliłam się chyłkiem w kierunku schodów, ale gdy do nich dotarłam, coś kazało mi obejrzeć się za siebie. Przez szklane drzwi po wschodniej stronie domu wpadał różowy blask słońca. Soraya

rozwinęła dywanik do modlitw i uklękła powoli. Trzymała przed sobą złożone dłonie i mamrotała w świetle wczesnego poranka. Spuściłam głowę i ruszyłam schodami na górę, znikając jej z oczu. Na jej miejscu chciałabym, żeby zostawiono mnie samą, kiedy się modłę.

Zajrzałam do Miyole. Spała mocno w różnym półmroku swojego pokoju. Oddychała miarowo, twarz miała spokojną, gładką, bez tej małej zmarszczki, która pojawiała się między jej brwiami, kiedy się czymś martwiła. Zmieniłam koszulę w przytulnej ciszy mojej sypialni. Przez długą chwilę przyglądałam się tęsknie łóżku, ale strząsnęłam z siebie senność. Byłam winna Sorai rozmowę i im wcześniej ją odbędę, tym lepiej.

Gdy zwlokłam się na dół, dzban i miska stały już znowu puste w kuchni przy zlewie. Soraya parzyła herbatę. Czekala na mnie, siedząc przy rozrzuconych na stole filiżankach, łyżeczkach i spodkach. Wskazała mi ręką krzesło naprzeciwko niej. Usiadłam.

Nalala mi filiżankę herbaty.

– Martwiłam się o ciebie – powiedziała cicho, stosownie do tej wczesnej pory. – Dokąd poszłaś?

– Pospacerować – odrzekłam. Mój głos zabrzmiał szorstko i zgrzytliwie. Łyknęłam herbaty i spróbowałam jeszcze raz: – Pojechałam do statku.

– Do statku? – powtórzyła zaskoczona Soraya i odstawiła filiżankę. – Statku matki Miyole? Jak się dostałaś do doku?

– Znam kod – wyjaśniłam. – Z czasów kiedy Miyole i ja tam mieszkaliśmy.

Soraya spochmurniała, jakby wołała sobie nie przypominać tego faktu. Wrzuciła do filiżanki kostkę cukru.

– Ten statek jest dla ciebie ważny, prawda?

– Owszem – przytaknęłam.

Westchnęła.

– Wiesz, co o tym myślę. Niebezpiecznie jest wędrować po Salt w nocy.

– Nie musisz się martwić. Przez cały czas byłam z Rushilem – powiedziała i natychmiast pożałowałam, że nie trzymałam buzi na kłódkę. „Jestem głupia, głupia” – pomyślałam.

– Z Rushilem? – spytała Soraya.

– Z Rushilem Vaishem – wyjaśniłam. – Jest właścicielem stoczni, w której dokuje nasz statek.

Soraya spojrzała na mnie ostro.

– Ten młody mężczyzna? Ten w okularach, wytatuowany?

– Tak jest – potwierdziłam cichutko. – Ten sam.

Zapadła między nami cisza. Soraya naląła sobie następną filiżankę herbaty.

– I co robiliście we dwoje przez całą noc?

W tym pytaniu Sorai było ukryte inne. Jej spojrzenie przesunęło się obok mnie ku starym książkom za moimi plecami.

– Rozmawialiśmy. – Spuściłam wzrok. Nawet jeśli niezupełnie skłamałam, nie potrafiłam spojrzeć na Sorayę, skoro nie mówiłam jej całej prawdy. – I poszliśmy do domu jego przyjaciółki.

Nie chciałam powiedzieć jej o śpiewaniu ani o elektryzującym żarze jego ust. Pragnęłam zachować te wspomnienia tylko dla siebie.

Soraya westchnęła i ściągnęła z włosów chustkę, która teraz pognieciona okalała jej szyję.

– Wiesz, jeśli chcesz, mogę wysłać cię znowu do lekarki. – Zamknęła oczy i potarła grzbiet nosa. – Mogą dać ci zastrzyk, który uchroni cię przed zajściem w ciążę.

Wyprostowałam się na krześle i zaczerwieniłam aż po koniuszki uszu.

– Ale ja nie... My tego nie robiliśmy!

Soraya uniosła brwi, jakby pytała: „Naprawdę?”.

– Nie robiliśmy – powtórzyłam.

Zabębniła lekko paznokciami o brzeg filiżanki i przytaknęła samej sobie skinieniem głowy.

– Wierzę ci – powiedziała. Utkwiła we mnie spojrzenie dużych czarnych oczu. – Ale jeśli kiedykolwiek będziesz zamierzała, obiecaj, że najpierw przyjdiesz porozmawiać ze mną. Obiecaj, że będziesz na siebie uważać.

Kiwnęłam głową, wciąż z gorącym rumieńcem na twarzy.

– Dzieci są tak bardzo... – Umilkła i uśmiechnęła się smutno. – Chcę tylko, żebyś mogła przynajmniej teraz być tylko dziewczyną. Chcę,

żebyś miała taką szansę.

– Ale ja już nie jestem dziewczyną – odparłam.

Nie byłam nią już od wielu obrotów.

– No więc młodą kobietą – rzekła Soraya. – Mam na myśli tylko to, że twoje życie nie musi być takie ciężkie. Możesz tak wiele osiągnąć, tyle dokonać.

– Wiem. Przepraszam, naprawdę. Nie zamierzałam cię martwić.

Soraya westchnęła. Wyglądała na znużoną, miała wymizerowaną twarz.

– Chcę cię tylko chronić. Wiem, Avo, że nie jestem twoją matką, a ty jesteś prawie dorosła. Ale jeśli cokolwiek ci się stanie... – Sięgnęła przez stół, roztrącając filiżanki, i chwyciła mnie za rękę. Palce miała zimne, szczupłe i kościste. – Nie myślę w taki sposób jak mój ojciec. Nie jesteś dla mnie obiektem badań. Jesteś moją jedyną żyjącą krewną. Jeżeli coś ci się stanie, ja... – Urwała i gwałtownie wypuściła powietrze z płuc. – Nie masz pojęcia, co to znaczy mieć znowu rodzinę, po tylu latach.

– Miałybyś Miyole – powiedziałam.

– Tak – zgodziła się. – Ale nie miałabym ciebie. – Odchyliła się do tyłu na krześle i zakryła dłonią oczy. – Proszę, Avo. Musisz przestać uciekać.

Uświadomiłam sobie, że ona płacze. „Ale dlaczego?”. Przecież łączyła ją ze mną jedynie najcieńsza nić pokrewieństwa. „Ale żadne pokrewieństwo na świecie nie powstrzymało twojej załogi przed knowaniami, by pozbyć się ciebie, od momentu śmierci twojej matki. Nie powstrzymało ich przed próbą unicestwienia duszy matki razem z ciałem”. Pomyślałam o Sorai i Miyole chichoczących razem przy kolacji, o Perpétue trzymającej mnie za ramię, gdy stawiałam moje pierwsze, przesywające sztyletami bólu kroki na Ziemi.

Ścisnęłam dłoń Sorai w mojej.

– Już więcej nie ucieknę – powiedziałam. – Przyrzekam.

Przepraszam, Sorayu.

– Ja też cię przepraszam – rzekła. – Gdybym tylko znalazła cię wcześniej, gdybym usilniej szukała, kiedy przybyłam na pokład „Parastraty”, żeby pochować twoją matkę.

Ale ja nie potrafiłam tego żałować. Nie jest dobrze życzyć sobie

odmienienia tego, co było. Gdyby Soraya wykradła mnie i zabrała na Ziemię, kiedy byłam młodsza, może nigdy nie doświadczyłabym wstydu, jaki przeżyłam po tym, co przydarzyło mi się z Luckiem, i dorastałabym starannie wyedukowana, zadbana i wychowana. Ale wówczas nigdy też nie pokochałabym Lucka. Nigdy nie nauczyłabym się pilotować statku i nie siedziałabym za sterami, kiedy Perpétue opuściła się na dół, by ratować Miyole. Nie dostrzegłabym cudowności tego świata, gdyby nie były tak długo przede mną ukrywane. Nie byłam zachwycona tym, jak potoczyło się moje życie, ale też nie żałowałam tego.

– To wcale nie twoja wina – rzekłam do Sorai.

Ona nie jest Perpétue. Nie zawsze mnie zrozumie ani nie będzie dla mnie tą, jaką pragnęłabym się stać. Ale mnie kocha. A więc jednak nie wszyscy ludzie, których obchodziłam, odeszli.

– Wszystko to już przeszłość – powiedziałam. – Teraz tu jest moje życie.

– Czy miałaś kłopoty z powodu tamtej nocy? – zapytał mnie Rushil.

Odwrócił ku mnie głowę od obejmy rury, którą skończył przyspawać do wewnętrznej strony kadłuba słupu, i podniósł osłonę kasku spawacza.

Ściągnęłam gogle spawalnicze na szyję i zgasiałam płomień mojej spawarki. Ręczny reflektor wiszący na haku nad naszymi głowami rozświetlał mrok wnętrza statku.

– Trochę – odpowiedziałam.

– Dużo?

Przecząco potrząsnęłam głową.

– Muszę jej teraz mówić, dokąd idę, jeżeli zamierzam wrócić po zmroku. I powinnam przez cały czas mieć przy sobie mandarynę, żeby Soraya mogła zadzwonić, jeśli będzie mnie potrzebowała. –

Wykrzywiłam się do mandaryny przymocowanej do mojego paska. – I ona chce, żebyś któregoś z najbliższych dni wpadł na podwieczorek.

– Na podwieczorek? – Rushil z sykiem wciągnął powietrze przez zęby, jakby ktoś kopnął go w piszczel. – Wprost nie mogę się doczekać, prawda?

Pomyślałam, co by się stało, gdyby to Modrie Reller, a nie Soraya, wymierzyła nam kary. Moje spojrzenie powędrowało w górę, wzdłuż osmalonej rury, do sufitu.

Rushil popatrzył tam gdzie ja.

– Tęsknisz do tego?

Opuściłam głowę.

– Do czego?

– Bycia tam w górze – rzekł. – W przestrzeni.

Przygryzłam dolną wargę i oparłam się plecami o kadłub.

– Małą odrobinę. – Zaczęłam pstrykać przetyczką mojej spawarki, tak że płomień na przemian syczał i cichł, syczał i cichł. – Nie tęsknię do pracy przy farbowaniu ani do poczucia, że jest się nieustannie pilnowanym i śledzonym. Ale okrążanie ciemnej strony jakiejś planety, bycie zawieszonym tam w górze pośród wszystkich tych gwiazd, jakby się było jedną z nich? Tak, tego rzeczywiście mi brakuje.

Rushil skinął głową.

– Założę się, że to piękne. Każdy twierdzi, że go to zmienia – ujrzenie Ziemi z góry.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

– Nigdy jej tak nie widziałeś? – spytałam i odsunęłam się od ściany słupu.

Rushil potrząsnął głową.

– Całe życie przebywam na powierzchni. – Parsknął krótkim śmiechem. – Nigdy nie widziałem nawet niczego poza Mumbajem, z wyjątkiem obozu dla młodocianych przestępców.

Cwany, bystry Rushil, który mógłby poruszać się po Salt na ślepo, widział mniej wszechświata niż ja? Udałam, że kaszlę, aby ukryć zaskoczenie, i zachodziłam w głowę, co mam powiedzieć. Trąciłam jego stopę moją – puk, puk, puk. Nasz sekretny szyfr.

– Zobaczysz.

– Tak sądzisz? – spytał ze zbolałym uśmiechem świadczącym, że w to nie wierzy.

– Tak jest – potwierdziłam. Szturchnęłam go w ramię i posłałam mu uśmiech. – Myślisz, że chcę wyremontować ten słup tylko dla siebie?

– Zabrałabyś mnie? – wykrzyknął głosem łamiącym się

z podniecenia i zobaczyłam w nim coś z małego chłopca, którym kiedyś był.

– Oczywiście. – Delikatnie ujęłam jego wielką dłoń w rękawicy. – To będzie nasz pierwszy lot.

Nasze spojrzenia się spotkały w żółtawym świetle ręcznego reflektora. Gdybym pochyliła się troszkę do przodu, mogłabym dotknąć jego ciepłej płaskiej klatki piersiowej, ulec elektromagnetycznemu przyciąganiu i złączyć usta z jego ustami.

Założył mi za ucho kosmyk wilgotnych od potu włosów.

– Jesteś teraz taka piękna, wiesz?

Roześmiałam się.

– Co, uwalana smarem?

– Nie – odrzekł. – Taka szczęśliwa.

Przytuliliśmy się do siebie i jego usta odnalazły moje. Nie wiedziałam, co jest lepsze: ciepły dotyk jego warg czy obejmowanie go i bycie obejmowaną. Nie było między nami żadnych oczekiwań, żadnego pośpiechu. Przebywaliśmy we własnym czasie. Moje ciało się rozluźniło, a świat skurczył się do tego kokonu żółtego światła. Nawet kiedy nasze usta oderwały się od siebie, ręce Rushila nadal mnie obejmowały. Oparłam głowę na jego ramieniu. Przytknął skroń do mojej i staliśmy tak, wtuleni w siebie.

– Lepiej bierzmy się znowu do roboty, jeżeli chcemy kiedykolwiek tym polecieć, co? – powiedział w końcu.

– Tak jest.

Cofnął się i ścisnął moją dłoń, a potem uśmiechnął się i nasunął z powrotem na twarz osłonę kasku spawacza. Włożyłam gogle i zapaliłam płomień mojej spawarki. Spod jej końcówki trysnęły rozpalone do białości iskry, gdy dotknęła metalu. Rushil i ja staliśmy plecy w plecy i przyspawaliśmy w równych odstępach rzędy obejm rur do ściany i wewnętrznej części kadłuba. Żar ciała Rushila był gorętszy nawet od promieniowania płomienia, które czułam przez ognioodporne rękawice.

Kiedy przyspawaliśmy ostatnią obejmę, Rushil zgasił swoją pochodnię i ruszył do wjazdu.

– Muszę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza – oświadczył.

Poszłam za nim. Jaskrawe światło dnia rozjaśniło mi w głowie po przebywaniu w ciasnym dusznym wnętrzu szybu przewodów rurowych. Usiedliśmy oboje na skraju wjazdu towarowego i wdychaliśmy świeżość popołudnia. Kadłuby statków zaparkowanych wokoło nas błyszczały w promieniach słońca.

– Więc jak zamierzasz go nazwać? – zapytał Rushil.

– Nazwać go?

– Tak. – Rushil poklepał kadłub słupu. – Kiedy będziesz rejestrować statek w Subkontynentalnej Agencji Lotniczej, będziesz musiała podać jego nazwę.

– Ja... nie wiem – wyjąkałam.

Nigdy nie myślałam o nazwaniu statku Perpétue, gdyż ona tego nie zrobiła. Spojrzałam w dół na nawierzchnię parkingu i pomachałam nogami. To musi być nazwa, która spodoba się Miyole, która wyrazi wszystko, przez co przeszliśmy ona, ja i slup. Coś mocnego, coś... Uśmiechnęłam się.

– „Perpétue” – powiedziałam. – Nazwiemy go „Perpétue”.

Rano następnego dnia po tym, jak zakończyliśmy remont słupa, wstałam wcześniej. Włożyłam brezentowe spodnie, buty, koszulę w stylu mumbajskim oblamowaną złotym haftem i kurtkę odziedziczoną po Perpétue. Poprawiłam wisiołek identyfikacyjny wiszący na mojej szyi na srebrnym łańcuszku i upewniłam się, że mam przymocowane do paska nóż Perpétue i mandarynę. Potem pocałowałam na pożegnanie Miyole i Sorayę pijące herbatę przy kuchennym stole, wyszłam z domu i pojechałam pociągiem do stoczni na spotkanie z Rushilem.

Z początku byłam trochę roztrzęsiona, gdy odpaliłam silniki statku i poderwałam go z parkingu, ale kiedy Port Lotniczy Navi potwierdził przez radio naszą trajektorię lotu, trzymałam już pewnie drążki sterowe. Rushil przysiadł na brzegu fotela pasażerskiego, by móc widzieć przez iluminator Mumbaj, który zblakł i zmalął do niewielkiego cypelka wysadzanego klejnotami świateł, gdy niebo wokół nas pociemniało. Wiatry huśtały nami i trzęsły, gdy przecinaliśmy ich strumienie.

– Lepiej się przypnij – rzuciłam ze wzrokiem utkwionym w przedni wizjer.

Przed nami wyłoniły się wyłomy w atmosferze, ciemniejące, w miarę jak smugi powietrza się rozrzedzały.

Przemknęliśmy przez nie w zimny bezruch przestrzeni kosmicznej. Rushil wziął gwałtowny wdech. Gwiazdy płonęły nieruchomym światłem, lecz żadna nie była tak jasna jak Ziemia pod nami. Zerknęłam na niego ukradkiem.

– Czy jest tak, jak myślałeś?

– O wiele lepiej...

Ujęłam go za rękę i pchnęłam statek naprzód w kierunku stacji Bhutto.

Zacumowaliśmy na poziomie handlowym. Rushil splótł palce z moimi, gdy schodziliśmy na podłogę doku. Rzucał wokoło spojrzenia, przyglądając się ciżbie pasażerów ze wszystkich zakątków świata, hologramom i sprzedawcom, a także pracownikom stacji przejeżdżającym wózkami pełnymi towarów pośród gęstego tłumu ludzi.

– Dobrze się czujesz? – spytałam.

– Tak – odrzekł. Miał zagubiony, oszołomiony wzrok, jak ptak, który wleciał przez okno mieszkania. – Tylko że to jest takie... takie...

– Trzeba trochę czasu, żeby przywyknąć – powiedziałam i zacisnęłam usta, aby się nie roześmiać.

Przypomniał sobie, żeby zamrugać, i odwrócił się do mnie.

– Pewnie właśnie tak się czułaś tuż po przybyciu do Mumbaju, co?

– Mocno tak – przyznałam i uśmiechnęłam się do niego.

Brzęknęła moja mandaryna przy pasku. Spojrzałam na nią, by sprawdzić czas.

– *Chaila!* Moje umówione spotkanie jest za piętnaście minut. Masz specyfikacje tych zmywaczy powietrza?

Rushil klepnął w swoją mandarynę.

– Wobec tego zajmę się załatwieniem zezwolenia na wwóz – powiedziałam. Głos mi drżał, po części z lęku, a po części z podekscytowania. – Życz mi powodzenia.

Mocno ścisnął moją dłoń i roześmiał się.

– Przestań się zamartwiać, dobrze? – Pocałował mnie przelotnie. – Świetnie sobie poradzisz.

– Wiem. – Wspięłam się na palce i oddałam mu pocałunek. – Spotkamy się tutaj?

– Za dwie godziny?

Skinęłam głową.

– Za dwie godziny.

Stałam przed biurem zarządu lotów, przyciskając do piersi tablet. Były w nim wszystkie wypełnione formularze, tylko czekające na przesłanie ich i zaakceptowanie, a także niewielka łapówka dla urzędników biura, by wszystko poszło gładko. Kiedy nadeszła moja kolej, zbliżyłam się do okienka.

Kobieta o kanciastej szczęce, nosząca uniform Zarządu Stacji Bhutto, obrzuciła mnie zmęczonym spojrzeniem. Przesunęłam do niej po kontuarze mój tablet z leżącym na nim plastikowym kwadratem płatniczym. Wsunęła kwadrat do kieszeni, nie podnosząc wzroku znad mojego formularza.

– Ava Parastrata?

– Tak jest – powiedziałam.

– Nazwa statku?

– „Perpétue”.

Szeptałam do siebie tę nazwę tyle razy, leżąc w nocy w łóżku albo spawając na zimno ochronne powłoki izolacyjne między warstwami kadłuba statku, że teraz zdołałam wypowiedzieć ją bez zająknięcia.

– Podpisz tutaj – poleciła urzędniczka, po czym odwróciła tablet do mnie i podała mi rysik.

Napisałam moje imię i nazwisko, starannie i wyraźnie. Nikt by nie poznał, że zaledwie jeden obrót temu nie umiałam kreślić liter.

Urzędniczka spojrzała na tablet i przybiła pieczęć aprobaty na dokumencie na ekranie. Zmusiła się do znużonego uśmiechu i powiedziała:

– Gratuluję, kapitan Parastrato. Proszę pamiętać, by dołączyć to do sygnału identyfikacyjnego swojego statku. Życzę bezpiecznego lotu.

Nie potrafiłam powstrzymać szerokiego uśmiechu. Oddaliłam się zatłoczonym korytarzem, wpatrując się w pieczęć na ekranie mojego tabletu. Mogłabym niemal skakać z radości. Oto ja, kapitan Ava Parastrata, idę pewnie i bez cienia lęku przez to miejsce, o którym nigdy nie myślałam, że pożre mnie żywcem. Odtąd ja będę decydować, dokąd chcę pójść.

Nie zauważyłam kobiety stojącej pośrodku korytarza z niemowlęciem na jednym ręku, a pudełkiem w drugiej, póki nie było już za późno. Wpadłam na nią całym impetem. Zdołała utrzymać dziecko, ale upuściła pudełko pełne naboju z dwutlenkiem węgla. Rozsypały się z brzękiem po podłodze.

– Przepraszam, czcigodna naj – powiedziałam, po czym uklęknęłam i zaczęłam je zbierać.

Kobieta się nie poruszyła.

– Jak mnie nazwałaś?

– Czcigodna naj... – zaczęłam i zerknęłam w górę na nią.

Spoglądały na mnie oczy niebieskie jak ocean. Miała czarne włosy splecione niedbale w warkocz wetknięty za odstające uszy. Zarówno ona, jak i niemowlę mieli mętnie bladą cerę z niebieskimi żyłkami widocznymi przez skórę. Wpatrywała się we mnie.

Wstałam.

– Soli?

Utkwiła wzrok w wisioruku na mojej szyi i zmarszczyła brwi, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła go.

– Ava?

– Tak jest. – Łzy napłynęły mi do oczu. – Och, Soli!

– O, Miłosierne.

Przyciągnęła mnie bliżej wolną ręką, zapominając o nabojach. Niemowlę zaprotestowało głośnym wrzaskiem.

Cofnęła się, lecz nadal trzymała mnie mocno za ramię.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz. Tyle czasu cię szukaliśmy. A potem twój ojciec oznajmił, że zginęłaś, spadłaś na powierzchnię...

– Mój ojciec? – Ściągnęłam brwi. – Co tutaj robisz sama, Soli?

– Och, nie przejmuj się tym teraz – powiedziała.

Jej oczy spoglądały łagodnie, ale z ich kącików rozchodziły się zmarszczki trosk, których dawniej tam nie było. Wyglądała, jakby postarzała się o pięć obrotów, odkąd ostatnio ją widziałam.

– Oni będą chcieli się z tobą spotkać.

– Kto?

Posłała mi nieco szelmowski uśmiech.

– Zobaczysz. – Oparła niemowlę o biodro i chwyciła mnie za rękę.

– Wszystko jest teraz inaczej, Avo. Sytuacja się zmieniła, od czasu gdy... – urwała i zacisnęła usta, jakby rozmyśliła się i zrezygnowała z powiedzenia tego, co zamierzała.

Cofnęłam się.

– Od czasu gdy co? Jak bardzo inaczej?

– Lepiej będzie, jeśli sama zobaczysz – powiedziała. Pociągnęła mnie za rękę. – Pośpiesz się. Naprawdę, Avo, oni się tak ucieszą!

Zadrżałam, uderzona nagłą myślą. „Luck. Czy to możliwe, że on...”.

„Nie. Luck nie żyje”. Nie mogę zacząć snuć szalonych fantazji tylko po to, by ujrzeć, jak znowu walą się w gruzy. Zerknęłam na moją mandarynę. Do czasu ustalonego spotkania z Rushilem przy słupie zostało trzydzieści minut. Niewiele, ale jednak. Wystarczy, żebym się przekonała, o czym mówi Soli.

– Tak jest – zgodziłam się i Soli się rozpromieniła.

Poszłam za nią korytarzami stacji Bhutto, moje kroki i serce coraz bardziej przyśpieszały. Soli trajkotała o niemowlęciu – chłopcu o imieniu Heart – o małżeństwach i innych plotkach z życia załogi, a przez cały czas jej synek wpatrywał się we mnie znad jej ramienia. Przypomniałam sobie, jak pierwszy raz zobaczyłam Sorayę, kiedy byłam małą dziewczynką – jej pewny krok i niewzruszone spojrzenie, to jak wspaniała i obca mi się wydała. Uśmiechnęłam się lekko do Hearta. Wtulił twarz w szyję Soli i wsadził do buzi pulchne paluszki, ale potem znowu na mnie zerknął i obdarzył mnie szczerbatym uśmiechem. Zjechaliśmy windą na poziom dwunasty i podeszliśmy do wielkich metalowych drzwi strefy dokowania. Soli puściła moją dłoń, by otworzyć śluzę.

Cofnęłam się w nagłym przypiływie lęku. A jeśli sytuacja wcale się tak bardzo nie zmieniła? A jeśli mężczyźni z załogi wciąż mną gardzą? A jeśli cała ta sprawa to pułapka, obmyślona, by zwabić mnie z powrotem przed sąd? Przyglądałam się, jak Soli wstukwała kod i otworzyła śluzę.

Zerknęła za siebie.

– Co z tobą, Avo? Daję ci słowo, że wszystko jest w porządku.

Przyjrzałam się jej twarzy, znużonym oczom i ściągniętym brwiom. Soli nigdy by mnie nie zdradziła. Wiedziałam to, bez względu na wszystko inne, co się zmieniło.

Przeszłam przez śluzę.

Tym razem nie powitał nas tłum. Tylko kilkoro spośród mężczyzn i kobiet z załogi „Æther” przyglądało mi się podejrzliwie, gdy Soli prowadziła mnie przez statek. Niemal słyszałam, jak myślą: „Zrodzona na Ziemi. Nieczysta. Wynaturzona”.

Skręciłyśmy w jeden z kolistych korytarzy „Æther”. Minęła nas kolejna kobieta z załogi, idąca z naprzeciwka. Obrzuciła mnie jawnie gniewnym spojrzeniem.

Przyśpieszyłam, by zrównać się z Soli.

– Dokąd idziemy?

– Do kwatery kobiet – odpowiedziała, ogarniając wzrokiem moje ubranie. – Pomyślałam, że może chciałabyś włożyć coś bardziej... przyzwoitego.

Przystanęłam gwałtownie. „Przyzwoitego?”.

Soli przeszła jeszcze kilka kroków, zanim zorientowała się, że się zatrzymałam. Odwróciła się i zmarszczyła brwi.

– Chodź, Avo. Nie chcesz wyglądać ładnie?

– Soli. – W ustach poczułam suchość, a serce waliło mi szybko i mocno. – O co tu chodzi? Dostyc tych gierek. Powiedz mi prawdę.

Soli westchnęła, przygarbiła się i zwróciła się do synka:

– Twoja modrie Ava nie chce nam pozwolić nawet na odrobinę zabawy, tak?

– Modrie? – powtórzyłam jak echo. – Soli, co...

Brzęknęła moja mandaryna przy pasku. Powinnam już wracać do słupu.

– Pośpiesz się. – Soli zawróciła znowu w kierunku, w którym szłyśmy, i rzuciła przez ramię: – Ale mówię prawdę. Musisz sama zobaczyć.

Wystukałam krótką wiadomość dla Rushila: TROCHE SIĘ SPÓŹNIĘ. NIE MARTW SIĘ – i pośpieszyłam dogonić Soli. Dotarliśmy do drzwi kwatery kapitańskiej. Nadal znajdował się na nich wryty w drewnie wizerunek Saeleas z pasmem słów rozwijającym się z jej ust. Tylko że teraz potrafiłam je odczytać. „Kobiety przestworzy...”. Kiedy poprzednim razem tutaj stałam, byłam mokra od potu i trzęsłam się ze strachu i wstydu. Echo tamtych uczuć przeniknęło mnie lekkim drżeniem.

Soli zastukała kostkami palców w drewno i drzwi się otworzyły. Weszliśmy razem do środka, trzymając się mocno pod ręce. Podłogę tutaj nadal przykrywały grube dywany, a na nich leżały sterty poduszek, ale lampy świeciły jaśniej, a Pokój wydawał się niemal pusty, gdyż tylko kilkanaście osób siedziało wokół kapitańskiego podestu. Kiedy podeszliśmy bliżej, wszyscy wstali, i wtedy dotarło do mnie, na czym polega zmiana. Wśród zgromadzonych było kilka kobiet. A jedna z nich wyróżniała się spośród pozostałych rudymi włosami i zielonymi oczami.

Llell. „Co tu robi Llell?”.

Lecz w tym momencie odwrócił się do mnie mężczyzna w centrum grupy. Błękitne jak ozon oczy podkrążone ze zmęczenia. Czarne włosy na tyle długie, że zatknięte za uszy. Na ramionach sztywny, ciężki

wyszywany szal kapitański.

– Luck? – wydusiłam szeptem.

Podniósł wzrok. Przez jego twarz przemknęła konsternacja, gdy przeniósł spojrzenie ze mnie na Soli, a potem znowu na mnie.

– To ona, Luck – powiedziała Soli głosem drżącym z ekscytacji. – Odnalazłam ją.

Luck zamrugał. Głośno wciągnął powietrze.

– Ava?

Kiwnęłam głową.

– Tak jest. To ja.

Zszedł z podestu i pokonał dystans między nami w kilku krokach szybkich jak bicie serca.

– Jak... – zaczęłam mówić.

Ale Luck przygarnął mnie do siebie, jakby przez cały ten miniony czas umierał z pragnienia mnie.

– Dzięki Miłosiernym – wymówił w moje włosy.

Przywarłam do niego z siłą, która wstrząsnęła całym moim ciałem. Luck żyje.

– Myślałam, że umarłeś – wyszeptałam z ustami przy jego ramieniu.

Zakołysał mną na boki, pogłaskał po włosach i pocałował w czubek głowy.

– Nie umarłem, nie umarłem – powtarzał, jakby chciał przekonać o tym tyleż mnie, co siebie. – Ale Llell powiedziała, że oni... powiedziała, że wykapali cię do pogrzebu, ubrali i...

– Owszem, zrobili to – odrzekłam. – Ale Iri pomogła mi uciec i udałam się na dół, na powierzchnię, do mojej rodzonej modrie...

– Twojej rodzonej modrie?

– Tak jest – potwierdziłam.

Było tyle do opowiedzenia. Rozejrzałam się po pokoju. Oprócz Llell i Soli nie rozpoznałam nikogo, chociaż mężczyzna obejmujący Soli ramieniem w talii musiał być jej mężem Readym.

– Czy Iri...? – Nie dokończyłam.

Luck potrząsnął głową.

– Kiedy udaliśmy się na pertraktacje handlowe z twoim ojcem, już

od dawna nie żyła. Soli próbowała porozmawiać o tym z kilkoma waszymi kobietami, ale oświadczyły, że nawet nie wymówią jej imienia.

Część mnie wiedziała, że tak to się uplecie. Wiedziałam to od chwili, gdy zobaczyłam, jak upadła, ale jednak ta wiadomość mną wstrząsnęła.

– Pewnie jesteś zmęczona – powiedział Luck. – Chodź, możemy usiąść i porozmawiać w mojej kwaterze. Mamy teraz dla siebie tyle czasu, ile zechcemy.

„Rushil – pomyślałam słabo i spojrzałam na moją mandarynę. – Będzie na mnie czekał i niepokoił się”. Ale to tutaj było zbyt ważne. To jedna z tych rzeczy, które zatrzymują czas.

– Tak jest – usłyszałam własny głos.

– Doskonale – rzekł Luck.

Klasnął w dłonie, odprawiając w ten sposób grupę zgromadzoną wokół podestu. Wszyscy wyszli jedno za drugim, z wyjątkiem Llell, która jak teraz zauważyłam, miała na sobie zwiewną suknię w czerwonym kolorze Ætherów, i Soli z niemowlęciem w ramionach.

– Znalazłoby się coś do jedzenia i picia dla Avy? – zwrócił się do nich Luck.

– Oczywiście – odrzekła Soli.

Posłała mi uśmiech i wyszła. Llell skrzywiła się, ale bez słowa podążyła za nią.

Luck cofnął się, by mi się przyjrzeć, lecz nadal trzymał mnie mocno za ramiona, jakby się bał, że zniknę jak widmo.

– Kiedy twój ojciec powiedział, że odleciałaś z tą kobietą z powierzchni, uznaliśmy, że zginęłaś. Byliśmy pewni, że wzięła cię ze sobą na Ziemię. Nikt z nas nie sądził, że okażesz się na tyle silna, by to znieść.

– Zniosłam – powiedziałam. Odepchnęłam wspomnienie ostrego, przeszywającego bólu moich pierwszych kilku miesięcy na powierzchni.

– Nie było łatwo, ale zniosłam to.

Znowu przyciągnął mnie do siebie.

– Przepraszam cię w imieniu własnym i całej mojej załogi.

– Nic mi nie jest. – Cofnęłam się odrobinę. – Jestem wyleczona i zdrowa. – Potrząsnęłam głową i otarłam oczy ramieniem kurtki. – Ale

ty... Myślałam, że wyślą cię na spotkanie z Próżnią, tak jak chcieli wysłać mnie.

Luck przytaknął.

– Mój ojciec miał taki zamiar, lecz chciał najpierw umknąć z portu, żeby nie wtrąciły się władze stacji. Ale skończyło się na tym, że mocno wielu z naszej załogi uznało, że on bierze sobie zbyt wiele żon, a pozbywa się ze statku zbyt wielu chłopców. Przypuszczam, że miarkę przebrało to, co stało się z nami dwojgiem. Powiedzieli, że nadszedł już odpowiedni czas, abym poślubił swoją pierwszą żonę, a on zamiast tego próbuje wziąć ją dla siebie. Tak więc podnieśli bunt. Moja matka i jej bracia zjawili się i uwolnili mnie z aresztu, a potem... W każdym razie to jego ciało wysłano w Próżnię, nie moje.

– Zabiliście go?

– Tak – rzekł Luck i ścisnął moją dłoń. – Nie żałuję tego.

Myślałem, że zabił cię, Avo, że przyczynił się do twojej śmierci. Tak więc przejąłem po nim funkcję kapitana.

– Kapitana? – powtórzyłam zaskoczona, ledwie nadążając za tym, co mówił.

– I całkowicie odmieniłem życie na statku – oświadczył. – Wróciłem na „Parastratę”, by się domagać wydania mi cię, lecz cię tam nie było. Z początku oznajmili mi, że wysłano cię w Próżnię, ale Llell... – Urwał. – Wiedziałem, że zdarzyło się coś innego, jednak nie mogłem się dowiedzieć co, póki nie nakłoniłem twojego ojca, żeby mi powiedział.

– Nakłoniłeś go? Jak?

Luck uśmiechnął się z zakłopotaniem i wzruszył ramionami.

– Wiesz, ludzie z „Æther” są mocno znani z umiejętności destylowania wina ryżowego. – Rzucił spojrzenie na drzwi, za którymi zniknęły Soli i Llell, i przez jego twarz przemknął wyraz niepokoju. – A także z innych rzeczy.

– Innych rzeczy? – spytałam i poczułam, że gardło ścisnął mi skurcz lęku.

– Przepraszam – powiedział Luck i mocno pocałował mnie w czoło. – Wybacz mi, Avo. Przykro mi, że uwierzyłem im, że nie żyjesz. Ale teraz cię odnalazłem i już nie pozwolę, by ktokolwiek cię

skrzywdził.

Słowa Lucka obejmowały mnie, mocne i ciepłe jak jego ręce i ramiona. A ja pragnęłam – och, jak pragnęłam! – żeby to było prawdą, żeby ten mężczyzna miał moc uchronienia mnie przed wszystkimi krzywdami. Żeby stał się balsamem na wszystkie moje troski...

– Luck, powiedz mi – rzekłam z wysiłkiem, gdyż nadal miałam ściśnięte gardło. – Jakich innych rzeczy?

W tym momencie wróciły Soli i Llell z dzbankiem chłodnego ryżowego wina oraz tacą pełną kruchych ciasteczek, miękkiego sera i suszonych moreli.

– Czy to ma znaczenie? – rzekł ze śmiechem. – To drobne rzeczy. Nic, czym mogłabyś się niepokoić. Ważne jest to, że znowu wypracowałam Pokój z załogą twojego ojca. Podpisaliśmy nowe umowy handlowe, a teraz dowiedziałem się, że ty żyjesz. Zostaniesz moją żoną. Czyż nie tego wszyscy chcieliśmy?

– Twoją żoną...

Obróciłam w ustach to słowo. On ma rację, nieprawdaż? Wszyscy tego chcieliśmy. Ale coś tu się nie zgadzało. Załogi zawsze pieczętują małżeństwem zawarcie umowy handlowej, a zdrada, jakiej dopuściliśmy się z Luckiem, stworzyła ogromną przeszkodę do przewyciężenia. Przejście nad tym do porządku wymagałoby od jego załogi wielkiej wspólnomyślności.

– Masz na myśli: twoją pierwszą żoną? – zapytałam, by się upewnić.

Luck się zawahał. Rzucił spojrzenie za siebie na Soli i Llell. I wtedy to zobaczyłam i serce mi zamarło. Nieznaczone ciążowe zaokrąglenie w talii czerwonej sukni Llell. Jej włosy splecione ciasno w małżeńskie warkocze. Popatrzyła na mnie i kąci jej ust wykrzywił lekki uśmiezek.

– Co... – zaczęłam.

– Avo – wtrąciła Soli cichym, łagodnym głosem. – Nie było żadnego innego sposobu przypieczętowania pokoju z twoim ojcem. Po wszystkim, co się wydarzyło, Luck nie mógł sobie pozwolić na utratę szacunku swojej załogi, zwłaszcza że dopiero tak niedawno objął funkcję kapitana. A Llell pomogła nam...

Luck przerwał jej, zwracając się do mnie z udręką na twarzy:

– Nadal możemy ułożyć nasze życie tak, jak o tym rozmawialiśmy.

Możesz nauczyć się czytać i rachować, a między okresami ciąży będziesz mogła pracować w Dziale Napraw. Albo gdziekolwiek zechcesz.

– Ja nie... – urwałam i zmarszczyłam brwi.

Spojrzałam na Hearta w ramionach Soli. Przez moment wyobraziłam sobie siebie w sukni w czerwonym kolorze Ætherów, siebie leżącą na łóżku porodowym, czarnowłose dziecko śpiące na mojej piersi i stojącego obok Lucka przyglądającego się nam. Ale potem z pamięci napłynął mi widok fotografii mojej babki, młodej i bladej, upojonej miłością, nieświadomej czekającej ją wkrótce śmierci ani losu, jaki Miłosierne gotują jej córce.

Wzięłam głęboki wdech.

– Nie wiem, czy chcę zająć w ciążę...

Przez jego twarz przemknął wyraz zatroskania, ale Luck zaraz się opanował.

– Rozumiem – powiedział. – Potrzebujesz kilku miesięcy, żeby dojść do siebie po tym, przez co przeszłaś. Mogę zaczekać, Avo.

– Nie – powiedziałam bardziej stanowczym tonem. – Nie to miałam na myśli.

– Czy coś ci się stało, kiedy przebywałaś tam, na dole? –

Wyprostował się. – Nie przeszkadza mi, jeśli Ziemia uczyniła cię bezpłodną, Avo. Nadal cię pragnę, bez względu na wszystko.

– Nie – zdołałam wydusić. – Chodzi tylko o to, że...

Urwałam. Luck zajrzał mi w oczy i część mnie zapragnęła wtulić się w niego, dać mu wszystko, żeby tylko zetrzeć z jego twarzy to cierpienie. Nieważne, że Llell jest jego pierwszą żoną. On mnie kocha. Czyż cokolwiek innego ma znaczenie?

„Ale Miyole i Soraya. I Rushil”.

Wyobraziłam go sobie, jak czeka przy słupie. Czeki i wypatruje mnie w tłumie, a ja się nie zjawiam. „Jesteś teraz taka piękna, wiesz?”. Zobaczyłam mój dawny rzemyk od wisiora, wciąż owinięty wokół jego nadgarstka. Przypomniałam sobie dotyk jego ręki na moich włosach, nasze nieśpieszne pocałunki i noce pod rozgwieżdżonym niebem

Mumbaju. Jak mogę odrzucić jego miłość dla Lucka? Jak mogę zrezygnować z Lucka dla niego? I z maleństw...? Serce skoczyło mi w piersi na tę myśl, która wydawała się teraz raczej pytaniem niż pewnością.

– Nie wiem, czy w ogóle chcę mieć maleństwa – powiedziałam. – A w każdym razie nie teraz. Może kiedy będę o kilka obrotów starsza.

Luck miał taką minę, jakbym obróciła w gruzy wszystko, co jest mu drogie.

– Ale później – rzekł i ścisnął moje dłonie w swojej. – Później będziesz chciała je mieć?

– Ja... – urwałam, gdyż gardło mi się ścisnęło.

Czego chcę? To prawda, na „Æther” pod kapitańskimi rządami Lucka panowała mocno większa swoboda. Widziałam to. Ale nie wszystko tak bardzo się zmieniło. A przynajmniej nie tak bardzo jak ja. Czy kiedykolwiek odwiedziłabym te światy, nad którymi dotąd zawsze tylko się unosiłam na pokładzie statku? Czy moje kończyny i płuca znów by osłabły, pozbawione grawitacji? Czy mój umysł utraciłby bystrość zdobytą z takim wysiłkiem? Czy pracowanie w Naprawach i miłość Lucka by mi to wynagrodziły? Luck podszedł bliżej, tak że nasze głowy się zetknęły.

– Martwisz się Llell? – szepnął. – Wiesz, że w moim sercu jesteś pierwszą. Zawsze będziesz.

A ja pragnęłam, och, tak, pragnęłam uczynić go szczęśliwym. Pragnęłam ofiarować mu wszystko, na co zasługiwał – miłość, dzieci i wszystkie lata mojego życia. Ale nie mogłam.

– Ja... – Zawahałam się. Jak sprawić, żeby zrozumiał? Odsunęłam jego dłoń od mojego policzka i znów ujęłam w swoją. – Nauczyłam się pilotować statek, Luck. A także rachować i czytać. I jeszcze bardzo wielu innych rzeczy... A co z Miyole i Sorayą?

– Z kim? – spytał, marszcząc czoło.

– Z Sorayą, moją rodzoną modrie. I Miyole... Ona... ona jest dla mnie prawie jak siostra.

– Nie rozumiem – rzekł Luck. – Nie chcesz mnie? Nie chcesz wrócić do domu?

„Dom”. Zamknęłam oczy i napłynęły do mnie obrazy Rushila

udającego, że chce wrzucić do filiżanki herbaty Miyole całą zawartość cukiernicy, śpiewającego razem z Ankurem w mieszkaniu Zarine; Sorai ślęczącej przy kuchennym stole nad notatkami do wykładów; mojego wkradania się do kina chwiejnymi schodami pożarowymi i krążenia słupem nad linią horyzontu Mumbaju.

Spowił mnie smutek niczym strój grzebalny. Życie z Luckiem mogłoby wprawdzie uchronić mnie od niektórych moich trosk, ale przysporzyłoby mi innych, równie ciężkich. Nie byłabym ostatnią żoną, jaką Luck sobie weźmie. Zostałabym drugą żoną, a pewnego dnia pojawiłaby się trzecia, później może też czwarta. A potem to my porzucalibyśmy dzieci innych kobiet. Cała ta sprawa zaczęłaby się od początku.

– Oczywiście, kocham cię – powiedziałam do Lucka. Odwróciłam się do Soli tulącej w ramionach Hearta, a także do Llell. – Was wszystkich. Ale to życie już nie jest dla mnie.

– Jesteś tak samo godna zostać kapitańską żoną jak dziewczyna, która nigdy nie dotknęła Ziemi – powiedział porywczo Luck, ściskając moją dłoń.

– Wiem – odrzekłam po prostu.

Wtuliłam się w niego, chłonąc jego ciepło i zapach – trawy, ręcznie robionego papieru, oleju i powietrza.

Pochylił głowę i spojrzał na mnie.

– Oni zapomną o tym wszystkim, Avo. Zmuszę ich do tego. Będzie tak, jakby to nigdy się nie wydarzyło.

– Dla ciebie – powiedziałam i odgarnęłam mu z czoła czarną grzywkę. Spojrzałam mu w oczy, starając się dokładnie zapamiętać odcień ich błękitu. – Ale ja nie potrafię udawać, że to nigdy się nie wydarzyło. To, czego pragnę, zmieniło się, kiedy ja się zmieniłam. To, czego obecnie pragnę, zraniłoby cię.

– Nie obchodzi mnie...

– Ale zacznie – rzekłam. – Za obrót czy dwa, kiedy nie będziemy mieli maleństw i mężczyźni zaczną ukradkiem o tym szeptać. Wtedy albo ugnę się i zgodzę na dziecko, żeby cię zadowolić, albo ta sytuacja cię zgnębi. A wówczas cóż nam zostanie prócz żalu i poczucia winy?

– Avo...

– Lucku. – Przytknęłam czoło do jego czoła. – Przymknij mi coś.
– Co tylko zechcesz.
– Przymknij, że nie pobędziesz się ze statku już więcej żadnych chłopców.

Przez jego twarz przemknął wyraz zawstydzenia.

– Wiesz, o czym mówię – dorzuciłam.

– Ja... ja nie zrobię tego – wyjąkał. – Nigdy nie zamierzałem.

– Wiem – powiedziałam.

– Więc zostań – rzekł błagalnym tonem. – Zostań przy mnie.

Pomóż mi przekształcić tę załogę.

– Nie mogę. – Teraz płakałam, naprawdę. – Nigdy nie przestanę cię kochać. Zawsze będziesz moją pierwszą miłością. Ale nie mogę zostać. Tak samo jak ty nie możesz porzucić „Æther”.

– Avo...

Odwróciłam się. Soli cofnęła się, przerażona, i nawet Llell wydawała się zszokowana, gdy wychodziłam przez wielkie drzwi, z wysoko uniesioną głową, a po twarzy ciekły mi łzy.

Spojrzałam za siebie, gdy drzwi zaczęły się zamykać, i wymrugałam łzy z oczu. Luck uniósł dłoń. „Żegnaj”.

A ja zrobiłam to samo. „Żegnaj”.

Potem odwróciłam się i ruszyłam do stacji Bhutto, z powrotem do Miyole, Sorai, Rushila, „Perpétue” i wszystkiego, czym moje życie jeszcze się stanie.

Przekład: Janusz Maćczak

Redakcja: Małgorzata Kuśnierz

Korekta: Anna Jagiełło, Małgorzata Lach

Projekt okładki: Sylvie le Floc'h and Joel Tippie

Ilustracja wykorzystana na okładce: © 2014 by Julie de Varoquier
and Joel Tippie

Projekt logo imprintu: Julia Karwan-Jastrzębska

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2315-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza
Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, blue, sans-serif font. The letter "i" is lowercase and blue, while the rest of the word is in a slightly larger, bold, blue font.

